

NIESAMOWITE PERYPETIE I BOHATERSKIE WYCZYNY
ŻOLNIERZA WOJSK NAPOLEOŃSKICH

Arthur Conan Doyle

*P*rzygody
brygadiera
Gerarda

DAVIDOS
przypoda

Przygody
brygadiera Gerarda

Arthur Conan Doyle

Ilustracje: W.B. Wollen

Przekład z języka angielskiego: Jan S. Zaus

*Il etait brave mais avec cette graine
de folie dans sa bravoure
que les Français aiment.*

*Był dzielny, ale z tą odrobiną
szaleństwa w swojej odwadze,
którą kochają Francuzi.*

Jean Baptiste Antoine Marcellin baron de Marbot (1782–1854)

Wstęp

Mam nadzieję, że znajdą się czytelnicy, zainteresowani opowiadaniem żołnierzy Napoleona, a to ich zainteresowanie poszerzy się także na prześledzenie źródeł ich pochodzenia. Ówczesne czasy obfitowały w materiały dotyczące wojskowości, a niektóre z nich były tak niezwykle realistyczne i malownicze, że jeszcze nigdy takich nie czytałem. Pomijając prace czysto historyczne lub biografie dowódców, istnieje dużo relacji napisanych przez ludzi, biorących bezpośredni udział w walkach i opisujących swoje wrażenia i doświadczenia, zawsze z punktu widzenia poszczególnych rodzajów służb, do których należeli. Szczególne szczęście do takich kronikarzy miała kawaleria.

De Rocca w swoich *Memoires sur la guerre des Francais en Espagne*, zaprezentował relacje huzara, podczas gdy De Naylies w *Memoire sur la guerre d'Espagne* przedstawił opis tej samej kampanii, ale z punktu widzenia dragona. Następnie mamy *Souvenirs Militaires du Colonel de Gonnevillle*, gdzie zaprezentowano epizody wojenne, łącznie z tymi w Hiszpanii, widząc je spod zdobionego piórami hełmu kirasjera. Jednak najbardziej wyróżniającym się dziełem z tych wszystkich prac i z wielu innych wojennych wspomnień, są słynne wspomnienia Marbota, które obecnie stały się dostępne w angielskim tłumaczeniu. Marbot był szaserem, a więc za jego pośrednictwem otrzymaliśmy relacje z punktu widzenia kawalerzysty. Spośród wielu tekstów, które pomogą nam zrozumieć żołnierzy Napoleona, osobiście polecam *Les Cahiers du Capitaine Coignet*, opisujący wojnę widzianą oczami zwykłego gwardzisty, oraz *Les Memoire du Sergeant Bourgoine*, podoficera w tym samym korpusie. Dziennik sierżanta Fricasse i wspomnienia de Fezenaca, oraz de Segura, to kompletny materiał, z którego czerpałem natchnienie do tej książki, aby nasycić prawdziwą wojskową i historyczną atmosferą jej fikcyjną postać.

ARTHUR CONAN DOYLE

Marzec, 1903 r.



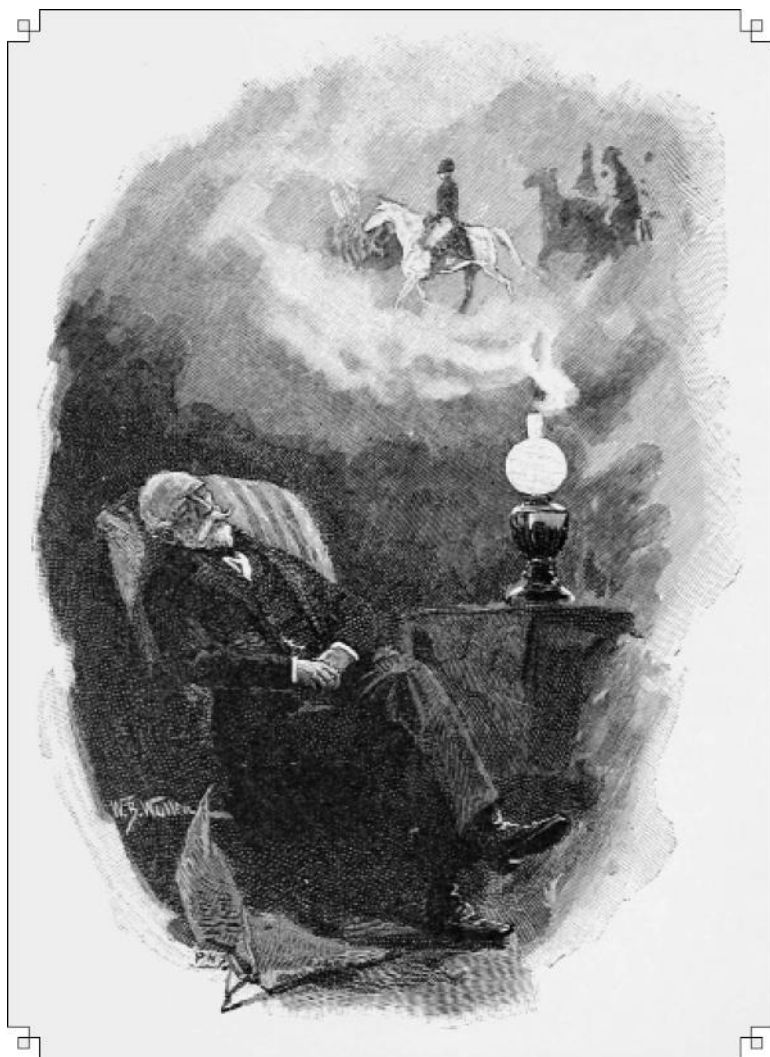
Arthur Conan Doyle.

Część pierwsza

I. Jak brygadier przybył do zamku Gloom

Bardzo dobrze zrobiliście, moi przyjaciele, że potraktowaliście mnie z odpowiednim szacunkiem, bowiem darząc szacunkiem mnie, okazujecie szacunek zarówno Francji jak i samym sobie. Macie przed sobą nie tylko oficera z siwymi wąsami, jedzącego omlet lub wysuszającego szklaneczkę, lecz także fragment historii. Widzicie we mnie jednego z tych ostatnich wspaniałych ludzi, weteranów, wówczas młodych chłopców, którzy wcześniej nauczyli się władać szablą niż brzytwą i którzy w stu bitwach nigdy nie pozwolili ujrzeć wrogowi swych plecaków. Przez dwadzieścia lat uczyliśmy Europę, jak walczyć, a gdy przyswoiła sobie tę lekcję, tylko termometr – nigdy bagnet – mógł pokonać Wielką Armię. Berlin, Neapol, Wiedeń, Madryt, Lizbona, Moskwa – tam wszędzie w stajniach stały nasze konie. Tak, przyjaciele, powtarzam raz jeszcze – dobrze zrobiliście wysyłając do mnie swoje dzieci z kwiatami, aby ich uszy usłyszały trąbki wzywające Francję, oczy ujrzały jej sztandary w krajach, których już nigdy znowu nie ujrzą.

Nawet teraz, kiedy drzemię w moim fotelu, mam przed oczami strumień wielkich wojowników: w zieleń odzianych szaserów, wielkich kirasjerów, lansjerów Poniatowskiego, dragonów w bieli, podskakujących na koniach grenadierów w niedźwiedzich skórach. A po nich, nadchodzących nisko brzmiących werblastów, a w wieńcach kurzu i dymu widzę też w rzędzie brązowych twarzy linię wysokich czap, z kołyszącymi się długimi, purpurowymi pióropuszcami, pośród ukośnych linii stali. A tam dalej jedzie na koniu Ney, ze swoją rudą czupryną, Lefebvre o szczęce buldoga i Lannes z gaskońską dumą, a za nim, między błyszczącymi brązami i dumnie powiewającymi pióropuszcami, wychwytyuję mignięcie jego postaci, widzę przez moment człowieka o bladym uśmiechu, zaokrąglonych ramionach i oczach zdających się patrzeć gdzieś w nieskończoną dal. I to już koniec mojego snu, przyjaciele; wstaję z fotela, wołam ochryłym głosem i tak głupio wyciągam rękę, że madame Titaux śmieje się z żyjącego wśród cieni przeszłości starego człowieka.



Nawet teraz, kiedy drzemię w fotelu, mam przed oczami tych wielkich wojowników

Chociaż pod koniec wojny byłem dowódcą brygady, z nadzieją szybkiego awansu na generała dywizji, to częściej wspominam wcześniejsze dni chwały i przygody związane z początkowym życiem żołnierskim. Musicie zrozumieć, że gdy oficer ma wielu ludzi i mnóstwo koni pod swoim dowództwem, jego umysł zajmują rekruci, szkolenie jeźdźców, uzupełnienie, zaopatrzenie i zakwaterowanie tak, że nawet wtedy, gdy staje w obliczu wroga, wymienione sprawy stanowią dla niego poważny problem. Jednak, gdy jest tylko porucznikiem, albo kapitanem, nie nosi na barkach innego ciężaru, poza epoletami i może pobrzękiwać ostrogami, powiewać dolmanem, wysuszać szklaneczki wina, całować dziewczęta i kombinować, jak wieść życie szarmanckiego kawalera. Jest to jego czas przygód i właśnie ten czas pragnę przetworzyć w opowieści, które zamierzam wam zaprezentować.

Zatem, dziś wieczorem opowiem wam o mojej wizycie w zamku Gloom, o dziwnej misji podporucznika Duroca i przerażającej sprawie człowieka, niegdyś znanego jako Jean Carabin, a później jako baron Straubenthal.

Musicie wiedzieć, że w lutym 1807 roku, zaraz po zajęciu Gdańska, major Legendre i ja otrzymaliśmy zlecenie zabrania z Prus do Wschodniej Polski czterystu kawalerzystów.

Zła pogoda, a specjalnie krwawa bitwa pod Eylau¹, zabiły tak wiele koni, że nasz wspaniały Dziewiąty Pułk Huzarów znalazł się w trudnej sytuacji, stając się batalionem lekkiej piechoty. Dlatego ja i major doskonale wiedzieliśmy, że niecierpliwie oczekują nas na froncie. Jednak nie posuwaliśmy się zbyt szybko, gdyż śnieg był głęboki, drogi zniszczone i towarzyszyło nam dwudziestu wracających inwalidów. Poza tym, nie mogliśmy przyspieszyć, gdy codziennie musieliśmy szukać zaopatrzenia; zdarzało się, że niczego nie mogliśmy zdobyć, a to zmuszało konie do powolnego marszu. Jestem świadomy, że w książkach opisuje się kawalerię jako formację zawsze żwawo galopującą, ale ja, po dwudziestu kampaniach wiem, że w istocie w obliczu wroga, konie brygady idą wolno, najwyżej truchtem. Twierdzą, że huzarów i szaserów dużo łączy z kirasjerami lub dragonami.

Osobiście bardzo lubię konie i dowodziłem czterystoma końmi, w każdym wieku, o różnej maści i o różnym charakterze – wszystkie doskonale znałem i sprawiły mi wiele radości. W większości wywodziły się z Pomorza, chociaż były też konie z Normandii, a niektóre z Alzacji; i może was rozbawić uwaga, że różniły się charakterem tak samo, jak ludzie pochodzący z tych rejonów. Zaobserwowałem też, co często mogłem udowodnić, że natura konia zależy od jego maści – od pełnej wyobraźni kokieterii nerwowego gniadosza, po twardego, stanowczego kasztanka i od ponurego deresza po upartego rdzawo--czarnego rumaka. Jednak to wszystko nie ma nic wspólnego z moją obecną opowieścią, ale oficer kawalerii nie może w swojej opowieści pominąć uwagi na ten temat, kiedy wie, że na samym początku czeka na niego czterysta koni. Mam zwyczaj mówić o tym, co mnie interesuje i żywię nadzieję, iż może i was to zainteresuje.

Wisłę przekroczyliśmy pod Marienwerder² i dotarliśmy do Riesenburgu³, gdzie do mojego pokoju, w budynku poczty wszedł major Legendre z kartką papieru w rękę.

– Opuuszczasz mnie – oznajmił, z wyrazem rozpaczy na twarzy.

Mnie jednak nie zmartwiło to za bardzo dlatego, że będąc jego podwładnym – jeśli

tak to mogę wyrazić – z trudem mogłem z nim wytrzymać. Jednak w milczeniu zasalutowałem przepisowo.

– Na rozkaz generała Lasalle’a – kontynuował – zostajesz natychmiast przeniesiony do Rössel⁴ i masz się zameldować w kwaterze głównej pułku.

Żadna inna wiadomość nie mogła mi sprawić większej przyjemności. Cieszyłem się już wystarczająco dobrą opinią u przełożonych, dlatego było dla mnie oczywiste, że ten nagły rozkaz oznaczał, iż pułk znowu mnie potrzebuje i że Lasalle rozumiał, jak bardzo szwadron jest bez mnie niekompletny. Prawdą jednak jest, że rozkaz nadszedł w niedogodnym dla mnie momencie, ponieważ dozorca domu, w którym zajmowałem kwaterę, miał nadobną córkę – była to jedna z tych szczupłych, czarnowłosych polskich dziewcząt – z którą miałem nadzieję nawiązać bliższy kontakt. Jednak pionek nie może dyskutować, gdy palce gracza przesuwają go po planszy, więc dosiadłem mojego czarnego rumaka, Rataplana i natychmiast wyruszyłem w samotną podróż.

Daję wam słowo, że dla tych biednych Polaków i Żydów, którzy mieli tak mało wesołych chwil w swoim szarym życiu, prawdziwą ucztą był widok, jaki ujrzeli przed drzwiami. Oto mroźne powietrze poranka sprawiało, że czarne członki Rataplana i piękne krzywizny jego boków, za każdym skokiem błyszczą i skrzą się. Jeśli zaś o mnie chodzi, to stukot kopyt na drodze i pobrzękiwanie uzdy, wraz z każdym ruchem końskiego łba, nawet dziś powoduje, że krew zaczyna żywiej krążyć w moich żyłach. Możecie się zatem zastanawiać, jak w wieku dwudziestu pięciu lat radziłem sobie – ja, Etienne Gerard, z elity jeźdźców i najsprawniejsza klinga w dziesięciu pułkach huzarów? W Dziesiątym, błękit był naszym kolorem – błękitny jak niebo dolman i pelisa ze szkarłatnym gorsem; mówiono w armii, że zniechęcając innych mężczyzn, wabimy ku sobie całą żeńską populację. Tego ranka, w Riesenburgu, dostrzegłem w oknach bystre oczy, zdające się błagać mnie, bym się nie spieszył, lecz co może żołnierz, poza ucałowaniem rączki i potrząśnięciem uzdy, a potem dalej w drogę?

Był to ponury czas przemierzania tego najuboższego i najbrzydszego kraju w Europie, choć pod bezchmurnym niebem, w promieniach zimowego słońca i przez skrzące się śniegiem pola. Oddychałem mroźnym powietrzem, a Rataplan wydmuchiwał nozdrzami dwa pióropusze pary, podczas, gdy z obu stron wędziła, zwisały sople lodu. Puściłem go truchtem, żeby się rozgrzał, podczas, gdy sam musiałem pomyśleć, jak chronić się przed zimnem. Na północ i południe rozciągały się wielkie równiny poprzecinane kępami jodeł i jaśniejszymi plamami modrzewi. Tu i tam widać było samotne domostwa, ale Wielka Armia przeszła tędy zaledwie przed trzema miesiącami i dobrze wiecie, co to może oznaczać dla danej okolicy. Polacy byli naszymi przyjaciółmi, to prawda, lecz na sto tysięcy ludzi tylko Gwardia dysponowała wozami zaprzęgowymi i często urządzała popas, nic więc dziwnego, że nigdzie nie było śladu bydła i z kominów milczących domów nie unosił się dym. W tym kraju, przez który przeszli nieproszeni goście, zagościła też bieda i mówiono, że tam, gdzie Cesarz wiódł swoich ludzi, nawet szczury cierpiały głód.

W południe dojechałem do wsi Saalfeldt, jednak znajdowałem się na drodze prowadzącej do Ostródy, gdzie Cesarz zimował i obozowało siedem dywizji piechoty, zapchanej powozami i wozami. Tłoczyła się też artyleria, konne zaprzęgi i kurierzy,

płynął ciągły strumień rekrutów oraz maruderów, co sprawiało wrażenie, że minie dużo czasu zanim dołączę do moich kamratów. Natomiast na równinie leżało pięć stóp śniegu, więc nie można było skracać drogi. Jednak z radością znalazłem boczną drogę, biegnącą z dala od innych dróg, przez świerkowy las, w kierunku północnym. Na skrzyżowaniu dróg stała mała oberża, a przy drzwiach były uwiązane konie patrolu Trzeciego Pułku Huzarów Conflans – tego właśnie, którego później zostałem pułkownikiem. Na stopniach stał oficer, wąty, blade młodzieniec, sprawiający bardziej wrażenie księdza z seminarium niż dowódcy tych beztroskich hulaków.

– Witam pana – rzekł do mnie, widząc, że powstrzymuję konia.

– Dzień dobry – odparłem. – Jestem porucznik Etienne Gerard, z Dziesiątego.

Z wyrazu jego twarzy wywnioskowałem, że słyszał o mnie, pewnie z tego słynnego pojedynku, jaki stoczyłem z sześcioma mistrzami fechtunku. Jednak zachowywałem się na tyle bezpośrednio, iż poczuł się swobodniej.

– Ja jestem podporucznik Duroc, z Trzeciego – przedstawił się.

– Nowy? – spytałem.

– Dołączyłem w minionym tygodniu.

Pomyślałem, że był bardzo świeży, sądząc z jego bladej twarzy i sposobu, w jaki pozwolił rozluźnić się swoim ludziom na koniach. Jednak jeszcze nie tak dawno, ja sam doświadczyłem jak to jest, gdy uczeń szkolny wydaje rozkazy weteranom. Pamiętam, jak płonąłem rumieńcem wykrzykując rozkazy ludziom, którzy widzieli więcej bitew niż ja liczyłem sobie lat i bardziej naturalne byłoby, gdybym zwrócił się do nich słowami: „Stańcie jeśli łaska w szeregu...” – albo: „Jeżeli uważacie, że tak będzie lepiej, to pobiegnijcie truchtem”.

Dlatego też tak samo potraktowałem tego chłopca i gdy zauważyłem, że jego ludzie wykazują pewnego rodzaju rozluźnienie, rzuciłem im tak ostre spojrzenie, że natychmiast zeszywnieli w siodłach.

– Mogę pana spytać, czy jedzie pan tą drogą na północ? – zagadnąłem.

– Mam rozkaz patrolować aż do Arensdorf – oznajmił.

– Zatem, jeśli pan pozwoli, pojedę z panem – zaproponowałem. – Ta dłuższa droga może być dla mnie szybsza.

I tak było, bowiem droga biegła z dala od armii, do kraju, gdzie grasowali Kozacy i maruderzy i tak jak tamta była zatłoczona, tak ta była pusta. Jechałem z Durocem, na czele sześciu konnych. Duroc był dobrym chłopcem, z głową nabitą bzdurami, jakich uczył w St. Cyr i które więcej informują o Aleksandrze Wielkim i Pompejuszu niż o przygotowaniu mieszanki paszy dla koni lub pielęgnacji kopyt. Niemniej, jak już powiedziałem, dobry był z niego chłopak, jeszcze nie zepsuty życiem obozowym. Z przyjemnością słuchałem, jak paplał o swojej siostrze Marii i matce w Amiens. Tymczasem dojechaliśmy do wsi Hayenau. Duroc zajechał przed budynek poczty i oznajmił, że chce się widzieć z kierownikiem.

– Może mi pan powiedzieć – zapytał – czy w tej okolicy mieszka ktoś, kto przedstawia się jako baron Straubenthal?

Poczmistrz potrząsnął przecząco głową i pojechaliśmy dalej. Początkowo nie zwróciłem na to szczególnej uwagi, ale gdy mój towarzysz powtórzył to pytanie

w następnej wsi, z takim samym rezultatem, nie mogłem się oprzeć pokusie i zapytałem go, kim jest baron Straubenthal.

– To człowiek – odparł Duroc z nagłym rumieńcem na chłopięcej twarzy – któremu mam dostarczyć bardzo ważną wiadomość.

No cóż, nie było to zadowalające wyjaśnienie, lecz w zachowaniu mojego kolegi było coś, co mówiło, że dalsze drażnienie może być dla niego kłopotliwe. Dlatego milczałem, a Duroc ciągle wypytywał każdego spotkanego chłopca, jednak nikt nie mógł mu udzielić informacji o baronie Straubenthalu.

Ja ze swojej strony usiłowałem – jak każdy oficer lekkiej kawalerii – ustalić położenie i bieg strumieni, oznaczając miejsca, w których znajdują się brody. Każdy krok oddalał nas od flank obozu, do którego zdążałem. Daleko na południu, w mroźnym powietrzu unosiło się kilka pióropuszy szarego dymu, znacząc pozycje naszych placówek. Jednak na północy, między nami i zimowymi kwaterami Rosjan, nie było już nic. Dwukrotnie pochwyciłem na dalekim horyzoncie błyski stali i wskazałem je mojemu towarzyszywi, jednak były zbyt odległe, żeby określić, skąd dokładnie pochodzą, mimo to nie wątpiliśmy, że to błyszczą ostrza lanc kozackich maruderów.

O zachodzie słońca wjechaliśmy na niskie wzgórze i po prawej stronie ujrzeliśmy małą wieś, a po lewej wysoki, czarny zamek, wznoszący się ponad sosnowym lasem. Zbliżał się do nas wóz z chłopem – kudłatym, przygarbionym biedakiem w kozuchu.

– Co to za wieś? – zapytał Duroc.

– To Arensdorf – brzmiała odpowiedź udzielona w barbarzyńskim, niemieckim dialekcie.

– Zatem tutaj zatrzymam się na noc – oświadczył mój młody towarzysz.

Potem zwrócił się do chłopca, ze swoim odwiecznym pytaniem:

– Możecie mi powiedzieć, gdzie mieszka baron Straubenthal?

– Może to ten, który jest właścicielem zamku Gloom – odparł chłop, wskazując czarne wieże w odległym lesie.

Duroc wydał okrzyk, jak sportowiec, który widzi przed sobą początek rozgrywki. Wydawało się, że chłopiec stracił głowę – oczy mu błyszczały, twarz pokryła się śmiertelną błądzą, wokół ust utworzył się tak ponury grymas, że chłop z przerażeniem odskoczył w tył. Jeszcze dziś widzę, jak Duroc kładzie się na szyję kasztanka, wlepiając rozgorączkowany wzrok w wielką, czarną wieżę.

– Dlaczego nazwałeś to miejsce zamkiem Gloom? – zapytał.

– Taką nazwę dali mu nasi, tu we wsi – odparł chłop. – Z powodu tych wszystkich mrocznych rzeczy, jakie się tu wyprawiały. Od czternastu lat mieszka tam najpodlejszy człowiek w Polsce.

– Polski szlachcic? – spytałem.

– Nie, my w Polsce nie rodzimy takich.

– A więc Francuz? – podsunął Duroc.

– Powiadają, że pochodzi z Francji.

– Jest rudy?

– Rudy jak lis.

– Tak, tak, to mój człowiek! – wykrzyknął mój towarzysz, drżąc cały

z podniecenia. – Ręka Opatrzności przywiodła mnie tutaj. I kto powie, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie? Idziemy, monsieur Gerard. Wpierw muszę znaleźć dla moich ludzi bezpieczną kwaterę, potem załatwię moje prywatne sprawy.

Dał ostrogę koniowi i w dziesięć minut później staliśmy przed drzwiami gospody w Arensdorf, gdzie jego ludzie zostali zakwaterowani na noc.

No, ale to nie była moja sprawa i nie miałem najmniejszego pojęcia, co to wszystko znaczy. Rössel był jeszcze daleko, a ja byłem zdecydowany jechać dalej przez kilka godzin, aby znaleźć gdzieś po drodze stodołę i schronienie dla Rataplana i dla siebie. Po wypiciu szklanki wina wsiadłem na konia, ale Duroc wybiegł z drzwi gospody i położył mi rękę na kolanie.

– Monsieur Gerard – rzekł ciężko dysząc – błagam, niech mnie pan nie opuszcza!

– Dobry człowieku – odparłem – jeżeli mi powiesz, o co chodzi i co zamierzasz, to zdecyduję czy mogę panu towarzyszyć.

– Pan potrafi być wspaniałomyślny! – krzyknął. – Z tego, co o panu słyszałem, monsieur Gerard, wiem, że jest pan jedynym człowiekiem, którego życzyłbym sobie mieć przy sobie dzisiejszej nocy.

– Zapomina pan, że jadę, aby dołączyć do mojego pułku.

– Jednak w żadnym razie nie dołączy pan dziś w nocy. Jutro odprowadzimy pana do samego Rössel. Zostając ze mną, uczyni mi pan wielką łaskę i pomoże w sprawie, która dotyczy mojego honoru i honoru mojej rodziny. Jestem jednak zmuszony wyznać panu, że może być z tym związane pewne osobiste niebezpieczeństwo.

Był sprytny. To mi oczywiście wystarczyło. Natychmiast zeskoczyłem z konia i rozkazałem stajennemu zaprowadzić go do stajni.

– Wejdźmy do gospody – powiedziałem – i powiedz mi dokładnie, czego ode mnie chcesz.

Weszliśmy do salonu i zamknęliśmy za sobą drzwi, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Był roslym młodzieńcem i stojąc w świetle lampy, ze światłem padającym na twarz i wspaniale na nim leżący srebrno--szary mundur, czułem, że jestem mu oddany całym sercem. Nie mówiąc już, że w jego wieku byłbym zrobił to samo, było w tym dość podobieństwa, aby wzbudzić we mnie współczucie.

– Wyjaśnię to w kilku słowach – rzekł. – Jeżeli jednak nie zaspokoję pańskiej naturalnej ciekawości to dlatego, że temat jest dla mnie tak bolesny, iż z trudem mogę o nim mówić. Nie mogę jednak prosić pana o pomoc, bez wyjaśnienia, o co dokładnie chodzi. Zatem musi pan wiedzieć, że mój ojciec, Christophe Duroc, był znanym bankierem, który został zamordowany w czasie wrześnieowej masakry. Jak pan wie, tłum opanował więzienie, wybrał trzech tak zwanych sędziów, aby wydali wyrok na nieszczęsnych arystokratów; potem wywłókł ich na ulicę i rozerwał na kawałki. Mój ojciec przez całe życie wspierał biednych. Wielu też błagało o darowanie mu życia. Gorączkował wtedy i wyniesiono go półżywego na kocu. Dwóch sędziów skłonnych było uniewinnić go, lecz trzeci, młody Jakobin, który z racji potężnej budowy i władczego charakteru przewodniczył sądowi, zwłókł go własnymi rękami z noszy i zaczął kopać ciężkimi buciorami, ciskając nim przez drzwi, gdzie natychmiast jego członki zostały rozerwane w tak potworny sposób, że nie mam wprost siły tego opisywać. To, jak pan

widzi było morderstwo, nawet w tamtych czasach terroru i bezprawia, szczególnie dlatego, iż dwóch sędziów wystąpiło w obronie mojego ojca.

Kiedy wróciły czasy prawa i porządku, mój starszy brat rozpoczął śledztwo, w celu ustalenia tożsamości tego trzeciego sędziego. Wtedy byłem tylko dzieckiem, lecz była to sprawa rodzinna i omawiano ją w mojej obecności. Ustalił, że ów sędzia nazywał się Carabin, był jednym z Gwardzistów Sansterre'a i znanym pojedynkowiczem. Pewna dama z obcego kraju, baronowa Straubenthal została zawleczona przed sąd Jakobinów, ale uzyskał jej ułaskawienie, w zamian za przyrzeczenie przekazania mu pieniędzy i majątków. Poślubił ją i przejął jej nazwisko oraz tytuł, następnie uciekł z Francji w czasie upadku terroru Robespierre'a. Co się stało z nim później, tego się nie dowiedzieliśmy.

Niewątpliwie może pan sądzić, że znając jego nazwisko i tytuł, łatwo nam było go odszukać. Musi pan jednak pamiętać, że Rewolucja pozbawiła nas pieniędzy, więc poszukiwania stały się bardzo trudne.

Potem nastąpiło Cesarstwo i wtedy było jeszcze trudniej, bo jak pan z pewnością wie, Cesarz uważał, że z dniem 18. brumaire'a spłacono wszystkie rachunki i w tym dniu zapadła zasłona na przeszłość. Niemniej, nadal pielęgnowaliśmy historię naszej rodziny i nadal snuliśmy plany.

Mój brat wstąpił do wojska i przeszedł z armią całą Południową Europę, wszędzie pytając o barona Straubenthala. Minionego roku, w październiku zginął pod Jeną, nie ukończywszy swojej misji. Teraz nadeszła moja kolej. Miałem szczęście wysłuchać wiarygodnego człowieka, którego spotkałem w pierwszej polskiej wsi, jaką odwiedziłem i do której przed dwoma tygodniami wkroczył mój pułk. Potem moje poszukiwania nabrały rozpędu, bowiem znalazłem się w towarzystwie kogoś o nazwisku, którego nigdy nie wspomniano w armii, w związku z pewnym śmiałym i wielkodusznym czynem.

To wszystko było bardzo prawdziwe i wysłuchałem z wielkim zainteresowaniem, ale nie wyjaśniało, czego właściwie młody Duroc chce ode mnie.

– Jak mogę panu pomóc? – spytałem.

– Idąc ze mną.

– Do zamku?

– Dokładnie.

– Kiedy?

– Natychmiast.

– Ale co pan zamierza zrobić?

– Ja dokładnie wiem, co robić. Niemniej chcę, żeby był pan ze mną.

Nigdy nie leżało w mojej naturze unikanie przygód, a poza tym współczułem temu młodzieńcowi, dzieląc jego odczucia. Dobrze jest wybaczać wrogom, ale dobrze jest też dać im coś, aby i oni mieli okazję wybaczać. Dlatego wyciągnąłem do niego rękę.

– Jutro rano muszę ruszać w dalszą drogę do Rössel, ale dzisiejszej nocy jestem do pańskiej dyspozycji – oświadczyłem.

Pozostawiliśmy żołnierzy w ich przytulnych kwaterach i nie chcąc męczyć koni, pieszo ruszyliśmy do oddalonego o milę zamku. Mówiąc szczerze, nie lubię widoku pieszego kawalerzysty. Jest najbardziej elegancką istotą na ziemi, gdy ma siodło między

kolanami, ale najgorszym niezdara, kiedy podtrzymuje jedną ręką pochwę od szabli, bojąc się, że zahaczy o coś kółkiem od ostrogi. Duroc i ja byliśmy jeszcze w wieku, który pozwalał dobrze nosić się w każdych okolicznościach i mogę przysiąc, iż żadna kobieta nie będzie się spierać co do wyglądu dwóch młodych huzarów – jeden w błękitach, drugi w szarościach – którzy szli tej nocy z budynku poczty w Arensdorf, w kierunku ponurego zamku. Mieliśmy przy sobie szable, ja zaś wyciągnąłem pistolety z olstrów i schowałem je w pelisie, bowiem spodziewałem się, że czeka nas ciężka praca.

Szlak wiodący do zamku wił się przez czarny jak smoła las jodłowy, gdzie mogliśmy tylko od czasu do czasu widzieć nad głowami pojedyncze gwiazdy. Ostatecznie jednak drzewa się rozstały i przed nami, w odległości strzału z muszkietu, ukazał się zamek. Była to ogromna, nieforemna budowla nosząca wszystkie cechy, charakterystyczne dla wyjątkowo starego zamku, z wieżyczkami na każdym narożniku. Najbliżej nas rozciągał się podwórzec. W całym wielkim gmachu nie było widać ani jednego światła w oknach i panowała niczym nie zmacona cisza. Czulem coś dziwnego w tym ogromie i ciszy, pasujących do nazwy zamku.

Mój towarzysz nie wahał się ani chwili. Szedłem zaraz za nim, zarośniętą ścieżką wiodącą do bramy. Przy ogromnych drzwiach, nabitych żelaznymi ćwiekami, nie było dzwonka ani kołatki i mogliśmy jedynie stukać rękobjęściami szabli. Po dłuższej chwili, otworzył chudy mężczyzna o jastrzębiej twarzy, z brodą sięgającą skroni. W jednej ręce trzymał latarnię, w drugiej na łańcuchu niebywale groźnego, czarnego psa. W pierwszej chwili okazał wrogość, lecz na widok naszych mundurów i twarzy, jego zachowanie zmieniło się w niechętną rezerwę.

– Baron Straubenthal nie przyjmuje gości o tak późnej porze – oznajmił doskonałą francuszczyzną.

– Powiadom barona Straubenthala, że przebyłem osiemset mil, aby się z nim zobaczyć i nie odejdę stąd, dopóki tego nie zrobię – rzekł mój towarzysz.

Sam bym tego lepiej nie wyraził.

Mężczyzna spojrzał na nas z ukosa i zaczął z zakłopotaniem szarpać czarną brodę

– Prawdę mówiąc, panowie – rzekł – baron o tej porze wypija kilka szklaneczek wina i z pewnością zastaniecie go w lepszej formie, jeżeli wróćcie tu rano.

Mówiąc to uchylił bardziej drzwi i w świetle lampy ujrzałem za nim w hallu trzech osiłków, a jeden z nich trzymał na łańcuchu drugiego, groźnego psa. Duroc musiał to też zauważyć, ale nie zmienił decyzji.

– Dość gadania – rzucił, odsuwając mężczyznę na bok. – To z twoim panem mam interes, nie z tobą.

Osiłki w hallu ustąpiły mu z drogi, gdy wszedł między nich – tak wielka jest władza człowieka, który wie czego chce, nad tymi, którzy nie są pewni siebie.

Mój towarzysz klepnął jednego z nich w ramię, tak bezceremonialnie, jakby był jego panem.

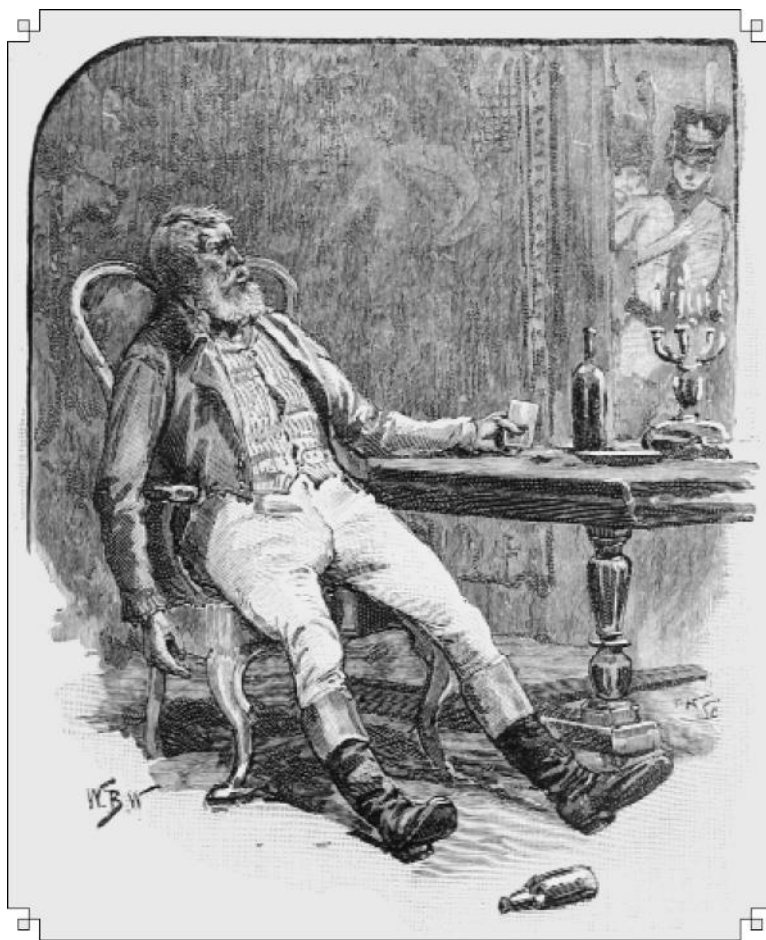
– Prowadź do barona! – rozkazał.

Mężczyzna wzruszył ramionami i odpowiedział coś po polsku. Ten z czarną brodą zamknął i zaryglował drzwi. Tylko on mówił po francusku.

– No to niech pan idzie – rzekł ze złowieszczym uśmiechem – i zobaczy się

z baronem. Ale zanim pan z nim skończy, może zechce pan skorzystać z mojej rady.

Poszliśmy za nim przez hall. Była to obszerna, wyłożona kamiennymi płytami sala, ze skórą na posadzce i głowami dzikich zwierząt na ścianach. Weszliśmy w otwarte drzwi, mieszczące się na końcu hallu i znaleźliśmy się w niewielkim, skromnie umeblowanym pokoju, z podobnymi śladami zaniedbania i zniszczenia, na jakie napotykalismy na każdym kroku. Na ścianach luźno zwisały wypłowiałe gobeliny, odsłaniając w rogach surowe, kamienne ściany. Po drugiej stronie pokoju znajdowały się drzwi, przesłonięte kotarą. Na środku stał kwadratowy stół, ze stosami brudnych naczyń i obrzydliwymi resztkami jedzenia. Między nimi leżało kilka butelek. Na szczycie stołu, frontem do nas siedział masywny mężczyzna z lwią głową i burzą włosów koloru pomarańczowego. Jego splątana broda miała tę samą barwę co grzywa. Widziałem już w życiu różne dziwne twarze, ale nigdy tak brzydkiej jak ta, z małymi, nienawistnymi, niebieskimi oczkami, białymi, pomarszczonymi policzkami i grubą, zwisającą na brodę dolną wargą. Jego głowa była wciśnięta między ramiona. Patrzył na nas błędnym, mętным wzrokiem pijaka. Jednak nie był tak pijany, żeby nie rozpoznać naszych mundurów.



Frontem do nas siedział masywny mężczyzna

– No cóż, moi dzielni chłopcy – wybełkotał między czkawkami. – Jakie są najnowsze wieści z Paryża... he? Słyszałem, że gdy tylko zjawiliście się w wolnej Polsce, zaraz wszyscy stali się waszymi niewolnikami... niewolnikami tego małego arystokraty w szarym płaszczu i trójgraniastym kapeluszu. Już nie ma obywateli... tylko sami monsieur i madame. Na Boga, powinno jeszcze spaść w trociny kosza kilka głów!

Duroc w milczeniu zbliżył się i stanął obok tego zbója.

– Jean Carabin – rzekł.

Baron wyprostował się i odniosłem wrażenie, że jakoś minęło mu pijackie zamglenie oczu.

– Jean Carabin – powtórzył Duroc.

Baron zacisnął dłonie na oparciach fotela.

– Co ma znaczyć to ciągle powtarzanie tego nazwiska, młodzieńcze? – zapytał.

– Jean Carabin, to człowiek, którego długo szukałem.

– Powiedzmy, że kiedyś się tak nazywałem, ale co to ma z panem wspólnego, bowiem kiedy je nosiłem był pan jeszcze dzieckiem.

– Nazywam się Duroc.

– Chyba nie jest pan synem...?

– Synem człowieka, którego pan zamordował.

Baron próbował się roześmiać, ale w jego oczach błysnęła groza.

– Puśćmy w niepamięć to, co minęło, młodzieńcze! – wykrzyknął. – Żyliśmy w innych czasach, kiedy ludzie występowali przeciwko arystokratom. Pański ojciec był Żyryndystą i został stracony. Ja byłem górą. Wielu moich towarzyszy stracono. Ślepe losy wojny. Musimy o tym zapomnieć i nauczyć się lepiej rozumieć wzajemnie – ty i ja.

Mówiąc to wyciągnął czerwoną, drżącą rękę.

– Dostyc! – rzucił młody Duroc. – Powiniennem cię cię szablą, tak jak tu siedzisz, w tym fotelu. Byłoby to właściwe i sprawiedliwe. Zhańbiłbym jednak klingę mojej szabli, krzyżując ją z twoją. Ale jesteś Francuzem i nawet służyłeś pod tą samą flagą co ja, zatem wstawaj i broń się!

– No, no! – krzyknął baron. – Ostudź swoją gorącą krew, młodzieńcze!

Cierpliwość Duroca wyczerpała się. Otwartą dłonią zadał cios w sam środek pomarańczowej brody. Zobaczyłem, jak warga barona spływa krwią i zauważyłem błysk w oczach tego zbója.

– Czeka cię za to śmierć!

– No, tak już lepiej – stwierdził Duroc.

– Moja szabla! – krzyknął baron – Nie będę ci kazał czekać, to ci mogę przyrzec! – krzyknął i wybiegł z pokoju.

Mówiłem, że za kotarą kryły się drugie drzwi. Ledwo baron zniknął, ukazała się piękna, młoda kobieta. Stała przy nas tak szybko i bezszelestnie, że zasłona tylko drgnęła, mówiąc nam skąd przybyła.

– Wszystko widziałam! – krzyknęła. – Och, panie, byłeś doprawdy wspaniały!

Chwyciła rękę Duroca i zanim zdążył ją wyrwać, zaczęła ją okrywać pocałunkami

– Nie... nie, dlaczego pani całuje moją rękę? – pytał zdumiony.

– Ponieważ tą ręką uderzył go pan w te jego obrzydliwe usta. Ponieważ ta ręka

zemści się za moją matkę. Jestem jego pasierbicą. Kobieta, której złamał serce była moją matką. Nienawidzę go, boję się go. Ach, to jego kroki! – Natychmiast tak szybko zniknęła, jak się zjawiała.

W chwilę później baron wszedł z nagą szablą w ręce, w towarzystwie mężczyzny, który nas wpuścił.

– To mój sekretarz – rzekł. – Będzie mi towarzyszył, ale musimy przejść do pomieszczenia, które da nam większe pole manewru. Jeżeli będzie pan tak łaskaw, to udamy się do większego pokoju.

W pokoju, zastawionym dużym stołem nie można było swobodnie walczyć. Dlatego poszliśmy za nim do słabo oświetlonego hallu. Na odległym końcu, przez otwarte drzwi wpadało jasne światło.

– Tam będziecie mieli wszystko, co potrzebne – oświadczył mężczyzna z czarną brodą.

Był to duży, pusty pokój, z rzędami beczek i skrzynek pod ścianami. Na półce, w rogu stała lampa. Podłoga była równa i twarda – prawdziwy szermierz nie mógł więcej żądać. Duroc wyciągnął szablę i skoczył na środek sali. Baron cofnął się i skłonił, dając znak, żebym podążył za moim towarzyszem.

Ledwo przekroczyłem próg, ciężkie drzwi z trzaskiem zatrzęsły się za nami i w zamku zgrzytnął klucz. Znaleźliśmy się w pułapce.

Przez moment nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Tak niewiarygodna podłość przeszła nasze wszelkie wyobrażenia. Potem, gdy zrozumieliśmy naszą bezbrzeżną głupotę, ufając przez moment człowiekowi o tak nikczemnej przeszłości, ogarnęła nas wściekłość; wściekłość na jego podłość i na naszą głupotę. Podbiegliśmy do drzwi i zaczęliśmy walić pięściami i kopać ciężkimi butami. Dźwięki naszych krzyków i uderzeń musiały się rozchodzić po całym zamku. Wymyślaliśmy temu łotrowi, ciskaliśmy na niego wszelkie możliwe wyzwiska, które mogły przeniknąć nawet do jego zatwardziałej duszy. Lecz drzwi były masywne – takie, jakie można było znaleźć w średniowiecznych zamkach – wykonane z grubych bali połączonych żelaznymi klamrami. Było je tak trudno sforsować, jak czworobok Starej Gwardii. Nasze krzyki okazały się tak samo mało skuteczne, jak usiłowanie wyłamania drzwi, wywołując jedynie echo odbijające się od leżącej wysoko nad nami powały. Jeżeli jesteś dość długo żołnierzem, możesz szybko ocenić, czego nie możesz zmienić. Tak więc i ja szybko odzyskałem spokój i namówiłem Duroca, aby zaczął razem ze mną badać salę, która stała się naszym więzieniem.

Było tam tylko jedno okno, pozbawione szyby i tak wąskie, że można było wytknąć przez nie tylko głowę. Położone było tak wysoko, że Duroc musiał stanąć na beczce, żeby przez nie wyrzeć.

– Co pan tam widzi? – spytałem.

– Las jodłowy i przecinającą go zaśnieżoną aleję – odparł. – Ach! – wydał okrzyk zdziwienia.

Wskoczyłem na beczkę, tuż obok niego. Tak jak powiedział, widać było długi pas śniegu. Jechał nim jakiś człowiek, chłuszcząc konia i galopując jak szalenciec. Powoli stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż w końcu pochłonęły go czarne cienie lasu.

– Co to znaczy? – zapytał Duroc.

– Dla nas nic dobrego – odparłem. – Może popędził po jakichś zbójów, żeby poderżnęli nam gardła. Musimy poszukać sposobu wyjścia z tej pułapki na myszy, zanim zjawi się kot.

Mieliśmy chociaż to szczęście, że w sali znajdowała się dobra lampa. Była prawie pełna nafty i byliśmy pewni, że starczy jej do rana. W ciemności nasza sytuacja byłaby niepomiaralnie trudniejsza. Przy jej świetle kontynuowaliśmy badanie paczek i skrzynek, złożonych pod ścianami. W niektórych miejscach leżały tylko w pojedynczych rzędach, w jednym rogu piętrzyły się niemal do sufitu. Wydawało się, że znajdujemy się w zamkowym magazynie. Było tu dużo sera, warzywa, różnego rodzaju kosze, pełne suszonych owoców i rzędy baryłek z winem. W jednej tkwił czop, a ja tego dnia niewiele jadłem, dlatego skusiłem się na kubek Bordeaux i trochę jedzenia. Natomiast Duroc nie skorzystał z okazji, tylko rozgorączkowany niecierpliwie krążył po sali.

– Jeszcze go dostanę! – krzyczał co chwilę. – Ten zbir nie umknie mi!

Wszystko pięknie, ładnie, ale siedząc na beczce i racząc się serem na kolację, pomyślałem, że tego młodzieńca za bardzo obchodzą sprawy rodzinne, a za mało tarapaty, w jakich ja się znalazłem za jego przyczyną. Poza tym, jego ojciec nie żyje już od czternastu lat i nic już tego nie zmieni, a tu siedzi porucznik z największą dozą fantazji w całej Wielkiej Armii, bliski końca obiecującej, błyskotliwej kariery. Kto mógł wiedzieć, jak wysoko mógłbym zejść, gdybym nie znalazł się w tej podłej dziurze, w związku ze sprawą niemającą nic wspólnego z Cesarzem i Francją?

Nie mogłem się oprzeć myśli, że byłem potwornym głupcem, mając przed sobą możliwość udziału w prawdziwej wojnie i wszystko to, czego mógł pragnąć prawdziwy mężczyzna, a zamiast tego zaangażowałem się w kretyńską wyprawę, jakby nie istniało ćwierć miliona Rosjan, z którymi powinienem walczyć, nie mieszając się w czyjeś prywatne waśnie.

– To wszystko bardzo pięknie – powiedziałem w końcu, słysząc jak Duroc mruczy pod nosem pogrożki. – Może pan zrobić z nim co chce, gdy będziesz miał nad nim przewagę, ale obecnie istnieje pytanie, co on zamierza zrobić z nami?

– Niech sobie robi co chce! – wykrzyknął chłopak. – Ja jestem to winien mojemu ojcu!

– To zwykła głupota – stwierdziłem. – Jeżeli ty jesteś to winien swojemu ojcu, to ja jestem winien mojej matce, żeby załatwić tę sprawę bezpiecznie i bez szkody dla mnie.

Moja uwaga sprowadziła go na ziemię.

– Tak, ma pan rację, za dużo myślałem o sobie! – zawołał. – Wybacz mi, monsieur Gerard. Poradz, co powinienem zrobić?

– Dobrze – odparłem. – Nie dla naszego zdrowia zamknęli nas pośród tych serów i wykończą nas, gdy tylko będą mieli dość sił i środków. To pewne. Mają nadzieję, że nikt nie wie, iż tu jesteśmy i że nikt się tu nie zjawi, gdybyśmy długo przebywali w tym pokoju zamknięci. Czy twoi huzarzy wiedzą dokąd poszedłeś?

– Nic im nie mówiłem.

– Hm...! Najwyraźniej nie zamierzali zagłodzić nas na śmierć. Jeżeli zechcą nas zabić, będą musieli tu wejść. Zza barykady z beczek możemy odpierać ataki pięciu

zbirów. Zapewne dlatego wysłali gońca, żeby sprowadził pomoc.

– Musimy się stąd wydostać, zanim wróci.

– Dokładnie. Jeżeli w ogóle mamy stąd wyjść cało.

– Może podpalimy te drzwi? – krzyknął.

– Nic łatwiejszego – odpowiedziałem. – Tam w rogu stoi kilka beczek z naftą.

Obawiam się jednak, że możemy się przy tym upiec jak dwa paszteciki.

– Może zasugeruje pan coś innego? – podsunąłem z rozpaczą. – Ach, co to jest?

Zza okna dobiegł cichy dźwięk i jakiś cień zasłonił gwiazdy. W świetle lampy zajaśniała drobna, biała rączka trzymająca w palcach coś błyszczącego.

– Szybko! Szybko! – krzyknął kobiecy głos.

Natychmiast wskoczyliśmy na beczkę.

– Posłali po Kozaków. Stawką jest wasze życie. Ach, jestem zgubiona! Jestem zgubiona!

Potem usłyszeliśmy spieszne kroki, zdławione przekleństwo, uderzenie i znowu zobaczyliśmy w oknie migoczące gwiazdy. Staliśmy na beczce bezsilni i sparaliżowani grozą. Pół minuty później dobiegł nas zdławiony krzyk, zakończony zduszonym charkotem. Gdzieś w ciszy nocnej trzasnęły ciężkie drzwi.

– Złapały ją te zbroje. Zabijają ją! – krzyknąłem.

Duroc zeskoczył, krzycząc coś niezrozumiale, jakby stracił rozum. Zaczął tak wściekle walić w drzwi, że jego pięści za każdym uderzeniem zostawiały krwawe ślady.

– Tu jest klucz! – krzyknąłem podnosząc go z podłogi. – Pewnie wrzuciła go przez okno, zanim ją ściągnęli.

Mój towarzysz, z okrzykiem radości wyrwał mi klucz z ręki. Chwilę później zaczął szukać dziurki od klucza w masywnych drzwiach, jednak klucz był tak mały, że niemal zniknął w ogromnym otworze. Duroc osunął się na jakąś skrzynkę, z głową ukrytą w dłoniach i zaczął szlochać z rozpaczą. Ja też zapłakałem nad losem tej młodej kobiety, której nie byłem w stanie pomóc.

Jednak nie tak łatwo wyprowadzić mnie z równowagi. Poza tym, klucz z pewnością został nam przekazany w jakimś celu. Dziewczyna nie mogła dostarczyć nam klucza do głównych drzwi, ponieważ jej zbrodniczy ojczym z pewnością trzymał go w kieszeni. Ale ten klucz musiał przecież coś znaczyć, dlaczego bowiem ryzykowałaby życiem, aby go nam wrzucić? Jeżeli tego nie odkryjemy, to nie będzie miał dla nas żadnego znaczenia.

Skoczyłem, aby poprzeglądać zgromadzone pod ścianami skrzynki; Duroc napędzany nową nadzieją, pomagał mi z całych sił. Nie było to łatwe zadanie, ponieważ wiele skrzynek było dużych i ciężkich. Pracowaliśmy jak szaleni, ciskając na boki beczki, sery i skrzynki, zwalając je bezładnie na środku sali. W końcu została w kącie tylko jedna, duża beczka z wódką. Wspólnymi siłami odsunęliśmy ją od ściany i nagle ukazały się niskie, drewniane drzwi. Klucz pasował i z okrzykiem radości ujrzeliśmy, jak drzwi otwierają się przed nami.

Z lampą w ręku wcisnąłem się w nie, za moim towarzyszem. Znaleźliśmy się w zamkowym magazynie prochu – w surowej, murowanej piwnicy zapchanej baryłkami, z jedną na szczycie stosu zgromadzonego na środku. Wysypał się z niej proch i leżał czarną kupką na posadzce. Z tyłu znajdowały się następne drzwi, ale były zamknięte na

klucz.

– Nie jesteśmy w lepszej sytuacji niż poprzednio – zauważył Duroc. – Nie mamy klucza.

– Mamy ich tuzin! – krzyknąłem.

– Gdzie?

Wskazałem rząd beczek z prochem.

– Chce pan otworzyć te drzwi, wysadzając je prochem?

– Oczywiście.

– Ale może też wylecieć w powietrze cały magazyn!

To prawda, jednak miałem jeszcze coś innego w zanadru.

– Możemy wysadzić drzwi magazynu z żywnością! – wykrzyknąłem.

Pobiegłem z powrotem i chwyciłem cynową puszkę na świecę. Miała wielkość mojej futrzanej czapy – wystarczającą, by pomieścić kilka funtów prochu. Duroc napełnił ją, a ja skróciłem świecę. Kiedy skończyłem, to nawet pułkownik saperów byłby zachwycony wykonaną petardą. Potem położyłem trzy pudła z serami, a następnie zapaliłem świecę i ukryłem się za zamkniętymi drzwiami magazynu prochu.

Nie było mi bynajmniej do śmiechu, moi przyjaciele, gdy siedziałem wśród ton zgromadzonego prochu wiedząc, iż jeżeli płomień eksplozji przebije się przez cienkie drzwi, to nasze szerniałe członki wystrzelą wyżej niż wieże zamku. Kto uwierzy, że tak długo może się palić ogarek świecy? Cały czas nadstawiałem uszu, aby dosłyszeć zbliżanie się koni Kozaków, którzy przybywają, aby nas zgładzić. Już byłem przygotowany na to, że świeca się dopala, gdy nagle rozległ się huk, jakby eksplodowała bomba; drzwi rozleciały się i spadły na nas kawałki sera razem z deszczem rzepy, jabłek i rozbitych skrzynek. Kiedy wybiegliśmy z drzwi magazynu prochu, musieliśmy się przebić przez gęsty dym, wszelkiego rodzaju odpadki, aż do płonącego prostokąta, gdzie dotąd tkwiły masywne drzwi. Petarda wykonała swoje zadanie.

W istocie zrobiła nawet więcej, niż się po niej spodziewaliśmy nawet w najśmielszych przewidywaniach. Zniszczyła w równym stopniu więzienie, co i więźniów. Pierwsze, co się nam rzuciło w oczy po wyjściu do hallu, to leżący na wznak człowiek z rzeźnickim toporem w ręce i ogromną krwawą raną na czole. Drugim – był wijący się w agonii na podłodze pies z połamanymi łapami. W tym momencie usłyszałem krzyk i zobaczyłem Duroca przy ścianie z drugim psem, który próbował zacisnąć zęby na jego gardle. Lewą ręką odpychał go, prawą tnąc szablą, ale dopiero mnie udało się strzelić psu w głowę.

Nie mieliśmy czasu na chwilę odpoczynku. Krzyk kobiety – kobiety śmiertelnie przerażonej – dał nam znać, że nawet teraz może być już za późno. W hallu było jeszcze dwóch mężczyzn, lecz oni ukryli się przed naszymi szablami i wściekłymi twarzami. Z szyi Duroca spływały krople krwi, barwiąc szare futro pelisy. Jednak taki gorzał w nim ogień, że skoczył przede mną i mogłem tylko przez jego ramię zobaczyć fragment sceny rozgrywającej się w pokoju, gdzie po raz pierwszy zetknęliśmy się z panem na zamku Gloom.

Baron stał na środku pokoju, jego zmierzwiłone włosy przypominały nastroszoną grzywę wściekłego lwa. Jak już wspomniałem, był człowiekiem masywnej budowy,

o szerokich ramionach i gdy tak stał z twarzą purpurową z wściekłości i wyciągniętą szablą, nie mogłem się oprzeć myśli, że mimo wszystkich łajdactw, sylwetką doskonale pasowałby do grenadierów. Kobieta kuliła się na fotelu przed nim. Pręga biegnąca przez białe ramię i pejcz leżący na podłodze wystarczyły, żeby nam powiedzieć, iż wydostaliśmy się z pułapki w porę, aby wyrwać ją z łap tego brutala. Gdy wpadliśmy do pokoju, zawył jak wilk i natychmiast rzucił się na nas, tnąc i dźgając szablą, za każdym ciosem dziko klnąc.

Mówiłem już, że ten pokój był za mały, żeby dać pole swobodnej walce na szable. Przede mną znajdował się mój towarzysz, w wąskim przejściu między ścianą i stołem, więc mogłem się tylko przyglądać, nie mogąc mu pomóc.

Chłopiec znał się na szabli i był tak zawzięty i zręczny jak dziki kot, ale w tej małej przestrzeni waga i siła olbrzyma dawała przewagę baronowi. Poza tym, był doskonałym szermierzem. Jego parady i riposty były tak szybkie jak błyskawice. Dwukrotnie trafił Duroca w ramię, a potem, gdy chłopiec rzucił się naprzód, zadał cios szablą, chcąc go ostatecznie wykończyć, zanim odzyska równowagę. Jednak ja byłem szybszy i odparowałem cios moją szablą.

– Proszę wybaczyć – rzuciłem – lecz ma pan jeszcze do czynienia z Etienne’em Gerardem.

Odskoczył do tyłu i ciężko dysząc oparł się o gobelin okrywający ścianę.

– Zaczepnij pan tchu – powiedziałem łaskawie – ja mogę poczekać.

– Nie masz powodu walczyć ze mną – wydyszał.

– Niestety, muszę jednak poświęcić panu nieco uwagi – stwierdziłem – za to, że uwięził mnie pan w magazynie. Poza tym mam dostateczny powód za pręgę na ramieniu tej damy.

– Zatem stawaj! – warknął i skoczył na mnie jak szaleniec. Przez moment widziałem tylko płonące oczy i czerwony, błyszczący koniec kłującej i siekającej na prawo i lewo szabli – a jednak zawsze omijającej moje gardło i piersi. Nigdy nie sądziłem, że w Paryżu za czasów Robespierre’a mógł być tak sprawny szermierz. W całym moim życiu szermierza nie spotkałem sześciu ludzi, którzy znaliby się lepiej na władaniu szablą. Lecz i on wiedział, że ma do czynienia z mistrzem. Rumieniec spelzł z jego twarzy, oddech stał się krótszy i przerywany. Ale walczył, nawet po ostatecznym ciosie, umierając ciągle zadawał ciosy i przeklinał z charczącym krzykiem na ustach i krwią zalewającą jego pomarańczową brodę. Ja, który teraz mówię do was, widziałem tak wiele bitew, że obecnie moja stara pamięć ledwo może pomieścić ich nazwy, a jednak wszystko co widziały moje oczy, nie dorównywało grozie widoku tej pomarańczowej brody zalanej krwią, tryskającą z rany od ciosu mojej szabli.

Dopiero później mogłem się nad tym spokojniej zastanowić. Jego monstrualne cielsko z łoskotem runęło na podłogę przed kobietą, która skoczyła do rogu klaszcząc w ręce z okrzykiem radości. Jeżeli o mnie chodzi, byłem zdegustowany widokiem kobiety przyjmującej z takim zachwytem krwawy czyn i pomyślałem, jak bardzo musiała tu cierpieć, by utracić całą wrażliwość i delikatność swojej płci. Już miałem na końcu języka rozkaz, żeby siedziała cicho, gdy do moich nozdrzy dotarł dziwny zapach i postacie na draperiach zaczął spowijać żółty płomień.

– Duroc! Duroc! – krzyknąłem, szarpiąc chłopca za ramię. – Zamek się pali!

Duroc leżał nieprzytomny, wyczerpany od ran. Wybiegłem do hallu, żeby zobaczyć skąd nadciąga niebezpieczeństwo. Nasza eksplozja zapaliła suche drewno framugi drzwi. W magazynie płonęły już niektóre skrzynki i kiedy zajrzałem do środka, krew mi się ścięła w żyłach na widok baryłek z prochem i prochu leżącego luzem na posadzce. Mogły to być sekundy – najwyżej minuty – zanim płomienie tam dotrą. Te oczy, przyjaciele, mogły zamknąć się na wieki, zanim zobaczą, jak pełznąca linia ognia połączy się z czarną kupką prochu.



Zobaczyłem strzelający w zimowe niebo słup ognia

Nie pamiętam, co się później wydarzyło. Mętnie przypominam sobie, jak poszedłem do pokoju śmierci, chwyciłem Duroca pod pachę i wyprowadziłem go do hallu.

Za bramą ruszyliśmy tak szybko, jak tylko mogliśmy, zaśnieżoną ścieżką, aż dotarliśmy na skraj jodłowego lasu. W tym momencie usłyszeliśmy głośny trzask i kiedy się obejrzałem, zobaczyłem strzelający w zimowe niebo słup ognia. W chwilę później rozległ się drugi trzask, dużo głośniejszy. Zobaczyłem, jak wokół mnie wirują drzewa i gwiazdy, po czym padłem nieprzytomny na ciało mojego towarzysza.

Po kilku tygodniach od odzyskania zmysłów, na poczcie w Arensdorf mogłem opowiedzieć o wszystkim, co mi się przydarzyło. Duroc wrócił już do służby i czuwał przy moim łóżku, zdając relacje z ostatnich wydarzeń. To on powiedział mi, jak kawałek drewna uderzył mnie w głowę i padłem niemal martwy na ziemię. Od niego też dowiedziałem się, że ta polska dziewczyna pobiegła do Arensdorf, zbudziła naszych huzarów i ściągnęła ich do nas, w samą porę, aby ocalić nas od lanc Kozaków, którzy zostali wezwani ze swoich biwaków przez sekretarza barona, tego z czarną brodą, którego widzieliśmy galopującego na śniegu. Jeżeli chodzi o tę dzielną dziewczynę, która dwukrotnie ocaliła nam życie, to nie udało mi się wiele od Duroca dowiedzieć, ale gdy dwa lata później spotkałem go w Paryżu po kampanii pod Wagram, nie byłem szczególnie zaskoczony, iż nie muszę być przedstawiany jego narzeczonej. Sam wybrał sobie nazwisko i tytuł barona Straubenthala – co czyniło go właścicielem szerniałych ruin zamku Gloom...

1 Pruska Hława, dzisiejszy Bagrationowsk w Obwodzie Kaliningradzkim. Bitwa została stoczona w lutym 1807. W czasie bitwy miała miejsce jedna z największych szarż kawalerii w historii wojen. Zakończyła się odwrotem wojsk rosyjsko--pruskich (wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumacza).

2 Obecnie Kwidzyń

3 Obecnie Prabuty

4 Dzisiejszy Reszel

5 Posępny (ang.).

II. Jak brygadier uśmiercił „Braci Ajaccio”

Kiedy Cesarz potrzebował kogoś zaufanego, wtedy zawsze czynił mi ten zaszczyt i przypominał sobie o istnieniu Etienne’a Gerarda, chociaż czasem pamięć go zawodziła, gdy nadchodziła pora rozdzielania nagród za oddane mu przysługi. Mimo to, w wieku dwudziestu ośmiu lat zostałem pułkownikiem, a dowódcą brygady mając lat trzydzieści jeden – zatem nie mogę się skarżyć na rozwój mojej kariery. Gdyby wojna przeciągnęła się jeszcze o dwa, trzy lata, może doczekałbym się buławy marszałkowskiej, a potem to już krok do tronu. Murat zamienił czapkę huzara na koronę i to samo mógł zrobić kawalerzysta.

Jednak te wszystkie marzenia zostały zniweczone bitwą pod Waterloo i chociaż moje nazwisko nie zapisało się na kartach historii, to jest wystarczająco dobrze znane tym wszystkim, którzy służyli ze mną pod Cesarzem, w tej wielkiej wojnie.

A zatem, dziś wieczorem opowiem wam o wyjątkowym wydarzeniu, które zapoczątkowało moją błyskotliwą i szybką karierę, a które stało się też przyczyną moich, w pewnym sensie zażyłych stosunków z samym Cesarzem.

Lecz zanim zacznę, muszę was ostrzec! Kiedy słuchacie moich słów, nie możecie zapominać, że słuchacie kogoś, kto widział historię własnymi oczami. Opowiadam o tym, co słyszałem na własne uszy i widziałem na własne oczy, zatem nie próbujcie mnie poprawiać, przytaczając opinie jakiegoś uczonego lub człowieka pióra, którzy napisali książkę historyczną czy wspomnienia. Ci ludzie, o mnóstwie rzeczy nie mają pojęcia i o wielu z nich świat nigdy się nie dowie.

Jeśli o mnie chodzi, to gdybym nie musiał zachować dyskrecji, mógłbym wam opowiedzieć o wielu sprawach, które by was zaskoczyły.

Fakty, które chcę wam przekazać dzisiejszego wieczoru, były trzymane w tajemnicy za życia Cesarza, ponieważ dałem mu słowo, że nie wyrządę szkody, wspominając o moim znaczącym w nich udziale.

Musicie wiedzieć, że w czasie podpisywania traktatu w Tylży, byłem zwykłym porucznikiem dziesiątego pułku huzarów, bez pieniędzy i dochodów. Natomiast prawdą jest, że prezencja i waleczność działały na moją korzyść i że zdobyłem już reputację jednego z najlepszych szermierzy w armii, jednak wśród mnóstwa ludzi otaczających Cesarza, do zapewnienia sobie szybkiej kariery trzeba było czegoś więcej. Byłem jednak pewny, że nadejdzie też i moja szansa, choć nigdy nawet nie śniłem, że przybierze tak niezwykłą postać.

Kiedy Cesarz wrócił do Paryża, po zawarciu pokoju w 1807 roku, spędzał dużo czasu z cesarzową, w pałacu Fontainebleau. W tym okresie znajdował się u szczytu sławy – odbył trzy kolejne kampanie, upokarzając Austrię, miażdżąc Prusy i spychając Rosję za Niemen. Chociaż stary buldog zza Kanału ciągle warczał, jednak nie miał dość odwagi, aby oddalać się zbyt od swojej budy. Gdybyśmy wtedy mogli zawrzeć trwały pokój, Francja byłaby tak wielka, jak żadne inne państwo od czasów rzymskich. Tak przynajmniej słyszałem z ust mądrych ludzi, chociaż jeśli o mnie chodzi, miałem głowę zaprzątniętą innymi sprawami.

Wszystkie dziewczęta chciały na gwałt zobaczyć żołnierzy wracających po długiej nieobecności i możecie być pewni, że nie przepuszczałem żadnej nadarzającej się z tego powodu okazji. Możecie sami ocenić, na ile w tamtych czasach byłem ulubieńcem, gdy powiem, że nawet teraz – mając ponad sześćdziesiąt lat... ale po co rozpamiętywać to, co już dostatecznie jest wszystkim znane?

Nasz pułk huzarów kwaterował, razem z końmi strzelców gwardii, w Fontainebleau. Jak wiecie, jest to mała miejscowość ukryta w lasach i w dawnych czasach cieszyła się ogromną popularnością wśród wielkich książąt, elektorów i księżniczek, którzy tłumnie do niej zjeżdżali, tłocząc się wokół Napoleona niczym marionetki wokół swojego mistrza – każdy z nadzieją, że rzuci im w swej łaskawości jakiś ochłap. Na ulicach słychać było więcej Niemców niż Francuzów, a wszyscy, którzy pomogli nam w ostatniej wojnie, przybyli tu po nagrodę, natomiast ci, którzy stali po przeciwnej stronie, po łaskę i uniknięcie kary.

Nasz mały Cesarz, cały czas z bladą twarzą i zimnymi szarymi, oczami, każdego ranka jechał na polowanie, milczący i zasępiony, a za nim ciągnął korowód z nadzieją, że wymknie mu się jakieś słowo.

A kiedy był w dobrym nastroju, rzucał któremuś z towarzyszących mu ludzi sto mil kwadratowych, które odebrał innemu, przesuwając jakieś królestwo za rzekę, albo ciął inne, zabierając mu górski łańcuch.

W taki oto sposób prowadził swoje interesy ten mały artylerzysta, który wzniósł się na szczyt na naszych szablach i bagnietach.

Zawsze był dla nas bardzo uprzejmy, wiedział bowiem, skąd pochodzi jego potęga. My też wiedzieliśmy i pokazywaliśmy to naszym zachowaniem. Wszyscy byliśmy zgodni, że był najlepszym wodzem na świecie – no, rozumiecie! – ale też nie zapominaliśmy, że dowodził najlepszymi ludźmi!

Pewnego dnia, siedziałem w swojej kwaterze, grając w karty z młodym Moratem z konnych strzelców, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Lasalle, który był naszym pułkownikiem. Wiecie, jak dumny był człowiekiem i jak doskonale leżał na nim błękitny mundur dziesiątego pułku. Możecie mi wierzyć albo nie, ale my młodzi byliśmy tak za nim, że wszyscy, czy lubiliśmy to czy nie, zakładaliśmy się, graliśmy w kości lub piliśmy, aby tylko upodobnić się do naszego pułkownika. Nie zapominaliśmy jednak, że Cesarz nie mianował go dowódcą lekkiej kawalerii dlatego, że właśnie pił, uprawiał hazard, robił zakłady, ale dlatego, że lepiej od innych w całej armii potrafił ocenić siły nieprzyjaciela, rozlokowanie jego pozycji i najtrafniej decydował, kiedy rzucić piechotę do ataku, albo wysunąć do przodu armaty. Byliśmy zbyt młodzi, aby to wszystko rozumieć, zatem woskowaliśmy wąsy, pobrzękiwaliśmy ostrogami i włóczyliśmy pochwy szabli po bruku w nadziei, że upodobnimy się do Lasalle'a.

Kiedy z brzękiem szabli wszedł do pokoju, ja i Morat zerwaliśmy się na równe nogi.

– Mój synu – rzekł, klepiąc mnie w ramię – Cesarz chce widzieć ciebie o czwartej po południu.

Po tych słowach pokój zawirował mi w oczach i musiałem się wesprzeć na brzegu stolika do gry.

– Co?! – wykrzyknąłem. – Cesarz?

– Dokładnie – odparł Lasalle, śmiejąc się z mojego zdumienia.

– Ależ Cesarz nie ma pojęcia o moim istnieniu, pułkowniku – zaprotestowałem.

– Dlaczego akurat posyła po mnie?

– No cóż, dla mnie to też jest zagadkowe! – zawołał Lasalle, podkreślając wąsa.

– Jeżeli chce pomocy dobrej szabli, to dlaczego zniża się do wezwania jednego z moich poruczników, kiedy mógł znaleźć wszystko co potrzebował w dowództwie pułku? Jednak – dodał znowu, klepiąc mnie w ramię w sposób wyrażający sympatię – każdy człowiek ma prawo otrzymać swoją szansę. Gdybym nie otrzymał swojej, to czy byłbym pułkownikiem dziesiątki? Nie zazdroszczę ci twojej, synu. A więc naprzód, mój chłopcze, zrób pierwszy krok do zamiany czaka na koguci kapelusz!

Była dopiero druga, więc zostawił mnie obiecując, że wróci i będzie mi towarzyszył w drodze do pałacu. Czas włókł się nieznośnie i ile to snułem przypuszczeń na temat tego, co Cesarz może chcieć ode mnie. Krążyłem po moim małym pokoiku, w gorączce domysłów.

Może doszły do niego słuchy o wziętych przez nas armatach pod Austerlitz, chociaż minęły już dwa lata od tej bitwy? A poza tym, tylu innych wzięło w tym udział! A może chciał mnie wynagrodzić za to, co zrobiłem adiutantowi rosyjskiego cara? W tym momencie jednak przeniknął mnie lodowaty dreszcz na myśl, że może posyła po mnie, aby udzielić mi nagany. Może chodzi tu o kilka tych pojedynków, które mu się nie podobają, a które należą do tych zabaw, jakie często mają miejsce w Paryżu, od czasu zawarcia pokoju?

Lecz nie! Biorąc pod uwagę słowa Lasalle'a: „Jeżeli chce pomocy dobrej szabli...”

Jasne, że mój pułkownik ma jakieś pojęcie skąd wieje wiatr, gdyby nie miał i nie wiedział, że mogę na tym skorzystać, nie byłby tak okrutny, aby mi gratulować. Wraz z umacnianiem się tego przeświadczenia, serce rosło mi w piersi z radości i usiadłem, żeby napisać list do matki, że Cesarz właśnie zaprosił mnie do siebie, aby usłyszeć moją opinię w ważnej sprawie. Pisząc, uśmiechałem się na myśl, że ta – dla mnie cudowna – wiadomość prawdopodobnie potwierdzi tylko opinię mojej matki o tym, że Cesarz jest człowiekiem rozsądnym.

O wpół do czwartej usłyszałem brzęk pochwy szabli na stopniach drewnianych schodów. To był Lasalle. Przyszedł z kulejącym mężczyzną, elegancko ubranym w czarny garnitur z szykownym żabotem i białymi mankietami. Nie widywaliśmy wielu cywilów, którzy nie służyli w armii, ale daję wam słowo, że ten należał do tych, których nikt nie ośmieliłby się ignorować! Wystarczyło jedno spojrzenie w te iskrzące się oczy, na ten komiczny, zadarty nos i proste, zaciśnięte usta, aby wiedzieć, że stoję przed jedynym człowiekiem we Francji, z którym nawet Cesarz musi się liczyć.

– To jest monsieur Etienne Gerard, monsieur de Talleyrand – przedstawił mnie Lasalle.

Zasalutowałem, a ten wybitny mąż stanu mierzył mnie od czubka głowy do ostróg, wzrokiem tak przeszywającym jak ostrze rapiera.

– Czy wyjaśnił pan porucznikowi, dlaczego Cesarz wzywa go do siebie? – zapytał suchym, skrzeczącym głosem.

Tych dwóch mężczyzn stanowiło taki kontrast, że nie mogłem się oprzeć, aby nie błądzić wzrokiem od jednego do drugiego: przebiegły polityk w czerni i duży, masywny huzar w błękitnym mundurze, z jedną ręką wspartą na biodrze, drugą na rękojeści szabli. W czasie, gdy się im przyglądałem, obaj usiedli – Talleyrand prawie bez szmeru, Lasalle z brzękiem i trzaskiem, jak koń stający dęba na parady.

– Sprawa przedstawia się następująco, młodzieńcze – powiedział w swój zwykły, szorstki sposób. – Tego ranka byłem właśnie u Cesarza w jego prywatnym gabinecie, gdy dostarczono mu jakąś wiadomość. Otworzył list i podskoczył tak przerażony, że papier wysunął mu się z ręki i sfrunął na podłogę. Podniosłem i podałem mu, ale on wpatrywał się w ścianę przed sobą, jakby ujrzał tam ducha. „Fratelli dell’ Ajaccio”. Nie znam włoskiego bardziej niż to, co się złapie w czasie dwóch kampanii i dlatego nic nie mogłem z tego wywnioskować. Wydawało mi się, że Cesarz stracił zmysły i byłbyś pan, monsieur Talleyrand tego samego zdania, gdybyś zobaczył jego przerażony wzrok. Po powtórny przeczytaniu listu siedział ponad pół godziny bez ruchu.

– A pan? – zapytał Talleyrand.

– No cóż, ja... wstałem, nie wiedząc co robić. Wtedy odniosłem wrażenie, że nagle odzyskał równowagę umysłu.

– Sądzę, Lasalle – rzekł – że masz w swoim dziesiątym pułku jakichś bystrych młodzieńców?

– Wszyscy są tacy, Sire – odparłem.

– No, ale gdybyś miał wybrać jednego, któremu można powierzyć z pełnym zaufaniem pewne zadanie... i który bez namysłu... No, wiesz o co mi chodzi, Lasalle – to kogo byś wybrał? – zapytał.

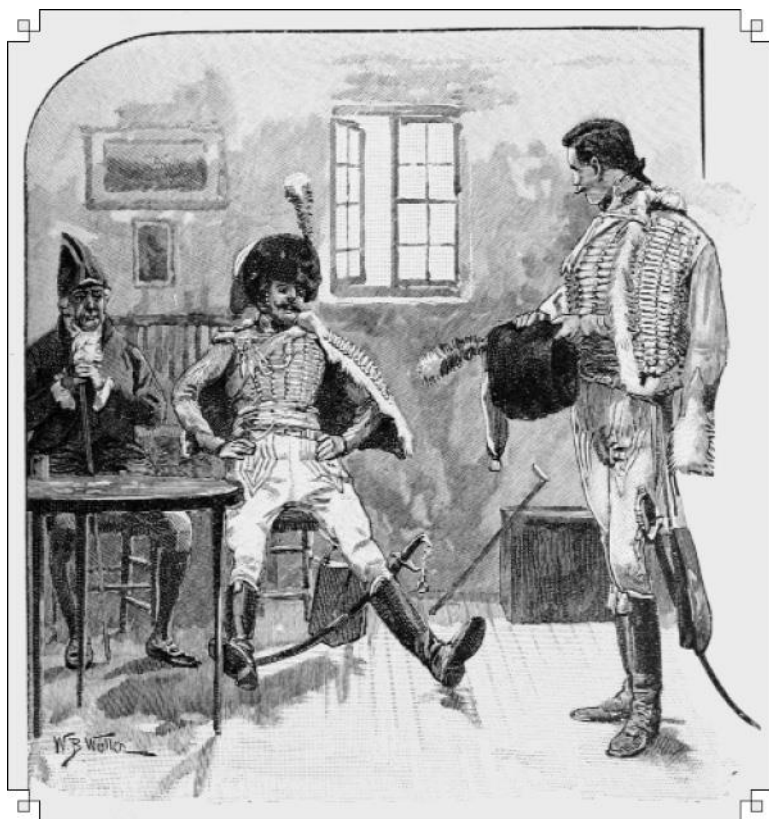
Zorientowałem się, że potrzebował człowieka, który nie byłby zanadto ciekawy co do istoty jego planów.

– Mam takiego – odpowiedziałem – który składa się tylko z wąsów i ostróg. Takiego, którego myśli nigdy nie wędrują dalej niż kobiety i konie.

– To człowiek, jakiego potrzebuję – oznajmił Napoleon. – Przyprowadź go o szóstej do mojego prywatnego gabinetu.

– Tak więc, młodzieńcze, poszedłem natychmiast do ciebie. Masz teraz szansę zdobyć uznanie dla dziesiątego pułku huzarów.

Wprawdzie nie mogę przyznać, aby mi pochlebiały powody, dla których pułkownik wybrał mnie i pewnie potwierdził to wyraz mojej twarzy, bowiem ryknął śmiechem, a Talleyrand zawtórował mu suchym chichotem.



Pułkownik ryknął śmiechem

– Jeszcze słowo dobrej rady, zanim pan wyruszy, monsieur Gerard – rzekł.
– Wyplynie pan teraz na niebezpieczne wody i mógłbyś pan znaleźć gorszego pilota niż sam nim jesteś. Żaden z nas nie ma najmniejszego pojęcia, co to wszystko znaczy i mówiąc między nami jest dla nas, którzy dzierżą w swoich rękach losy Francji, niepomiarne ważne, żeby wszystkiego się dowiedzieć. Rozumie mnie pan, monsieur Gerard?

Wprawdzie nie miałem pojęcia do czego zmierza, lecz skłoniłem się i próbowałem sprawiać wrażenie, że wszystko jest dla mnie jasne.

– Zatem działaj pan ostrożnie i nikomu nic nie mów – ciągnął Talleyrand.
– Pułkownik de Lasalle i ja nigdzie nie będziemy się z panem pokazywać, ale będziemy tutaj pana oczekiwać i udzielimy rady, gdy przekażesz nam treść rozmowy z Cesarzem. Teraz czas, żebyś pan ruszał do niego, ponieważ Cesarz nigdy nie wybacza braku punktualności.

Poszedłem pieszo do pałacu, oddalonego tylko o sto kroków.

Skierowałem kroki do przedpokoju, gdzie zastałem Duroca we wspaniałym płaszczu, zdobionym szkarłatem i złotem. Biegał w tłumie czekających ludzi. Słyszałem jak szepcze do monsieur de Caulaincourta, że połowa z tych niemieckich książąt spodziewa się zostać królami, a druga połowa pewnie stanie się żebrakami. Kiedy Duroc usłyszał moje nazwisko, zaraz pokazał mi, gdzie iść i nagle znalazłem się przed Cesarzem.

Oczywiście setki razy widywałem go w obozie, lecz nigdy przedtem nie stałem z nim oko w oko. Nie wątpię, że nawet gdybyście spotkali go, nie wiedząc kim jest, po prostu powiedzielibyście, że to jakiś mały, blady facet z wypukłym czołem i dobrze wykształconymi łydkami. Obcisłe, kaszmirowe bryczesy i białe pończochy korzystnie prezentowały jego nogi. Lecz nawet ktoś obcy nie mógłby nie ulec wpływowi jego niezwykłego spojrzenia, które niekiedy nabierało tak surowego wyrazu, że nawet grenadier zamierał ze strachu. Mówiono, że nawet Augereau, człowiek nie znający strachu, drżał przed wzrokiem Napoleona i to jeszcze wtedy, gdy Cesarz był nikomu nieznanym żołnierzem.

Mnie jednak obdarzył łagodnym spojrzeniem i kiwnął, żebym pozostał przy drzwiach. Właśnie dyktował coś de Menevalowi, który w przerwach między zdaniem spoglądał na niego oczami wiernego spaniela.

– Dosyć, możesz pan odejść – rzekł szybko Cesarz.

Kiedy sekretarz wyszedł, przeszedł przez pokój z rękami założonymi na plecach i bez słowa zaczął mi się przyglądać. Ponieważ sam był niski, lubił się otaczać ludźmi wysokimi i roslymi i dlatego pomyślałem, że mój wygląd sprawił mu przyjemność. Ja natomiast stałem na baczność, salutując z ręką wspartą na rękojeści szabli i patrząc prosto przed siebie – tak, jak tego nakazuje regulamin.

– No, monsieur Gerard – rzekł, wymierzając palec wskazujący w jeden ze złotych galonów brandenburskich na fronce mojej pelisy – słyszałem, że jesteś bardzo zasłużonym młodym oficerem. Twój pułkownik wydał o panu doskonałą opinię.

Zamierzałem udzielić jakiejś błyskotliwej odpowiedzi, ale przypomniało mi się to, co powiedział Lasalle, że „składałem się tylko z wąsów i ostróg” i milczałem.

Cesarz oczekiwał riposty, ale wobec tego, że nie nadeszła nawet pod postacią

zmiany wyrazu twarzy, nie okazał niezadowolenia i ciągnął dalej:

– Ufam, że jesteś pan człowiekiem, którego właśnie potrzebuję. Ze wszystkich stron osaczają mnie odważni i mądrzy ludzie, ale odważny człowiek, który... – nagle przerwał, a ja ze swojej strony nie miałem pojęcia do czego zmierza i zadowolilem się tylko zapewnieniem go, że może na mnie liczyć aż do śmierci.

– Słyszałem, że jesteś pan dobrym szermierzem?

– W miarę, Sire – odparłem.

– Zostałeś wybrany ze swojego pułku do zmierzenia się z huzarami Chambarant? – pytał dalej.

Z przyjemnością stwierdziłem, że aż tyle wie o moich przygodach.

– Moi towarzysze broni uczynili mi ten zaszczyt – odparłem.

– A w czasie niezbędnych ćwiczeń, na tydzień przed pojedynkiem znieważyles sześciu fehmistrzów?

– Dostałem przywileju odbycia z nimi w ciągu tygodnia sześciu pojedynków, Sire.

– I wyszedłeś z nich bez jednego draśnięcia?

– Fehmistrz z dwudziestego trzeciego pułku lekkiej piechoty zranił mnie w lewy łokieć, Sire.

– No, dość już o tych dziecinnych zabawach, monsieur! – wykrzyknął, nagle wybuchając gniewem, z czego był znany. – Czy pan sobie wyobraża, że stawiam żołnierzy--weteranów na takich pozycjach, abyś mógł na nich ćwiczyć swoje kwarty i tercje? Jak mogę stawić czoła całej Europie, skoro moi żołnierze zwracają ostrza szabel przeciwko sobie? Jeszcze jedno słowo o pańskich pojedynkach i zetrę pana na proch, między tymi oto palcami.

Kiedy to mówił, ujrzałem przed oczami pulchne, białe ręce, a jego głos zmienił się w bezdźwięczny syk i ochryple warczenie. Słowo daję, wtedy poczułem, jak cierpnie mi skóra i słuchając tego, chętnie zamieniłbym się z pierwszym lepszym człowiekiem na najbardziej stromym i najwęższym wyłomie, jaki kiedykolwiek dokonała szturmująca jednostka w czasie bitwy.

Wrócił do stołu, wypił kubek kawy i kiedy znowu zwrócił się do mnie, zniknął najmniejszy ślad tej burzy i teraz na jego ustach ujrzałem szczery uśmiech, choć brakowało go w jego oczach.

– Potrzebuję pańskich usług, monsieur Gerard – rzekł. – Będę się czuł bezpiecznie, mając po swojej stronie dobrą szablę i istnieją powody, dla których wybrałem właśnie pana. W pierwszym rzędzie zobowiązuję pana do zachowania tajemnicy. Wszystko, co między nami dzisiaj zajdzie – nie może być znane nikomu oprócz nas.

Pomyślałem o Talleyrandzie i Lasalle’u, jednak złożyłem takie przyrzeczenie.

– Następnie, nie będę tolerował żadnych rad z pańskiej strony lub domysłów i życzę sobie, żeby pan robił dokładnie to, co powiem.

Skłoniłem się.

– Potrzebna mi jest pańska szabla, nie umysł. To ja jestem od myślenia. Jasne?

– Tak jest, Sire.

– Znasz Zagajnik Kanclerza, przy lesie?

Skłoniłem się.

– Czy zna pan też tę podwójną, wielką jodłę, pod którą we wtorki zbierają się psy myśliwskie?

Oczywiście, znałem ją, bowiem trzy razy w tygodniu spotykałem się tam z dziewczyną. Ponownie skłoniłem się bez słowa.

– Doskonale. Dziś w nocy spotka się pan tam ze mną, o dziesiątej.

Już przestałem się czemukolwiek dziwić. Gdyby poprosił, żebym usiadł na cesarskim tronie, pewnie w odpowiedzi uchyliłbym tylko czapki i skłonił się.

– Potem razem pójdziemy do lasu – mówił Cesarz. – Pan będzie uzbrojony w szablę, ale bez pistoletów. Nie może się pan do mnie odzywać i ja też będę milczał. Pójdziemy w milczeniu. Zrozumiał pan?

– Zrozumiałem, Sire.

– Po jakimś czasie spotkamy jednego, może dwóch, mężczyzn, pod pewnym drzewem. Obaj podejdziemy do nich. Kiedy dam znak, stanie pan w mojej obronie; musisz trzymać szablę w pogotowiu. Jeżeli jednak zacznę rozmawiać z tymi ludźmi, czekaj i obserwuj, co się stanie. Gdyby jednak doszło do starcia pilnuj, żeby żaden z nich nie uciekł. Będę panu pomagał.

– Sir! – wykrzyknąłem. – Nie wątpię, że tych dwóch to nie za wiele dla mojej szabli, ale czy nie byłoby lepiej, gdybym zamiast ciebie zabrał ze sobą któregoś z moich towarzyszy broni. Pan nie powinien brać udziału w takiej walce.

– Ta, ta, ta – machnął ręką. – Zanim zostałem cesarzem, też byłem żołnierzem. Myśli pan, że artylerzyści nie władają szablami tak dobrze jak huzarzy? Ale zakazałem panu dyskutować ze mną. Ma pan robić dokładnie to, co powiem. Jeżeli pójdą w ruch szable, żaden z nich nie może ująć żywy.

– Nie ujdzie, sir – zapewniłem go.

– Doskonale. Nie mam już więcej poleceń dla pana. Może pan odejść.

Odwróciłem się do drzwi, gdy nagle wpadła mi do głowy pewna myśl i zawróciłem.

– Myślę, sir... – zacząłem.

Skoczył ku mnie niczym dzikie zwierzę i byłem pewny, że mnie uderzy.

– Myślisz?! – krzyknął. – Ty, ty! Myślisz, że wybrałem ciebie dlatego, że potrafisz myśleć? Nie chcę tego więcej słyszeć! Ty, człowiek, który... Dość tego! O dziesiątej przy jodle.

Klnę się, że byłem szczęśliwy opuszczając ten pokój. Och, gdybym miał pod sobą dobrego konia i dzwoniącą o strzemień pochwę z szablą! Wtedy byłbym na właściwym miejscu. I kiedy słyszę o zielonej lub suchej paszy, o jęczmieniu lub owsie, czy o życie; o tym jak dowodzić szwadronem w marszu, to nie ma nikogo, kto by mnie mógł jeszcze czegoś o tym nauczyć. Lecz, gdy spotykam w pałacu szambelana i marszałka, gdy stoję przed Cesarzem i mam z nim zamienić kilka słów, znajduję, że wszyscy chcą mnie pouczać, dając przeróżne znaki, zamiast mówić wprost i czuję się jak koń, którego wyprzęgnięto z wozu i zapędzono pod damskie siodło. Te wszystkie dworskie maniere i udawanie – to nie mój fach! Owszem, nabyłem manier dżentelmena, lecz nigdy dworaka. Z rozkoszą wyszedłem na świeże powietrze i pobiegłem do swojej kwatery, jak uczeń szkolny, który właśnie uciekł groźnemu nauczycielowi.

Ledwo otworzyłem drzwi, mój wzrok padł najpierw na parę długich, błękitnych nóg w butach huzara, potem na parę czarnych, w bryczesach ze sprzączkami. Obie pary nóg zerwały się, aby mnie przywitać.

– No i co tam było?! – wykrzyknęli równocześnie.

– Nic – odpowiedziałem.

– Nie widział się pan z Cesarzem?

– Widziałem się.

– I co powiedział?

– Monsieur Talleyrand – odparłem. – Odmawiam rozmawiania o tym, o czym mówić mi nie wolno. Przyrzekłem to Cesarzowi.

– To śmieszne, drogi młodzieńcze – rzekł Talleyrand, podchodząc ukradkiem do mnie, jak ocierający się przymilnie kot. – Przecież wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi, no rozumiesz i nic nie wyjdzie poza te cztery ściany. Poza tym, Cesarz nie miał mnie na myśli, kiedy kazał panu składać przyrzeczenie.

– Monsieur de Talleyrand – odparłem – stąd do pałacu jest minuta drogi i jeśli to panu nie sprawi dużo kłopotu, to niech pan uda się do Cesarza i przyniesie od niego pisemne oświadczenie, że moje przyrzeczenie nie dotyczy pana. Wtedy z chęcią przekażę panu każde słowo z mojej rozmowy z Cesarzem.

Wtedy ten stary lis pokazał kły.

– Okazuje się, że monsieur Gerard trochę się nam napuszył – stwierdził. – Jest zbyt młody, aby widzieć sprawy we właściwej proporcji. Kiedy dorośnie, może zrozumie, że dla podwładnego kawalerzysty nie zawsze jest bezpieczne dawanie tak definitywnej odmowy.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, lecz Lasalle przyszedł mi z pomocą na swój zwykły, bezpośredni sposób.

– Nasz chłopiec ma zupełną rację – wtrącił. – Gdybym wiedział, że dał słowo, nie byłbym go wypytywał. Doskonale wiesz, monsieur de Talleyrand, że gdyby panu powiedział, to roześmiałbyś się tylko w mankiet i potem nie myślał już więcej o nim, tak jak nie myśli się o pustej butelce po burgundzie. Jeśli zaś idzie o mnie, to gdybym usłyszał, że zdradził tajemnicę Cesarza, w dziesiątym pułku nie byłoby już dla niego miejsca i stracilibyśmy naszego najlepszego szermierza.

Jednak mąż stanu stał się tylko jeszcze bardziej oschły, kiedy się przekonał, że mam poparcie swojego pułkownika.

– Słyszałem, pułkowniku de Lasalle – rzekł z lodowatą godnością – że cieszy się pan doskonałą opinią w lekkiej kawalerii. Ja osobiście postaram się też zasięgnąć informacji na temat tej części armii i byłbym panu bardzo wdzięczny, gdybyś mi ich udzielił. Teraz jednak sprawa dotyczy dyplomacji i pozwoli pan, że sformułuję własny na nią pogląd. Tak długo, jak dobro Francji i bezpieczeństwo osoby Cesarza powierzone są mojej pieczy, wszystkimi siłami będę się starał je zapewnić, nawet, jeżeli będzie to wbrew obecnemu życzeniu Cesarza. Mam zaszczyt, pułkowniku de Lasalle, pożegnać pana!

Rzucił w moim kierunku niemiłe spojrzenie, odwrócił się na pięcie i wyszedł szybkimi, bezszelestnymi krokami z pokoju.

Z wyrazu twarzy Lasalle'a wywnioskowałem, że nie był zadowolony z wrogiej

postawy tego potężnego ministra. Kilka razy dosadnie zaklął, a potem chwycił szablę i czapkę i z hałasem zbiegł po schodach.

Patrząc przez okno, widziałem ich obu – wysokiego w błękitnym mundurze i czarnego, utykającego – jak szli razem ulicą. Talleyrand sztywny, Lasalle machający rękoma, coś do niego mówiący. Przypuszczałem, że chciał zawrzeć z nim pokój.

Jednak Cesarz powiedział, żebym nie myślał, a ja usiłowałem mu być posłuszny. Chwyciłem karty, które Morat zostawił na stole i starałem się ułożyć kilka kombinacji écarté. Jednak nie szło mi, nie pamiętałem atutów i z rozpaczą zrzuciłem karty ze stołu. Potem wyciągnąłem szablę i zacząłem ćwiczyć ciosy, aż w końcu osłabłem, ale i to mi nie pomogło. Mój umysł nadal pracował – chciałem tego czy nie. O dziesiątej miałem się spotkać w lesie z Cesarzem. Z wszystkich kombinacji wydarzeń, jakie miały lub mają miejsce na świecie, to z pewnością ta należała do ostatnich, jakie mogły mi się przytrafić, gdy tego ranka wstałem z łóżka. Jakaż to odpowiedzialność... jaka straszna odpowiedzialność! Wszystko teraz spoczywa na moich barkach. Nikt nie będzie jej ze mną dzielił. Poczulem przenikający mnie lodowaty chłód.

Jakże często zaglądałem śmierci w oczy na polu bitwy. Nigdy nie poznałem, co to prawdziwy strach, aż do dziś. Biorąc jednak to wszystko pod uwagę, musiałem postąpić jak odważny, honorowy huzar, a ponadto wypełnić rozkazy co do joty. A jeśli wszystko pójdzie dobrze, to mogłem być pewny korzystnego rozwoju mojej kariery. I tak, spędzając długie, długie godziny wieczoru, krążyłem między strachem i nadzieją, aż nadszedł czas wyruszenia na spotkanie.

Założyłem wojskowy płaszcz, bowiem nie wiedziałem, ile godzin będę musiał spędzić nocą w lesie i przypasałem do niego szablę. Zdjąłem buty huzara i założyłem parę zwykłych butów z getrami, aby nie obciążać zbytnio stóp. Następnie opuściłem kwaterę i skierowałem się do lasu, czując się dużo swobodniej – jak zwykle, gdy w końcu mijał okres oczekiwania i nadchodził czas działania.

Minąłem koszary strzelców Gwardii i szereg kawiarni – wszystkie rojące się od różnych mundurów. Dostrzegłem między nimi kilka błękitnych, szamerowanych złotem, należących do moich towarzyszy broni, wyróżniających się w tłumie ciemnych płaszczy piechoty. Siedzieli, sącząc wino i paląc cygara, nawet nie śniąc, co właśnie robi ich kolega. Jeden z nich – dowódca mojego szwadronu – ujrzał mnie w świetle lampy i zawołał za mną wzdłuż ulicy. Udałem jednak, że nie słyszę i szedłem dalej, a on przeklinając moją głuchotę wrócił do opróżniania butelki z winem.

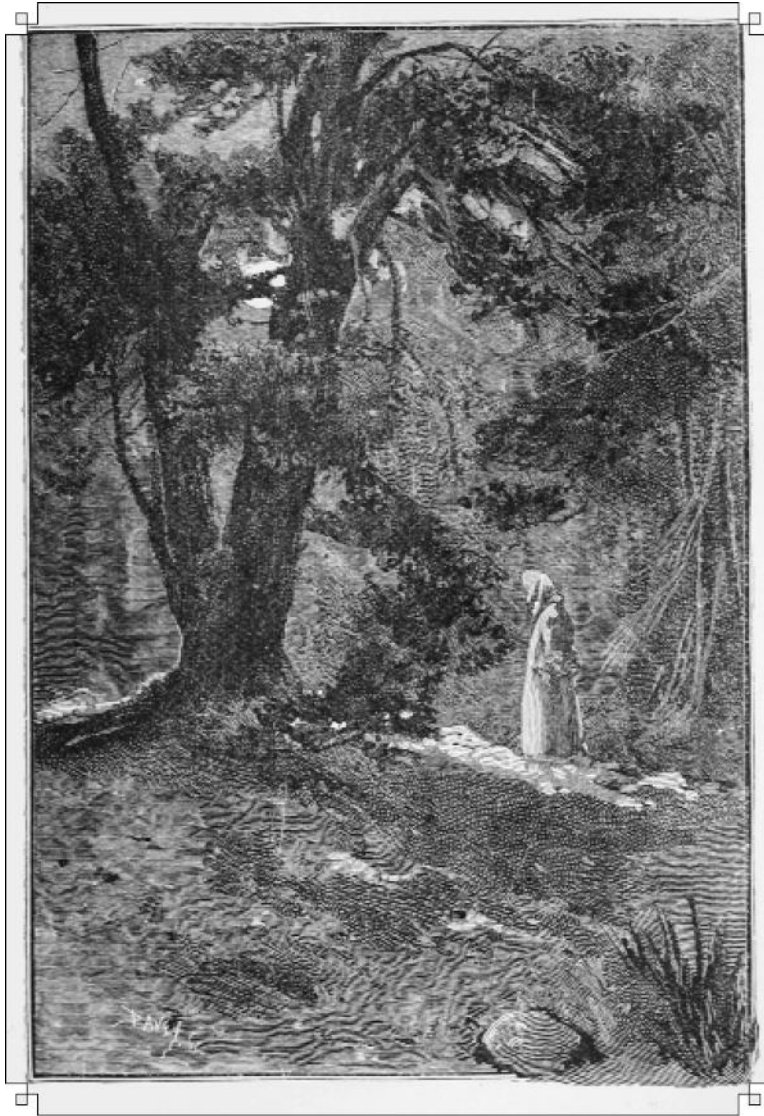
Niezbyt trudno dostać się do lasu Fontainebleau. Jego drzewa jak tyraliery przed frontem kolumny, dochodzą do samych ulic miasta.

Skręciłem na ścieżkę wiodącą do skraju lasu, a potem szybko ruszyłem naprzód, do starej jodły.

Jak już nadmieniałem, znałem to miejsce z innych, osobistych względów i mogłem tylko dziękować losowi, że tej nocy nie czekała tam na mnie Léonie. Biedne dziecko umarłoby ze strachu na widok Cesarza. Mógłby być dla niej zbyt surowy – a może co gorsze, zbyt miły.

Na niebie błyszczał półksiężyc i gdy doszedłem do miejsca umówionego spotkania zobaczyłem, że nie jestem pierwszy. Cesarz spacerował tam i z powrotem, z rękoma

założonymi do tyłu i głową opuszczoną na piersi. Miał na sobie obszerny, szary płaszcz z kapturem na głowie. Widywałem go w tym stroju podczas naszej zimowej kampanii w Polsce i mówiono, że ubiera się tak dlatego, że kaptur doskonale służy jako przebranie.



Cesarz spacerował tam i z powrotem

Bez względu na to czy był w Paryżu czy w obozie, zawsze lubił spacerować nocą i podsłuchiwać rozmowy przy stolikach szynków lub przy ogniskach. Jednak jego sylwetka, sposób trzymania głowy i rąk były tak dobrze znane, że zawsze go rozpoznawano i rozmawiający mówili tylko to, co mogło mu sprawić przyjemność.

W pierwszej chwili pomyślałem, że jest wściekły, iż kazałem na siebie czekać, ale gdy się do niego zbliżyłem, usłyszeliśmy, jak wielki zegar Fontainebleau wybija dziesięć razy. Było jasne, że to on był za wcześnie, a nie ja za późno.

Pamiętając o rozkazie, aby nie komentować niczego, ograniczyłem się do zatrzymania się cztery kroki od niego, trzaśnięcia piętami z ostrogami, złapania rękojęści szabli i zasalutowania. Spojrzał na mnie, a potem bez słowa odwrócił się i wolno ruszył przez las, a ja przez cały czas szedłem w tej samej odległości za nim.

Wydawało mi się, że kilka razy rozejrzał się, jakby obawiając się, że ktoś nas śledzi. Podążyłem za jego wzrokiem, ale chociaż mam dobry wzrok, nie dojrzałem nikogo, poza długimi cieniami drzew. Mam tak samo bystry słuch jak i oczy i kilka razy wydało mi się, że słyszę trzask gałązki, ale wiecie ile odgłosów można nocą słyszeć w lesie i jak trudno określić, z jakiego kierunku dochodzą.

Szliśmy tak ponad milę, ale na długo zanim do niego dotarliśmy, dokładnie wiedziałem, jaki był nasz cel. Na środku jednej z polan stoi zniszczony pień tego, co niegdyś było ogromnym drzewem. Zwano je „Buk Opata” i krąży o nim tyle upiornych opowieści, że znam wielu dzielnych żołnierzy, którzy niechętnie stanęliby przy nim na warcie. Jednak mnie takie głupstwa tyle obchodziły, co Cesarza.

Przekroczyliśmy polanę i podeszliśmy prosto do starego pnia. Kiedy byliśmy już blisko, dostrzegłem czekających przy nim dwóch mężczyzn.

Z początku, gdy na nich patrzyłem, stali raczej za nim, jakby bali się, że ich ktoś zobaczy, ale gdy zbliżyliśmy się, wyszli z cienia i szli na nasze spotkanie. Cesarz obejrzał się na mnie i trochę zwolnił kroku tak, że zbliżyłem się do niego na wyciągnięcie ręki. Możecie być pewni, że moja ręka spoczywała na rękojęści szabli i że nie spuszczałem z nich wzroku.

Jeden był nadzwyczajnie wysoki i silnie zbudowany, natomiast drugi miał raczej mniej niż średni wzrost i szedł energicznie i zdecydowanie. Nosili narzucone na ramiona czarne płaszcze, zwieszające się z jednego ramienia, jak kurtki dragonów Murata. Na głowach mieli płaskie, czarne czapki, takie, jakie widywałem w Hiszpanii, które kryły twarze w cieniu, chociaż i tak mogłem widzieć ich błyszczące oczy.

Ze światłem księżyca padającym za nimi i idącymi przed nimi ich długimi, czarnymi cieniami, byli postaciami, które zaiste można było spotkać przy „Buku Opata”! Pamiętam, że szli ku nam w jakiś ukradkowy sposób i kiedy się zbliżyli, światło księżyca utworzyło między ich nogami i podstawą ich cieni dwa białe romby.

Cesarz zatrzymał się i dwaj obcy też stanęli kilka kroków od nas. Ja trzymałem się przy boku Cesarza i nasza czwórka patrzyła na siebie bez słowa. Całą uwagę skupiłem na tym wyższym, ponieważ stał najbliżej mnie, a poza tym byłem pewien, że znajdował się w stanie najwyższego zdenerwowania. Drżał całym swoim szczupłym ciałem i słyszałem, że dyszy jak zgoniony pies.

Nagle, jeden z nich dał krótki, syczący sygnał. Wysoki pochylił się, ugiął kolana

jak nurek szykujący się do skoku, lecz zanim zdążył coś zrobić, podskoczyłem do przodu z wymierzoną w niego szablą. W tym momencie, mały przebiegł za mną i wbił długą szpadę w pierś Cesarza.

O Boże! Ogarnęła mnie zgroza! To cud, że sam nie padłem też trupem. Widziałem jak we śnie szary płaszcz wirujący w konwulsjach i w świetle księżyca błysk trzech cali czerwonego ostrza wystającego między ramionami. Potem, z charkotem umierającego padł na trawę. Morderca, zostawiając swoją broń zatopioną w ciele ofiary, uniósł w górę obie ręce i krzyknął z radości. Ale ja... ja zaś z taką wściekłością i siłą wbiłem szablę w jego pierś, że rękojeść zatrzymała się na klatce piersiowej, odrzucając go sześć kroków w tył. Zanim upadł, pozostawił mi w ręce szablę gotową do następnego cięcia.

Przeskoczyłem go z taką żądzą krwi, jakiej jeszcze nigdy nie poczułem i pewnie już nigdy nie poczuję. Kiedy się odwróciłem, błysnął mi przed oczami sztylet i poczułem na szyi zimny powiew, a na ramieniu chwyt szponów drugiego rzezimieszka. Zacisnąłem dłoń na rękojeści szabli, lecz tamten wyminął mnie i odskoczył, a potem zaczął uciekać, skacząc w świetle księżyca jak jeleni.

Nie może mi przecież uciec! Wiedziałem, że szpada mordercy wykonała swoją robotę i chociaż byłem wtedy bardzo młody, dość długo byłem już na wojnie, aby rozpoznać jak wygląda śmiertelny cios! Zatrzymałem się na moment, aby dotknąć lodowato zimnej ręki.

– Sire! Sire! – wykrzyknąłem z rozpaczą, a potem, nie usłyszawszy odpowiedzi i nie czując żadnego ruchu, w poszerzającym się cieniu rzucanym przez światło księżyca wiedziałem, że to naprawdę koniec. Skoczyłem jak szalony na równe nogi i popędziłem ze wszystkich sił za uciekającym.

Ach, jak błogosławiłem, że poszedłem do lasu w zwykłych butach z getrami! I jak to dobrze, że pozbyłem się ciężkiego płaszcza. Ten zbój pewnie nie zrzucił swojego, albo był zbyt przestraszony, żeby to zrobić. Zatem od początku miałem nad nim przewagę. A poza tym, pewnie stracił rozsądek, ponieważ nawet nie próbował się ukryć w ciemniejszych partiach lasu, tylko pędził od polany do polany, aż w końcu dobiegł do wrzosowiska leżącego nad wielkim kamieniołomem w Fontainebleau. Tam wyraźnie go widziałem i wiedziałem, że mi nie umknie. Co prawda biegł szybko – jak tchórz, który wie, że stawką jest jego życie, lecz ja biegłem tak, jak biegnie Przeznaczenie, gdy depcze po piętach zbrodniarza. Z każdą chwilą coraz bardziej zbliżałem się do niego. Robił zwroty i uniki, ale mogłem już słyszeć jego ciężki oddech.

Nagle, otworzyła się przed nim wielka przepaść kamieniołomu, obejrzał się na mnie przez ramię i wydał okrzyk rozpaczony. A potem zniknął mi z oczu.

Zniknął. Bez śladu – rozumiecie! Popędziłem w to miejsce i spojrzałem w czarną czeluść przepaści. Skoczył w przepaść? Byłem przekonany, że to zrobił, gdy z ciemności poniżej dobiegł mnie opadający i wznoszący się słaby dźwięk. Rozpoznałem w nim jego oddech, co mi zdradziło miejsce, w którym się ukrył. Był w małej chatce, w której robotnicy przechowywali narzędzia.

Na skraju kamieniołomu, tuż poniżej krawędzi znajdowała się mała platforma, na której stała drewniana chata robotników. To właśnie w niej się ukrył. Może ten głupiec myślał, że w ciemności nie odważę się ścigać go dalej. Mało znał Etienne'a Gerarda.

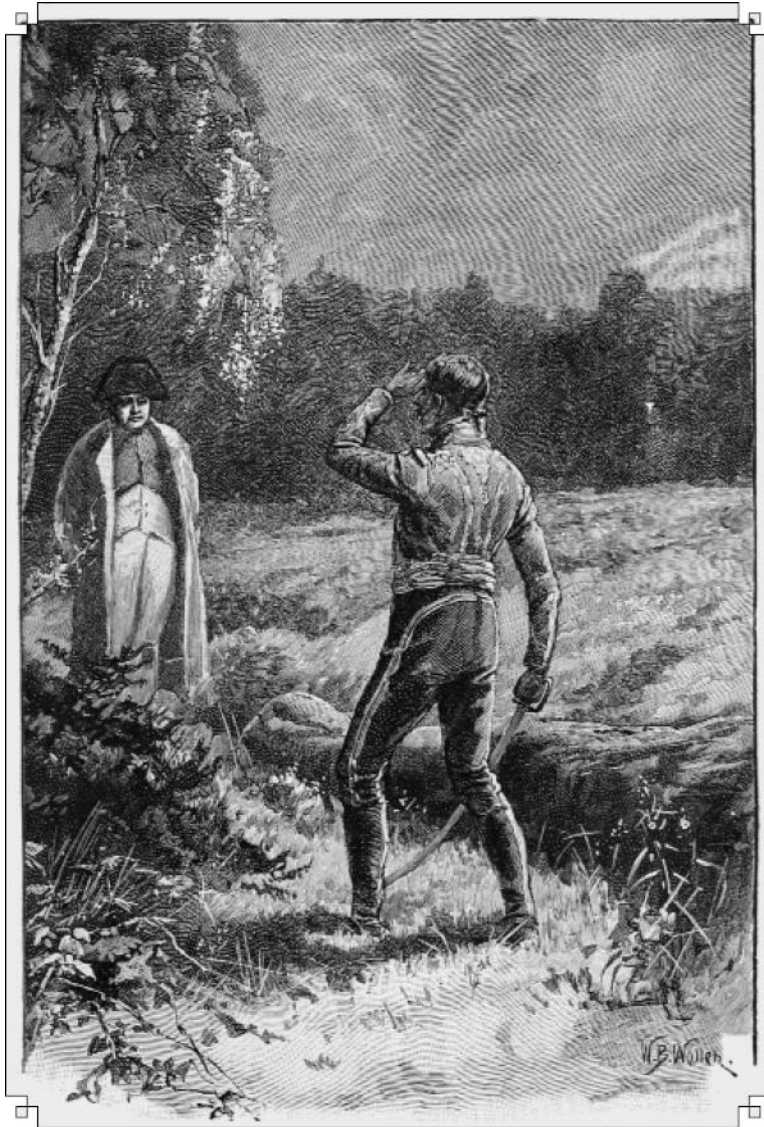
Jednym skokiem wylądowałem na platformie, drugim znalazłem się przy drzwiach, a potem, słysząc, że ukrył się w kącie, rzuciłem się na niego.

Walczył jak dziki kot, lecz był bez szans, dysponując tylko krótką bronią. Miałem zamiar przebić go już pierwszym, szalonym ciosem. Jego ciosy stały się coraz słabsze i słabsze i w końcu sztylet upadł z brzękiem na podłogę. Po upewnieniu się, że nie żyje wstałem i wyszedłem na światło księżyca. Ponownie wspiąłem się na wrzosowisko i szedłem przez nie, kompletnie otumaniony.

Krew pulsowała mi w uszach, w rękę ciągle trzymałem nagą szablę. Szedłem bez celu, aż w końcu rozejrzałem się dookoła i spostrzegłem, że dotarłem do polany z „Bukiem Opata”, gdzie stojący samotnie sękaty pień zawsze będzie mi się kojarzył z najstraszniejszą chwilą w życiu. Usiadłem na zwalonym pniu, z szablą złożoną na kolanach i skryłem twarz w dłoniach, próbując przemyśleć to, co się stanie w przyszłości.

Cesarz oddał się pod moją opiekę. Cesarz nie żyje. Te dwie myśli krążyły mi po głowie wypierając inne. Przyszedł tu razem ze mną i teraz nie żyje. Zrobiłem wszystko, co mi za swojego życia rozkazał i pomściłem go, gdy już nie żył. Ale po co to wszystko? Cały świat uczyni mnie za to odpowiedzialnym. A nawet uważać mnie będą za mordercę. Czego będę mógł dowieść? Mam świadków? Czy nie mogłem być współnikiem tych łotrów? Tak, tak... byłem na wieki zhańbiony – najgorsza, najnikczemniejsza kreatura w całej Francji! A zatem to koniec moich wspaniałych, wojskowych, ambicji – koniec wszystkich nadziei mojej matki. Na tę myśl zaśmiałem się gorzko. I co mam teraz zrobić? Iść do Fontainebleau, obudzić pałac i zakomunikować im, że wielki Cesarz został zamordowany zaledwie o krok ode mnie? Tego nie mogę zrobić – nie, nie zrobię tego! Dla dżentelmena, którego los postawił w tak okrutnej sytuacji, jest tylko jedno wyjście. Nabiję się na moją zhańbioną szablę, aby tym sposobem podzielić los Cesarza, skoro nie mogę go odwrócić. Wstałem z nerwami napiętymi do ostatnich granic, aby popełnić ten ostatni, żaloszny czyn i w tym momencie moje oczy spoczęły na czymś, co zaparło mi dech w piersiach.

Przede mną stał Cesarz! Stał w świetle księżyca, nie dalej niż dziesięć jardów ode mnie, z bladą, zimną twarzą. Miał na sobie szary płaszcz, lecz z odsuniętym z głowy kapturem i rozchylony z przodu, ukazujący zielony mundur i białe bryczesy. Ręce, jak zwykle, założył z tyłu, głowę z wysuniętą brodą lekko opuścił na piersi – w taki sposób, w jaki zwykle go widywałem.



Przedemną stał Cesarz

– No – rzekł surowo i obcesowo – co mi masz do zameldowania?

Sądziłem, że gdyby stał tam jeszcze minutę w milczeniu, pewnie straciłbym zmysły. Lecz ten ostry, wojskowy ton był właśnie taki, jakiego potrzebowałem, aby dojść do siebie. Żywy czy martwy, ale przede mną stał Cesarz i zadał mi pytanie. Wyprężyłem się na baczność i zasalutowałem.

– Widzę, że jednego zabiłeś – rzekł wskazując głową buk.

– Tak, Sire.

– A ten drugi uciekł?

– Nie, Sire, też go zabiłem.

– Co! – wykrzyknął. – Czy mam rozumieć, że zabiłeś ich obu? – Zbliżył się do mnie i w uśmiechu ukazał błyszczące w świetle księżyca białe zęby.

– Jedno ciało leży tam, Sire – odpowiedziałem – drugie jest w domku narzędziowym robotników z kamieniołomu.

– A zatem nie będzie już więcej Braci Ajaccio! – wykrzyknął i po chwili dodał, jakby do siebie: – Ich cień na zawsze przestał mnie prześladować.

Potem pochylił się i położył mi rękę na ramieniu.

– Sprawił się pan doskonale, mój młody przyjacielu – rzekł. – Zasłużyłeś na swoją sławę.

Teraz, gdy czułem jego małą, pulchną rękę na moim ramieniu, uzmysłowiłem sobie ostatecznie, że stoi przede mną Cesarz z krwi i kości. A jednak z trudem wierzyłem w to, co oglądałem moimi oczami i patrzyłem na niego z taką konsternacją, że wywołało to jeden z jego uśmiechów.

– Nie, nie, monsieur Gerard – rzekł. – Nie jestem duchem i nie był pan świadkiem mojej śmierci. Podejdź tu, a wszystko będzie dla ciebie jasne.

Mówiąc to odwrócił się i podszedł do pnia wielkiego buku.

Ciągle leżały tam dwa ciała, a obok nich stało dwóch mężczyzn. Po zbliżeniu się do nich, poznałem po turbanach Roustema i Mustafę, dwóch służących mameluków. Cesarz zatrzymał się przy leżącej na ziemi szarej postaci i odkrył kaptur zasłaniający twarz, zupełnie inną niż jego własna.

– Tu leży mój wierny sługa, który poświęcił życie za swego pana – wyjaśnił. – To monsieur de Goudin. Podobny był do mnie z figury i sposobu poruszania się, o czym mógł się pan osobiście przekonać.

Po usłyszeniu tych kilku, wyjaśniających wszystko słów, poczułem szaloną radość. Widząc moją radość, Cesarz znowu się uśmiechnął, a ja miałem wielką ochotę objąć go i uściskać, ale może odgadł mój zamiar, bowiem cofnął się.

– Nie jesteś ranny? – zapytał.

– Nie jestem ranny, Sire. Jednak był moment, kiedy chciałem z rozpacz...

– No, no, no... – przerwał mi. – Wspaniale się zachowałeś. To on powinien być bardziej czujny. Wszystko widziałem.

– Widziałeś, Sire?

– Czy nie słyszałeś, że szedłem za tobą w lesie? Nie spuszczałem z ciebie wzroku od chwili, gdy wyszedłeś ze swojej kwatery, aż do momentu upadku nieszczęsnego de Goudina. Miałeś przed sobą fałszywego Cesarza, a prawdziwy był za tobą. Teraz możesz

mi towarzyszyć w powrocie do pałacu.

Szepnął rozkaz mamelukom, którzy zasalutowali w milczeniu i zostali na miejscu. Ja natomiast poszedłem z Cesarzem, pękając z dumy. Daję wam słowo, że zawsze zachowuję się tak, jak przystoi huzarowi i nawet sam Lasalle nigdy nie maszerował tak dumnie i nie wymachiwał swoim dolmanem tak, jak ja wymachiwałem tej nocy. Kto, tak jak ja – Etienne Gerard, miał prawo tak pobrzękiwać ostrogami – ja, zaufany Cesarza, wybrany szermierz lekkiej kawalerii, człowiek który zasiekł niedoszłego mordercę Napoleona? Lecz Cesarz zauważył moje zachowanie i odwrócił się do mnie ze złością.

– Czy tak powinieneś się zachowywać w czasie tajnej misji? – wysyczał, rzucając mi lodowate spojrzenie. – Sądzisz, że w ten sposób będziesz mógł przekonać swoich towarzyszy broni, iż nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło? Przestań się wygłupiać, monsieur Gerard, bo inaczej zostaniesz przeniesiony do saperów, gdzie będziesz musiał ciężko pracować i dostaniesz szare pióra.

I tak to bywa z Cesarzem. Jeżeli nawet uważał, że jest komuś coś winien, korzystał z pierwszej nadarzającej się okazji, aby pokazać mu, jaka jest między nimi przepaść.

Zasalutowałem w milczeniu, ale muszę wam wyznać, że czułem się dotknięty po tym wszystkim, co przeżyliśmy razem.

Po przybyciu do pałacu, poprowadził mnie bocznymi drzwiami do swojego gabinetu. Na klatce schodowej stało kilku grenadierów. I wierzcie mi, że oczy omal nie wyszły im z orbit pod futrzanymi czapami, na widok młodego porucznika huzarów wchodzącego o północy do prywatnego pokoju Cesarza. Zatrzymałem się przy drzwiach, tak jak po południu, podczas gdy Napoleon rzucił się na fotel i tak długo milczał, że odniosłem wrażenie, iż zapomniał o mnie. W końcu nieśmiało zakaszlałem, żeby się przypomnieć.

– Ach, monsieur Gerard – rzekł. – Jesteś pan z pewnością bardzo ciekaw, co to wszystko znaczyło?

– Byłbym szczęśliwy, sir, gdyby nie sprawiło to waszej cesarskiej mości kłopotu – odparłem.

– Dobrze, dobrze, dobrze – powiedział niecierpliwie. – To tylko słowa. Wiedziałem, że gdy tylko znajdziesz się za tymi drzwiami, zaraz zaczniesz pytać co to wszystko znaczyło. A za dwa dni twoi bracia oficerowie będą wszystko wiedzieli, zaś za trzy dni całe Fontainebleau i na czwarty dzień cały Paryż. Jeżeli jednak powiem tylko tyle, aby zaspokoić twoją ciekawość, to mam uzasadnioną nadzieję, że będziesz mógł zatrzymać to tylko dla siebie.

On jeszcze mnie nie znał, ten Cesarz, a jednak tylko skłoniłem się w milczeniu.

– Zatem wyjaśnię to panu w kilku słowach – powiedział szybko, przechadzając się po gabinecie. – To byli Korsykanie. Znałem ich w młodości. Należeliśmy do tego samego stowarzyszenia „Braci Ajaccio”, jak siebie nazywaliśmy. Stowarzyszenie założono w dawnych czasach Paolich. Przestrzegaliśmy reguł, których nie można było naruszać bezkarnie.

Po tych słowach jego twarz pociemniała i wydawało mi się, że w tym momencie zrzucił skórę Francuza i stał się stuprocentowym Korsykaninem, człowiekiem o silnych namiętnościach i charakterystycznym poczuciu zemsty. Powrócił myślami do dnia swojej

młodości i na pięć minut zatopił się w myślach. Krążył po pokoju szybkimi, tygrysimi krokami. Potem niecierpliwie machnął ręką i wrócił do swojego pałacu i do mnie.

– Reguły tego stowarzyszenia – kontynuował – bardzo dobrze służyły zwykłym obywatelom. W tych dawnych czasach nie było bardziej lojalnego „Brata” ode mnie. Ale czasy się zmieniły i ani dla mnie ani dla Francji nie byłoby dobrze, gdybym teraz ich przestrzegał. Jednak oni chcieli mnie do tego zmusić i doprowadzili do tego, że spotkał ich taki właśnie los. Tych dwóch to przywódcy ordynku i przybyli tu z Korsyki, żeby się ze mną spotkać w wyznaczonym przez nich miejscu. Wiedziałem, co to znaczy. Ten, kto usłuchał ich wezwania na spotkanie, nigdy z niego żywy nie wracał. Z drugiej strony, gdybym nie poszedł, mogłem być pewny, jakie to może straszne pociągnąć skutki. Musisz pan pamiętać, że też jestem „Bratem” i znam ich metody.

Znowu wokół jego ust pojawił się ten wyraz twardego uporu i zimny błysk oczu.

– Dostrzega więc pan teraz, jaki miałem dylemat, monsieur Gerard – mówił. – I jak by pan postąpił w tych okolicznościach?

– Wezwałbym huzarów dziesiątego pułku, Sire! – wykrzyknąłem. – Wysłałbym do lasu patrolę – od końca do końca... i rzucił tych dwóch zbójów do waszych stóp!

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Miałem bardzo ważny powód, aby nie brać ich żywych – odrzekł. – Musisz zrozumieć, że język mordercy może być tak samo niebezpieczną bronią jak jego sztylet. I nie chcę pana oszukiwać, ale za wszelką cenę chciałem uniknąć skandalu. Dlatego rozkazałem panu nie brać pistoletów. Dlatego też poleciłem moim mamelukom usunąć wszystkie ślady i nikt już więcej o tym nie usłyszy. Rozważałem wszystkie możliwe do zrealizowania plany i jestem przekonany, że wybrałem najlepszy. Gdybym do lasu wysłał z de Goudinem więcej ludzi, wtedy „Bracia” nie przyszliby na spotkanie. Jednak nie zmienili swoich planów na widok tylko jednego dodatkowego człowieka. Ponieważ pułkownik Lasalle był przypadkiem obecny w chwili, gdy otrzymałem wezwanie, pomyślałem, że muszę wybrać do tej akcji jego huzara. I wybrałem pana, monsieur Gerard, dlatego, że chciałem mieć człowieka, który doskonale włada szablą i który nie będzie się bardziej zagłębiał w tę sprawę niż ja sobie tego życzę. Ufałem też, że i pod tym względem potwierdzi pan słuszność mojego wyboru, tak jak zawsze potwierdzałeś swoją odwagę i zręczność.

– Sire – wtrąciłem – wasza cesarska mość może zawsze na mnie polegać.

– Jak długo żyję – oświadczył – nigdy nie otworzysz ust na ten temat.

– O wszystkim zapomnę, Sire. Wymażę z pamięci, jakby nigdy się nie wydarzyło. Przysięgam, że po wyjściu z tego gabinetu będę taki sam, jak w chwili, gdy do niego wszedłem o czwartej po południu.

– Nie, to ci się nie uda – poprawił z uśmiechem Cesarz – bo wtedy byłeś porucznikiem. A teraz pozwól kapitanie, że pożegnam pana, życząc mu dobrej nocy!

III. Jak brygadier dostał króla

– Tu, na klapie mojego surduta możecie widzieć wstążeczkę odznaczenia, jakie otrzymałem za zasługi, lecz medal ten trzymam w domu, schowany w skórzanym pudełku i nigdy nie zamierzam go wyjmować, chyba, że w naszym małym mieście zjawi się jakiś współczesny generał z pokojowych czasów, albo jakiś wybitny obcokrajowiec i zechcą skorzystać z okazji, aby wyrazić szacunek znanemu brygadierowi Gerardowi. Wtedy przypnę go na piersi i tak nawoskuję wąsy, że siwymi końcami sięgną niemal oczu. Mimo wszystko, obawiam się czy oni, albo i wy, moi przyjaciele, nabędziecie kiedykolwiek prawdziwego pojęcia, kim kiedyś byłem naprawdę. Znacie mnie tylko jako cywila – wprawdzie cywila o wyglądzie i manierach prawdziwego dżentelmena, ale niemniej tylko jako cywila.

Gdybyście jednak zobaczyli mnie, jak pierwszego lipca 1810 stoję w drzwiach gospody w Alamo, może przekonalibyście się, do czego jest zdolny huzar.

Przez cały miesiąc musiałem tkwić w tej przeklętej wsi i to tylko dlatego, że otrzymałem pchnięcie lancą w kostkę, co uniemożliwiło mi postawienie stopy na ziemi. Oprócz mnie, było tam jeszcze trzech mężczyzn – pierwszy, stary Bouvet z huzarów Bercheny, drugi Jacques Regnier z kirasjerów i trzeci, wesoły, mały kapitan, którego nazwiska nie pamiętam. Ale wszyscy wkrótce wyzdrowieli i pospieszyli na front, podczas gdy ja gryzłem palce i darłem włosy na głowie, a nawet – co muszę wyznać – płakałem na myśl o moich huzarach Conflans i ich żalosnej sytuacji, w jakiej musieli się znajdować, kiedy ich ranny pułkownik nie mógł być razem z nimi. Nie byłem jeszcze dowódcą brygady, chociaż – no, rozumiecie – już wtedy za takiego się uważałem, lecz byłem najmłodszym pułkownikiem w całej służbie, a mój pułk był dla mnie żoną i dzieckiem. Żywiłem głębokie przekonanie, iż czuli się osieroceni. To prawda, że Villaret, najstarszy major, był wspaniałym żołnierzem, ale czy nawet wśród najlepszych nie wyróżnia się stopni wartości?

Ach, jakież to szczęście spotkało mnie tego lipcowego dnia, gdy po raz pierwszy, kuśtykając zbliżyłem się do drzwi i wyszedłem na złote, hiszpańskie słońce! Poprzedniego dnia wieczorem dowiedziałem się, gdzie stacjonuje mój pułk. Było to Pastores, leżące po drugiej stronie gór, bezpośrednio przed pozycjami Anglików – drogą nie dalej niż czterdzieści mil od Alamo. Ale jak miałem się do nich dostać? To samo pchnięcie lancą, które przeszło moją kostkę, zabiło też mojego rumaka. Wypytywałem Gomeza, właściciela gospody i starego księdza, który tej nocy spał w gospodzie, ale nie potrafili udzielić mi informacji o koniach, poza jednym tylko żrebakiem, który pozostał w tej okolicy.

Gospodarz nawet nie chciał słuchać, że zamierzam przekroczyć góry bez eskorty, zapewniając mnie, że dowódca hiszpańskich partyzantów, El Cuchillo⁶, grasuje tam ze swoją bandą, a to może oznaczać śmierć w męczarniach, gdybym wpadł w ich ręce.

Jednak stary ksiądz zauważył, że nie sądzi, aby to mogło odstraszyć francuskiego huzara, a jeżeli miałem jakieś wątpliwości, to te kilka słów kapłana zupełnie je rozwiało.

Lecz koń! Stałem w drzwiach, kombinowałem i planowałem, gdy wtem usłyszałem

tętent końskich kopyt i podnosząc wzrok ujrzałem zbliżającego się masywnie zbudowanego, brodatego mężczyznę w błękitnej pelerynie narzuconej na ramiona na sposób wojskowy. Jechał na dużym, czarnym koniu z charakterystycznie białą przednią nogą.

– Halo, towarzyszu! – zawołałem, kiedy się zbliżył.

– Halo! – odpowiedział.

– Pułkownik Gerard z huzarów – przedstawiłem się. – Od miesiąca leżę tu ranny, ale jestem już gotów do przyłączenia się do mojego pułku w Pastores.

– Komisarz Vidal – odparł – i też wybieram się do Pastores. Będę szczęśliwy, jeżeli zechce mi pan towarzyszyć, pułkowniku, ponieważ słyszałem, że w górach jest bardzo niebezpiecznie.

– Niestety – odpowiedziałem – nie mam konia. Ale jeśli sprzeda mi pan swojego, to przyrzekam, że przyślę panu huzarów jako eskortę.

Nie chciał nawet o tym słyszeć i gospodarz daremnie przytaczał mu mrożące krew w żyłach opowieści o czynach El Cuchillo, a ja wyliczałem jego obowiązki względem armii i Francji.

W końcu odmówił już nawet dawania odpowiedzi i głośno zawołał, żeby mu podano dzban wina. Przebiegle poprosiłem, aby zsiadł z konia i napił się ze mną, jednak musiał coś wyczytać z wyrazu mojej twarzy, bowiem potrząsnął głową, a potem, gdy zbliżyłem się do niego z zamiarem chwycenia go za nogę, wbił w boki konia ostrogi i zniknął w tumanie kurzu.

Do diabła! Widok tego hultaja beztrósko znikającego z oczu, aby dołączyć do swoich beczulek z mięsiwem i baryłek z winem, wystarczył abym się wściekł. Pomyślałem wtedy o moich pięciuset wspaniałych huzarach pozbawionych dowódcy i patrzyłem za nim przepelniony goryczą, gdy ktoś trącił mnie w łokieć. Był to mały ksiądz, o którym już wspominałem.

– Mógłbym panu pomóc – rzekł. – Ja też podróżuję na południe.

Rzuciłem mu się na szyję i objąłem go, ale w tym momencie wykręciłem bolącą kostkę i obaj omal nie upadliśmy na ziemię.

– Zabierz mnie księżę do Pastores! – zawołałem – a otrzymasz złoty różaniec.

Zabrałem taki różaniec z klasztoru Świętego Ducha. To świadczy o tym, jak konieczne jest zabieranie wszystkiego co popadnie, w czasie uczestniczenia w kampaniach i jak wiele niezwykłych rzeczy może się czasem przydać.

– Zabiorę pana – odparł doskonałą francuszczyzną – ale nie dla nagrody, ponieważ zawsze robię wszystko, co tylko mogę, aby służyć bliźniemu i dlatego wszędzie jestem lubiany.

Po tych słowach poprowadził mnie przez wieś do starej obory, w której znaleźliśmy równie stary, zniszczony dylizans, taki, jakie na początku stulecia kursowały między naszymi zapadłymi wsiami. Były tam też trzy stare muły, z których każdy z osobna nie mógłby udźwignąć człowieka, ale razem mogły pociągnąć powóz. Widok ich wystających żeber i chudych nóg sprawił mi więcej przyjemności niż całe 220 koni myśliwskich Cesarza, które widywałem w stajniach Fontainebleau. Właściciel zaprzął je do powozu w ciągu dziesięciu minut, lecz uczynił to z wielką niechęcią, ponieważ bał się śmiertelnie

tego rozbójnika El Cuchillo. Tylko moja obietnica nagrodzenia go wszystkimi skarbami tego świata i groźba wiecznego potępienia, jaką rzucił mu ksiądz, zmusiły go do zajęcia miejsca na koźle i chwycenia lejców. Potem jednak tak mu się zaczęło spieszyć, abyśmy jeszcze przed zmierzchem dojechali do celu, że ledwo zdążyłem złożyć obietnicę córce gospodarza. Niestety, nie mogę sobie teraz przypomnieć jej imienia, ale pamiętam, że w chwili rozstania oboje płakaliśmy i pamiętam też, że była bardzo ładna. Zrozumcie przyjaciele, że kiedy ktoś taki jak ja, który walczył z mężczyznami i całował kobiety w czternastu różnych królestwach, wymawia względem kogoś słowa pochwały, to mają one swoje znaczenie.

Mały ksiądz z początku wydawał się ponuro przyglądać, gdy całowaliśmy się na pożegnanie, ale potem w dyliżansie okazał się doskonałym towarzyszem podróży. Całą drogę zabawiał mnie opowieściami o swojej małej parafii wysoko górach, a ja w zamian przekazywałem mu różne opowieści obozowe, lecz – wiercie mi, przyjaciele – musiałem być bardzo ostrożny, aby nie powiedzieć za wiele i nie zmusić go do nerwowego wiercenia się na siedzeniu, z twarzą wyrażającą ból, jaki mu zadałem.

No, oczywiście prawdziwy dżentelmen w odpowiedni sposób rozmawia z osobą duchowną, chociaż gdy najbardziej nawet uważa, czasem wymknie mu się jakieś niewłaściwe słowo.

Mówił, że pochodzi z północnej Hiszpanii i jedzie spotkać się z matką, w wiosce leżącej w Estremadurze. Gdy opowiadał o jej małym, wiejskim domku i radości ze spotkania z nią, tak żywo stanęła mi w pamięci moja matka, że łzy napłynęły mi do oczu.

Pocziwiec pokazał mi nawet drobne podarunki, jakie wiózł dla niej i jego zachowanie było tak dobrotliwe, że naprawdę uwierzyłem, gdy mówił, iż wszędzie go kochają. Oglądał mój mundur z takim zaciekawieniem jak dziecko, podziwiając pióropusz na futrzanej czapie i przesuwając palcami wzdłuż szabli. Wyjął ją nawet z pochwy i kiedy opowiedziałem mu, ilu ludzi zasiekłem nią na śmierć, pokazując na niej szczerbę od kości ramieniowej adiutanta rosyjskiego cara, zadrżał i szybko odłożył broń pod skórzaną poduszkę, mówiąc, że robi mu się niedobrze, gdy na nią patrzy.

No, ale w czasie tej rozmowy, trzęsąc się w skrzypiącym powozie, przynajmniej kontynuowaliśmy podróż i w końcu dotarliśmy do podnóża gór. Z oddali, po lewej stronie, dochodził do nas huk armat – to Massena właśnie oblegał Ciudad Rodrigo.

Niczego sobie bardziej nie życzyłem, jak tylko pobiec prosto do niego i chociaż niektórzy mówili, że w jego żyłach płynie żydowska krew, to był on najwspanialszym Żydem, o jakim słyszałem od czasów Jozuego. Jeżeli zobaczylibyście jego haczykowaty nos i badawcze, czarne oczy, prawdopodobnie nie pomylili byście się w przewidywaniu, jaki będzie wynik oblężenia – chociaż oblężenie zawsze było naszym drugorzędym zajęciem, przypominało pracę łopata i kilofem, stanowiąc przeciwieństwo walki huzarów z Anglikami, która rysowała dużo ciekawsze perspektywy. Z każdą milą moje serce stawało się coraz lżejsze, aż w końcu zacząłem krzyczeć i śpiewać z radości, jak młody porucznik po ukończeniu St. Cyr, znowu mając przed oczami wszystkie moje wspaniałe konie i moich wspaniałych towarzyszy broni.

Im bardziej zagłębialiśmy się w góry, tym bardziej droga stawała się trudniejsza i dziksza. Z początku spotykaliśmy nielicznych poganiaczy mułów, ale potem okolica

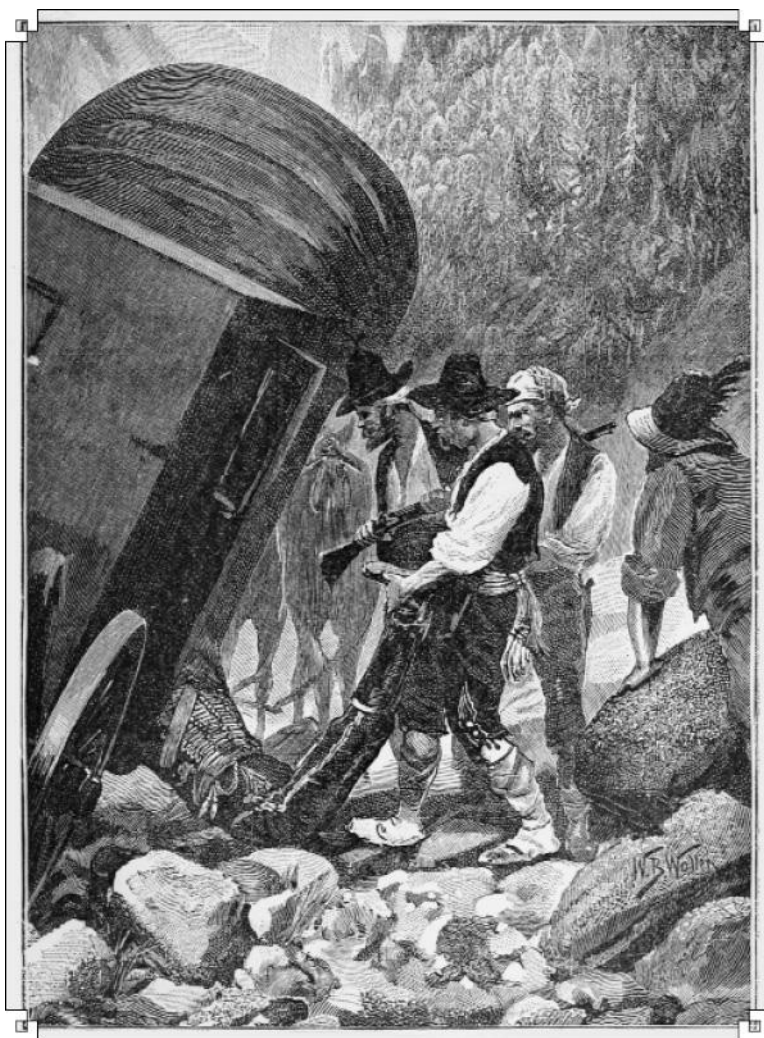
sprawiła wrażenie bezludnej, nic dziwnego jeśli uświadomimy sobie, że na zmianę władali nią Francuzi, Anglicy lub partyzanci. Był to widok niezwykle ponury – jedno brunatne, posępne urwisko za drugim, coraz węższe przełęcze. Odwróciłem oczy od tego widoku i siedziałem w milczeniu, myśląc o różnych sprawach, o kobietach, które kochałem i koniach, na których jeździłem.

Nagle, z tych marzeń wyrwało mnie dziwne zachowanie mojego towarzysza podróży. Próbował czymś w rodzaju szydła wywiercić dziurkę w skórzanym pasku, na którym nosił płaską butelkę z wodą. Robił to tak drżącymi palcami, że pasek wysunął się z ręki i drewniana butelka upadła przy moich stopach. Pochyliłem się, żeby ją podnieść i wtedy ksiądz cicho rzucił mi się na ramiona i usiłował wbić mi szydło w oko.

Drodzy przyjaciele! Wierście mi, że stawałem już oko w oko z wieloma niebezpieczeństwami. Gdy się służyło od ZÜRICHU do tego ostatniego fatalnego dnia pod Waterloo i otrzymało specjalny medal zasługi, który teraz trzymam w domu schowany w skórzanym pudełku, to chyba można się przyznać, kiedy doznawało się prawdziwego strachu. Zapamiętajcie to, co teraz powiem, bo może być dla was pociechą, jeżeli kiedyś zawiodą was nerwy. Poza doznanym przerażeniem na skutek tego strasznego ataku i dzikiego bólu, doznałem też takiego uczucia obrzydzenia, jakiego moglibyście doznać, gdyby rzuciła się na was z kłami jakaś wstrętna tarantula.

Chwyciłem tę nędzną kreaturę obiema rękami, rzuciłem na podłogę powozu i zacząłem deptać moimi ciężkimi butami. Wyrwał pistolet spod sutanny, ale zdążyłem go wytrącić mu z ręki i znowu zacząłem kolanami dusić jego piersi. Wtedy po raz pierwszy krzyknął przeraźliwie, podczas gdy ja, na w pół oślepiiony, zacząłem macając szukać szabli, którą tak przebiegle ukrył. Właśnie ją wymacałem i po starciu krwi z twarzy zobaczyłem, gdzie ten łajdak leży, aby go przebić, gdy nagle powóz przechylił się, przewrócił na bok i wskutek wstrząsu broń wypadła mi z ręki.

Zanim zdążyłem się otrząsnąć z szoku, otworzyły się drzwiczki powozu i zostałem wywleczony za nogi na drogę. Ale nawet, gdy rzucono mnie na kupę ostrych kamieni i stwierdziłem, że otacza mnie ze trzydziestu bandytów, omal nie krzyknąłem z radości, bowiem moja pelisa w czasie walki zakryła mi twarz osłaniając oko i chociaż zostałem zraniony, to jednak mogłem też tym okiem widzieć całą bandę zbójów. Możecie i dziś zobaczyć tę zmarszczkę i bliznę od ostrza, które minęło gałkę oczną, ale dopiero po wywleczeniu z powozu mogłem się przekonać, że nie straciłem wzroku na jedno oko. Ten łajdak niewątpliwie zamierzał wbić mi kolec do mózgu, ale w istocie naruszył tylko jakąś kość, ponieważ miałem z tą raną więcej kłopotu niż z każdą inną, z siedemnastu, jakie otrzymałem.



Zostałem wywleczony za nogi na drogę

Kiedy znalazłem się na kamieniach, te psy, klnąc i złorzecząc zaczęły mnie tłuc pięściami i kopać. Jednak zauważyłem, że ci górale w większości mieli stopy owinięte szmatami i nigdy nie przypuszczałem, że będę ich za to błogosławił. Teraz, widząc krew na mojej twarzy i że leżę bez ruchu, pomyśleli, że straciłem przytomność i w końcu zostawili mnie w spokoju. Ja tymczasem rejestrowałem w pamięci każdą ohydną gębę, aby później rozpoznać je na stryczku, gdy nadejdzie ku temu sposobność. Byli to krzepcy bandyci, z głowami owiniętymi żółtymi chustami i przepasani szerokimi, czerwonymi szarfami, za którymi tkwiła broń.

Stoczyli na drogę dwa duże odłamy skały w miejscu ostrego zakrętu i to one urwały koło powozu, a potem przewróciły go na bok. Wstrętny gad, który tak zręcznie grał rolę księdza i tyle mi opowiadał o swojej matce i probostwie, oczywiście wiedział, w którym miejscu zorganizowano zasadzkę i usiłował pozbawić mnie wszelkiej możliwości oporu w chwili, gdy do niej dotrzemy.

Nawet nie próbuję wam opisać ich wściekłości, gdy po wyciągnięciu go z powozu zobaczyli, jak go urządziłem.

Chociaż nie dostał wszystkiego na co zasłużył, to w końcu zarobił pamiątkę ze spotkania z Etienne'em Gerardem. Nogi zwisały mu bezwładnie, a całe ciało skręcało się z bólu i wściekłości.

Siedział na stopach, gdy próbowali go wyprostować. Lecz cały czas jego czarne oczy, które w powozie wydawały się tak niewinne, rzucały mi spojrzenia zranionego kocura i ciągle pluł w moim kierunku. O, Boże! Kiedy te łotry znowu poderwały mnie na nogi i gdy zaczęły wlec po jakiejś górskiej ścieżce, zrozumiałem, że wkrótce będzie mi potrzebna cała moja odwaga i wszystkie siły.

Mojego wroga niosło na ramionach dwóch bandytów i raz z lewej, raz z prawej, w miarę jak ścieżka się wiała, mogłem słyszeć jak syczy i przeklina.

Oceniłem, że wspinaliśmy się przez około godzinę, ale ze zranioną kostką i bólem w oku bałem się, że bardzo ucierpiałem na wyglądzie, chociaż ta droga stała się dla mnie najstraszniejszym przeżyciem, jakiego kiedykolwiek doznałem. Nigdy nie lubiłem chodzić po górach, ale zdumiewające, do czego człowiek jest zdolny, nawet z niesprawną kostką u nogi, gdy ma za sobą po obu bokach oprychów o miedzianej cerze, z dziesięciocalowymi ostrzami, niemal ocierającymi się o wasze wąsy!

W końcu dotarliśmy do miejsca, w którym ścieżka przekraczała grzbiet góry i po drugiej stronie zaczęła opadać przez gęsty las sosnowy w otwierającą się na południe dolinę. Nie wątpiłem, że w czasach pokoju te łotry były przemytnikami i znały wszystkie sekretne ścieżki przecinające granicę z Portugalią. Było tam wiele śladów mułów i raz z zaskoczeniem ujrzałem na rozmokłej ziemi ślady kopyt ciężkiego konia. Wyjaśniło się to, gdy dotarliśmy do polany w lesie jodłowym i ujrzałem tam konia, uwiązanego do przewróconego drzewa. Natychmiast go poznałem po budowie, maści i białej przedniej nodze. Był to ten sam koń, którego rano tak bardzo chciałem mieć.

Ale gdzie jest komisarz Vidal? Czy był następnym Francuzem, który znalazł się w podobnym jak ja niebezpieczeństwie? Nie zdążyłem się jeszcze dobrze nad tym zastanowić, gdy nasza grupa zatrzymała się i któryś z bandytów wydał osobliwy okrzyk. Odpowiedź nadeszła z gęstwiny krzaków jeżyn rosnących u stóp urwiska, znajdującego

się na skraju polany. Natychmiast wyskoczyło z nich może z dwunastu bandytów i obie grupy zaczęły się witać. Nowo przybyli otoczyli mojego przyjaciela z szydłem, wydając okrzyki zgrozy i współczucia, a potem zwrócili się ku mnie, wymachując nożami i wyjąc jak banda morderców – którymi w istocie byli. Gestykulowali przy tym jak szaleni; ja z kolei byłem przekonany, iż nadszedł mój koniec i szykowałem się na niego jak przystało na człowieka mojej reputacji, gdy nagle jeden z nich wydał rozkaz, na który powleczono mnie brutalnie przez polanę w krzaki jeżyn.

Wiodła przez nie wąska ścieżka prowadząca do głębokiej groty w ścianie urwiska. Właśnie zachodziło słońce i w grocie wkrótce zapanują ciemności, rozjaśniane tylko parą pochodni tkwiących w uchwytach przymocowanych do ściany. Między pochodniami siedział przy zgrubsza ociosanym stole sosnowym człowiek o wyjątkowym wyglądzie, którego natychmiast poznałem, po szacunku, z jakim się do niego odnosiła reszta bandytów. Miałem przed sobą nie kogo innego, jak samego ich wodza; groźnego i bezwzględnego bandytę, o napawającym przerażeniem imieniu El Cuchillo.

Wniesiono też człowieka, którego zraniłem i posadzono na beczce, z nogami bezwładnie zwisającymi przed nim. Jego kocie oczy ciągle rzucały na mnie nienawistne spojrzenia.

Z urywków rozmów między bandytami i ich przywódcą zrozumiałem, że fałszywy ksiądz był ich porucznikiem, a część jego zadania polegała na polowaniu na takich wędrowców jak ja, wykorzystując gładką mowę i księżą sutannę. Kiedy pomyślałem, ilu walecznych oficerów zwabiło w ten sposób i spowodowało ich śmierć to monstrum hipokryzji, poczułem ogromną satysfakcję, że ostatecznie położyłem kres jego zbrodniczej działalności – chociaż bałem się, że będę musiał za to zapłacić moim, tak cennym dla Cesarza i armii, życiem.

Kiedy ranny, ciągle podpierany na beczce przez dwóch kamratów, wyjaśniał po hiszpańsku wszystko, co mu się przytrafiło, kilku opryszków zaprowadziło mnie przed stół, przy którym siedział ich przywódca, a ja miałem okazję dobrze mu się przyjrzeć. Rzadko widywałem człowieka, który tak mało odpowiadał mojemu wyobrażeniu o rozbójniku, a szczególnie o takim, którego reputacja jaką w tym kraju zyskał za swoje okrucieństwa, nadała mu taki ponury przydomek. Pełna, dobrze odżywiona twarz o nijakim wyrazie, z rumianymi policzkami i z dobrze przyciętymi bokobrodami, co nadawało mu wygląd właściciela dobrze prosperującego sklepu spożywczego przy Rue St. Antonie. Nie posiadał tych wszystkich charakterystycznych atrybutów innych opryszków – nie miał błyszczącej szarfy, ani lśniącej, wypolerowanej broni, przeciwnie, miał na sobie zwykły, dobrze skrojony, szeroki płaszcz, w którym przypominał szanowanego ojca rodziny, a brązowe getry bynajmniej nie świadczyły, że jest mieszkańcem gór. Otoczenie też pasowało do jego wyglądu, bowiem poza tabakierką, na stole leżała gruba, brązowa księga, przypominająca kupiecką książkę rachunkową. Mnóstwo innych książek stało rzędami na dwóch deskach leżących na beczkach z prochem. Znajdowały się tam też stosy papierów, niektóre z nich były zagryzmołone jakimiś wierszami. Zauważyłem to wszystko, podczas gdy ich dowódca, niedbale rozparty w krześle, słuchał raportu swojego porucznika, którego, po zakończeniu składania sprawozdania, na jego rozkaz wyniesiono, ja natomiast zostałem z moimi trzema

stróżami, czekając na to, jaki spotka mnie los.

Tymczasem wódz zbójów chwycił pióro, zaczął się stukać trzonkiem w czoło i z zaciśniętymi ustami wlepił wzrok w sklepienie grotu.

– Sądzę – rzekł w końcu najczystsza francuszczyzną – że nie zna pan rymu do słowa „Covilha”?

Odparłem, że moja znajomość hiszpańskiego jest ograniczona i obawiam się, że nie będę mógł mu pomóc.

– Tak, to bogaty język – odparł – ale mniej płodny w rymy niż, powiedzmy, niemiecki, albo angielski. Dlatego nasze najznakomitsze dzieła pisane były białym wierszem, tworząc kompozycje, które zdolne były sięgnąć najwyższych szczytów. Obawiam się jednak, że tego rodzaju tematy przekraczają możliwości huzara.

Jeszcze nie zdążyłem odpowiedzieć, że jeśli są dobre dla rozbójnika, to nie będą za trudne dla kawalerzysty, ale on już pochylał się nad w połowie ukończonym wierszem. Odrzucił pióro z okrzykiem satysfakcji i odczytał kilka linijek, przy wtórze zachwyty ze strony trzech pilnujących mnie opryszków. Jego szeroka twarz spłonęła rumieńcem, niczym u młodej dziewczyny, która usłyszała pierwszy w życiu komplement.

– Okazuje się, że krytycy są mi przychylni – stwierdził. – W długie wieczory zabawiamy się śpiewaniem ułożonych ballad. Mam w tym zakresie pewne zdolności i nie tracę nadziei, że zobaczę pewne owoce moich myśli w druku, a także na tytułowej stronie czasopisma „Madryt”. Jednak musimy wrócić do naszych spraw. Mogę zapytać jak brzmi pańskie imię i nazwisko?

– Etienne Gerard.

– Stopień?

– Pułkownik.

– Korpus?

– Trzeci Pułk Huzarów Conflans.

– Jest pan za młody na pułkownika.

– Zrobiłem wyjątkowo błyskotliwą karierę.

– Hm... to pogarsza sprawę – stwierdził z mdłym uśmiechem.

Milczałem, ale całym zachowaniem starałem się pokazać, że jestem przygotowany na najgorsze, co może mnie spotkać.

– Przy okazji, wydaje mi się, że mieliśmy tu kogoś z pańskiego pułku – oznajmił, przewracając strony wielkiej, brązowej księgi. – Próbujemy tu rejestrować naszą działalność. Tu oto mamy zapis pod nagłówkiem „24 czerwiec”. Czy miał pan młodego oficera nazwiskiem Soubiron – wysoki, smukły młodzieniec o jasnych włosach?

– Oczywiście.

– Widzę, że został pochowany pod tą datą.

– Biedny chłopak! – wykrzyknąłem. – Na co umarł?

– No, pochowaliśmy go.

– Ale zanim został pochowany?

– Pan mnie nie zrozumiał, pułkowniku. On nie umarł zanim go pochowaliśmy.

– Pochowaliście go żywego?

Przez chwilę byłem zbyt oszołomiony, żeby coś zrobić. Potem jednak otrząsnąłem

się ze zgrozy i rzuciłem się na niego, teraz siedzącego, z tym swoim beztroskim uśmiechem na ustach i z pewnością byłbym rozszarpał mu gardło, gdyby tych trzech bandytów nie powstrzymało mnie i nie odciągnęło do tyłu. Szarpałem się i ciskałem przekleństwa, wrywając się to jednemu to drugiemu, ale nie udało mi się całkiem uwolnić. W końcu, gdy już niemal zdarli ze mnie kurtkę i krew pokazała się na rękach, zostałem odciągnięty daleko od stołu i opasano mnie sznurem, zaciskając go wokół przegubów rąk i ramion.

– Przekłete psy! – wrzasnąłem. – Jeżeli kiedyś znajdziecie się w zasięgu mojej szabli, to dam wam nauczkę za znęcanie się nad moimi chłopcami. Przekonacie się, krwiożercze bestie, że mój Cesarz ma długie ramię i chociaż kryjecie się tutaj jak szczury, nadejdzie czas, gdy wywlecemy was stąd i ty razem ze swoim robactwem zostaniecie wybici do nogi!

Ale, na Boga, mimo mojego ostrego języka i tego, że poznałem w czternastu kampaniach wszystkie najgorsze wyzwiska i teraz rzuciłem mu je prosto w twarz, ten zbój siedział, nadal stukając się trzonkiem pióra w czoło, a jego oczy wpatrywały się w sklepienie grotu tak, jakby szukał tam pomysłu na jakąś nową zwrotkę. I w tym momencie zorientowałem się, w jaki sposób mogę go tak znieważyć, aby to do niego dotarło.

– Ty głupcze! – rzuciłem. – Myślisz, że jesteś tu bezpieczny, ale twoje życie będzie tak samo krótkie jak te nędzne wierszyki, które tu klecisz, a Bóg wie, może nawet krótsze!

Ach, powinniście widzieć, jak na te słowa podskoczył na krześle! Ten nikczemny potwór, który zadawał śmierć i torturował tak beztrosko, jak handlarz sprzedaje figi, miał czułe miejsce, w które z zadowoleniem uderzyłem. Jego twarz stała się sina, a te jego burzuazyjne bokobrody zdrzżały i najeżyły się z wściekłości.

– Doskonale, pułkowniku. Powiedziałeś już dość! – krzyknął zdławionym głosem. – Mówiłeś pan, że zrobiłeś błyskotliwą karierę, zatem przyrzekam ci też błyskotliwy koniec. Pułkownik Etienne Gerard z Trzeciego Pułku Huzarów powinien umrzeć tak, jak na to zasłużył.

– Błagam tylko – odpowiedziałem – żebyś pan nie upamiętnił tego w którymś ze swoich wierszy.

Chciałem jeszcze rzucić kilka innych złośliwości, ale uciszył mnie wściekłym machnięciem ręki i paraliżującym spojrzeniem, co sprawiło, że moi trzej dozorczy wywlekli mnie z pieczary.

Ta rozmowa – którą starałem się przekazać wam najwierniej jak tylko ją zapamiętałem – trwała dość długo, bowiem było już ciemno, gdy opuściliśmy jaskinię i wysoko na niebie jasno świecił księżyc. Bandyci rozpalili wielkie ognisko z suchych jodłowych gałęzi, oczywiście nie po to, aby się ogrzać, jako że noc była ciepła i parna, ale po to, żeby ugotować wieczorny posiłek. Nad ogniem wisiał ogromny, miedziany kocioł i bandyci leżeli wokół niego w żółtej poświacie tak, że ta scena przypominała mi obrazy, które Junot skradł w Madrycie.

Wiem, że są żołnierze, których sztuka absolutnie nie obchodzi, lecz mnie ona zawsze do siebie przyciągała i dlatego posiadam pewien smak artystyczny i także wykształcenie. Pamiętam na przykład, że kiedy Lefebvre sprzedawał łup po poddaniu

Gdańska, kupiłem bardzo ładny obraz o nazwie „Nimfa zaskoczona w lesie” i wozilem go ze sobą przez dwie kampanie, aż mój rumak niefortunnie nadepnął na niego kopytem.

Mówię wam o tym, aby pokazać, że nigdy nie byłem tylko zwykłym, pospolitym żołnierzem jak Rapp lub Ney. Leżąc tam, w obozie bandytów, miałem mało czasu lub ochoty, aby rozmyślać o tych sprawach. Rzucili mnie pod drzewo, trzech łotrów rozsiadło się obok, nie dalej niż na długość ich rąk i palili papierosy. Nie miałem pojęcia co robić i nie sądzę, abym. w całej swojej wojskowej karierze więcej niż dziesięć razy znajdował się w podobnie niebezpiecznej sytuacji. „Odwagi!”, pomyślałem. „Odwagi, mój dzielny chłopcze! Nie zostałeś pułkownikiem huzarów w wieku dwudziestu ośmiu lat tylko dlatego, że potrafisz tańczyć kotyliona. Jesteś człowiekiem czynu, Etienne, jesteś człowiekiem, który więcej niż dziesięć razy potrafił wybrnąć z podobnej sytuacji, a ta drobna wpadka z pewnością nie będzie ostatnia!”

Zacząłem uważnie się rozglądać za jakąś okazją do ucieczki i znalazłem – ale coś innego. Zobaczyłem coś, co napełniło mnie ogromnym zdumieniem.

Jak już mówiłem, na środku polany płonęło wielkie ognisko. W jego świetle i w świetle księżyca wszystko dookoła było wyraźnie widoczne. Po drugiej stronie polany rosła pojedyncza, wysoka jodła i to ona przyciągnęła mój wzrok, ponieważ jej pień i dolne gałęzie były wyraźnie nadpalone, tak jakby niedawno rozpalono pod nią wielki ogień. Podstawę pnia skrywała rosnąca przed nim kępa krzaków. Ale kiedy się im dobrze przyjrzałem, z zaskoczeniem dostrzegłem powyżej krzaków parę butów kawaleryjskich, najwyraźniej przymocowanych do drzewa podeszwami do góry. W pierwszej chwili pomyślałem, że są tam przywiązane, ale gdy wytrzymałem wzrok ujrzałem, że zostały przybite wielkim gwoździem przechodzącym przez obie stopy. A wtedy zrozumiałem ze zgrozą, że te buty nie były puste i zwracając głowę nieco w prawo przekonałem się, co tam wisi i dlaczego pod drzewem rozpalono ogień.

Drodzy przyjaciele, nie jest przyjemnie rozmawiać o rzeczach przerażających ani też myśleć o nich i nie chcę, żebyście dziś w nocy mieli senne koszmary – ale nie mogę was prowadzić między bandę hiszpańskich zbójów, nie ukazując, jakimi byli ludźmi i jakiego rodzaju toczyli wojnę. Mogę wam tylko powiedzieć, że zrozumiałem, dlaczego koń monsieur Vidala stał samotnie w lesie i miałem tylko nadzieję, że komisarz zniósł swój straszny los z odwagą godną prawdziwego Francuza.

Możecie sobie wyobrazić, że nie był to dla mnie widok dodający otuchy. Kiedy byłem u ich wodza w grocie, moja wściekłość z powodu okrutnej śmierci młodego Soubirona – jednego z najbystrzejszych chłopców, jaki dosiadał konia – nie pomyślałem o mojej własnej sytuacji. Może powinienem być bardziej dyplomatyczny i porozmawiać spokojnie z tym łotrem, ale teraz było już za późno; korek został wyciągnięty i należało wypić wino. Ponadto, jeżeli nieszkodliwy komisarz zginął tak okrutną śmiercią, to jaką przygotowano dla mnie, który przetrzącił kręgosłup ich porucznika? Nie miałem już szans, byłem zgubiony! Teraz powinienem już tylko odważnie stawić czoła śmierci. Ten potwór musi być świadkiem, że Etienne Gerard umarł tak jak żył i że przynajmniej ten więzień nie zadrzał przed nim. Leżałem, myśląc o różnych dziewczętach, które będą mnie oplakiwać; o mojej ukochanej matce; o Cesarzu; o moim pułku, jaką to niepowetowaną poniosą stratę i nie wstydzę się wyznać wam, że zalałem się łzami na myśl o ogólnej

konsternacji, jaką wywoła mój przedwczesny koniec.

Jednak cały czas uważnie się rozglądałem, notując w myślach wszystko, co mogłoby mi pomóc. Nie jestem przecież człowiekiem, który leży jak chory koń czekający na sierżanta z toporem rzeźniczym. Wpierw zacząłem rozluźniać więzy na kostkach, a potem wokół przegubów rąk. Próbując rozluźnić więzy, cały czas szukałem wzrokiem czegoś, z czego mógłbym skorzystać. Jedno było całkiem jasne – huzar jest tylko połową siebie bez konia, a moja druga połowa pasła się spokojnie trzydzieści jardów ode mnie. Potem pomyślałem o czymś innym – ścieżka, którą tu przyszliliśmy była tak stroma, że konia pod górę można było po niej tylko wolno prowadzić i to z trudem, natomiast w drugim kierunku teren wydawał się bardziej płaski, prowadząc prosto do łagodnie opadającej doliny. Gdybym miał stopy w strzemionach, szablę w dłoni, to wystarczyłoby tylko jeden skok i wyrwę się z łap tego górskiego robactwa!

Ciągle nad tym rozmyślałem, napinając nadgarstki i kostki nóg, gdy z groty wyszedł ich dowódca i po krótkiej rozmowie z porucznikiem leżącym jeszcze koło ogniska, obaj skinęli głowami i spojrzeli na mnie. Potem dowódca rzucił kilka słów swojej bandzie, która klasnęła w dłonie i ryknęła śmiechem.

Sprawy wyglądały źle i z zadowoleniem poczułem, że na tyle rozluźniłem więzy, aby w każdej chwili móc uwolnić ręce. Z nogami było gorzej, za każdym ruchem bolała mnie zraniona lanca kostka i musiałem przygryzać wąsy, żeby nie krzyczeć. Ciągle leżałem na pół wolny, na pół związany, obserwując rozwój wypadków.

Nie mogłem się zorientować do czego zmierzają. Jeden z bandytów wspiał się na dobrze wyrosniętą, młodą jodłę rosnącą na skraju polany i przywiązał do jej szczytu sznur, potem w ten sam sposób przywiązał następny sznur do podobnego drzewa rosnącego po drugiej stronie polany. Końce obu sznurów zwisały swobodnie, a ja czekałem z ciekawością, chociaż nie bez trwogi, co teraz zrobią. Cała banda naciągnęła jeden sznur, aż młode drzewko wygięło się w półkole i przywiązali go do pnia. Po podobnym wygięciu drugiego drzewka, oba wierzchołki jodeł znalazły się kilka stóp od siebie, jednak – co łatwo zrozumieć – po zwolnieniu sznurów, oba drzewka musiały natychmiast powrócić do pierwotnej pozycji. W tym momencie przejrzałem szatański plan tych łotrów.

– Zakładam, że jest pan silnym człowiekiem, pułkowniku – rzekł dowódca bandytów, zbliżając się do mnie z pełnym nienawiści, złośliwym uśmiechem.

– Gdyby był pan tak łaskaw i zdjął mi więzy – odparłem – to pokazałbym panu, jaki jestem silny.

– Wszyscy z zainteresowaniem zobaczymy, czy jest pan tak silny, jak te dwa młode drzewka – rzekł. – Zamierzamy przywiązać sznury do każdej z pańskich nóg z osobna, a następnie puścić ich końce. Jeżeli jesteś pan silniejszy od drzew, nic ci się nie stanie, jeśli zaś drzewa okażą się silniejsze, wtedy, pułkowniku, pozostawisz nam po sobie pamiątkę po obu stronach naszej niewielkiej polany.

Zaśmiał się głośno i na ten znak cała czterdziestka ryknęła śmiechem. Nawet teraz, gdy jestem w ponurym nastroju, albo dostaję moich dawnych napadów litewskiej zimnicy, widzę we śnie ten krąg ponurych, brunatnych twarzy z okrutnymi oczami i błyszczącymi w świetle ognia zębami.

Zdumiewające, jak w takiej krytycznej sytuacji wyostrajają się wszystkie zmysły.

Jestem głęboko przekonany, że człowiek w chwili zbliżania się nagłej śmierci postrzega otaczający go świat niezwykle wyraźnie, tak ostro jak nigdy. Czułem zapach żywicy, mogłem rozróżnić wzrokiem najmniejszą gałązkę na ziemi, słyszałem każdy szelest gałęzi – nigdy tak nie czułem zapachów, albo nie widziałem lub słyszałem tak jak wtedy, gdy byłem świadomy zbliżającego się niebezpieczeństwa. Dlatego też na długo przed innymi, nawet przedtem nim ich dowódca zwrócił się do mnie, usłyszałem niski, monotony dźwięk. Był daleki, a jednak z każdą chwilą się zbliżał. Wpierw był to pomruk, dudnienie, ale zanim ten zbój skończył do mnie mówić i jego ludzie zdjęli mi więzy z nóg i prowadzili na miejsce kaźni, usłyszałem tak wyraźnie, jak zawsze wyraźnie słyszę tego rodzaju dźwięki, tętent końskich kopyt, skrzypienie uzd i pobrzękiwanie pochew szabli o strzemiona. To z pewnością byli huzarzy! Jakże mógłbym ich pomylić, ja, który służyłem w lekkiej kawalerii już wtedy, gdy nad wargami ukazał się pierwszy włos moich wąsów?

– Pomocy, towarzysze, pomocy! – krzyknąłem, chociaż zasłanianio mi usta i próbowano zawlec do sznurów. – Pomóżcie mi, dzielni chłopcy! Pomóżcie, moje dzieci! Mordują waszego pułkownika!

Moje rany i straszne przeżycia spowodowały, że zaczynałem bredzić i wydawało mi się, że lada chwila na polanie zjawi się pięciuset moich huzarów, z bębnami i całą resztą.

Jednak rzeczywistość okazała się bardzo różnić od tego, co sobie wyobraziłem. Na polanie ukazał się przystojny młodzieniec na pięknym, dereszowatym koniu. Miał miłą twarz, a cała jego postawa wyrażała znaną na całym świecie elegancję i rycerskość – co w istocie bardzo przypominało mnie samego. Miał na sobie dość szczególny mundur, który kiedyś musiał być czerwony, lecz teraz spełznął i pod wpływem działań atmosferycznych stał się kolorem podobnym do zeschniętych liści dębu. Jednak jego epolety nadal błyszczały złotem, a na głowie nosił błyszczący, metalowy hełm, ozdobiony po jednej stronie kokieteryjnym, białym piórem.

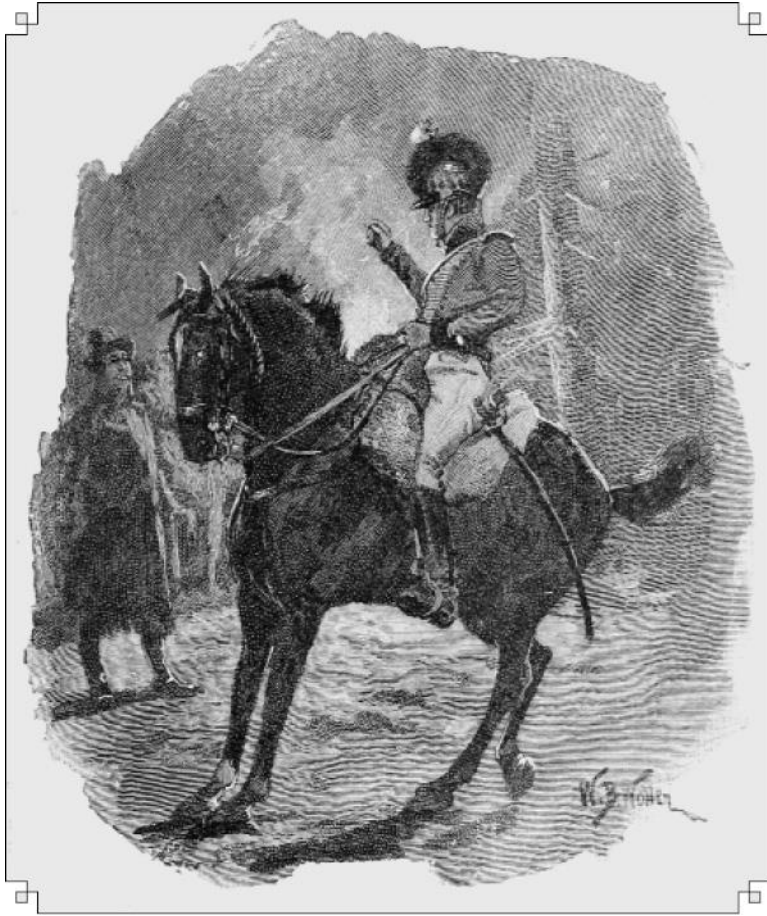
Wyskoczył klusem na polanę, a za nim czterech kawalerzystów w takich samych mundurach – wszyscy gładko ogoleni, o okrągłych, przystojnych twarzach, bardziej przypominających zakonników niż dragonów. Z brzękiem broni zatrzymali się na krótki, szorstki rozkaz, podczas gdy dowódca wystąpił do przodu i płomień ogniska oświetliły jego ładną twarz oraz piękną głowę rumaka. Po tych dziwnych mundurach oczywiście poznałem Anglików. Widziałem ich pierwszy raz, ale zaraz poznałem po dostojnej postawie i mogłem się przekonać, że to wszystko co mi o nich mówiono było prawdą.

– No, no, no! – wykrzyknął młody oficer i rzekł niezbyt poprawną francuszczyzną: – W co się tu zabawiacie? Kto wzywał pomocy? I co zamierzacie z nim zrobić?

W tym momencie błogosławiłem miesiące, które spadkobierca irlandzkich królów, Obriant, spędził ze mną przy nauce języka angielskiego. Teraz miałem wolne nogi, więc czym prędzej wysunąłem ręce z więzów i szybko przebiegłem przez polanę, chwytając leżącą przy ognisku moją szablę, po czym wskoczyłem na siodło konia biednego Vidala.

Przez tę moją ranną nogę nie udało mi się wsunąć stopy w strzemię, więc prosto z ziemi wskoczyłem na siodło, odwiązałem cugle od drzewa i zanim rozbójnicy zdążyli

wystrzelić z pistoletów, już stałem obok angielskiego oficera.



W co się tu zabawiacie? – wykrzyknął młody oficer

– Poddaję się panu, sir! – zawołałem, chociaż zapewne mój angielski nie był dużo lepszy od jego francuskiego. – Niech pan spojrzy na to drzewo po lewej, a przekona się pan, co ci bandyci robią z honorowymi dżentelmenami, którzy wpadną w ich ręce.

W tym momencie ogień zapłonął jaśniej i wyraźnie ukazał się przed nami nieszczęsny Vidal, przerażająca postać, jaką można oglądać w sennych koszmarach.

– Goddam! – wykrzyknął oficer, a za nim powtórzyło czterech jeźdźców „Goddam!”, co po francusku znaczyło tyle, co „Mon Dieu!”

Z pochew, z chrzęstem wyszarpnięto cztery szable i kawalerzyści stanęli szeregiem. Ten, który nosił szewrony sierżanta zaśmiał się i klepnął mnie w ramię.

– Walcz o swoją skórę, żabojadzie – rzekł.

Ach, jak to dobrze mieć między udami konia i broń w dłoni! Wywijałem szablą nad głową i krzychałem z radości. Wtedy zbliżył się dowódca bandytów, z obrzydliwym uśmiechem na ustach.

– Wasza ekscelencjo, racz pan zauważyć, że ten Francuz jest naszym więźniem – oświadczył.

– Jesteście przekłętymi zbrodniarzami – rzucił Anglik – mierząc w niego szablą.

– To hańba mieć takich sojuszników! Na Boga, gdybym był lordem Wellingtonem, wszyscy wisielibyście na najbliższym drzewie.

– A co z moim więźniem? – dopytywał się bandyta swoim zwykłym, uprzejmym głosem.

– Zabierzemy go do brytyjskiego obozu.

Bandyta podszedł do młodego oficera, a potem nagle, jak błyskawica, odwrócił się i wypalił mi prosto w twarz. Kula chybiła, musnęła mi tylko włosy i przebiła czapkę. Widząc, że chybił, uniósł pistolet i już chciał cisnąć nim we mnie, gdy Anglik jednym ciosem z bekhendu prawie odrąbał mu głowę. Jeszcze nie zdążyła jego krew spłynąć na ziemię, a ostatnie przekleństwo zamarło na jego wargach, gdy cała banda rzuciła się na nas, ale skacząc i zadając liczne ciosy, umknęliśmy szczęśliwie z polany, a potem pogalopowaliśmy krętą ścieżką w dolinę.

Odważyliśmy się zatrzymać dopiero, gdy zostawiliśmy za sobą wawóz i wyjechaliśmy na otwartą przestrzeń. Obejrzelismy rany. Chociaż obolały i zmęczony, czułem jak rozpiera mnie duma, niemal rozrywając mundur na piersi na myśl, że ja, Etienne Gerard, taką piękną pamiątkę pozostawiłem po sobie tym mordercom. Bóg mi świadkiem, że teraz dwa razy pomyślą, zanim odważą się podnieść rękę na któregoś z kawalerzystów Trzeciego Pułku Huzarów. W dalszej drodze nie mogłem się oprzeć, aby nie wygłosić małej mowy do tych dzielnych Anglików i uświadomić im, kogo uratowali.

Oficer, nagle krótko przerwał tę mowę, poruszającą też moją sławę i uznanie innych dzielnych ludzi:

– Dobrze, dobrze... – rzucił i zapytał: – Jakie mamy rany, sierżancie?

– Koń kawalerzysty Jonesa ma kulę od pistoletu w pęcinie.

– Jones pojedzie z nami. Sierżant Halliday z kawalerzystami Harleyem i Smithem pojedą w prawo, aż dotrą do przednich straży niemieckich huzarów.

Tak więc ta trójka oddaliła z brzękiem szabel, natomiast ja i oficer pojechaliśmy w pewnej odległości za kawalerzystą, którego koń był ranny, kierując się prosto do

angielskiego obozu.

Polubiliśmy się od samego początku i wkrótce otworzyliśmy przed sobą serca. Ten dzielny Anglik wywodził się ze szlacheckiej rodziny i został wysłany przez Wellingtona na zwiady, z zadaniem sprawdzenia, czy nasze wojska przypadkiem nie zamierzają sforsować gór.

Prowadząc wędrownie życie posiadałem wiedzę o szerokim świecie, co dawało mi przewagę, której niejednemu brakuje – na przykład nie spotkałem Francuza, który mógłby powtórzyć poprawnie angielski tytuł. Gdybym tyle nie podróżował, nie byłbym zdolny zacytować w całości, że ten młodzieniec w istocie nazywał się „Milord Hon. Sir Russell Bart”, a ponieważ „Hon.” znaczyło „Honorable”, był to tytuł należny osobom z arystokracji, ale też ludziom honorowym, uczciwym. Jednak zwykle zwracałem się do niego po prostu „Bart”, tak jak w Hiszpanii mówią „don”.

Jadąc w świetle księżycy cudowną, hiszpańską nocą, rozmawialiśmy ze sobą tak szczerze jak bracia. Byliśmy rówieśnikami, obaj służyliśmy w lekkiej kawalerii – on w Pułku Lekkich Dragonów – i obaj żywiliśmy te same nadzieje i ambicje.

Nigdy dotąd tak szybko nie poznałem nieznanego mi przedtem człowieka, tak jak teraz Barta. Zdradził mi nawet imię dziewczyny z Vauxhall, którą kochał, a ja opowiedziałem mu o mojej małej Coralie z Opery – po czym on pokazał mi pukiel włosów, a ja podwiązkę. Ale później omal się nie pokłóciliśmy o huzarów i dragonów, dlatego, że był absurdalnie dumny ze swojego pułku i musielibyście widzieć, jak pogardliwie wydymał policzki i klepał rękojeść szabli, gdy powiedziałem, iż mam nadzieję, że jego pułk nigdy nie będzie miał pecha, aby wejść w drogę mojemu trzeciemu pułkowi. Wtedy zaczął mi opowiadać o tym, co Anglicy nazywają sportem, mówiąc o pieniądzach, które stracił w zakładach na walkach kogutów, albo gdy dwóch mężczyzn okładało się pięściami walcząc o nagrodę, co wprawiło mnie w zdumienie. Był gotów w niezwykle sposób zakładać się o wszystko. Tak więc, gdy dostrzegłem spadającą gwiazdę, twierdził, że zobaczy więcej ode mnie takich gwiazd i chciał się założyć po dwadzieścia pięć franków za każdą gwiazdę, ale gdy mu wytłumaczyłem, że moja sakiewka została w rękach bandytów, odstąpił od tego pomysłu.

No więc, kiedy tak sobie przyjemnie gawędziliśmy, noc zaczęła się zbliżać ku końcowi i nagle usłyszeliśmy głośną salwę dochodzącą z daleka, gdzieś przed nami. Teren był skalisty i nierówny, więc nie mogłem widzieć co się dzieje, ale pomyślałem, że toczy się tam jakaś bitwa. Bart słysząc to zaśmiał się i wyjaśnił, że odgłosy dochodzą z angielskiego obozu. Każdy żołnierz musi co rano wystrzelić, aby mieć suchą panewkę na podsypianie prochu.

– Jeszcze mila i powinniśmy spotkać nasze straże przednie – oznajmił.

Na te słowa rozejrzałem się i zauważyłem, że w czasie naszej miłej rozmowy, zniknął gdzieś dragon na kulejącym koniu. Mimo, że zbadałem wzrokiem całą otaczającą nas okolicę, nikogo nie dostrzegłem – byliśmy sami w tej rozległej, skalistej dolinie – i to dobrze uzbrojeni, no i obaj dysponowaliśmy końmi. Zadałem więc sobie pytanie: czy to absolutnie konieczne, abym jechał jeszcze tę milę po to, aby spotkać brytyjskie straże przednie?

No, chcąc być wobec was zupełnie szczery, moi przyjaciele, równocześnie nie chcę

abyście pomyśleli, że postąpiłem haniebnie lub, że byłem niewdzięczny człowiekowi, który mi pomógł wyrwać się z łap bandytów. Musicie jednak zrozumieć, że pierwszym obowiązkiem oficera jest nie zapominać o swoich ludziach. Poza tym, musicie też zwrócić uwagę na fakt, że wojna jest grą, która toczy się według stałych reguł i kiedy ktoś te reguły złamie, musi za to zapłacić. Jeżeli na przykład, dałbym słowo, to byłbym najgorszym nędznikiem, gdybym nawet śmiało marzył o ucieczce. Ale nikt nie zażądał ode mnie dania słowa honoru. Może przez zbytnią pewność siebie i prawdopodobieństwo, że kulawy koń jedzie za nim, Bart zezwolił mi towarzyszyć mu na zasadzie „równy z równym”. Gdybym to ja jego wziął do niewoli, to tak samo respektowałbym jego stopień wojskowy, ale zabrałbym mu szablę i zostawiłbym co najmniej jeszcze jednego strażnika.

Ściągnąłem cugle i wyjaśniłem mu to, równocześnie pytając, czy widzi coś niewłaściwego lub niehonorowego w tym, że go teraz opuszczę.

Zamyślił się głęboko nad tym problemem i kilka razy powtórzył po angielsku to, co po francusku znaczy „Mon Dieu”.

– Chcesz mi zwać, prawda? – w końcu zapytał.

– Jeżeli nie będziesz pan miał nic przeciwko temu – odparłem – i nie będziesz mi pan przeszkadzał.

– Sądzę, że istnieje jedna przeszkoda – stwierdził Bart – a mianowicie natychmiast zetnę ci głowę, jeśli tylko spróbujesz uciec.

– Zwykle bawią się w to dwie osoby, mój drogi Bart – rzuciłem.

– No, to przekonajmy się, kto jest lepszy! – wykrzyknął, wyciągając z pochwy szablę.

Ja też wyciągnąłem swoją, ale z całą mocą postanowiłem, że nie zrnię tego godnego podziwu młodzieńca, który był moim wybawcą.

– Przypomnij sobie – powiedziałem – że nazwałeś mnie pan swoim więźniem. Ale teraz równie dobrze ja mogę twierdzić, że to ty jesteś moim więźniem. Jesteśmy tu sami i chociaż nie wątpię, że jesteś pan doskonałym szermierzem, to wątpię, żebyś sam poradził sobie z najlepszą klingą sześciu brygad francuskiej lekkiej kawalerii.

Odpowiedzią był cios wymierzony w moją głowę. Odparowałem i obciąłem mu połowę białego pióra. Usiłował pchnąć mnie w pierś. Oskoczyłem i obciąłem drugą połowę pióra.

– Zostaw pan te przeklęte małpie sztuczki! – krzyknął, gdy odskoczyłem z koniem w bok.

– Dlaczego nie zaatakuje mnie pan frontalnie? – zapytałem. – Przecież widzi pan, że nie chcę go zranić!

– I bardzo dobrze – odparł – ale teraz jedź pan ze mną do naszego obozu.

– Nigdy! – krzyknąłem.

– Więc zakładam się dziewięć do czterech, że pojedziesz! – krzyknął, ruszając na mnie z wyciągniętą szablą.

Ale te słowa nasunęły mi myśl, że przecież można to rozstrzygnąć inaczej niż walcząc na szable. Bart postawił mnie w takiej sytuacji, że powinienem go teraz zranić, albo on zrani mnie. Wprawdzie udało mi się uniknąć jego nagłego ataku, to jednak ostrze jego szabli znalazło się o cal od mojej szyi.

– Mam propozycję! – krzyknąłem. – Rzucimy kości o to, kto z nas ma być czyim więźniem.

Uśmiechnął się. To odpowiadało jego zamiłowaniu do hazardu.

– Ma pan kości? – zapytał.

– Nie mam.

– Ani ja. Ale mam karty.

– Mogą być karty – zgodziłem się.

– W co gramy?

– Pan wybiera.

– Zatem écarté – trzy gry, kto będzie miał najwięcej punktów.

Nie mogłem się powstrzymać i uśmiechnąłem się na to, bowiem nie sądzę, żeby we Francji było więcej niż trzech ludzi, którzy pokonaliby mnie w tej grze. Kiedy poinformowałem o tym Barta, który tymczasem też zsiadł z konia, też się uśmiechnął.

– Mnie zaś uważają za najlepszego gracza u Watiera – odparł. – Jeżeli pan ze mną wygra, to w pełni zasłuży na wolność.

Przywiązaliśmy konie i usiedliśmy po przeciwnych stronach dużego, płaskiego kamienia. Bart wyjął talię kart i sposób w jaki je tasował przekonał mnie, że nie jest nowicjuszem. Przełożyliśmy i on rozdawał.

Na Boga, stawka warta była tej gry. Mój przeciwnik chciał dodać do stawki więźnia jeszcze sto złotych monet za każdą grę, ale co tam pieniądze, jeżeli los Etienne’a Gerarda zależy od kart?

Czułem, jakby wszyscy, którym zależało na wynikach gry – moja matka, moi huzarzy, Szósty Korpus Armii, Ney, Massena, a nawet sam Cesarz – utworzyli dookoła nas krąg w tej odosobnionej dolinie. O, Nieba! Co to byłby za cios dla nich wszystkich i dla każdego z osobna, gdyby karty nie okazały się dla mnie szczęśliwe! Byłem jednak pewny siebie, dlatego, że w grze w écarté byłem tak samo dobry jak w szermierce, ponieważ nikt mnie jeszcze w tej grze nie pokonał, oprócz starego Bouveta z huzarów Bercheny, który ze stu pięćdziesięciu partii wygrał siedemdziesiąt sześć.

No i rzeczywiście, bowiem pierwszą grę gładko wygrałem, chociaż wyznam szczerze, iż karty też były po mojej stronie i mój przeciwnik nie miał żadnych szans. W drugiej – nigdy nie grałem lepiej i finezyjnie zdobyłem lewę, ale Bart raz mnie zaskoczył w drugim rozdaniu, postawił króla i skończył drugą grę. Wierzcie mi, byliśmy tak pochłonięci grą, że on zdjął i odłożył hełm, a ja moją czapkę.

– Stawiam moją dereszowatą klacz przeciwko twojemu karemu koniowi – powiedział.

– Zgoda! – odparłem.

– Szabla za szablę!

– Zgoda!

– Siodło, uzdę i strzemiona! – krzyknął.

– Zgoda!

Zaraził mnie gorączką hazardu. Postawiłbym moich huzarów przeciwko jego dragonom, gdyby tylko można było to zrobić.

Potem nastąpiły kolejne gry. Och, jak on grał, ten Anglik – grał w sposób wart

takiej stawki. Lecz i ja, moi przyjaciele, ja też grałem znakomicie! Z pięciu zdobytych lew, wziąłem z pierwszej ręki od razu trzy. Bart przygryzł wąsy i bębnił palcami, gdy ja już czułem, że na powrót dowodzę moimi drogimi zuchami. W drugiej grze, wprawdzie pobiłem jego króla, ale straciłem dwie lewy – jednak zdobyłem już cztery punkty, a on tylko dwa. Kiedy zobaczyłem w ręku karty następnego rozdania, nie mogłem stłumić w sobie okrzyku zachwytu. „Jeżeli teraz nie uzyskam wolności”, pomyślałem, „to zasłużę na to, żeby na zawsze pozostać w kajdanach!”

Gospodarzu! Podaj mi karty, a rozłożę je wam na stole i pokażę, co wtedy dostałem.

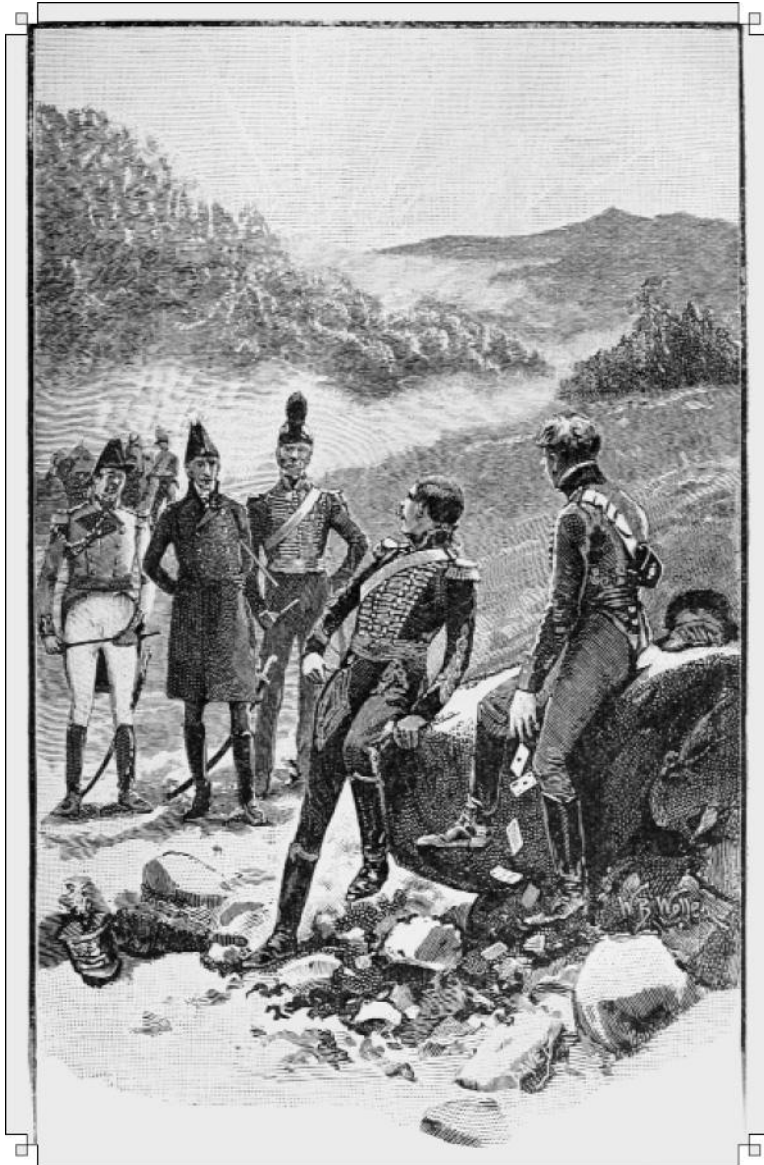
Oto, jakie karty dostałem w tym rozdaniu: walet i as treflowy, królowa i walet karo i król kier. Atutami były trefle, zwróćcie na to uwagę, a tylko jeden punkt brakował mi do wolności. Anglik, widząc to, z rozpaczy zdjął kurtkę, a ja też zdjąłem mój dolman. Położył dziesiątkę pik – wziąłem ją asem atutowym. Jeden punkt dla mnie. Poprawna gra wymagała zgrania atutów i położyłem waleta. Rzucił na niego damę i szanse się wyrównały. Położył na kamień ósemkę pik. Mogłem położyć tylko królową karo. Potem rzucił siódemkę i uniosły mi się włosy na głowie. W końcu obaj rzuciliśmy króle. Zdobył dwa punkty i co znaczyła moja ręka mistrza przy jego ręce szczęściarza? Wściekły, niemal chciałem się tarzać na ziemi. W tym, 1810 roku, pewnie często grywali u tego Watiera – ja to wam mówię, brygadier Gerard!

Ostatnia, decydująca gra! To ostatnie rozdanie rozstrzygnie – w tę albo w tę stronę! Rozwiązał swoją szarfę, ja zdjąłem pas z szablą. Anglik był spokojny, ja też próbowałem być spokojny, ale pot zaczął zalewać mi oczy. On rozdawał karty, ale musicie mi wierzyć przyjaciele, że ręce mi tak drżały, iż z trudem zbierałem je z zaimprovizowanego stołu. Kiedy jednak ułożyłem je w ręku, zgadnijcie, na czym mój wzrok spoczął w pierwszym rzędzie? Był to król! Ten cudowny król atutowy! Już otwierałem usta, aby o tym zakomunikować, ale słowa zamarły mi na wargach, gdy spojrzałem i zobaczyłem wyraz twarzy mojego przeciwnika.

Trzymał w ręce karty, ale szczeka mu opadła i wlepił wzrok w coś, co znajdowało się za moimi plecami. Wpatrywał się w to z przerażeniem, konsternacją i zaskoczeniem zarazem. Ja również odwracając się zamarłem ze zdumienia, bowiem moim oczom ukazał się szczególnie widok.

Blisko stało trzech mężczyzn – mniej więcej piętnaście metrów od nas. W środku stał mężczyzna słusznego, podobnego jak ja wzrostu. Miał na sobie ciemny mundur i na głowie niezbyt duży, trójgraniasty kapelusz z białym piórem z boku. Jednak mało zwracałem uwagi na jego strój. Ale twarz! Ta twarz o zapadniętych policzkach, z sępim nosem i przenikliwych, niebieskich oczach, z zaciśniętymi, cienkimi wargami, to ona wyraźnie mówiła, że ma się przed sobą jedyne w swoim rodzaju człowieka, jaki zdarza się raz na milion. Ściągnął brwi i spod nich rzucił na mojego nieszczęsnego Barta tak groźne spojrzenie, że z jego drżących palców zaczęły wypadać karty. Z dwóch pozostałych mężczyzn, twarz jednego miała barwę brązu i tak ostre rysy, jakby została wyciosana z pnia starego dębu. Miał na sobie jaskrawoczerwoną kurtkę, podczas gdy drugi, dość korpulentny, z krzaczastymi bokobrodami, ubrany był w błękitny żakiet ze złotymi wyłogami. Nieco dalej za nimi stało trzech ordynansów, trzymając za uzdy konie,

a jeszcze dalej w tyle czekała eskorta dragonów.



Z jego drżących palców zaczęły wypadać karty

– Ech, Crauford, co to u licha ma znaczyć? – zapytał chudy mężczyzna.

– Słyszałeś, sir? – wykrzyknął mężczyzna w czerwonej kurtce. – Lord Wellington chce wiedzieć co to ma znaczyć?

Mój biedny Bart wyrzucił z siebie meldunek o tym, co mu się przydarzyło, ale martwa jak skała twarz ani na chwilę nie złagodniała.

– Bardzo interesujące opowiadki, generale Crauford – przerwał. – Ale w wojsku należy utrzymywać dyscyplinę, a on ją złamał, sir. Bart, zamelduj się w kwaterze głównej jako więzień.

Patrzyłem ze zgrozą, jak Bart dosiada konia i odjeżdża ze spuszczoną głową. Wprost nie mogłem tego znieść. Rzuciłem się przed angielskiego generała i zacząłem go błagać o litość dla mojego przyjaciela. Mówiłem, że ja, pułkownik Gerard, byłem świadkiem, jak pełnym fantazji był ten młody oficer. Ach, moja przemowa mogłaby zmiękczyć najtwardsze serce; do moich oczu napłynęły łzy, jednak jego pozostały suche. Głos mi się załamał i nie mogłem już wykrztusić ani słowa.

– Jak ciężko obładowujecie muły we francuskiej armii? – zapytał.

Tak, ten flegmatyczny, stuprocentowy Anglik, właśnie w ten sposób zareagował na moje błagania, podczas gdy Francuz na jego miejscu rozplakałby się na moim ramieniu.

– Jaki ciężar przypada na jednego muła? – powtórzył pytanie mężczyzna w czerwonej kurtce.

– Dwieście dziesięć funtów – odparłem.

– Zatem przeciążacie go dwukrotnie – stwierdził lord Wellington. – Zaprowadźcie więźnia na tyły.

Dragoni otoczyli mnie, a ja... ja niemal odchodziłem od zmysłów na myśl, że miałem w ręku wygraną i że byłbym już wolny. Pokazałem moje karty generałowi.

– Proszę, niech pan spojrzy, generale! – krzyknąłem. – Grałem o moją wolność i wygrałem, bo jak pan widzi... dostałem króla!

W tym momencie wyraz jego twarzy nieco złagodniał.

– Przeciwnie – rzekł, wsiadając na konia – to ja wygrałem, bo jak pan widzi, to mój król dostał pana...

IV. Jak król dostał brygadiera

Murat niewątpliwie był wspaniałym oficerem kawalerii, ale był zbyt dumny, co zniszczyło już niejednego dobrego żołnierza. Lasalle również – dowódca pełen fantazji, którego z kolei zniszczyło nadmierne zamiłowanie do wina i różnych szaleństw.

Natomiast ja, Etienne Gerard, nigdy zbyt nie chełpiłem swoimi osiągnięciami i byłem bardzo wstrzemięźliwy w picciu – no, być może wyjątek stanowiło zakończenie jakiejś kampanii, albo kiedy spotykałem starego towarzysza broni. Może z powodu wrodzonej nieśmiałości i pewnego poczucia delikatności, nigdy nie twierdziłem, że byłem najbardziej cenionym oficerem w mojej części służby. To prawda, że nigdy nie awansowałem wyżej niż na dowódcę brygady, ale wszyscy przecież wiedzą, że okazję wspięcia się na szczyty mieli tylko ci, których spotkało szczęście towarzyszenia Cesarzowi w jego wczesnych kampaniach. Z wyjątkiem Lasalle'a, Labau'a i Droueta nie pamiętam żadnych innych generałów, którzy nie zdobyliby już sławy przed kampanią egipską.

W związku z tym nawet ja, z moimi wszystkimi wybitnymi zdolnościami, mogłem tylko awansować na dowódcę mojej brygady i otrzymać specjalny medal zasługi z rąk samego Cesarza – ten, który obecnie trzymam w domu, zamknięty w skórzanym pudełku.

Chociaż nigdy nie awansowałem wyżej, moje kwalifikacje były dobrze znane tym, którzy służyli ze mną, ale też i Anglikom. Po tym, jak mnie pojмали w sposób, który opisałem wam zeszłego wieczoru, przetrzymywali mnie pod strażą w Oporto i mogę wam wyznać, że ci groźni przeciwnicy nie dali mi cienia szansy wymknienia się z ich rąk.

Dziesiątego sierpnia zaprowadzono mnie na pokład okrętu, którym popłynąłem do Anglii i pod koniec miesiąca znalazłem się w wielkim więzieniu, zbudowanym dla nas w Dartmoor!

My, Francuzi, daliśmy mu nazwę „L'hôtel Français et Pension”. Musicie zrozumieć, że wszyscy byliśmy tam dzielnymi ludźmi i nie traciliśmy ducha z powodu chwilowych przeciwności.

Więziono tam tylko tych oficerów, którzy odmówili dania słowa i większość więźniów była marynarzami lub zwykłymi żołnierzami. Możecie mnie zapytać, dlaczego nie dałem słowa honoru, żeby cieszyć się dobrym traktowaniem, podobnie jak moi koledzy oficerowie. No cóż, miałem ku temu dwa powody i oba były dostatecznie mocne.

Po pierwsze, posiadałem tak wysokie poczucie własnej godności, że byłem absolutnie przekonany, iż uda mi się uciec. Po drugie, moja rodzina – chociaż ciesząca się nienaganną reputacją – nigdy nie była bogata, zatem nie mogłem nic uszczknąć z małych dochodów mojej matki. Z drugiej strony, nigdy mnie nie zaślepiało, ani też nie imponowało, takie burżuazyjne społeczeństwo jak angielscy mieszczanie, ani też nie zamierzałem okazywać względów lub poświęcać uwagi tym damom, z którymi musiałbym się spotykać – byłem na to po prostu za biedny!

Z tych właśnie powodów wolałem pogrzebać się w tym strasznym więzieniu Dartmoor.

Zatem, zechciejcie teraz posłuchać opowieści o moich przygodach w Anglii i na ile

słowa milorda Wellingtona były prawdziwe, gdy powiedział, że to jego król dostał mnie.

Muszę jednak na wstępie zaznaczyć, że gdybym nie mówił tylko o swoich przygodach, to musiałbym panów trzymać tu do rana snując opowieści o całym Dartmoor. Było to bowiem najdziwniejsze miejsce na całym świecie – ponieważ więzienie zbudowane na środku wielkiego pustkowia gromadziło siedem lub osiem tysięcy więźniów będących wojskowymi, no rozumiecie, ludzi niezwykle odważnych i doświadczonych. Węzienie otaczały podwójne mury i rów, pilnowali go strażnicy i żołnierze, ale – na Boga! – nie można trzymać ludzi jak króliki w klatkach, więc uciekali po dwóch, dziesięciu i dwudziestu, a potem grzmiały armaty i ruszały oddziały poszukiwawcze, natomiast my, którzy zostaliśmy za murami śmiało się, śpiewali i krzyczeli „*Vive l’Empereur!*”, aż strażnicy z wściekłością mierzyli do nas z muszkietów. Miały też miejsce mniejsze bunty, które w końcu ściągnęły piechotę i armaty z Plymouth, a my znowu wrzeszczeliśmy „*Vive l’Empereur!*”, tak, jakbyśmy chcieli, żeby nas usłyszano w Paryżu. Takie oto miewaliśmy rozrywkowe chwile w tym Dartmoor i znajdowaliśmy sposób, aby i innych więźniów zachęcić do tego rodzaju rozrywek.

Musicie jednak wiedzieć, że więźniowie mieli tam swój własny sąd, który rozpatrywał sprawy więźniów, wymierzając odpowiednie kary. Karano kradzieże i burdy – lecz najostrzej ze wszystkiego karano zdradę.

Krótko po moim przybyciu do Dartmoor, niejaki Meunier z Reims poinformował władze więzienia o planowanej ucieczce.

Jednak tej nocy – z różnych przyczyn, których nie będę tu podawał – nie można go było zabrać spośród innych więźniów. No i dobrze – chociaż krzyczał i płakał, czołgając się po ziemi, pozostawiono go między tymi więźniami, których zdradził. Tej samej nocy odbył się proces z tajnym oskarżycielem i tajnym obrońcą, zakneblowanym więźniem i sędzią, którego nikt nie widział. Rano, gdy strażnicy przyszli po niego z dokumentami zwolnienia z więzienia, nie znaleźli nawet tyle, ile brudu za paznokciem kciuka. Więźniowie byli bardzo pomysłowi i mieli własne sposoby.

My, oficerowie, przebywaliśmy w odrębnym skrzydle i stanowiliśmy bardzo wyjątkową grupę. Pozostawiono nam mundury i wśród nas byli prawie wszyscy, którzy służyli w korpusach dowodzonych przez Victora, Massenę lub Ney’a, a niektórzy tkwili tu od czasu, gdy Junot został pobity pod Vimierą. Pośród nas byli strzelcy w zielonych mundurach, huzarzy jak ja, błękitni dragoni, lansjerzy i kawalerzyści razem z artylerzystami oraz saperami. Jednak najwięcej było oficerów marynarki wojennej, ponieważ Anglicy mieli nad nami przewagę na morzu. Nie miałem o tym pojęcia aż do dnia, w którym płynęliśmy z Oporto do Plymouth, gdy przez cały tydzień leżałem złożony niemocą i nie mogłem się ruszyć, nawet wtedy, gdy na moich oczach konfiskowano pułkowego orła. Miało to miejsce w czasie tej okropnej pogody, jak ta, w której Nelson uzyskał nad nami przewagę.

Krótko po przybyciu do Dartmoor, zacząłem znowu planować ucieczkę i możecie mi śmiało wierzyć, że z moją wyostrzoną przez dwanaście lat na wojnie inteligencją, wkrótce znalazłem sposób.

Musicie wiedzieć, że przede wszystkim bardzo się przydała moja znajomość

angielskiego. Nauczyłem się tego języka w czasie tych miesięcy, które spędziłem pod Gdańskiem. Uczył mnie potomek rodu starożytnych królów irlandzkich, Obriant, z pułku Irlandczyków. Szybko nauczyłem się z pewną płynnością rozmawiać, co oczywiście zawdzięczam łatwości przyswajania słówek i chłonności mojego umysłu. W ciągu trzech miesięcy mogłem nie tylko swobodnie się wysławiać, ale też używać idiomów. To właśnie Obriant nauczył mnie, że „be jabbers” znaczy tyle, co po francusku „ma foi”, a „The curse of crumple” tyle co „Ventre bleu!” Często widywałem Anglików uśmiechających się z przyjemnością, kiedy słyszeli, gdy mówię w ich języku tak samo jak oni.

Oficerowie, we dwóch zajmowali jedną celę, na mój gust zbyt małą nawet tylko dla mojego wysokiego współlokatora, milczącego człowieka o nazwisku Beaumont, z lotnej artylerii, którego wzięła do niewoli angielska kawaleria pod Astorga.

Rzadko spotykałem ludzi, z którymi nie mógłbym się zaprzyjaźnić, ponieważ mój charakter i zachowanie są... no, ale przecież wiecie jakie są... Ale ten człowiek nigdy nawet się nie uśmiechnął z moich żartów, nie zareagował wtedy, gdy byłem przygnębiony, tylko siedział i gapił się na mnie tymi swoimi ponurymi oczami tak, że czasem myślałem, iż te dwa lata odosobnienia pozbawiły go zmysłów. Ach, jakże tęskniłem za starym Bouvetem, czy którymś z moich kamratów huzarów, którzy zastąpiliby tę mumię. Jednak, mając tylko jego, musiałem jakoś ułożyć sobie życie i było zupełnie jasne, że nie ma nawet mowy o ucieczce, dopóki w mojej celi siedzi ten człowiek. Jak mógłbym to zrobić niezauważony przez niego? W tej sytuacji, od czasu do czasu rzucałem mu dwuznaczne aluzje, a potem stopniowo zacząłem mówić wyraźniej, aż ostatecznie wydawało mi się, że udało mi się nakłonić go do współdziałania.

Zbadałem ściany, podłogę i sufit, ale chociaż opukiwałem i dłubałem, z rozczarowaniem stwierdziłem, że są grube i solidne. Żelazne drzwi zaopatrzone w mocny zamek sprężynowy i kratkę, przez którą strażnik nocą dwa razy zaglądał do celi.

W naszej celi stały tylko dwa łóżka, dwa taborety i dwie umywalnie i to mnie w pełni zadowalało, bo gdzie miałem więcej w ciągu tych dwunastu lat spędzonych w obozach wojskowych? Lecz jak stąd uciec? Każdej nocy myślałem o moich pięciuset huzarach i co noc gnębiły mnie straszne koszmary, w których widziałem, że cały pułk bardzo potrzebuje nowych butów, że konie dostały kolki od zielonej paszy, czy też, że topią się w bagnach, albo, iż sześć szwadronów zostało zdziesiątkowanych w obecności Cesarza. Budziłem się, zlany zimnym potem i ponownie ruszałem do stukania i dłubania, wiedząc bardzo dobrze, że nie ma przeszkód, których nie pokonałaby mądra głowa i para zręcznych rąk.

Cela miała tylko jedno okno, tak małe, że z trudem mogłoby się przez nie przecisnąć małe dziecko, a w dodatku w centrum zabezpieczono je poziomą, żelazną sztabą. Nie uznalibyście tego za obiecującą drogę ucieczki, ale ja byłem coraz bardziej i bardziej przekonany, że nasze wysiłki muszą iść w tym kierunku. Sprawę pogarszał fakt, że to jedyne okno wychodziło na podwórze spacerowe, otoczone podwójnymi murami. Niemniej, oświadczyłem mojemu ponuremu towarzyszkowi niedoli, że czas już mówić o przekroczeniu Wisły, nawet jeżeli jest się jeszcze nad Renem. Dlatego przyszykowałem sobie niewielki kawałek żelaza oderwanego od mojego łóżka i zacząłem nim usuwać tynk

wokół sztaby. Pracowałem co noc przez trzy godziny, a na dźwięk zbliżającego się strażnika wskakiwałem do łóżka. Potem następne trzy godziny i często znowu trzy godziny, ponieważ okazało się, że Beaumont był tak wolny i niezdarny, że mogłem polegać tylko na sobie.

Wyobrażałem sobie czekających na mnie za oknem huzarów z bębniami, chorągwiemi i czaprakami z lamparciego futra. Dlatego pracowałem jak wariat, aż moje narzędzie pokryła krew, niczym rdza. I tak co noc usuwałem twarde tynk, chowając go w moją poduszkę, aż w końcu żelazo zaczęło się ruszać i w pewnym momencie, po silnym szarpnięciu zostało mi w ręce. Wykonałem pierwszy krok ku wolności.

Teraz zapytacie mnie, jak mogłem uznać, że znalazłem się w lepszym położeniu, skoro przez to okno mogło się przecisnąć małe dziecko – i to z trudem? Zaraz to wam wyjaśnię. Uzyskałem dwie rzeczy w jednej – narzędzie i broń. Narzędzie pozwoliło mi poszerzyć otwór, broń umożliwiała obronę w czasie ucieczki. Teraz skupiłem uwagę na rozluźnieniu kamieni otaczających otwór okienny, kując ostrym końcem sztaby i usuwając zaprawę. W ciągu dnia oczywiście pozostawiałem wszystko na dawnym miejscu, aby strażnik niczego nie zauważył, nawet pyłku na podłodze. Pod koniec trzeciego tygodnia rozluźniłem kamienie i z zachwytem ujrzałem przez powiększony otwór dziewięć błyszczących gwiazd, chociaż przedtem widziałem tylko cztery.

Teraz wszystko było już dla nas gotowe, ułożyłem na miejscu kamienie i wyrównałem szpary od sztaby, używając sadzy z tłuszczem. Na trzecią noc zajdzie księżyc i wydawało się, że wtedy będziemy mieli najlepszą okazję do ucieczki.

Nie miałem już wątpliwości, że uda się nam wydostać na podwórze, ale jak się przedostać dalej? Jakież to byłoby upokorzenie, gdybym po wysiłku tu, w celi i tam za murami, musiał z rozpaczą wrócić do tej dziury, albo zostać aresztowany przez wartę zewnętrzną i wrzucony do jednej z tych podziemnych, wilgotnych cel przeznaczonych dla więźniów złapanych podczas ucieczki. Dlatego usiadłem i zacząłem przygotowywać plan dalszych posunięć. Jak wiecie, nigdy nie miałem szans pokazać, jak byłbym działał będąc generałem, chociaż po kilku szklankach wina mogłem wymyślać zaskakujące kombinacje i czuję, że gdyby Napoleon powierzył mi z całym zaufaniem korpus armii, to Francja razem z nim wyglądałaby dziś zupełnie inaczej.

W każdym razie pod względem stosowania drobnych forteli wojennych i w szybkości realizacji pomysłowych planów – co jest niezbędne dla oficera lekkiej kawalerii – mogłem się zmierzyć z każdym, a ta myśl dodała mi otuchy i upewniła, że nie zawiodę.

Wewnętrzny mur, który musiałem pokonać, był zbudowany z cegieł i na szczycie miał rząd zaostzonych kolców w odstępach trzech cali. Na mur zewnętrzny rzuciłem tylko pobieżnie okiem raz lub dwa razy, gdy brama spacerniaka była otwarta. Był tej samej wysokości i też zaopatrzony na szczycie w kolce. Mury były od siebie oddalone o ponad dwadzieścia stóp i wydawało mi się, że nie kręcą się tam strażnicy, którzy trzymali wartę tylko przy bramach. Jednak wiedziałem, że na zewnątrz więzienia znajduje się cały łańcuch posterunków wojskowych. I to był właśnie ten twarde orzech, przyjaciele, który musiałem zgryźć bez użycia dziadka do orzechów, albo zgnieść go w obu rękach.

Mój towarzysz, Beaumont, był – jak już mówiłem – wysoki, miał co najmniej sześć stóp wzrostu i wydawało mi się, że jeśli stanę mu na ramionach, będę mógł z łatwością wejść na mur. Ale czy potem będę w stanie wciągnąć tego ciężkiego mężczyznę za sobą? Oto był problem, ale skoro siedzę razem z takim typem, którego nie darzę sympatią, to przecież i tak nic na świecie nie zmusi mnie, abym go opuścił w biedzie. Jeżeli wejdę na mur, a on nie będzie mógł podążyć w moje ślady, to powinienem wrócić po niego. Jednak on z kolei zdawał się zupełnie nie martwić o to, zapewne całkowicie ufając moim możliwościom.

Następną, bardzo ważną sprawą, było wybranie warty, która w czasie ucieczki miała służbę pod naszym oknem. Zmiany następowały co dwie godziny, ale co noc obserwując je przez okno wiedziałem, że pod względem czujności bardzo się od siebie różniły. Byli strażnicy wykazujący taką czujność, że nawet szczur nie mógłby przebiec przez podwórze niezauważony, ale inni byli na tyle beztroscy, że ucinali sobie drzemkę wsparci na muszkiecie, jakby znajdowali się w domu, na ojcowskim łóżku. Jeden z nich był szczególnie leniwy. Gruby, zwalisty żołnierz, który regularnie krył się w cieniu muru i tak twardo spał przez dwie godziny, że nie obudził się nawet wtedy, gdy rzucałem w niego z okna kawałkami tynku.

Szczęśliwie właśnie ten żołnierz miał służbę od dwunastej do drugiej, w noc naszej planowanej ucieczki.

Im bardziej zbliżał się wieczór, tym większy czułem niepokój, a w końcu przestałem się kontrolować i zacząłem nerwowo krążyć po celi, jak mysz w klatce. Bałem się, że strażnik w każdej chwili odkryje, iż sztaba w oknie jest rozluźniona, albo wartownik zobaczy, że kamienie pozbawione są zaprawy, której z zewnątrz nie mogłem prowizorycznie uzupełnić, tak jak to uczyniłem od środka. Natomiast mój towarzysz siedział zasępiony na brzegu łóżka, od czasu do czasu zerkając na mnie ukradkiem i ogryzając paznokcie jak ktoś, kto głęboko się nad czymś zastanawia.

– Odwagi, przyjacielu! – wykrzyknąłem, klepiąc go w ramię. – Zanim minie miesiąc ujrzysz znowu swoje armaty.

– To wszystko wygląda pięknie – powiedział w końcu – ale dokąd pan chce uciec po wydostaniu się z Dartmoor?

– Na wybrzeże – odparłem. – Dzielnemu żołnierzowi nic nie przeszkodzi. Wracam prosto do mojego pułku.

– Bardziej prawdopodobne, że wrócisz pan prosto do podziemnej celi, albo do jakiegoś więziennego okrętu w Portsmouth – stwierdził.

– Żołnierz korzysta z każdej okazji – zauważyłem. – Tylko tchórz wszędzie widzi i przeczuwa niebezpieczeństwo.

Na te słowa zobaczyłem, jak jego policzki zaczynają się czerwienić. Ucieszył mnie ten widok, bowiem był to pierwszy u niego znak jakiegoś uczucia. Przez chwilę sięgnął po dzbanek z wodą, jakby chciał nim we mnie rzucić, ale wzruszył tylko ramionami i znowu siedział, w milczeniu gryząc paznokcie i ponuro wpatrując się w podłogę. Patrząc na niego nie mogłem się oprzeć myśli, że być może wyrządzą krzywdę artylerii, zwracając im takiego żołnierza.

Jeszcze nigdy w moim życiu wieczór nie włókł się tak nieznośnie wolno. Zanim

zapadła noc, zerwał się wiatr i w miarę zapadania ciemności wiał coraz silniej, zmieniając się w szalejącą nad wrzosowiskiem wichurę. Wyglądając przez okno nie mogłem zobaczyć gwiazd, całe niebo zasnuły czarne chmury. Zaczął padać deszcz i przy jękach i wyciu wiatru nie miałem szans usłyszeć kroków wartownika. „Jeżeli ja go nie słyszę”, pomyślałem, „to niemożliwe, żeby on usłyszał mnie” i z najwyższą niecierpliwością czekałem, aż inspektor odbędzie tej nocy swoją rundę, zaglądając kolejno do wszystkich cel przez kratkę w drzwiach. Kiedy to nastąpiło, doszedłem do wniosku, że nadszedł właściwy moment. Wpatrując się w ciemność nie widziałem wartownika, który niewątpliwie kulił się gdzieś w kącie przed deszczem. Usunąłem sztabę z okna, potem kamienie i skinąłem na mojego kompana, dając znak, że wychodzimy.

– Po panu, pułkowniku – rzekł.

– Nie chcesz iść pierwszy? – zapytałem.

– Wolę, żeby pan wskazał mi drogę.

– No to idź za mną, tylko cicho, jeśli ci życie miłe!

Mogłem w ciemności słyszeć, jak szcękają mu zęby i zastanawiałem się, czy ktoś miał już takiego partnera w podobnie desperackim przedsięwzięciu.

Chwyciłem sztabę i wspiąłem się na taboret, a potem głową i ramionami wcisnąłem się w okno. Zdążyłem się już przedostać do pasa, gdy nagle mój współwięzień chwycił mnie za kolana i zaczął wrzeszczeć na całe gardło:

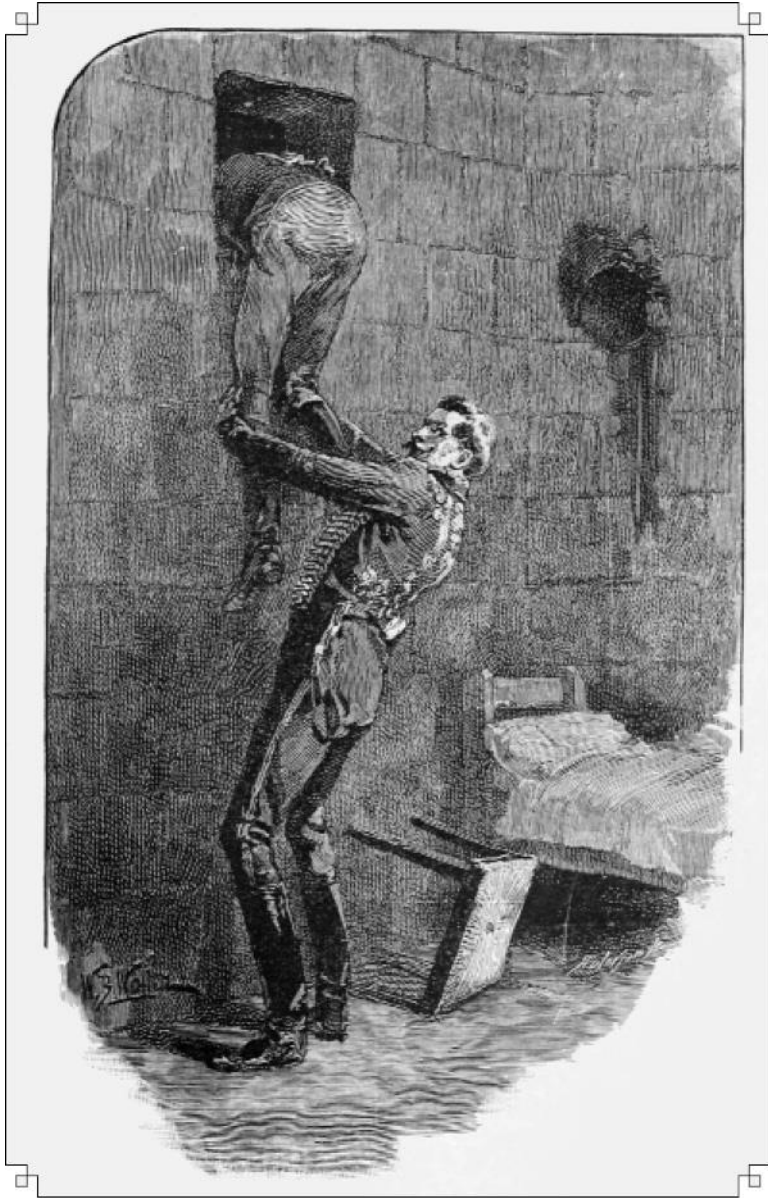
– Pomocy! Pomocy! Więzień ucieka!

Ach, drodzy przyjaciele, jak mam wam opisać, co wtedy czułem? Oczywiście natychmiast przejrzałem grę tej podłej kreatury. Dlaczego miał ryzykować i przełazić przez mury, skoro mógł być pewien uzyskania łaski Anglików za udaremnienie ucieczki jednemu z najcenniejszych więźniów? Ale ja uznałem, że wyjątkowy z niego kretyn i donosiciel, chociaż nie mogłem zrozumieć bezdennej głębi jego upodlenia. Komuś, kto życie spędził wśród dżentelmenów i ludzi honoru, nawet do głowy nie wpadnie myśl o czymś takim, póki sam się z tym nie zetknie.

Ten zakuty łeb zdawał się nie rozumieć, że sam znalazł się w dużo gorszym niż ja położeniu. Wydostałem się z otworu z powrotem do celi i w ciemności chwyciłem go za gardło, a potem wyrznąłem dwa razy sztabą. Po pierwszym uderzeniu zawył jak pies, a po drugim padł z jękiem na podłogę. Usiadłem na łóżku i czekałem zrezygowany myśląc, jaką karę wymierzą mi władze więzienia.

Ale mijały minuty i nie słyszałem żadnego dźwięku poza ciężkim, chrapliwym dyszeniem leżącego na podłodze nieprzytomnego nędznika. Czy to możliwe, żeby w wyciu wichru nie usłyszano jego wrzasków?

Ta słaba nadzieja z minuty na minutę zmieniała się w pewność i to, co było na początku prawdopodobne, teraz stało się pewne. Z korytarza nie dochodził żaden dźwięk. Na podwórzu panowała cisza. Otarłem z czoła zimny pot i zadałem sobie pytanie, co teraz mam robić?



Pomocy! Pomocy! Więzień ucieka!

Jedno wydawało się pewne – człowiek leżący na podłodze musi umrzeć. Jeżeli zostawię go przy życiu, nie będę wiedział kiedy zaalarmuje władze więzienia i ile mi czasu zostanie na wolności. Jednak nie miałem odwagi zapalać światła, więc macałem rękoma w ciemności, aż w końcu dotknąłem czegoś wilgotnego – była to jego głowa.

Uniosłem żelazną sztabę, ale nagle pojawiło się coś, moi przyjaciele, co przeszkodziło mi uderzyć. W gorączce walki zabiłem wielu ludzi – nawet ludzi honoru, którzy nie wyrządzili mi żadnej krzywdy. A tu leżała ta nędzna kreatura, zbyt plugawa by żyć, która może wyrządzić mi wielką krzywdę, a ja nie mogłem się zmusić, żeby rozwalić jej czaszkę. Takie czyny pasują do hiszpańskich partida – albo do sansculotte z Faubourg St. Antoine – ale nie do takiego jak ja żołnierza i dżentelmena.

Jednak ciężki oddech tego drania dawał mi nadzieję, że prędko nie odzyska przytomności. Dlatego zakneblowałem go i przywiązałem paskami pociętego koca do łóżka tak, że w jego obecnym stanie można było śmiało przypuszczać, że nie uwolni się przed następną wizytą strażnika. Jednak stanąłem w obliczu nowych trudności. Jak pamiętacie, zamierzałem wykorzystać jego wzrost do wspięcia się na szczyty obu murów.

Pozostało mi tylko usiąść i zalać się łzami rozpacz, ale w tym momencie pomyślałem o mojej matce i Cesarzu – i wykrzyknąłem; „Odwagi! Jeżeli Etienne Gerard znalazł się w tarapatkach, to takiego młodzieńca niełatwo zniechęcić!”

Dlatego wzięłem prześcieradło Beaumonta i moje, pociąłem w pasy i splełem w warkocz, tworząc w ten sposób mocny sznur. Sznur przywiązałem w środku długiej na ponad stopę żelaznej sztaby. Potem wyczołgałem się przez okno na podwórze. Padał rzęsy deszcz i wiatr wył głośniej niż przedtem. Trzymałem się w cieniu murów więzienia, ale i tak panowały takie egipskie ciemności, że nic nie widziałem na długość wyciągniętej ręki. Czułem, że nie muszę się obawiać wartownika, póki się o niego nie potknę. Po znalezieniu się u stóp muru, zarzuciłem na szczyt sztabę ze sznurem i z radością usłyszałem, że zaczepiła się o sterczące kolce. Wspiąłem się po linie, wciągnąłem ją, przerzuciłem na drugą stronę i zszedłem na dół.

Drugi mur zamierzałem pokonać w ten sam sposób i gdy znalazłem się na szczycie, zobaczyłem na dole coś błyszczącego w ciemnościach. Był to bagnet wartownika tak blisko (ten drugi mur był niższy od pierwszego), że pochylając się mogłem z łatwością dosięgnąć go i wyjąć z uchwytu. Wartownik stał, coś do siebie mrużąc i kuląc się pod murem z zimna, nie mając pojęcia, że kilka stóp nad nim zrozpaczony człowiek mógł przebić mu serce jego własnym bagnetem. Już zamierzałem skoczyć, gdy wartownik z przekleństwem zarzucił muszkiet na ramię i z chlupotem butów ruszył przez błoto wznowić obchód.

Zsunąłem się po sznurze i zostawiając go na murze, pobiegłem co sił przez moczary.

Wielkie Nieba, ależ ja biegłem! Wiatr smagał moją twarz i dławił oddech. Deszcz przenikał przez mundur do gołej skóry. Potykałem się, wpadałem w jakieś dziury, albo w krzaki jeżyn. Byłem cały podrapany, krwawiły mi ręce, traciłem oddech. Czułem, jakby moje nogi i język były z ołowiu, serce waliło jak bęben. Ciągle biegłem, biegłem i biegłem.

Ale mimo wszystko, przyjaciele, nie straciłem głowy. Wszystko, co robiłem, było

zgodne z planem. Nasi uciekinierzy zawsze zmierzali na wybrzeże, ja jednak postanowiłem biec w głąb lądu, w przeciwnym kierunku do tego, o którym mówiłem Beaumontowi. Uciekałem więc na północ, zaś ścigający będą mnie szukać na południu.

Pewnie zapytacie, jak mogłem rozeznaczyć kierunki w ciemną, deszczową noc? Wyjaśniam – po kierunku wiatru. Jeszcze w więzieniu zaobserwowałem, że wiatr wieje z północy, więc tak długo, jak długo czuję go na twarzy, biegnę we właściwym kierunku.

Biegając ciągle w tym samym tempie, nagle ujrzałem płonące w ciemności przede mną dwa żółte światła. Zatrzymałem się, nie mając najmniejszego pojęcia, co robić. Ciągle miałem na sobie mundur huzara, więc pojmujecie chyba, że teraz było dla mnie niezwykle ważne, aby zdobyć inne ubranie, które pozwalałoby mi nie zdradzać tożsamości. Jeżeli te światła pochodziły z jakiegoś domu, to mogłem założyć, że znajdę w nim to, czego potrzebowałem. Dlatego ostrożnie się zbliżyłem, żałując, że nie mam przy sobie żelaznej sztaby, byłem bowiem zdecydowany walczyć na śmierć i życie, żeby mnie nie schwytano.

Jednak szybko się przekonałem, że nie był to dom. Świeciły dwie latarnie zawieszane po obu bokach powozu i w ich świetle zobaczyłem przed sobą szeroką drogę. Kuląc się w krzakach zauważyłem dwa konie i stojącego przy ich łbach małego pocztyliona, a obok nich na drodze leżało koło od powozu. Przyjrzałem się bliżej i wtedy mogłem dokładnie widzieć parujące zwierzęta, niskiego chłopca trzymającego je za wędzidła i czarny powóz na trzech kołach, cały ociekający deszczem. Obserwując powóz ujrzałem, jak opuszcza się okno w drzwiach i wygląda przez nie śliczna, mała twarzyczka okolona czepkiem.

– Co ja teraz pocznę? – zawołała do pocztyliona z rozpaczą. – Sir Charles gdzieś się z pewnością zgubił i będę musiała spędzić całą noc na tych bagnach.

– Może mógłbym jakoś pani pomóc, madame? – zapytałem, wychodząc z krzaków i ukazując się w świetle latarni.

Kobieta w tarapatkach, to dla mnie świętość, a szczególnie, gdy jest piękna. Nie zapominajcie, przyjaciele, że chociaż byłem wtedy pułkownikiem, miałem tylko dwadzieścia osiem lat.

Na Boga, jak ona krzyknęła! I jak ten pocztylion zaczął się na mnie gapić! Musicie zrozumieć, że po tak długim biegu w ciemnościach, z przekrzywioną czapą, twarzą pomazaną błotem i w poplamionym i poszarpanym przez jeżyny mundurze, nie należałem do tych dżentelmenów, jakich piękna kobieta chętnie spotyka na środku bezludnych moczarów. Po ochłonięciu z pierwszego zaskoczenia, szybko pojęła, że ma przed sobą pokornego sługę i mogłem nawet wyczytać w jej cudownych oczach, że moje zachowanie zrobiło na niej korzystne wrażenie.

– Przykro mi, że przestraszyłem panią, madame – rzekłem. – Przypadkiem usłyszałem pani słowa i nie mogłem się powstrzymać, żeby nie ofiarować pomocy.

Skłoniłem się.

Znacie sposób, w jaki się kłaniam i możecie sobie wyobrazić, jakie to wywołało wrażenie.

– Jestem panu bardzo wdzięczna, sir – odparła. – Od opuszczenia Tavistock, mieliśmy straszną podróż. Na koniec straciliśmy koło od powozu i teraz tkwimy bezradni

na tych moczarach. Mój mąż, Sir Charles, udał się po pomoc, ale obawiam się, że pewnie zablądził.

Już miałem zamiar pocieszyć ją, gdy mój wzrok padł na leżący obok niej czarny płaszcz podróżny podbity karkułami, z pewnością należący do jej męża. Właśnie tego potrzebowałem, aby ukryć mundur. Co prawda czułem się teraz jak przydrożny rabuś, lecz czy miałem jakiś wybór? Potrzeba nie przestrzega przepisów prawa, a poza tym znajdowałem się w nieprzyjacielskim kraju.

– To zapewne płaszcz pani męża, madame – stwierdziłem. – Pani mi wybaczy, ale jestem zmuszony...

Mówiąc te słowa wyciągnąłem płaszcz przez okno.

W tym momencie ujrzałem na jej twarzy wyraz zaskoczenia, strachu i obrzydzenia.

– Och, jakże się zawiodłam na panu! – wykrzyknęła. – Pan mnie obrabował, a nie pomógł. Sądziłam, że jest pan dżentelmenem, a jednak ukradł pan płaszcz mojego męża.

– Pani – wtrąciłem – błagam nie potępiaj mnie, zanim nie będziesz wiedziała wszystkiego. Ja muszę mieć ten płaszcz – to absolutna konieczność – ale powiedz mi pani łaskawie, kto ma szczęście być twoim mężem. Przyrzekam, że odeślę mu płaszcz.

Wyraz jej twarzy trochę złagodniał, chociaż ciągle próbowała sprawiać surowe wrażenie.

– Moim mężem – odparła – jest Sir Charles Meredith. Właśnie jest w podróży do więzienia Dartmoor w ważnych sprawach rządowych. Proszę pana, abyś udał się swoją drogą i nie zabierał rzeczy należących do mojego męża.

– Ja pożądam tylko jednej rzeczy, która do niego należy – stwierdziłem.

– Ależ już pan ją zabrał z powozu! – krzyknęła.

– Nie – odpowiedziałem – ona ciągle jeszcze znajduje się w powozie.

Roześmiała się tak szczerze, jak to tylko potrafią Angielki.

– Zamiast prawić mi komplementy, wołałabym, żeby zwrócił pan płaszcz męża... – zaczęła, ale przerwałem:

– Madame, prosisz o coś, co jest niemożliwe. Jeżeli pozwolisz mi wejść do powozu, wyjaśnię ci, dlaczego ten płaszcz jest dla mnie taki ważny.

Nieba tylko wiedzą, jakie głupstwo byłbym zdolny jeszcze popełnić, gdybym w tym momencie nie usłyszał okrzyku „Halo!” dochodzącego gdzieś z daleka i odpowiedzi małego pocztylion. W deszczu i ciemnościach zobaczyłem zbliżającą się szybko latarnię.

– Przykro mi, madame, ale zmuszony jestem panią opuścić – oznajmiłem. – Może pani zapewnić męża, że będę dbał o jego płaszcz.

Mimo, że mi się bardzo spieszyło, chwilę poświęciłem, aby ucałować jej rączkę, którą wysunęła przez okno i z godną podziwu udaną pretensją cofnęła, udając, iż obraża ją moja arogancja. Potem, gdy latarnia była już bardzo blisko i mały pocztylion wydawał się nabierać odwagi, żeby wtrącić się do mojej ucieczki, wetknąłem płaszcz pod pachę i zniknąłem w ciemnościach.

Teraz moim głównym zadaniem było jak najbardziej oddalić się od więzienia, pokonując moczary przez pozostałe mi jeszcze dwie godziny ciemności nocy. Znowu nadstawiłem twarz na podmuchy wiatru i biegłem tak długo, aż w końcu padłem kompletnie wyczerpany. Po pięciu minutach odpoczynku na wrzosowisku, ruszyłem dalej, aż do chwili, gdy znowu ugięły mi się kolana. Byłem młody i twardy, o stalowych mięśniach, wyćwiczony i zahartowany dwunastoletnim pobytom w obozach i na polach bitwy. Dlatego wytrzymałem ten szaleńczy bieg jeszcze następne trzy godziny, przez cały czas – jak wiecie – pilnując, aby wiatr smagał mi twarz. Po trzech godzinach obliczyłem, że dzieli mnie od więzienia ze dwadzieścia mil. Powoli świtał dzień, więc ukryłem się między kępami wrzosu, na szczycie jednego z niewysokich pagórków, którymi teraz była pokryta cała okolica. Zamierzałem tu przeczekać do wieczora. Nie było to dla mnie nic nowego, często tak sypiałem na wietrze i w deszczu, zatem owinąłem się ciepłym płaszczem i wkrótce zapadłem w płytki sen.

Nie był to jednak orzeźwiający sen. Rzucałem się i przewracałem, dręczony jakimiś złymi snami, w których wszystko wydawało się zmawiać przeciwko mnie. Na koniec, co wyraźnie pamiętam, nacierałem na czworobok węgierskich grenadierów, mając do dyspozycji tylko jeden szwadron i to jadący na zmęczonych koniach – tak jak wtedy, pod Elchingen. Uniosłem się w strzemionach z krzykiem: *Vive l'Empereur!* i usłyszałem jak moi huzarzy powtarzają za mną: *Vive l'Empereur!* Zerwałem się z ziemi, z ciągle jeszcze brzęcącym w uszach okrzykiem, a potem, zastanawiając się, czy przypadkiem nie oszalałem, ten sam okrzyk powtórzyło pewnie pięć tysięcy gardeł. Zerknąłem przez krzaki jeżyn, w których leżałem i ujrzałem w jasnym świetle poranka ostatnią rzecz, jakiej mogłem się spodziewać, albo jaką pragnąłbym zobaczyć!

Było to więzienie Dartmoor!

Miałem przed oczami, w odległości około dwustu dwudziestu jardów długi, ponury gmach. Gdybym w ciemności biegł jeszcze kilka minut, to walnąłbym czapą w mur! Ten widok początkowo wywołał u mnie taki szok, że nie miałem pojęcia, jak to się stało. Potem, gdy stało się to dla mnie jasne, z rozpaczą zacząłem się bić pięściami po głowie. To wiatr nocą odwrócił się z północnego na południowy, a ponieważ zawsze zwracałem twarz pod wiatr, biegłem dziesięć mil na północ, a potem dziesięć mil na południe i w ten sposób przebyłem dziesięć mil oddalając się od więzienia, a potem dziesięć mil wracając do miejsca, z którego uciekłem. Kiedy pomyślałem o moim szalonym biegu, o przewracaniu się, skokach i całym trudzie, wydało mi się to tak absurdalne, że mój żal zmienił się nagle w kompletne zniechęcenie. Padłem między jeżyny i śmiałem się, śmiałem, aż rozbolał mnie żołądek. Potem owinąłem się płaszczem i zacząłem się zastanawiać, co w tej sytuacji robić dalej.

Żywot wiecznego wędrowca nauczył mnie jednego, moi przyjaciele, nigdy nie nazywaj jakiegoś wydarzenia nieszczęściem, dopóki się nie zakończy. Bo czyż każda godzina nie może ci przynieść nowego, świeżego spojrzenia na to, co ci się przydarzyło? W tym wypadku wkrótce dostrzegłem, że to co mnie spotkało, mogło też spotkać wielu innych, przebiegłych ludzi. Zatem i moi prześladowcy z pewnością rozpoczną poszukiwania od miejsca, w którym zabrałem płaszcz Sir Charlesa Mereditha i teraz z mojego ukrycia mogłem zobaczyć, jak pędzą drogą do tego miejsca. Żadnemu z nich nawet się nie śniło, że odbyłem drogę powrotną do więzienia i teraz leżę sobie spokojnie w krzakach na wzgórzu, gdzie postanowiłem spędzić cały dzień.

Więźniowie oczywiście musieli się dowiedzieć o mojej ucieczce i przez cały dzień wydawali radosne okrzyki, jak te, które dotarły do mnie rano, rozchodząc się po całych moczarach i dostarczając moim uszom dowody radości, sympatii i solidarności. Bo czyż mieli oni pojęcie, że na szczycie tego wzgórza, które mogli widzieć z okien cel, leży ich towarzysz broni, którego udaną ucieczkę właśnie celebrują? Jeśli zaś chodzi o mnie, to patrzyłem w dół na tych biednych, dzielnych żołnierzy, którzy teraz spacerowali po dużym podwórzcu, zbierali się w grupki i żywo gestykulowali z radości. Raz usłyszałem głośnie zawołanie i zobaczyłem Beaumonta. Jego głowę spowijały bandaże i prowadziło go dwóch strażników. Nie mogę wam wprost opisać radości z tego widoku, dowodzącego, że nie zabiłem go, a także dlatego, iż inni znali prawdę o tym, co się stało. Wszyscy znali mnie zbyt dobrze, aby myśleć, że chciałem uciekać bez niego.

Przez cały długi dzień leżałem pod osłoną krzaków i słuchałem dzwonów zegarowych wybijających godziny.

Kieszenie miałem wypchane chlebem, który zaoszczędziłem z dziennych racji, a grzebiąc w kieszeniach płaszcz znalazłem srebrną butelkę pełną wspaniałej brandy, co pozwoli mi bez trudności przetrwać cały dzień. Poza tym znalazłem tylko czerwoną, jedwabną chustkę, szylkretową tabakierkę i błękitną kopertę zaopatrzoną w czerwoną pieczęć i adresowaną do dyrektora więzienia Dartmoor. Dwa pierwsze przedmioty zwrócę razem z płaszczem, natomiast koperta wprawiła mnie w zakłopotanie, ponieważ dyrektor więzienia zawsze okazywał mi uprzejmość i mój honor czułby się obrażony, gdybym złamał zasadę tajemnicy korespondencji. Myślałem nawet, żeby zostawić list pod kamieniem na drodze przed bramą, w odległości strzału z muszkietu. Jednak mógł ich naprowadzić na mnie, dlatego nie widziałem innego wyjścia, jak tylko zabrać list ze sobą z nadzieją, że nadarzy się okazja, żeby wysłać go pod właściwy adres. Tymczasem ukryłem go bezpiecznie w najgłębszej kieszeni.

Ciepłe słońce osuszyło mój mundur i gdy zapadła noc, byłem gotów do drogi. Tym razem nie mogłem popełnić pomyłki, ponieważ teraz moimi przewodnikami mogły być gwiazdy i jak każdy huzar, potrafiłem odczytać z nich właściwy kierunek. Wkrótce zostawiłem daleko za sobą więzienie. Obecnie mój plan zakładał zdobycie kompletnego ubrania od pierwszej osoby jaką spotkam, a następnie znalezienie drogi na północne wybrzeże, gdzie jest dość przemytników i rybaków, którym Cesarz chętnie wypłacał nagrody za przetransportowanie uciekinierów przez Kanał. Usunąłem z czapy zwracający zbytnią uwagę pióropusz, ale nawet w moim pięknym płaszczu bałem się, że wcześniej czy później zdradzi mnie mundur. Dlatego moim pierwszym zadaniem była całkowita zmiana ubrania. Gdy wstał dzień, zauważyłem po prawej stronie rzekę i po lewej niewielkie miasto. Nad moczarami unosiły się błękitne, cuchnące opary. Chciałem wejść do tego miasta, ponieważ zamierzałem się czegoś dowiedzieć na temat obyczajów Anglików, które tak bardzo się różnią od obyczajów innych narodów. Z wielką przyjemnością zobaczyłbym ich jedzących surowe mięso i sprzedających własne żony, ale byłoby to zbyt niebezpieczne, gdybym nie uwolnił się od munduru. Czapa huzara, wąsy i wymowa, to wszystko mogło mnie zdradzić. Dlatego kontynuowałem drogę na północ i chociaż ciągle się rozglądałem, nie dostrzegłem śladu ścigających. Około południa znalazłem się w jakiejś odosobnionej dolinie, gdzie stał pojedynczy, mały dom i zdawało się, że w pobliżu nie ma innych zabudowań. Był to schludny domek, z rustykalnym gankiem i małym ogródkiem od frontu, z mrowiem kogutów i kur. Leżąc w paprociach i obserwując go odniosłem wrażenie, że było to dokładnie takie miejsce, w którym mogłem dostać wszystko, czego potrzebowałem. Chleb mi się kończył i po długiej wędrówce byłem bardzo głodny, dlatego postanowiłem dokonać krótkiego rozeznania, potem zaatakować, wmaszerować do domu, zmusić mieszkańców do poddania się i zabrać wszystko, co mogło mi się przydać. Co najmniej jakąś kurę i omlet... Czułem, jak mi napływa ślinka do ust.

Gdy leżąc zastanawiałem się, kto mieszka w takim samotnym miejscu, na ganku pojawił się niski, ruchliwy chłopak, a za nim starszy mężczyzna z dwoma długimi pałkami w rękach. Wręczył je chłopcu, który zaczął nimi wymachiwać z niezwykłą

szybkością w górę i w dół, w prawo i w lewo, nad głową i wokół siebie. Starszy, stojąc obok zdawał się przyglądać temu z wielką uwagą, rzucając od czasu do czasu jakieś uwagi. W końcu młody wziął linę i zaczął przez nią skakać jak dziewczynka, a starszy obserwował go uważnie. Możecie się domyśleć, jak bardzo byłem zdziwiony i zaniepokojony, kim są ci ludzie. Mogłem się tylko domyślać, że jeden był lekarzem, a drugi pacjentem poddającym się jakiejś wyjątkowej w swej metodzie terapii.

Kiedy tak leżałem, obserwując i dziwiąc się, starszy mężczyzna przyniósł obszerny płaszcz i młodszy założył go, zapinając się pod szyję. Dzień był bardzo ciepły, zatem to mnie zdumiało najbardziej. „W każdym razie”, pomyślałem, „najwyraźniej jego ćwiczenia dobiegły końca”. Ale bardzo się myliłem. Młodszy zaczął biec, mimo ciężkiego płaszcza, przez moczary prosto na mnie. Jego towarzysz wrócił do domu, co było mi bardzo na rękę. Mogłem młodszemu zabrać ubranie i pobiec do jakiejś wsi, aby kupić coś do jedzenia. Kusily mnie jednak kurczęta. Nie byłem uzbrojony, a w domu – jak się okazało – przebywało co najmniej dwoje ludzi, zatem rozsądniej trzymać się od niego z daleka. Tak więc spokojnie leżałem w paprociach.

Teraz jednak mogłem już wyraźnie słyszeć kroki biegnącego, był już tak blisko, że mogłem widzieć jego szeroki płaszcz i pot spływający po twarzy.

Wydawało się, że to dobrze zbudowany, silny chłopak – choć niskiego wzrostu. Był tak niski, że bałem się, iż jego ubranie może być na mnie za małe. Kiedy skoczyłem za nim, zatrzymał się i spojrzał na mnie z osłupieniem.

– Skąd się tu wziął ten błazen? – zapytał. – To jakiś cyrk, czy co?

Takie były jego słowa, ale nie jestem w stanie wyjaśnić wam, co miał przez to na myśli.

– Proszę mi wybaczyć, sir – odparłem – ale znajduję się w potrzebie i muszę pana prosić o odstąpienie mi swojego ubrania.

– Odstąpienie czego?! – krzyknął.

– Ubrania.

– Coś podobnego! – Oburzył się. – A po diabła ci moje ubranie?

– Dlatego, że je potrzebuję.

– Powiedzmy, że nie dam, to co?

– Bądź pan rozsądny – ostrzegłem go. – Wtedy nie będę miał wyboru i zabiorę je siłą.

Stanął z rękami w kieszeniach płaszcza, z uśmiechem rozbawienia na gładko wygolonej twarzy o kwadratowej szczęce.

– Zatem chcesz je pan zabrać siłą? – spytał. – Patrząc na pana wydajesz się niezłym cwaniakiem, tylko że tym razem trafiłeś pan na niewłaściwe towarzystwo. Znam was, zbiegłych z więzienia Francuzów. Można was poznać z zamkniętymi oczami. Jednak pan nie wie, kim ja jestem, inaczej nie próbowałbyś zaczepiać mnie w ten sposób. Jestem czempionem Bristolu – i teraz trenuję.

Patrzył na mnie tak, jakby ta wiadomość miała mnie powalić na ziemię, lecz ja z kolei uśmiechnąłem się, zmierzylem go wzrokiem od stóp do głów i podkręciłem wąsa. W końcu powiedziałem:

– Może jest pan dzielnym człowiekiem, sir! Ale kiedy poinformuję pana, że stoisz

naprzeciwko pułkownika Etienne'a Gerarda z huzarów Conflans, to może dostrzeżesz konieczność oddania swojego ubrania bez dalszej gadaniny.

– Słuchaj no, monsieur! – krzyknął. – Dość tego, inaczej pokażę ci gdzie pieprz rośnie!

– Pańskie ubranie! Natychmiast! – krzyknąłem i zbliżyłem się do niego z wściekłością.

On w odpowiedzi zrzucił ciężki płaszcz i przybrał szczególną pozycję z jedną ręką wyciągniętą przed siebie, a drugą przyciśniętą do piersi, patrząc na mnie z dziwnym uśmiechem. Nie znam metod walki tych ludzi, ale na koniu czy pieszo, z bronią czy bez broni, zawsze jestem gotów stanąć z każdym do walki. Chyba pojmujecie, że żołnierz nie zawsze może wybierać sposób walki, ale skoro znajdziesz się między wilkami, musisz walczyć tak jak one. I właśnie dlatego rzuciłem się na niego z wojennym okrzykiem, chcąc go kopnąć, jednak moje stopy trafiły w próżnię, a ja nagle ujrzałem przed oczami tyle gwiazd, co wtedy pod Austerlitz i padając na ziemię uderzyłem głową w kamień. Potem nic już nie pamiętam.

Po odzyskaniu przytomności zobaczyłem, że leżę na polowym łóżku, w prawie pustym pokoju. W głowie huczało mi jak wewnątrz dzwonu i gdy pomacałem czoło nad oczami, wyczułem guz wielkości orzecha włoskiego. Czułem jakiś cierpki zapach i wkrótce przekonałem się, że pochodzi z kawałka papieru nasączonego octem i leżącego na moim czole.

W kącie pokoju siedział ten straszny, niski młodzieniec. Miał gołe kolano, a jego starszy towarzysz nacierał je jakąś maścią. Stary zdawał się być w złym nastroju. Klął na czym świat stoi, a młodszy słuchał go, z ponurym wyrazem twarzy.

– Jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło mi się coś podobnego – mówił stary. – Cały miesiąc treningu, wszystko na moich barkach, a teraz, gdy uczyniłem ciebie tak giętkim jak pstrąg i za dwa dni masz walczyć, wdajesz się w zwykłą bójkę z przybłądą!

– Dosyć! Dosyć! Przestań pan głądzić! – przerwał mały, z goryczą. – Jesteś pan doskonałym trenerem, Jim, ale byłbyś jeszcze lepszym, gdybyś mniej gadał.

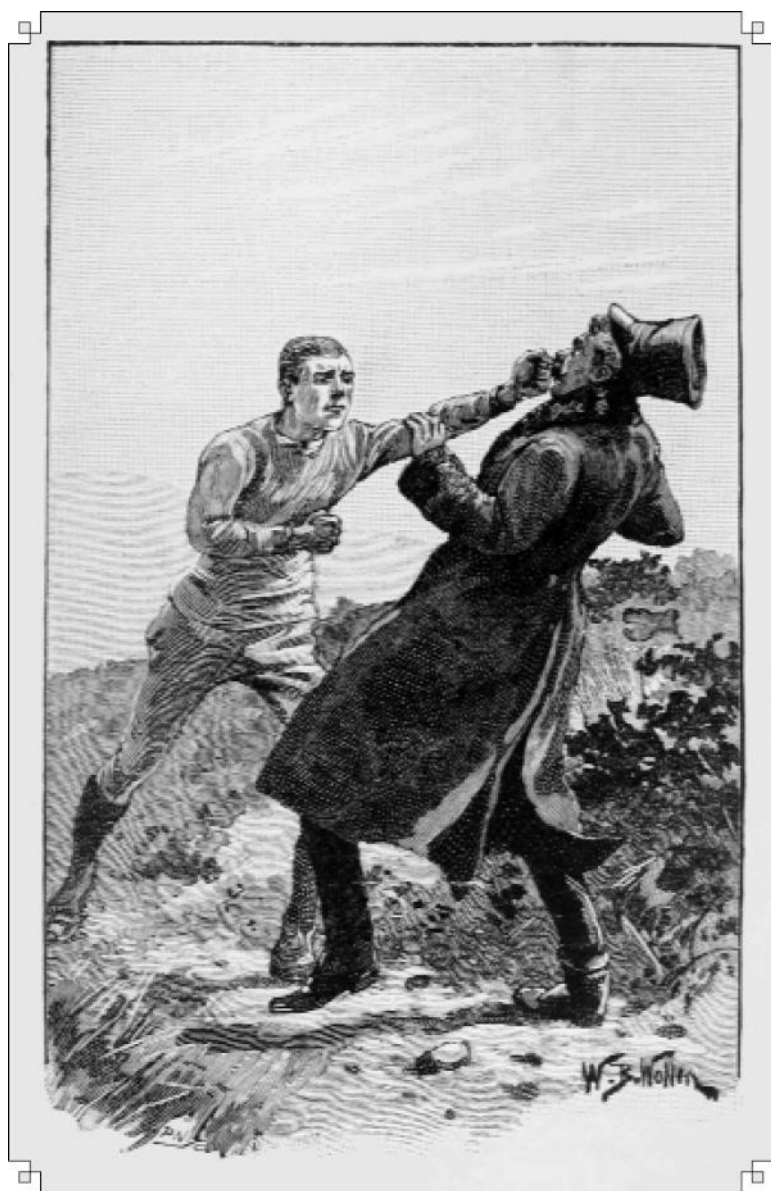
Jednak stary nie zniechęcał się.

– Uważam, że właśnie teraz jest czas na gadanie. Jeżeli to kolano nie będzie sprawne do środy, to z tobą też będzie źle. Popsujesz walkę, a potem nie znajdziesz już żadnego sponsora.

– Dlaczego ma być źle? – Warknął mały. – Wygrałem dziewiętnaście walk i nikt nawet nie ośmielił się powiedzieć w mojej obecności, że coś „popsułem”. Pana by to nie wyprowadziło z równowagi, gdyby jakiś włóczęga chciał z pana zedrzeć ubranie?



Przykro mi, że przestraszyłem panią, madame



Nagle ujrzałem przed oczami tyle gwiazd, co wtedy pod Austerlitz

– Dobrze, już dobrze, przecież wiesz, że policjant i strażnicy są tylko o milę od ciebie. Mogłeś mu dać ubranie, a potem puścić za nim pościg, tak jak teraz – i odzyskać je.

– No dobrze, zasługuję na karę! – oświadczył Bustler. – Ale nie lubię, jak ktoś mi przeszkadza w treningu, a jeżeli do tego jakiś Francuzik, który nawet nie potrafi posmarować masłem rogalika, tylko moczy go w kawie, chce mi zabrać ubranie, to już zbyt wiele dla kogoś takiego, jak ja.

– Ależ człowieku, co warte jest to twoje ubranie? Czy wiesz, że sam tylko lord Rufton postawił na ciebie pięć tysięcy funtów? Kiedy w środę wejdiesz na ring będziesz wart każdego pensa z tych pięciu tysięcy. Pięknie będziesz wyglądał z tym spuchniętym kolaniem i bajkami o Francuzie.

– Nie miałem najmniejszego pojęcia, że będzie mnie chciał kopnąć – stwierdził Bustler.

– A może spodziewałeś się, że będzie walczył zgodnie z zasadami ustalonymi przez Broughtona, stricte według B.R.? Głupcze, oni tam za wodą, we Francji nie potrafią inaczej walczyć.

– Moi przyjaciele – wtrąciłem się, siadając na łóżku. – Wprawdzie nie zrozumiałem wiele z waszej rozmowy, ale słysząc ją uznałem, że ostatnie słowa były bardzo głupie. My, we Francji wiemy doskonale, jak walczyć, bowiem złożyliśmy już wizytę prawie we wszystkich stolicach europejskich i wkrótce zjawimy się w Londynie. Ale my walczymy jak żołnierze, a nie jak ulicznicy w rynsztoku. Pan uderzył mnie w głowę, a ja kopnąłem w kolano. To dziecinna zabawa. Gdybyś pan dał mi szablę i sam też za nią chwycił – to pokazałbym ci, jak walczymy tam, za wodą.

W czasie mojej przemowy, wlepiali we mnie zdumiony wzrok tak, jak to tylko potrafią robić Anglicy.

– No cóż, w każdym razie cieszę się, że nie umarłeś, monsieur – rzekł w końcu starszy. – Nie dawałeś znaku życia, gdy razem z Bustlerem przynieśliśmy ciebie tutaj. To znaczy, że pańska głowa nie jest jeszcze tak wytrzymała, by się oprzeć najsilniejszej pięści w Bristolu.

– On skoczył na mnie jak kogut – wtrącił młodszy, ciągle trąc kolano. – Użyłem wypróbowanego lewego sierpowego i padł, jakby go ktoś zdzielił toporem. To nie moja wina – mówiłem, że pokażę mu, gdzie pieprz rośnie, jeżeli napadnie na mnie!

– No, ale teraz możesz pan do końca życia opowiadać, że zostałeś pokonany przez najlepszego boksera wagi lekkiej w Anglii – rzekł starszy, patrząc na mnie z wyrazem uznania na twarzy – i że zawarłeś pan znajomość z najlepszym... no, w każdym razie z pięściarzem, który zawdzięcza doskonałą kondycję trenerowi, Jimowi Hunterowi.

– Przywykłem do silnych ciosów – oznajmiłem, rozpinając mundur i pokazując dwie blizny od kul muszkietów. Potem odsłoniłem kostkę i pokazałem też bliznę przy oku, od sztydła fałszywego księdza.

– Do licha, chyba karmiono go owsianką! – stwierdził z uznaniem Bustler.

– Byłby się nadawał do wagi średniej – zauważył trener. – Po pół roku ćwiczeń zaskoczyłby niejednego znawcę boks. Szkoda, że musi wrócić do więzienia.

Ta ostatnia uwaga wcale mi się nie spodobała. Zapiąłem mundur i wstałem z łóżka.

– Jestem zmuszony prosić was, abyście pozwolili mi kontynuować dalszą wędrówkę – rzekłem.

– Nic na to nie mogę poradzić, monsieur – odparł trener – i bardzo mi przykro odsyłać pana z powrotem do więzienia, ale biznes to biznes i chodzi tu o dwadzieścia funtów nagrody. Już tu byli rano po pana i spodziewam się, że wkrótce wrócą.

Na te słowa serce mi zamarło w piersi.

– Zdradziliście mnie! – wykrzyknąłem. – W dniu, w którym postawię stopę na francuskiej ziemi, wyślę wam dwakroć po dwadzieścia funtów. Daję panom słowo honoru francuskiego oficera.

Ale w zamian, w odpowiedzi otrzymałem tylko przeczący ruch głową.

Błagałem, tłumaczyłem im, mówiłem o angielskiej gościnności i braterstwie dzielnych ludzi, ale równie dobrze mogłem gadać do dwóch drewnianych pałek, które stały przede mną w kącie pokoju. Na ich tępych twarzach nie zobaczyłem śladu współczucia.

– Interes to interes, monsieur – powtórzył stary trener. – Poza tym, jak mógłbym wypuścić w środę Bustlera na ring, gdyby się okazało, że pozwoliłem uciec więźniowi wojennemu? Nie, nie, muszę dbać o Bustlera i nie mogę tego ryzykować.

A zatem tyle tylko osiągnąłem po tych wszystkich trudach, walce i staraniach. I teraz, jak jakaś biedna, zbląkana owieczka zostanę odstawiony do stada. Jednak oni mało mnie znali sądząc, że tak łatwo poddam się takiemu losowi. Już dosyć usłyszałem, żeby poznać słabe punkty tych ludzi i pokażę im – jak to już często pokazywałem przedtem – że Etienne Gerard nigdy nie jest tak groźny jak wtedy, gdy opuszcza go wszelka nadzieja. Jednym skokiem chwyciłem pałkę i zacząłem wywijać nią nad głową Bustlera.

– Róbcie więc to, co zamierzacie! – krzyknąłem. – Ale w środę będziecie mieć popsutą zabawę!

Bustler brzydko zaklął i już chciał się na mnie rzucić, ale trener chwycił go za ramię i przytrzymał na krześle.

– Nie, Bustler! Ja to załatwię – wrzasnął. – To nie twoja sprawa, póki ja tu jestem! Uciekaj Francuziku. Uciekaj ile sił w nogach, nie będziemy ci przeszkadzać! Prędko, prędko, albo będę musiał go puścić!

Dobra rada, pomyślałem i wybiegłem na zewnątrz, ale gdy znalazłem się na świeżym powietrzu, dostałem takiego zawrotu głowy, że musiałem się oprzeć o ścianę ganku, żeby nie upaść. Myślałem o tym wszystkim, co przeszedłem – lęk ucieczki, długa bezużyteczna droga w czasie burzy, dzień spędzony w mokrych paprociach, mając do jedzenia tylko chleb, potem droga przez noc i ten guz nad okiem, gdy zamierzałem zabrać młodzieńcowi ubranie... Czyż nie dziwota więc, że teraz w końcu wyczerpał się zapas moich sił?

Stałem tam w ciężkim płaszczu i pogniecionej czapce huzara, z brodą na piersi i opadającymi powiekami. Zrobiłem wszystko, co mogłem i więcej już zrobić nie jestem w stanie. Wtedy usłyszałem tętent końskich kopyt, uniosłem głowę i zobaczyłem przed sobą, w odległości nie większej niż dziesięciu kroków, siwe wąsy dyrektora więzienia Dartmoor, a przy nim sześciu strażników na koniach.

– No więc, pułkowniku – powiedział dyrektor z gorzkim uśmiechem – znowu pana

mamy.

Kiedy dzielny człowiek zrobi wszystko, co tylko może i zostaje pokonany, to sposób w jaki poddaje się nieprzyjacielowi, świadczy o jego wychowaniu.

Wyciągnąłem z kieszeni list, postąpiłem do przodu i wręczyłem go z całym szacunkiem i godnością dyrektorowi.

– Z przykrością muszę wyznać, sir, że byłem zmuszony zatrzymać przy sobie list adresowany do pana – oświadczyłem.

Spojrzał na mnie zdumiony i skinął na strażnika, aby mnie aresztował. Potem złamał pieczęć i otworzył list. Kiedy czytał zobaczyłem, jak jego twarz przybiera dziwny wyraz.

– To jest ten list, który zgubił Sir Charles Meredith – stwierdził.

– Był w kieszeni jego płaszcza.

– A pan nosił go przy sobie przez dwa dni?

– Od przedwczorajszego wieczoru.

– I nie zna pan jego treści?

Nie odpowiedziałem wprost, lecz swoim zachowaniem dałem mu do zrozumienia, że popełnia nietakt zadając pytanie, jakiego człowiek honoru nie powinien zadawać drugiemu człowiekowi honoru.

Ku mojemu zaskoczeniu, nagle wybuchnął szczerym śmiechem.

– Pułkowniku – rzekł, ocierając łzy – narobiłeś sobie i nam niepotrzebnych kłopotów. Pozwól, że odczytam ten list głośno. I przeczytał, co następuje:

„Za poświadczeniem tego, poleca się zwolnić pułkownika Etienne’a Gerarda z Trzeciego Pułku Huzarów. Zostaje on wymieniony za pułkownika Masona z konnej artylerii, obecnie przebywającego w Verdun.”

Czytając, znowu zaczął się śmiać, a w jego ślady poszli strażnicy i obaj mężczyźni z domu z werandą, a potem, gdy usłyszałem ten powszechny wybuch wesołości i pomyślałem o moich wszystkich nadziejach i obawach, o mojej walce i przebytych niebezpieczeństwach – to cóż mógł w tej sytuacji uczynić żołnierz, jak tylko znowu oprzeć się o werandę i śmiać się tak serdecznie jak oni, a może nawet jeszcze serdeczniej?

Czyż bowiem nie miałem ku temu najlepszego powodu, widząc już przed oczami moją ukochaną Francję, moją matkę i Cesarza, moje konie, a daleko za sobą mając więzienie i ciężką rękę angielskiego króla?

7 Jack Broughton (1704–1789) – ojciec angielskiego boksu. W roku 1743 ogłosił pierwszy w dziejach nowożytnego boksu zbiór przepisów „Rules of Ring”, znanych jako „Broughton’s Rules (przyp. tłum.).

V. Jak brygadier triumfował w Anglii

Opowiedziałem wam, moi przyjaciele, jak odniosłem triumf w angielskim polowaniu na lisa, kiedy tak ścigałem to zwierzę, że nawet sfora wyszkolonych psów nie mogła za mną nadażyć i sam zasiekłem go moją szablą. Może nawet mówiłem o tym za dużo, ale w tym sporcie kryje się taki dreszczyk emocji, jakiego brakuje nawet na wojnie, gdy odnosi się sukcesy razem z pułkiem i armią. Bo, widzicie, w sporcie bez niczyjej pomocy zdobywacie laury. Anglicy mają nad nami przewagę we wszystkich konkurencjach sportowych. Może dlatego, że są od nas bogatsi, albo, że są od nas bardziej leniwi – byłem jednak zaskoczony, gdy jako ich więzień przekonałem się, jak bardzo rozpowszechnione jest tam zamiłowanie do sportu i jak bardzo zawładnęło umysłami i życiem mieszkańców. Tam, gdy konie się ścigają, koguty walczą, psy gonią szczury, ludzie się boksują – wszyscy odwracają się od króla w całej jego chwale, aby zwrócić wzrok na którąś z tych dyscyplin.

Tak, mógłbym wam przytoczyć mnóstwo opowieści o angielskim sporcie, ponieważ dużo widziałem, będąc gościem lorda Ruftona, kiedy po wydaniu rozkazu dotyczącego mojej wymiany, musiałem jeszcze pozostawać w Anglii. Musiało minąć wiele miesięcy, zanim mogłem wrócić do Francji i ten czas spędziłem z dobrym lordem Ruftonem, w jego pięknym domu High Combe, położonym na północnym krańcu Dartmoor. Kiedy ściągnął mnie z Princeton, zaraz poczuliśmy do siebie sympatię i czułem się u niego tak dobrze, jak w rodzinnym kraju, bowiem ten dzielny i czarujący żołnierz nie miał nikogo, czuł się samotny, pozbawiony pomocnego mu przyjaciela. Jednym słowem, zabrał mnie do swojego domu, odział, nakarmił i traktował jak brata. O Anglikach mogę powiedzieć jedno – zawsze byli wielkodusznymi wrogami i najlepszymi ludźmi, z jakimi walczyłem.

Na Półwyspie Iberyjskim, Hiszpanie mierzyli do nas z muszkietów, lecz Brytyjczycy robili to swoimi piersiówkami z brandy. Jednak żadnego z wielkodusznych ludzi nawet nie można równać z tym godnym podziwu lordem, który w biedzie podał serdeczną rękę wrogowi.

Ach, jakie wracają do mnie wspomnienia o sporcie na myśl o High Combe! Mam jeszcze w oczach długi, niski, ceglany dom, czerwony z białymi, otynkowanymi filarami przy wejściu. Lord Rufton był zagorzałym sportsmenem i otaczał się równymi sobie. Ale możecie z zadowoleniem przyjąć informację, że i ja też kilka razy mogłem się wykazać, a w jednej dyscyplinie byłem wręcz doskonały. Za domem rósł las, w którym hodowano bażanty i lord Rufton znajdował przyjemność w polowaniu na nie. Wysyłał do lasu ludzi, aby płoszyli ptaki, a potem z przyjaciółmi ustawiał się na skraju lasu i strzelał do nich, gdy wylatywały. Jeżeli chodzi o mnie, to byłem bardziej przebiegły. Po przestudiowaniu zwyczajów tych ptaków, zakradłem się tam wieczorem i mogłem bez trudu wiele z nich zastrzelić, gdy siedziały na gałęziach drzew. Zaledwie po jednym wystrzale, już zjawiał się dozorca, błagając mnie na swój szorstki, angielski sposób, żebym oszczędził te, które jeszcze zostały. Tego wieczoru rzuciłem jako niespodziankę na kolacyjny stół lorda Ruftona dwanaście ptaków. Mój gospodarz roześmiał się i krzyknął z radości na ten

widok.

– Wielki Boże, Gerard! Kiedyś mnie zabijesz!

On często mówił takie rzeczy, za każdym razem, kiedy zdumiewałem go sposobem uprawiania angielskiego sportu.

Mieli tam taką grę, którą nazywali krykietem i zabawiali się w nią tylko latem. Nauczyłem się grać w tego krykieta. Znanym i doskonałym graczem był Rudd, główny ogrodnik, no i oczywiście sam lord Rufton.

Przed domem rozciągał się trawnik i na nim właśnie Rudd uczył mnie grać w krykieta. Ta gra może stanowić doskonale hobby dla żołnierzy, bowiem gracze używając odpowiedniej pałki próbują uderzyć nią innego gracza, a ten powinien uderzenie odparować. Za graczem stoją trzy paliki wskazujące granicę, za którą nie wolno mu uciec. Mówię wam, nie jest to gra przeznaczona dla dzieci i wyznam, że mimo przebytych wielu kampanii, czułem, jak blednę ze strachu, gdy w moją stronę leciała pierwsza piłka. Była tak szybka, że nawet nie zdążyłem unieść mojej pałki, aby ją odbić, jednak na szczęście ominęła mnie i uderzyła w drewniane słupki znaczące granicę. Teraz nadeszła kolej na Rudda, żeby odbił atak mojej piłki. Gdy byłem jeszcze chłopcem, w Gaskonii nauczyłem się rzucać daleko i celnie, byłem więc pewien, że trafię w tego walecznego Anglika.

Ruszyłem na niego z bojowym okrzykiem i rzuciłem piłką. Poleciała z szybkością pocisku prosto jak strzała, w kierunku jego żeber, ale on bez słowa odbił ją swoją pałką, tak, że pofrunęła nadszpodziewanie wysoko w powietrze. Lord Rufton klasnął z uciechy. Kiedy piłka znowu do mnie wróciła, była moja kolej. Tym razem minęła o włos jego głowę i miałem nadzieję, że teraz to on powinien blednąć ze strachu.

Jednak ogrodnik był dzielnym człowiekiem i ponownie zwrócił się do mnie twarzą. Ach, moi przyjaciele, w końcu nadeszła chwila mojego triumfu! Miał na sobie czarną kamizelkę i wymierzyłem w nią piłkę. Możecie powiedzieć, że wtedy byłem artylerzystą, nie huzarem, ponieważ nigdy tak celnie nie rzuciłem do celu. Z okrzykiem rozpaczy – okrzykiem dzielnego człowieka, który został trafiony – upadł na drewniane paliki za nim i razem z nimi potoczył się po ziemi. Lord był okrutnym Anglikiem, bowiem roześmiał się i nie pospieszył z pomocą swojemu słudze. Natomiast ja, zwycięzca, podbiegłem, objąłem tego nieustraszonego gracza i podniosłem go, ze słowami uznania i zachęty.

Był tak obolały, że nie mógł stać wyprostowany, jednak uczciwie wyznał, że moje zwycięstwo nie było wynikiem zwykłego przypadku. „On to zrobił celowo! On to zrobił celowo!” – krzyczał.

Ciągle to powtarzał. Tak, ten krykiet to wspaniała gra i chętnie znowu zagrałbym w krykieta, ale lord Rufton i Rudd oznajmili, że sezon ma się ku końcowi i nie będą już więcej grali.

Głupio staremu tak rozpamiętywać tego rodzaju sukcesy, a jednak muszę wyznać, że mój obecny wiek złagodził i uporządkował pamięć o kobietach, które mnie kochały i mężczyznach, których pokonałem. Miło pomyśleć, że pięć lat później, gdy lord Rufton przybył do Paryża po zawarciu pokoju, mógł mnie zapewnić, że moje nazwisko ciągle jest w północnym Devonshire znane ze wspaniałych wyczynów, które tam zaprezentowałem. Szczególnie często rozpamiętywałem moje starcie bokserskie z Baldockiem.

A przedstawiało się to następująco: pewnego wieczoru, w domu lorda Ruftona zebrało się wielu sportowców. Wypili dużo wina, robili jakieś szalone zakłady i rozmawiali o koniach i lisach. Och, jak ja dobrze pamiętam tych dziwaków! Sir Barrington, Jack Lupton z Barnstable⁸, pułkownik Addison, Johnny Miller, lord Sadler i mój przeciwnik Hon. Baldock. Wszyscy z tej samej szuflady – pijacy, postrzeleńcy, rozrabiacze, hazardziści z głowami nabitymi dziwnymi kaprysami i zachciankami. A mimo to, byli na swój szorstki sposób miłymi kompanami.

Poza tym tłściochem Baldockiem, szczycącym się umiejętnościami bokserskimi. To on właśnie wyśmiewał Francuzów za ich ignorancję w tym sporcie, prowokując mnie do walki. Pewnie ocenicie, że była to z mojej strony głupota, ale karafka krążyła już dość długo i młoda krew wrzała w moich żyłach. Chciałem walczyć z tym chwalipiętą i pokazać mu, że chociaż nie znam się na tym sporcie, to przynajmniej nie brakuje mi odwagi. Lord Rufton sprzeciwiał się. Nalegałem. Inni pocieszali mnie z entuzjazmem i klepali po plecach.

– Nie, Baldock, odpuść, on jest naszym gościem – rzekł Rufton.

– Sam tego chce – stwierdził Baldock.

– Rufton, oni nie zrobią sobie krzywdy – zauważył lord Sadler – jeżeli założą ochronne rękawice.

I tak uzgodniono.

Nie miałem pojęcia o co im chodzi, ale przyniesiono cztery wielkie skórzane rękawice, niepodobne do rękawic szermierczych, bowiem były od nich jeszcze większe. Po założeniu rękawic, zdjęliśmy kurtki i kamizelki. Potem zepchnięto do rogu stół z nakryciem i ustawiono nas twarzami do siebie. Lord Sadler zasiadł w fotelu, z zegarkiem w dłoni.

– Czas! – krzyknął.

Muszę wam wyznać, moi przyjaciele, że w tym momencie poczułem dreszcz podniety, jakiej nigdy przedtem nie doznałem podczas wszystkich pojedynków, jakie dotąd stoczyłem. Pojedynkowanie się na szable, na pistolety – to moja specjalność, ale teraz pojmowałem tylko jedno: mam walczyć z tym tłustym Anglikiem i mimo tych pulchnych jak pudding rękawic na rękach, zrobić wszystko, żeby go pokonać. Od samego początku, czując się bezbronny, uznałem, że jedyna broń jaka mi pozostała, tkwi w nogach, ale... „Pamiętaj, Gerard, tylko nie kop!” – szepcząc do ucha, uprzedził mnie lord Rufton.

Na nogach miałem cienkie półbuty do tańca, a ten facet był pulchny i kilka porządnych kopniaków mogło się przyczynić do mojego zwycięstwa. Ale obowiązywała tu etyka jak w szermierce, zatem musiałem się powstrzymać. Patrząc na Anglika, zastanawiałem się, jak go zaatakować. Miał wielkie, odstające uszy. Gdybym za nie chwycił, mógłbym go rzucić na podłogę. Już ruszyłem do akcji, gdy uniemożliwiły mi to te wielkie, flakowate rękawice i uszy dwukrotnie wysmyknęły mi się z rąk.

Uderzył mnie, ale nie zważając na ciosy, ponownie chwyciłem za ucho. Upadł, a wtedy przydusiłem go i grzmotnąłem głową o podłogę.

Jakże oni się cieszyli i śmiali, ci eleganccy Anglicy i jak klepali mnie po plecach!

– Stawiam na Francuza! – zawołał lord Sadler.

– On nie walczy fair – krzyknął mój przeciwnik, trąc zaczerwienione ucho.
– Brutalnie powalił mnie na podłogę.

– Mogłeś to przewidzieć – odparł zimno lord Rufton.

– Czas! – krzyknął lord Sadler i znowu przygotowaliśmy się do ataku.

Jego twarz gorzała rumieńcem, małe jak u buldoga oczka ciskały wściekłe spojrzenia. Twarz wykrzywił wyraz nienawiści. Ja natomiast byłem rozluźniony, w dobrym nastroju. Francuski dżentelmen może walczyć, lecz nie czuje nienawiści. Uskoczyłem przed nim, jak to zwykle czyniłem w pojedynkach. Tyle było w tym gracji i uprzejmości, co przekory w ukłonie – a ja złożyłem trzy w jedno, z nutką kpiny, w towarzyszącym temu wzruszeniu ramion. I w tym momencie zadał mi cios. Pokój zawirował mi w oczach i upadłem na plecy. Ale natychmiast zerwałem się na nogi i ruszyłem do zwarcia. Jego ucho, włosy i nos – chwytałem po kolei. Znowu poczułem w żyłach szaloną radość walki! Z ust wydarł mi się stary, dobry okrzyk triumfu:

– *Vive l'Empereur!*

I skierowałem głowę prosto w jego brzuch. Jedną ręką chwycił mnie za kark, drugą zaczął zadawać ciosy. Wbiłem mu w rękę zęby. Wrzasnął z bólu.

– Zabierz go ode mnie, Rufton! – wrzeszczał.

– Zabierzcie go! Zaczyna być groźny...

Oderwali mnie od niego. I czyż mógłbym to zapomnieć...? Śmiech, owacja, gratulacje! Nawet mój przeciwnik porzucił wobec mnie wrogość i uściśnął mi dłoń. Ja natomiast objąłem go i ucałowałem w oba policzki. Po pięciu latach dowiedziałem się od lorda Ruftona, że moja szlachetna postawa tego wieczoru, ciągle pozostawała świeża w pamięci moich angielskich przyjaciół.

Jednak nie zamierzam dziś mówić tylko o moich sportowych osiągnięciach, ale chcę też wspomnieć Lady Jane Dacre i dziwną przygodę, której była przyczyną. Lady Jane Dacre była siostrą lorda Ruftona i sprawowała też funkcję gospodyni jego domu. Obawiam się, że do mojego przybycia, żył z nią w osamotnieniu, a ona była piękną i wykwinłą kobietą, nie mającą żadnych wspólnych cech z tymi, którzy ją otaczali. W rzeczywistości można tak powiedzieć o wielu kobietach w Anglii z tamtych czasów, bowiem mężczyźni byli gburowaci i szorstcy, o nielicznych umiejętnościach, natomiast kobiety były urocze i czułe, takie, jakich dotąd nie znałem. Bardzo się zaprzyjaźniłem z Lady Jane i po kolacji nawet nie miałem ochoty wysączyć trzech butelek porto – tak, jak inni w Devonshire – chcąc poszukać schronienia w jej salonie, gdzie co wieczór grywała na klawesynie i śpiewała pieśni pochodzące z mojej ojczyzny. W tych spokojnych chwilach mogłem znaleźć wytchnienie od dręczącego mnie smutku, kiedy nachodziły mnie refleksje, iż mój pułk tkwi gdzieś tam na froncie przed wrogiem, pozbawiony swojego dowódcy, którego tak kochali i słuchali.

Istotnie, wrywałem sobie włosy z głowy, czytając w angielskich gazetach o toczących się zażartych walkach w Portugalii i na froncie hiszpańskim – tych wszystkich, które mnie ominęły, na skutek dostania się w łapy lorda Wellingtona.

Teraz, z tego co wam opowiem, przyjaciele, o Lady Jane, możecie odgadnąć co się naprawdę wydarzyło. Oto Etienne Gerard znajduje się w towarzystwie młodej i pięknej kobiety. Cóż to dla niego może znaczyć? I co to ma za znaczenie dla niej? Nie dla mnie,

gościa i jeńca, miłość do siostry mojego gospodarza. Dlatego zachowywałem się powściągliwie.

Byłem dyskretny. Próbowałem tłumić uczucia i zniechęcać ją. Ale równocześnie bałem się, że się zdradzę, bowiem gdy język milczał, moje oczy wyrażały więcej niż słowa. Każde drżenie moich palców, gdy przewracałem strony nut, zdradzało mój sekret. Lecz ona... ona była godna podziwu. W tych sprawach, ta kobieta okazała talent maskowania się. Gdybym nie przeniknął jej tajemnicy, to często zdawało mi się, że ona nawet zapomniała o mojej obecności w domu. Mogła godzinami siedzieć, zatopiona w słodkiej melancholii, podczas gdy ja w świetle lampy podziwiałem jej bladą twarz i loki, drżąc wewnątrz na myśl, że była aż tak głęboko poruszona moją obecnością. Potem, gdy w końcu przemówiłem i zbliżyłem się do jej krzesła, spojrzała na mnie z godnym podziwu udawaniem, że jest zaskoczona moją obecnością w pokoju. Ach! Jakże pragnąłem paść do jej stóp, całować jej białe ręce i zapewniać, że nie chcę nadużywać jej zaufania i zgłębiać sekretu duszy.

Ale nie, nie byłem jej równy, przecież przebywałem pod jej dachem jak rozbitek, jak wróg. Moje usta milczały. Próbowałem naśladować jej własną, cudowną, pozę obojętności, ale – chyba się domyślacie? – czekałem na każdą sposobność, aby jej służyć.

Pewnego ranka, Lady Jane wyjechała swoim faetonem do Okehampton, a ja spacerowałem wzdłuż drogi wiodącej do tego miejsca z nadzieją, że spotkam ją, gdy będzie wracała.

Był początek zimy. Na krętą drogę opadały porośnięte wędnącymi paprociami nasypy. W rejonie Dartmoor jest to ponure miejsce, dzikie i skaliste... kraina mgieł i wichrów.

Idąc, myślałem, iż nie dziwota, że Anglicy cierpią spleen; sam też czułem, jak serce zaczyna mi ciężko bić w piersi i usiadłem na kamieniu leżącym na poboczu, patrząc ponuro na ten smętny krajobraz, dręczony złymi przeczuciami. Nagle, gdy spojrzałem na drogę, ujrzałem coś, co wyrwało mnie z tych ponurych myśli i spowodowało, że skoczyłem na równe nogi, z okrzykiem zdumienia i gniewu.

W dole, zza zakrętu drogi nadjeżdżał pełnym galopem faeton. Siedziała w nim dama, którą chciałem spotkać. Oglądając się co chwilę przez ramię, chłostała kuca jak ktoś, kto usiłuje uciec przed jakimś nagłym niebezpieczeństwem. Zakręt drogi krył to, co tak bardzo ją przestraszyło. Wybiegłem na drogę, nie wiedząc, czego się spodziewać.

W następnej chwili zobaczyłem ścigającego i moje zdumienie rosło wraz z jego zbliżaniem się. Na dużym, siwym koniu jechał mężczyzna w czerwonej kurtce angielskiego myśliwego, polującego na lisa. Galopował, jak na wyścigach konnych i długi krok tego wspaniałego zwierzęcia wkrótce sprawił, że dopadł uciekający faeton. Ujrzałem, jak zatrzymuje kuca, ściągając jego lejce. Po zatrzymaniu powozu, natychmiast rozpoczęła się między nimi ożywiona rozmowa. Mężczyzna, pochylony w siodle mówił coś niecierpliwie, podczas gdy Lady Jane kurczyła się w powozie i odsuwała od niego, jakby się go bała, lub czuła do niego wstręt.

Możecie być pewni, moi drodzy przyjaciele, że nie był to widok, który mógłbym spokojnie oglądać. Serce mi zadrzało na myśl, że oto właśnie teraz otrzymuję szansę służenia Lady Jane. Pobiegłem – och, dobry Boże, jakże ja biegłem! – aby bez tchu, nie

mogąc wydobyć głosu, dopaść faetonu. Mężczyzna spojrział na mnie tymi angielskimi, niebieskimi oczami, ale chyba nawet mnie nie widział, tak był przejęty swoimi słowami, że nawet nie pozwalał dojść do słowa Lady Jane. Ciągle odchyliła się, zwracając ku niemu piękną, bladą twarz. Był przystojny – wysoki, silny, opalony, co wywołało u mnie ukłucie zazdrości. Mówił szybko i cicho, jak Anglik kiedy jest poważny.

– Jinny, zapewniam cię, że tylko ciebie kocham. Nie słuchaj złości. Co było, to było. Wszystko już minęło.

– Nie, George, nigdy! – wykrzyknęła.

Jego przystojna twarz spłonęła krwistym rumieńcem. Był wściekły.

– Dlaczego nie chcesz mi wybaczyć, Jinny?

– Nie mogę ci tego wybaczyć.

– Na Boga, musisz! Już dość próśb! Teraz ci rozkazuję. Mam do tego prawo, słyszysz?

Zacisnął dłoń na przegubie jej ręki.

W końcu wyrównałem oddech i odzyskałem głos.

– Madame – rzuciłem, unosząc kapelusz – czy nie przeszkadzam? Może mogę w jakiś sposób pomóc?

Ale oboje zwracali na mnie tyle uwagi, co na bzyzącą między nimi muchę. Bez przerwy wpatrywali się w siebie.

– Mówię ci, mam do tego prawo. Już dość długo czekałem.

– Nie tyranizuj mnie, George.

– Poddajesz się?

– Nie, nigdy.

– Czy to twoja ostateczna odpowiedź?

– Tak, ostateczna.

Brzydko zaklął i puścił jej rękę.

– W porządku, moja pani, jeszcze zobaczymy!

– Proszę mi wybaczyć, sir! – wtrąciłem z godnością.

– Idź do diabła! – krzyknął, zwracając do mnie twarz wykrzywioną wściekłością.

W następnej chwili wbił w boki konia ostrogi i pogalopował z powrotem w dół drogi.

Lady Jane patrzyła za nim, aż zniknął jej z oczu i z zaskoczeniem ujrzałem na jej twarzy uśmiech zamiast wyrazu gniewu. Odwróciła się do mnie i wyciągnęła rękę.

– Jest pan bardzo uprzejmy, pułkowniku Gerard. Jestem pewna, że miał pan dobre zamiary.

– Madame – odpowiedziałem – jeżeli będziesz tak dobra i podasz mi jego nazwisko i adres, postaram się, żeby cię więcej nie napastował.

– Błagam, żadnego skandalu! – zawołała.

– Madame, tak daleko się nie zapomnę – oświadczyłem. – Zapewniam, że nie zostanie przeze mnie wymienione żadne kobiece imię. Tylko zezwolenie na zajęcie się tym dżentelmenem uwolni mnie od kłopotliwej sytuacji ewentualnej interwencji, w razie następnej kłótni.

– Pułkowniku Gerard – powiedziała poważnie – musisz dać mi słowo żołnierza i dżentelmena, że ta sprawa nie będzie miała dalszego ciągu i nic nie powiesz mojemu

bratu o tym, czego tu byłeś świadkiem. Przymknij!

– Przymknę, ale tylko na twoje, pani, życzenie!

– Ufam twojemu słowu, a teraz zawieź mnie do High Combe, a ja ci po drodze wyjaśnię, o co chodzi.

Już pierwsze słowa zadały mi cios, jakby ktoś mnie ciął szablą.

– Ten mężczyzna – powiedziała – jest moim mężem.

– To pani mąż?!

– Zapewne wiedział pan, że byłam mężatką – zdawało się, że była zaskoczona moim zdumieniem.

– Nie wiedziałem.

– To lord George Dacre. Pobraliśmy się przed dwoma laty. Nie będę panu opisywać, jak mnie skrzywdził... Zostawiłam go i poszukałam schronienia pod dachem domu mojego brata. Aż do dziś pozostawał mnie w spokoju. Teraz najważniejsza rzecz, to uniknięcie pojedynku między moim bratem i moim mężem. Nawet nie mogę o tym myśleć. Dlatego lord Rufton nie może się dowiedzieć o tym dzisiejszym spotkaniu.

– Gdyby mój pistolet mógł wybawić panią z tej sytuacji...

– Nie, nie, nie myśl o tym. Pamiętaj pan o swoim przyrzeczeniu, pułkowniku Gerard. I ani słowa w High Combe o tym, coś pan widział!

Jej mąż! Już widziałem oczami wyobraźni, że jest młodą wdową. Ten smagły brutal, ze swoim „idź do diabła!” był mężem tej kruchej gołąbki. Och, gdyby tylko pozwoliła mi uwolnić się od tego odrażającego ciężaru. Nie ma pewniejszego i szybszego rozwodu jak ten, który jej ofiarowałem. Lecz przyrzeczenie jest przyrzeczeniem, a ja to rozumiem dosłownie. Moje usta będą milczeć.

Za tydzień miałem zostać wysłany z Plymouth do St. Malo i zdawało się, że już nigdy nie poznam dalszego ciągu tej historii i że odegrałem w niej tylko bardzo miłą i honorową rolę.

Zaledwie trzy dni po opisanych wypadkach, do mojego pokoju wpadł lord Rufton. Był blady i całe jego zachowanie świadczyło o najwyższym poruszeniu.

– Gerard! – krzyknął – widziałeś Lady Jane Dacre?

Widziałem ją po śniadaniu, a teraz było południe.

– Wielkie Nieba, ten łajdak był tutaj! – zawołał mój biedny przyjaciel, krążąc po pokoju jak oszalały. – Zarządca mówił, że widziano bryczkę z tą parą, jak pędziła Tavistock Road. Kowal słyszał krzyzącą kobietę, gdy mijali kuźnię. Jane zniknęła. Na Boga, jestem przekonany, że została porwana przez tego łotra Dacre. – Pociągnął ze złością za sznur dzwonka. – Dwa konie, natychmiast! – krzyknął. – Pułkownik Gerard, pistolety! Albo tej nocy Jane wróci ze mną z Gravel Hanger, albo w High Combe Hall będzie rządził nowy pan.

Pędziliśmy, jak dwaj błędni rycerze, spieszący na ratunek damy w nieszczęściu. Lord Dacre mieszkał w pobliżu Tavistock i w każdym domu i rogatce wzdłuż drogi zasięgaliśmy języka o przejeżdżającej bryczce, aby nie mieć wątpliwości co do kierunku ich jazdy. Podczas pogoni, lord Rufton udzielił mi informacji o człowieku, którego ścigamy.

Jego nazwisko, jak się wydawało, było znane w całej Anglii, ze snucia różnego

rodzaju intryg. Wino, kobiety, kości, karty, wyścigi – wszelkiego rodzaju rozpasaniem zyskał sobie przerażającą sławę. Pochodził ze starej, szlacheckiej rodziny, co dawało nadzieję, że się ustatkuje po poślubieniu pięknej Lady Jane Rufton.

Przez kilka miesięcy rzeczywiście zachowywał się poprawnie, lecz potem zranił jej uczucia w najczulszym miejscu jakimś niegodnym romansiem. Lady Jane uciekła z jego domu i schroniła się u brata, od którego teraz powtórnie została zabrana – jednak tym razem wbrew jej woli. Pytam więc was, czy tacy dwaj mężczyźni jak ja i lord Rufton, nie mieli lepszego powodu, aby udać się z rycerską misją ratowania kobiety?

– To jest Gravel Hanger! – zawołał wskazując szpicrutą. Na tle zielonego zbocza wzgórza wznosił się stary, ceglano--drewniany budynek, tak piękny jak każdy angielski, wiejski dom.

– Przy bramie parkowej stoi gospoda i tam zostawimy konie.

Mnie osobiście wydawało się, że powinniśmy szturmem wjechać na koniach przez bramę i atakując drzwi wezwać go do poddania się i zwrotu uprowadzonej. Jednak myliłem się. Anglik najbardziej troszczy się o swój trawnik. Sieje go, pielęgnuje, a kiedy już osiągnie doskonałość, ten trawnik tyranizuje go i drży przed nim nawet najdzielniejszy człowiek. Anglik może się śmiać z przetraconego karku, ale błędnie na widok uszkodzonego trawnika. Z tego, co mi lord Rufton powiedział, gdy szliśmy przez park, wydawało się, że w tej sprawie znaleźliśmy się po złej stronie trawnika. Lord Dacre miał prawo zabrać swoją żonę, bo w istocie należała do niego i nasza obecna pozycja nie była lepsza od pozycji włamywaczy i przybłędów. Włamywacze nie powinni pchać się prosto do głównych drzwi. Mogliśmy naszą damę zabrać siłą lub podstępem – ale nie mogliśmy jej zabrać zgodnie z prawem, bowiem w tym wypadku prawo było przeciwko nam. Oto, co mój przyjaciel mi wyjaśnił, gdy podkradaliśmy się do kryjówki w krzakach, rosnących pod oknami domu. Teraz mogliśmy przyjrzeć się fortecy i ustalić, jakie mamy szanse, aby ją sforsować, albo co najmniej nawiązać kontakt z pięknym więźniem.

I tak oto tkwiliśmy w krzakach – ja i lord Rufton – z pistoletami w kieszeniach kurtek jeździeckich i silnym postanowieniem, że nie wrócimy bez porwanej.

Niecierpliwie badaliśmy wzrokiem każde okno tego dość szerokiego domu. Żadnego śladu więźnia czy kogokolwiek, lecz na żwirze pod oknami widać było głębokie ślady kół bryczki. Niewątpliwie byli wewnątrz domu. Kuląc się w krzakach wawrzynu, szeptem ustalaliśmy dalszy plan działania, ale zanim skończyliśmy, ujrzelśmy, jak w drzwiach ukazuje się wysoki mężczyzna o płowych włosach i postawie doskonale pasującej do flankowego grenadiera. Kiedy zwrócił w naszą stronę opaloną twarz i błękitne oczy, rozpoznałem lorda

Dacre.

Długimi krokami przeszedł zwirową ścieżkę, kierując się wprost do miejsca, w którym leżeliśmy.

– Wyłaż, Ned! – krzyknął. – Albo łowczy do ciebie strzeli. Wychodź, człowieku, nie kryj się w krzakach.

Nie była to dla nas zbyt heroiczna sytuacja. Mój biedny przyjaciel wstał z rumieńcem na twarzy, a ja zerwałem się na nogi i skłoniłem z całą wyszukaną galanterią, na jaką było mnie w tym momencie stać.

– Halo! To Francuz, prawda? – zapytał, nie oddając mi ukłonu. – Już miałem z nim na pieńku. A jeżeli chodzi o ciebie, Ned, to wyczułem już twój swąd, więc wypatrywałem cię i zobaczyłem, jak idziesz przez park, a potem chowasz się w krzakach. Chodź, człowieku i wyłóż wszystkie karty na stół.

Zdawał się być panem sytuacji. Ten przystojny olbrzym stał swobodnie na własnym terenie, podczas gdy my porzuciliśmy kryjówkę. Lord Rufton milczał, ale poznałem po zmarszczonych brwiach i ponurym spojrzeniu, że zbiera w nim burza wściekłości. Lord Dacre wszedł do domu, a my podążyliśmy zaraz za nim.

Wprowadził nas do wyłożonego dębową boazerią salonu i zamknął za nami drzwi. Następnie zaczął się na mnie bezczelnie gapić.

– Słuchaj no, Ned – rzekł – był czas, gdy angielska rodzina mogła rozwiązywać prywatne sprawy w swoim własnym gronie. Co ten obcy ma wspólnego z twoją siostrą, a moją żoną?

– Sir – wtrąciłem – pozwól, że zwrócę ci uwagę, iż nie jest to tylko sprawa siostry lub żony, ale też i moja, jej przyjaciela i tak jak każdy dżentelmen, mam przywilej chronienia kobiety przed brutalnym traktowaniem. I nie tylko tym gestem mogę panu pokazać, co o nim myślę.

Miałem rękawice do konnej jazdy i cisnąłem mu je w twarz. Cofnął się z nikłym uśmiechem i z oczami tak twardymi jak kamienie.

– Cóż to, Ned, przyprowadziłeś sobie zastępcę? – zapytał. – Przecież możesz walczyć osobiście, jeżeli już ma dojść do walki.

– Tak, mogę! – wykrzyknął lord Rufton. – Tu i teraz.

– Po zabiciu tego pyszałkowego Francuza – stwierdził lord Dacre.

Podszedł do stolika pod ścianą i otworzył inkrustowane mosiądzem pudełko.

– Na Boga – ciągnął – albo on, albo ja opuszczę ten pokój nogami do przodu. Nie życzę ci źle, Ned, ale, na Boga, zastrzelę tego pajaca, jakim George Dacre. Wybierz pan pistolet. Te szczekaczki są naładowane. Celuj przez stół prosto we mnie i zabij jeśli możesz, albo jeżeli nie chcesz, niech to zrobi twój lord.

Lord Rufton daremnie próbował przejąć na siebie cały spór. Dla mnie jasne były dwie sprawy: pierwsza to fakt, że Lady Jane najbardziej bała się, żeby brat i mąż nie walczyli ze sobą; druga, że gdybym zabił tego rosłego milorda, wszystko zostałoby rozwiązane w sposób najlepszy z możliwych. Lord Rufton nie chciał go, Lady Jane też go nie chciała, dlatego ja, Etienne Gerard, spłacając dług wdzięczności, muszę ich uwolnić od tego ciężaru. Jednak w tej sprawie nie było alternatywy – lord Dacre chce wpakować we mnie kulkę z taką samą ochotą, jak ja w niego. Lord Rufton daremnie argumentował, daremnie krzyczał. Sprawa musiała się toczyć swoim torem.

– No, jeśli już chcesz walczyć z moim gościem, a nie ze mną, to pozwól, że przyjdę tu jutro rano z dwoma świadkami! – zawołał na koniec. – To, co teraz proponujesz, to zwykłe morderstwo.

– Ale odpowiada mojemu obecnemu nastrojowi, Ned – stwierdził lord Dacre.

– Mojemu też, sir – wtrąciłem.

– Zatem nie chcę mieć z tym nic wspólnego! – krzyknął lord Rufton. – Powtarzam, George, jeżeli zastrzelisz pułkownika Gerarda w takich okolicznościach, zamiast na ławie

Parlamentu, znajdziesz się na ławie oskarżonych. Ja nie chcę temu sekundować.

– Sir – zapewniłem go – jestem doskonale przygotowany do akcji bez sekundanta.

– Niemożliwe. To wbrew przepisom – wykrzyknął lord Dacre. – Zostań Ned, nie bądź głupi. Widzisz przecież, że chcemy walczyć, a ty masz tylko rzucić chusteczkę!

– Nie chcę brać w tym udziału.

– A więc muszę znaleźć kogoś, kto zechce – stwierdził lord Dacre.

Rzucił kurtkę na leżące na stole pistolety i pociągnął za sznur dzwonka. Wszedł lokaj.

– Zapytaj pułkownika Berkeley’ a, czy zechciałby tu wstąpić. Znajdziesz go w pokoju bilardowym.

Chwilę potem do pokoju wszedł wysoki, szczupły Anglik z bujnym wąsem, będącym rzadkością na obecnie gładko wygolonych twarzach tej rasy. Mówiono mi, że takie wąsy nosili tylko Gwardziści i Huzarzy. Zaś ten pułkownik Berkeley był gwardzistą. Przy tym wydawał się być dziwną, zmęczoną, powolną kreaturą z długim, czarnym cygarem, sterczącym z ust wśród tych ogromnych wąsów, jak słup z krzaków. Przenosił wzrok od jednego do drugiego z nas, z istic angielską flegmą, nie zdradzając nawet najmniejszego zaskoczenia, kiedy został poinformowany o naszych zamiarach.

– Właśnie – powiedział tylko. – Właśnie.

– Odmawiam brania w tym udziału, pułkowniku Berkeley! – krzyknął lord Rufton.

– Przypominam, że pojedynek nie może się odbyć bez ciebie i ciebie osobiście czynię odpowiedzialnym za wszystko co się wydarzy.

Pułkownik Berkeley wydawał się być autorytetem w takich sprawach. Wyjął cygaro z ust i oznajmił swoim dziwnym, powolnym głosem:

– Okoliczności są niezwykle, ale nie wykraczają poza ustalone normy, lordzie Rufton – oświadczył. – Ten dżentelmen ma zadać cios, a drugi dżentelmen ma go przyjąć. Ta kwestia jest jasna. Czas i warunki zależą od osoby domagającej się satysfakcji. Doskonale. On żąda tu i teraz, przez stół. Działa zgodnie z przysługującymi mu prawami. Jestem gotów przejąć moje obowiązki.

Nic więcej nie było już do powiedzenia. Lord Rufton ze ściągniętymi brwiami usiadł ponuro w kącie, z rękami wbitymi głęboko w kieszenie bryczesów.

Pułkownik Berkeley obejrzał oba pistolety i położył je na środku stołu. Lord Dacre stanął po jednej stronie stołu, ja po drugiej, a między nami osiem stóp lśniącego, mahoniowego blatu.

Wysoki pułkownik stał plecami do kominka, trzymając w palcach lewej ręki chusteczkę, a cygaro między dwoma palcami ręki prawej.

– Kiedy rzucę chusteczkę – rzekł – chwycicie swój pistolet i możecie strzelić w dogodnej dla siebie chwili. Gotowi?

– Tak! – krzyknęliśmy równocześnie.

Puścił chusteczkę. Szybko pochylilem się, aby chwycić pistolet, ale – jak już mówiłem – stół miał długość ośmiu stóp, a milord miał dłuższą od mojej rękę, więc łatwiej mu było dosięgnąć pistolet.

Jeszcze się nie zdążyłem wyprostować, gdy wypalił, ale właśnie to ocaliło mi życie. Gdybym się szybciej wyprostował, jego kula roztrzaskałaby mi głowę, a tak tylko

naruszyła na głowie loki. Ale w tym czasie, gdy już mierzyłem w niego moim pistoletem i zamierzałem wypalić, otworzyły się drzwi i objęła mnie para rąk. Ujrzałem przed sobą piękną, spłonioną, rozgorączkowaną twarz Lady Jane.

– Nie strzelaj, pułkowniku Gerard! – krzyknęła. – To pomyłka, mówię ci, że to pomyłka. To najlepszy, najdroższy mąż. Nigdy już go nie opuszczę.

Jej ręce zsunęły się z moich ramion i chwyciły pistolet.

– Jane! Jane! – zawołał lord Rufton. – Chodź ze mną. Nie powinnaś tu zostawać. Idziemy!

– To wszystko jest piekielnie nieregulaminowe – oświadczył pułkownik Berkeley.

– Pułkowniku Gerard, nie strzeli pan, prawda? Serce by mi pękło, gdybyś mu zrobił krzywdę.

– Przestań, Jinny! Niech ten człowiek rozegra to fair! – krzyknął lord Dacre. – On przyjął mój strzał jak mężczyzna. I nie chcę widzieć, jak mu ktoś przeszkadza. Cokolwiek się wydarzy, nic gorszego mnie nie spotka niż to, na co zasłużyłem.

Zdażyłem już wymienić z Lady Jane szybkie, porozumiewawcze spojrzenie, które powiedziało jej wszystko.

Opuściła ręce.

– Zostawiam życie mojego męża oraz moje szczęście w rękach pułkownika Gerarda – oznajmiła.

Och, jak dobrze mnie znała ta godna podziwu kobieta! Przez chwilę stałem niezdecydowany z pistoletem w ręce, mój przeciwnik odważnie stał zwrócony twarzą do mnie, bez cienia strachu na opalonej twarzy i bez zmrużenia niebieskich oczu.

– No dalej, dalej, sir, oddaj pan swój strzał! – zawołał pułkownik.

– Miejmy to już za sobą – rzekł lord Dacre.

No, teraz pokażę mu, jak bardzo jego życie zależało od moich umiejętności. Zacząłem się rozglądać za czymś charakterystycznym – pułkownik wpatrywał się w mojego przeciwnika, spodziewając się, że za chwilę padnie jak długi na podłogę. Był do mnie zwrócony profilem, z ust sterczało długie cygaro, z calowej długości popiołem.

Błyskawicznie uniosłem pistolet i wystrzeliłem.



Gdybym się szybciej wyprostował, jego kula roztrzaskałaby mi głowę

– Pozwoliłem sobie strząsnąć popiół z pańskiego cygara – oznajmiłem i skłoniłem się z nieznaną u tych wyspiarzy gracją.

Jestem przekonany, że błąd tkwił w pistolecie, nie zaś w mierzeniu przeze mnie do celu. Ledwo mogłem uwierzyć własnym oczom, gdy zobaczyłem, że obciąłem cygaro w odległości pół cala od ust. Stał, gapiąc się na mnie z postrzępionym cygarem, sterczącym z nadpalonych wąsów. Jeszcze teraz mam przed oczami te jego głupkowate, wściekłe oczy i podłużną, szczupłą twarz, z wyrazem bezgranicznego zdumienia. A potem zaczął mówić. Zawsze twierdziłem, że Anglicy tak naprawdę nie są flegmatycznym, albo małomównym narodem, jeśli tylko odpowiednio się ich podpuści. Nikt, tak jak ten pułkownik, nie potrafiłby wyrzucić z siebie tylu słów i to w taki sposób. Lady Jane przyłożyła dłonie do uszu.

– Spokojnie, spokojnie, pułkowniku Berkeley – mitygował go lord Dacre – pan się zapomina! W pokoju znajduje się kobieta!

Pułkownik skłonił się sztywno.

– Lady Dacre proszona jest o łaskawe opuszczenie tego pokoju – rzekł.
– Zamierzam poinformować tego piekielnego Francuzika, co myślę o jego małych sztuczkach.

W tym momencie zachowałem zimną krew i nie dałem się sprowokować, ignorując jego słowa.

– Sir – rzekłem – szczerze pana przepraszam za ten niefortunny incydent. Czuję, że gdybym w ten sposób nie rozładował pistoletu, honor lorda Dacre zostałby nadszarpnięty, a tego nie mógłbym sobie wybaczyć, a poza tym słyszałem, co ta dama powiedziała, gdy celowałem w jej męża. Poszukałem więc innego celu, ale nieszczęśliwie odciąłem kawałek pańskiego cygara, chociaż moim zamiarem było tylko strącić z niego popiół. Zawiódł pistolet, nie moje oko. Tak brzmi moje wyjaśnienie, sir, i jeśli po moich przeprosinach ciągle jeszcze czujesz, że jestem ci winien satysfakcję, to oświadczam, że nie odmówię jej panu.

Postawa, którą wtedy przyjąłem, z pewnością wszystkich oczarowała, zyskałem ich szacunek i sympatię. Lord Dacre podszedł, uścisnął mi dłoń i rzekł:

– Na Boga, sir. Nigdy nie czułem takiej sympatii do Francuzów, jaką teraz czuję do pana. Jesteś pan prawdziwym mężczyzną i dżentelmenem. Więcej już nie powiem.

Lord Rufton milczał, ale uścisk jego dłoni zdradził mi jego myśli.

Nawet pułkownik Berkeley złożył mi gratulacje i oznajmił, że zapomni o tym niefortunnym incydencie z cygarem.

A ona... ach, gdybyście widzieli, jakim obdarzyła mnie spojrzeniem, jaki rumieniec zagościł na jej policzkach, jak bardzo zwilgotniały jej oczy, jak drżały wargi!

Kiedy myślę o mojej pięknej Lady Jane, to zawsze wspominam właśnie tę chwilę. Zaproszono nas na kolację, ale chyba rozumiecie, moi przyjaciele, że ani ja ani lord Rufton nie mieliśmy ani ochoty ani czasu, aby zostać w Gravel Hanger.

Pogodzona para pragnęła być sama. W bryczce przekonał ją do szczerzej skruchy i znowu stali się kochającymi się mężem i żoną. I jeżeli miało tak zostać, to ja powinienem zniknąć z jej życia. Dlaczego miałbym zakłócać spokój domowego ogniska? Nawet wbrew mojej woli, sama tylko moja obecność i wygląd, mogły działać na Lady

Jane. Nie, nie, muszę się od nich oddalić – nawet nie powstrzymały mnie jej perswazje. Po latach dowiedziałem się, że rodzinę Dacre zaliczano do najszcześliwszych w całym kraju i żadna chmura nie zaciemniała ich szczęścia. Sądzę jednak, że gdyby udało mi się poznać najskrytsze myśli żony, to... ale nie powiem już nic więcej! Sekret damy należy tylko do niej samej i obawiam się, że ona i jej sekret zostały przed laty razem pochowane na którymś z cmentarzy w Devonshire. Może dziś już wszyscy z kręgu otaczającego Lady Jane odeszli i teraz żyją tylko w pamięci starego emeryta – francuskiego brygadiera. On przynajmniej nigdy ich nie zapomni!

§ Barn stable – zbitka dwóch słów – stodoła i stajnia (ang.) (przyp. tłum.).

VI. Jak brygadier upolował lisa 9

Pośród całego mnóstwa oficerów Wielkiej Francuskiej Armii, był tylko jeden, do którego Anglicy Armii Wellingtona odczuwali głęboką, stałą i niezmienną nienawiść.

Wśród Francuzów było wielu plądrujących, gwałcących, szulerów, awanturników i ogólnie hołoty. Jednak im wszystkim można by wybaczyć, bowiem tego rodzaju element można było też znaleźć w szeregach Anglików. Ale ten oficer z oddziałów Masseny, popełnił tak okropną zbrodnię, że można było snuć o niej opowieści tylko wieczorem, gdy druga butelka rozwiązywała ludziom języki i z ust gładko płynęły najgorsze przekleństwa. Wieść o niej przedostała się do Anglii i miejscowi dżentelmeni, którzy mało wiedzą o szczegółach wojny, wpadali w szalony gniew, gdy o tym usłyszeli i ci Królewscy Strażnicy z hrabstw, klnąc szpetnie, wznosili w niebo zaciśnięte pięści.

I któż to mógł dokonać tak okropnego czynu, jak nie nasz przyjaciel, brygadier Etienne Gerard, z huzarów Conflans, ten beztroski jeździec z rozwianym pióropuszem, ulubieniec kobiet i bohater sześciu brygad lekkiej kawalerii?

Jednak najdziwniejsze w tym było to, że ten wspaniały człowiek dokonał tak okropnego czynu i uczynił z siebie najbardziej znienawidzonego człowieka na półwyspie, nie wiedząc w ogóle o tym, że popełnił zbrodnię, którą nawet trudno nazwać i znaleźć na nią określenie we wszystkich słownikach naszego języka. Zmarł w podeszłym wieku i nigdy w swojej niewzruszonej wierze w siebie, zdobiącej lub szpecącej jego charakter, nie zdawał sobie sprawy, że tak wielu Anglików byłoby go chętnie powiesiło własnymi rękami. Przeciwnie, on tę przygodę zaliczał do tych, które chciał przekazać do wiadomości całemu światu i wiele razy chichotał i klepał się w czasie przekazywania jej pilnym słuchaczom, zebranych wokół niego w skromnej kawiarence, gdzie w czasie posiłku i gry w domino, wśród wybuchów śmiechu, ze łzami w oczach snuł opowieści o tych niezwykłych czasach napoleońskich, gdy Francja, niczym anioł gniewu wzbijała się do lotu, wspaniała i przerażająca, nad padającym przed nią na kolana całym kontynentem.

Wysłuchajcie więc tej opowieści z jego własnych ust i w której prezentuje własny punkt widzenia.

* * *

– Musicie wiedzieć, moi przyjaciele – mówił – że miał się już ku końcowi rok tysiąc osiemset dziesiąty, gdy ja, Massena i inni, coraz bardziej przyciskaliśmy Wellingtona, mając nadzieję zepchnięcia go z całą armią nad rzekę Tag. Kiedy znaleźliśmy się w odległości dwudziestu pięciu mil od Lizbony, zorientowaliśmy się, że zostaliśmy zwiedzeni. Anglik zbudował potężną linię umocnień i fortów w miejscu zwanym Torres Vedras, tak, że nawet my nie mogliśmy ich sforsować. Leżały w poprzek całego półwyspu, a nasza armia zapędziła się tak daleko od domu, że nie mogliśmy ryzykować odwrotu i w Busaco dowiedzieliśmy się, że walka z tymi ludźmi to nie zabawa

z dziećmi. W tej sytuacji mogliśmy tylko usiąść przed tymi umocnieniami i ze wszystkich sił blokować je. Więc tkwiliśmy tam już sześć miesięcy, wśród takich niebezpieczeństw i niepokoju, że nawet sam Massena powiedział później, iż na jego ciele nie ma ani jednego włosa, który by nie posiwiiał.

Jeżeli chodzi o mnie, to nie martwiłem się specjalnie naszą sytuacją, natomiast zajmowałem się końmi, które bardzo potrzebowały odpoczynku i świeżej, zielonej paszy. Poza tym, piliśmy miejscowe wino i w ogóle zabijaliśmy czas, jak tylko się dało. W Santarem była pewna dama – jednak moje usta już milczą. Szarmancki mężczyzna nie powie nic, co mogłoby wskazywać, że powiedział za dużo.

Pewnego dnia Massena posłał po mnie i zastałem go w namiocie, nad wielką mapą przypiętą do stołu. Spojrzał na mnie przenikliwymi oczami i z jego zachowania wyczułem, że sprawa jest poważna. Był zdenerwowany i skonfundowany, jednak moje wejście wydawało się dodawać mu otuchy. Zawsze dobrze mieć kontakt z dzielnymi ludźmi.

– Pułkownik Etienne Gerard – rzekł – słyszałem, że jest pan bardzo odważnym i pomysłowym oficerem.

Nie mnie potwierdzać tego rodzaju świadectwo, a jednak byłoby głupotą mu zaprzeczać, zatem strzeliłem obcasami w ostrogach i zsalutowałem.

– Jest pan też doskonałym jeźdźcem.

Zgodziłem się.

– I najlepszym szermierzem w sześciu brygadach lekkiej kawalerii.

Massena był znany z posiadania dokładnych informacji.

– A teraz – rzekł – niech pan rzuci okiem na mapę, a zrozumie, czego sobie od pana życzę. Widać na niej linie szanćów Torres Vedras. Może pan zobaczyć, że obejmują rozległą przestrzeń, ale jednocześnie zorientuje się pan, iż Anglicy mogą tylko utrzymać pozycje tu i tu. Za umocnieniami widać obszar dwudziestu pięciu mil otwartego terenu, położonego między nimi a Lizboną. Byłoby bardzo ważne wiedzieć, jak oddziały Wellingtona zostały rozlokowane na tym terenie i moim życzeniem jest, aby pan dostarczył mi tych informacji.

Jego słowa zmroziły mnie.

– Wasza ekscelencjo! – odparłem. – To niemożliwe, aby oficer lekkiej kawalerii zniżył się do roli szpiega.

Zaśmiał się i poklepał mnie po ramieniu.

– Nie byłbyś pan prawdziwym huzarem, gdybyś nie był w gorącej wodzie kąpany – rzekł. – Jeżeli posłucha mnie pan dalej, zrozumie, że nie proszę pana o działanie w roli szpiega. Co pan myśli o tym koniu?

Wyprowadził mnie z namiotu, przed którym jeden z szaserów prowadził tam i z powrotem wspaniałe zwierzę. Był to niewysoki, jabłkowity bułanek, lecz z krótką, pięknie wygiętą szyją, jakie spotyka się tylko u czystej krwi Arabów. Miał dobrze umięśnioną pierś, silny kłęb i przy tym tak delikatne nogi, że patrzyłem na niego z dreszczem radości. Na doskonałego konia lub piękną kobietę nie mogłem patrzeć obojętnie i nawet teraz nie patrzę bez wzruszenia, mimo, iż moją krew ostudziło siedemdziesiąt zim. Zatem możecie sobie wyobrazić, jak to wyglądało w roku 1810.

– To jest – rzekł Massena – Woltyżer, najszybszy koń w naszej armii. Chcę, żeby pan wyruszył jeszcze dziś w nocy, okrążył linie z flanki, przejechał wzdłuż tyłów wroga, wrócił z drugiej flanki i dostarczył mi informacji o rozlokowaniu ich sił. Będzie pan w mundurze i jeżeli pana chwycą, nie zostaniesz skazany na śmierć jako szpieg. Jednak najpewniej przejedziesz pan tę drogę bez przeszkód, bowiem wróg ma tam rzadko rozsiane posterunki. Kiedy je pan minie, w dzień może pan uniknąć przeszkód i jechać niezauważony, trzymając się z dala od drogi. Jeżeli do jutrzejszego wieczora nie zamelduje się pan u nas, będę uważał, że został pan ujęty i ofiaruję im na wymianę pułkownika Petrie.

Ach, jak biło mi serce z dumy i radości, gdy wskakiwałem na siodło i zacząłem galopować tym wspaniałym rumakiem przed marszałkiem, aby pokazać mu moje umiejętności. Było to coś wspaniałego – ja i koń byliśmy wspaniali. Massena klaskał i krzyczał z zachwytem.

To nie ja, tylko on powiedział, że waleczne zwierzę zasługuje na walecznego jeźdźcę. Kiedy z rozwianym pióropuszem po raz trzeci przejeżdżałem paradnie przed marszałkiem, ujrzałem na jego surowej, zniszczonej wicrami wojny twarzy, że nie ma już żadnych wątpliwości, iż dokonał właściwego wyboru człowieka zdolnego wykonać to zadanie. Dobyłem szabli, przytknąłem rękojeść do ust w geście salutu i pogalopowałem do mojej kwatery.

Po obozie rozeszły się już wieści o wyznaczeniu mnie do tej misji, a moi dzielni chłopcy zaczęli ściągać ze swoich namiotów, aby mi pogratulować. Ach! Jeszcze dziś cisną mi się do oczu łzy, gdy pomyślę, jak byli dumni ze swojego pułkownika.

Ja też byłem z nich dumny. Zasłużyli na tak dzielnego dowódcę.

Zapowiadała się burzliwa noc, co było mi bardzo na rękę. Chciałem, żeby mój wyjazd został utrzymany w największej tajemnicy, bowiem było jasne, że jeżeli Anglicy dowiedzą się, że odłączyłem od Armii, natychmiast dojdą do wniosku, iż wiąże się z tym coś ważnego. Dlatego zaprowadzono mojego konia za linię pikiet, niby to do wodopoju, a ja podążyłem za nim na piechotę i dopiero tam go dosiadłem. Miałem ze sobą mapę i kompas, oraz dokument z instrukcjami marszałka. Ukrywszy to na piersi i z szablą przy boku wyruszyłem na moją przygodę.

Nie było księżycy i padał słaby deszcz, więc możecie sobie wyobrazić, że nie było to przyjemne. Jednak moje serce biło żywo na myśl o zaszczycie, jaki mnie spotkał i czekającej chwale. Ta przygoda dołączy do serii błyskotliwych osiągnięć, które zmienią moją szablę w buławę marszałkowską. O czymże to marzyliśmy, my głupi młodzieńcy, pijani odnoszonymi sukcesami! Czy pędząc tej nocy mogłem się spodziewać, że ja, wybraniec spośród sześćdziesięciu tysięcy żołnierzy, spędzę schyłek życia uprawiając kapustę i egzystując za sto franków miesięcznie! Och, moja młodości, moje nadzieje, moi towarzysze broni! Lecz koło się kręci, nigdy się nie zatrzymuje. Wybaczcie mi, przyjaciele, stary człowiek miewa chwile słabości.

Moja droga wiodła wyżyną Torres Vedras, potem przez rzekę, obok spalonej farmy, teraz jedyne, charakterystycznego punktu w terenie. Następnie prowadziła przez las młodych drzew korkowych, ku klasztorowi Świętego Antoniego, zaznaczającego lewą pozycję Anglików.

Tu zwróciłem się na południe i zjechałem na nizinę, ponieważ według Masseny mogłem tam znaleźć drogę, nie będąc zauważony z pozycji angielskich. Jechałem bardzo wolno, bowiem było tak ciemno, że nie mogłem zobaczyć wyciągniętej przed oczami ręki. W takich sytuacjach zwykle puszczałem koniowi cugle i zdawałem się na jego instynkt. Woltyżer szedł pewnie naprzód, a ja siedząc wygodnie w siodle rozglądałem się dookoła z zadowoleniem, że unika jakichkolwiek świateł.

Jechaliśmy ostrożnie przez trzy godziny, aż w końcu odniosłem wrażenie, że zostawiłem za sobą całe niebezpieczeństwo. Wtedy popędziłem ostrogami konia, ponieważ wraz ze wschodem słońca chciałem się znaleźć głęboko na tyłach angielskiej armii. W tym rejonie znajdowało się mnóstwo winnic, które zimą tworzą odkryte przestrzenie i jeździec może jechać prawie bez przeszkód.

Jednak Massena nie docenił przebiegłości Anglików, bowiem nie była to tylko jedna linia obrony, lecz trzy i ta trzecia – przez którą właśnie jechałem – była najgroźniejsza! Cwałując uskrzydłony sukcesem, nagle ujrzałem przed sobą światło latarni i błysk wypolerowanych luf muszkietów, a za nimi czerwone kurtki.

– Kto jedzie? – zawołał głos... – ale co to był za głos!

Skręciłem w prawo i popędziłem jak szalony, lecz natychmiast w ślad za mną oddano z tuzin strzałów i kule zaczęły mi gwizdać mimo uszu. Nie był to dla mnie nowy dźwięk, przyjaciele, chociaż nie będę was tu mamił niczym jakiś głupi rekrut, że brzmiał przyjemnie. Mogę jednak zapewnić, że nigdy nie pozbawiał mnie jasności myślenia i wiedziałem, że aby go uciszyć, najlepszym środkiem jest galop konia i że muszę się gdzieś ukryć.

Okrzyżłem angielską pikietę a potem, gdy już ich nie słyszałem, słusznie wywnioskowałem, że przedostałem się przez linię ich obrony.

Przez pięć mil jechałem w kierunku południowym, od czasu do czasu krzesząc iskry i sprawdzając kieszonkowy kompas. I wtedy, w jednej chwili – nawet teraz jeszcze ściska mi się serce, gdy o tym pomyślę – mój koń, bez wydania głosu, ani się nie zatoczywszy, padł pode mną martwy!

Nie wiedziałem, że jedna z kul tej piekielnej pikiety przeszła jego ciało. To wspaniałe zwierzę wtedy nawet nie drgnęło, nie osłabło, lecz biegło póki jeszcze tliło się w nim życie. W jednej chwili dosiadałem najszybszego i najszlachetniejszego konia w armii Masseny, w następnej zaś leżał on na boku, wart tylko ceny za jego skórę, a ja stałem przy nim bezradny, niedołączna figura huzara bez konia. Co mogłem zrobić w wysokich butach z ostrogami i z szablą u boku? Znajdowałem się daleko, na tyłach wroga. Jak teraz miałem wrócić?

Ja, Etienne Gerard, nie wstydzę się tego powiedzieć, usiadłem na martwym koniu i z rozpaczą ukryłem twarz w dłoniach.

Na wschodzie niebo zaczęło się rozjaśniać.

Za pół godziny będzie jasno. Czy po pokonaniu tych wszystkich przeszkód – i teraz tej ostatniej – mam pozostać tutaj na łasce moich wrogów, moja misja ma lec w gruzach, a ja sam mam zostać jeńcem? Czyż nie wystarczyło to, aby złamać serce żołnierza?

Ale nie, drodzy przyjaciele! Wszyscy przeżywamy chwile słabości, tak samo jak mamy momenty najwyższej odwagi, lecz ja posiadam też w sobie ducha ze stali; im

bardziej się go przygina, tym silniej reaguje, niczym sprężyna.

Jeden paroksyzm rozpaczy, a potem umysł działa na zimno i serce zaczyna płonąć. Nie wszystko jeszcze stracone. Kto pokonał tyle niebezpieczeństw, musi jeszcze pokonać to ostatnie. Wstałem i zacząłem się zastanawiać, co dalej robić.

Po pierwsze – uzmysłowiłem sobie, że z całą pewnością nie mogę wracać. Nie zdołam przekroczyć linii nieprzyjacielskich przed świtem, zatem za dnia muszę się gdzieś ukryć – a potem wraz z nastaniem nocy spróbować uciec. Zdjąłem z mojego biednego Wołyżera cugle, siodło i czaprak, i ukryłem je w krzakach, żeby nikt nie poznał, że to był koń francuski. Potem zostawiłem go i ruszyłem w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, w którym mógłbym bezpiecznie spędzić cały dzień.

Wszędzie na zboczach wzgórz widziałem obozowe ogniska i kręcące się wokół nich postacie. Musiałem działać szybko, inaczej będę zgubiony.

Lecz gdzie się miałem ukryć? Znajdowałem się w winnicy, gdzie rosły tylko krzewy winne, teraz pozbawione liści. Tu nie znajdę żadnej kryjówki. Poza tym, przed zapadnięciem nocy musiałem zdobyć coś do jedzenia i wodę! W rzedniejącym mroku ruszyłem biegiem naprzód, ufając, że szansą może być dla mnie zawsze życzliwa dla eleganckiego huzara przyjaciółka.

Tak więc, kiedy kuśtykałem przez winnicę, coś zamajaczyło przede mną i po chwili okazało się, że był to duży, kwadratowy dom, z przylegającą do niego z jednej strony niską przybudówką. W tym miejscu spotykały się trzy drogi i najwyraźniej była to „posada”, albo winiarnia.

W oknach nie było widać światła, wszędzie panowała cisza i było ciemno; oczywiście jednak wiedziałem, że tak wygodne kwatery były na pewno zajęte i to przez kogoś ważnego. Równocześnie wiedziałem, że bezpieczne miejsce można najłatwiej znaleźć w pobliżu grożącego niebezpieczeństwa, toteż nie zamierzałem z niego rezygnować. Ten niski budynek najwyraźniej kiedyś był stajnią i wkradłem się do niego przez nie zamknięte drzwi.

W środku było pełno wołów i owiec, niewątpliwie ukryto je tu przed pożądanymi łapami maruderów.

Drabina wiodła na stryszek i ukryłem się tam między balami słomy. Na stryszku było małe, otwarte okienko; mogłem przez nie widzieć front gospody oraz drogę. Kucnąłem przy nim i obserwowałem, co się stanie.

Wkrótce przekonałem się, że się nie myliłem uważając, iż kwatery w posiadzie zajmują ważne osoby. Zaraz po wschodzie słońca zjawił się angielski dragon lekkiej jazdy, z raportem i od tego momentu zawrzało w tym miejscu jak w ulu; nieustannie przyjeżdżali i odjeżdżali oficerowie, a na ich ustach pojawiała się tylko jedno nazwisko „Sir Stapleton... Sir Stapleton...”

Z przykrością musiałem tam kucać i tylko podkrecać suchego węża, obserwując jak gospodarz wynosił coraz to nowe dzbany wina i częstował nimi angielskich oficerów. Bawił mnie jednak widok ich czerstwych, gładko wygolonych, beztroskich twarzy, wyobrażając sobie co by pomyśleli, gdyby wiedzieli, jaka to sławna osoba znajduje się blisko nich. A potem, gdy tak ich obserwowałem, ujrzałem coś, co wprawiło mnie w zdumienie.

Jacy bezgranicznie bezczelni są ci Anglicy! Jak sądzicie, co uczynił lord Wellington, gdy stwierdził, że Massena zatrzymał go i że nie może się dalej ruszyć ze swoją armią? Możecie zgadywać w nieskończoność, a i tak nie zgadniecie! Możecie twierdzić, że był wściekły, że ogarnęła go rozpacz, że zebrał oddziały i wygłosił do nich mowę na temat chwały i ojczyzny, a potem powiódł do ostatniej bitwy.

Nie, lord Wellington niczego takiego nie uczynił – on wysłał szybki okręt do Anglii, aby dostarczył mu sforę ogarów i razem ze swoimi oficerami organizował polowania na lisa.

Za szaniami linii Torres Vedras, ci szaleni Anglicy urządzali sobie trzy razy w tygodniu polowanie na lisa. Słyszeliśmy już o tym w obozie, ale teraz mogłem się osobiście przekonać, że była to prawda.

Wzdłuż wspomnianej przeze mnie drogi, gnała sfora trzydziestu, czterdziestu psów o białą--brązowej maści, każdy z ogonem uniesionym pionowo, niczym bagnety Starej Gwardii. Muszę przyznać, że był to zaiste wspaniały widok! A za nimi, pośród nich, jechało konno trzech mężczyzn w wysokich czapkach i czerwonych kurtkach – którzy, jak sądziłem, byli myśliwymi--tropicielami. Za nimi podążało wielu jeźdźców w różnego rodzaju uniformach, jadąc dwójkami, trójkami, gawędząc i śmiejąc się.

Wszyscy jechali wolnym truchtem i pomyślałem, że pewnie gonią jakiegoś niezwykle powolnego lisa. Jednak był to ich problem, nie mój; wkrótce wszyscy przejechali pod moim oknem i zniknęli z oczu. Czekałem i obserwowałem, czy nie nadarzy się dla mnie jakaś okazja, z której mógłbym skorzystać.

Wkrótce pojawił się na drodze oficer w błękitnym uniformie, podobnym do tych, jakie noszą nasi jeźdźcy konnej artylerii. Był to starszy, tęgi mężczyzna z siwymi bokobrodami. Zatrzymał się i zaczął rozmawiać z czekającym przed gospodą starszym oficerem dragonów. To, co usłyszałem, przekonało mnie, jak bardzo przydaje się znajomość języka angielskiego, którego kiedyś się uczyłem i dlatego mogłem zrozumieć każde ich słowo.

– Gdzie ten „meet”? – zapytał oficer i pomyślałem, że jest głodny i chodzi mu o befszytk. Ale odpowiedź, że jest koło Altory uświadomiła mi, że chodzi mu o miejsce spotkania.

– Jest pan spóźniony, sir George – stwierdził oficer dragonów.

– Dobrze. Musiałem wziąć udział w sądzie wojennym. Czy sir Stapleton Cotton już przyjechał?

W tym momencie otworzyło się okno i wyjrzał młody, przystojny mężczyzna we wspaniałym mundurze.

– Halo, Murray! – krzyknął. – Zatrzymała mnie ta przekłeta pisanina, ale zaraz pojedę za wami!

– Doskonale, Cotton. Jestem już spóźniony, więc pojedę przodem.

– Poleć stajennemu, żeby przyprowadził mojego konia – młody generał rozkazał przez okno starszemu oficerowi, podczas gdy tamten ruszył w dalszą drogę.

Oficer dragonów pojechał do stajni i wkrótce pojawił się ładny chłopak stajenny z angielską kokardą na kapeluszu, prowadząc za uzdę konia – ale, moi przyjaciele, nigdy nie widzieliście jaką to doskonałość może osiągnąć to zwierzę, póki nie zobaczycie

takiego pełnej krwi myśliwskiego rumaka. Był absolutnie doskonały, wysoki, szeroki, silny, ale zarazem tak pełen wdzięku i sprawności jak daniel. Był czarny jak węgiel, a jego szyja, grzywa, pierś, nogi, pęciny – jeszcze mam je przed oczami – jak je mam panom opisać? W promieniach słońca jego pierś lśniła jak wypolerowany mahoń – unosił kopyta i potrzasał grzywą w lekkim, radosnym tańcu, rżąc z niecierpliwości.

Nigdy nie widziałem takiej mieszanki siły, piękna i gracji. Nieraz zastanawiałem się, jak angielskim huzarom udało się przebić przez naszych szaserów w bitwie pod Astorga, lecz teraz wiedziałem, widząc angielskie konie.

Przy drzwiach gospody znajdowały się pierścienie do mocowania koni i stajenny przywiązał do jednego z nich konia, po czym wszedł do domu. Natychmiast zorientowałem się, że los sam pcha mi w ręce szansę i jeśli zaraz wskoczę na siodło, to nic mnie już nie powstrzyma. Z tym wspaniałym rumakiem nie można było nawet porównywać Woltyżera.

Myśl i czyn, to u mnie jedno. Natychmiast zsunąłem się po drabinie i znalazłem w drzwiach stajni. W następnym momencie byłem już na zewnątrz, z cuglami w ręce i wskoczyłem na siodło.

Ktoś dziko za mną wrzeszczał – nie wiem, pan, czy służący – ale co mnie to obchodziło? Bodłem konia ostrogami, a on skoczył do przodu z takim animuszem, że tylko taki jeździec jak ja mógł się na nim utrzymać. Puściłem swobodnie cugle i pozwoliłem mu cwałować – obojętnie dokąd, byleby tylko daleko za sobą zostawić gospodę.

Gnaliśmy przez winnice i w ciągu zaledwie kilku minut moi prześladowcy znaleźli się w odległości kilku mil za mną. Nie mieli pojęcia o tym dzikim kraju, nie wiedzieli, w którym jadę kierunku. Ja natomiast wiedziałem, że teraz jestem bezpieczny i po wjechaniu na szczyt niewielkiego wzgórza, wyjąłem z kieszeni notes i ołówek i zacząłem szkicować plany obozów, które znalazły się w zasięgu mojego wzroku.

Koń, na którym siedziałem był wspaniałym zwierzęciem, lecz rysowanie, siedząc na jego grzbiecie nie było łatwe – strzygł uszami i niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Z początku nie mogłem pojąć takiego zachowania, ale wkrótce zorientowałem, że zachowuje się tak tylko wtedy, gdy usłyszy osobliwe wołanie z leżącej poniżej mnie dębiny:

– Joj, joj, joj!

Nagle, ten dziwny okrzyk zmienił się w przeraźliwy wrzask, po czym rozległy się szalone dźwięki rogów.

Wtedy wprost oszalał – ten mój koń, oczywiście! Oczy mu błysnęły, grzywa się zjeżyła i zaczął gwałtownie podskakiwać w szaleńczym tańcu.

Ołówek wyfrunął w powietrze, a za nim notes. Spojrzałem w dół, w dolinę i ujrzałem coś zadziwiającego. Tam właśnie pełną parą toczyło się polowanie. Nie widziałem lisa, ale psy z nosami przy ziemi machały stojącymi pionowo ogonami, pędząc tak zwartą grupą, że przypominała brązowo--biały dywan. A za nimi jeźdźcy... Panowie, co to był za widok! Mogłem widzieć wszystkie rodzaje broni w armii. Niektórzy mieli na sobie stroje myśliwych, lecz większość była w mundurach: błękitnych dragonów, huzarów w czerwonych spodniach, zielonych strzelców, artylerzystów, złotem

zdobionych lansjerów oraz największa ilość czerwonych, czerwonych i czerwonych mundurów oficerów piechoty, cwałujących konno, tak samo jak kawalerzyści.

Jakież to był tłum! Niektórzy jechali na doskonałych koniach, inni na gorszych, lecz wszyscy starali się gnać z całych sił – niżsi szarżą i generałowie – każdy napierał na poprzednika, bodąc konia ostrogami i smagając pejczem, wszyscy pałający chęcią krwi tego nieszczęsnego lisa! Doprawdy niezwykłymi ludźmi są ci Anglicy!

Jednak miałem mało czasu na obserwowanie polowania, lub zachwycanie się wyspiarzami, bowiem pośród tych wszystkich oszalałych stworzeń, mój koń był najbardziej szalony. Musicie zrozumieć, że on też był koniem myśliwskim i że szczekanie sfory było dla niego tym, czym dla mnie dźwięk trąbki. Zatrząśł się, a potem stanął dęba, zagryzł wędzidło i ruszył galopem w dół wzgórza za psami.

Kląłem, ścigałem i popuszczałem cugle, ale daremnie.

Angielski generał jeździł na tym koniu używając tylko zwykłej, lekkiej frędzli, a ta bestia miała pysk z żelaza. Żadna siła nie mogła go zatrzymać – tak jak nie można powstrzymać grenadierów od pełnej butelki wina.

Przestałem się wysilać, usadowiłem pewniej w siodle i przygotowałem na najgorsze.

Co to było za stworzenie! Jeszcze nigdy nie miałem między kolanami takiego konia. Pędził coraz szybciej i szybciej, wyprężony jak chart, a wiatr siekł mi twarz i gwizdał w uszach.

Miałem na sobie tylko zwykłą, ciemną bluzkę, jaką zakłada się pod właściwy mundur – chociaż pewne znaki zawsze określają rodzaj tego munduru – i będąc ostrożnym usunąłem z niej wszelkie cechy charakterystyczne, a także odrzuciłem pióropusz z czako. W efekcie, wśród tej mieszaniny kostiumów na polowaniu, istniała szansa, że nikt nie zwróci na mnie uwagi, tym bardziej że ci wszyscy ludzie myśleli tylko o ściganiu lisa. Poza tym myśl, że wśród nich pędzi francuski oficer była zbyt absurdalna, żeby mogła im wpaść do głowy. Tak więc, nie zważając na niebezpieczeństwo, cwałując wśród nich, dusiłem się ze śmiechu, bowiem ta sytuacja miała w sobie coś komicznego.

Mówiłem już, że myśliwi dosiadali bardzo różnorodnych koni, dlatego po przebyciu kilku mil, zamiast tworzyć zwartą grupę jeźdźców – niczym szarżujący regiment – rozciągnęli się na znacznej przestrzeni. Lepszy jeździec pędził tuż za psami, reszta pozostawała w tyle.

Tak więc ja – tak dobry jeździec jak nikt – oraz mój koń znaleźliśmy się, jak możecie sobie panowie wyobrazić, na samym czele. I kiedy ujrzałem przed sobą dywan z pędzących psów, a za nim czerwone kurtki i dzielących nas tylko siedmiu, ośmiu jeźdźców, wtedy wydarzyła się najdziwniejsza rzecz pod słońcem, wtedy i ja, Etienne Gerard, też oszalałem!

W tym momencie i mnie dopadła sportowa gorączka, ta chęć bycia najlepszym, ta dzika nienawiść do lisa. Przeklęte zwierzę, nie będzie mnie dłużej lekceważyć! Nadeszła twoja godzina, nikczemny rabusiu!

Ach, panowie, jakie to wspaniałe uczucie, ten dreszcz emocji sportowej, ta chęć stratowania zwierzaka kopytami twojego konia. Znam angielską pogoń za lisem. Brałem w niej udział na Bustlerze w Bristolu, o czym kiedyś wam opowiem. Ale powiadam wam,

że ten sport to dziwna rzecz – jest tak samo interesujący jak szalony.

Im dalej, tym szybciej galopował mój koń i wkrótce wraz ze mną, bezpośrednio za psami pędziły jeszcze trzy konie.

Wszystkie myśli o strachu odkrycia pierzchły; moja głowa pulsowała, krew wrzała – tylko jedno zdawało się liczyć na tym świecie, dogonić tego przeklętego lisa. Minąłem jednego z jeźdźców – huzara, jak ja. Teraz miałem przed sobą już tylko dwóch – jednego w czarnej kurtce i drugiego w błękitnym uniformie artylerzysty, którego widziałem przed gospodą. Jego siwe bokobrody rozwiewał wiatr, lecz gnał przed siebie jak oszalały. Utrzymywaliśmy tę kolejność jeszcze kilka mil, ale potem, gdy zaczęliśmy się wspinać na strome zbocze, moja lżejsza waga pozwoliła mi wysforować się do przodu.

Minąłem ich obu i po dotarciu na szczyt zrównałem się z małym, angielskim myśliwym o surowej twarzy.

Przed nami były już tylko psy, a dalej, sto kroków przed nimi coś brązowego, lis we własnej postaci. Na jego widok poczułem, jak się we mnie gotuje krew.

– Ach, już cię mamy, ty przeklęty rozbójniku! – wykrzyknąłem i rzucając okrzyk zachęty myśliwemu, machnąłem ręką, wskazując, że teraz może się zdać na mnie.

Teraz, między mną i lisem były tylko psy. Te psy – których zadanie polega na prowadzeniu polowania – teraz były dla nas raczej przeszkodą niż pomocą, ponieważ trudno było się przez nie przedrzeć.

Angielski myśliwy miał podobne trudności jak ja, jadąc stale za psami i nie mogąc się zbliżyć do lisa. Był szybkim jeźdźcą, ale brakowało mu przedsiębiorczości. Ja natomiast czułem, że hańbą byłoby dla huzarów Conflans, gdybym nie zdołał pokonać takiej przeszkody jak ta.

Czy Etienne Gerard podda się sforcie psów?

Absurd! Wbiłem w boki konia ostrogi.

– Trzymaj się pan mocno! Trzymaj się mocno! – wrzeszczał myśliwy.

Ten stary poczciwiec bał się o mnie – ale uspokoilem go machnięciem ręki i uśmiechem. Psy rozstały się przed moim koniem. Może jednego lub dwa zraniłem, ale czy wy, panowie, nie postąpilibyście podobnie? Po to, żeby zrobić omlet, trzeba rozbić jajka. Mogłem słyszeć okrzyki gratulacji myśliwego. Jeszcze jeden wysiłek i psy były za mną. Teraz miałem już przed sobą tylko lisa.

Ach, jaka rozpierała mnie w tym momencie radość i duma! Wiedziałem, że pobiłem Anglików w ich narodowym sporcie. Ich było trzystu, wszyscy żądni życia tego zwierzęcia, a jednak to ja jeden byłem bliski upolowania go. Pomyślałem o moich towarzyszach z brygady lekkiej kawalerii, o mojej matce, o Cesarzu Francji. Przynosiłem im zaszczyt, wszystkim i każdemu z osobna. Każda chwila zbliżała mnie do lisa, zbliżała też do chwili czynu, zatem dobyłem szabli i zacząłem nią wymachiwać, a za mną Anglicy wznosili na moją cześć okrzyki.

Dopiero teraz, w pełni uzmysłowiłem sobie, jak trudno ścigać lisa. Można ciąć i ciąć, ale przecina się tylko powietrze chybiając zwierzę. Lis jest mały i potrafi zręcznie unikać ciosów. Za każdym ciosem słyszałem za sobą okrzyki zachęty, dodające mi animuszu do dalszych wysiłków. A potem, w końcu nadeszła chwila mojego triumfu. Ciąłem go bekhendem – podobnie jak kiedyś pozbawiłem życia adiutanta cara Rosji.

Rozplątałem go na dwie części – głowa odleciała w jedną stronę, korpus w drugą. Obejrzałem się i zamachałem zakrwawioną szablą. Przez chwilę znajdowałem się w stanie upojenia, niczym zwycięzca u szczytu!

Ach! Jakże chętnie zaczekałbym, aby odebrać gratulacje od tych wspaniałomyślnych przeciwników.

W polu widzenia pojawiło się ich z pięćdziesięciu; wszyscy machali rękoma i krzyczeli. Jak się okazuje, ci Anglicy wcale nie są tacy flegmatyczni. Jakiś waleczny czyn w czasie wojny, albo w sporcie, zawsze rozpali ich serca.

Najbliżej mnie znajdował się stary myśliwy i na własne oczy widziałem, jakie wywarło na nim wrażenie to, co zrobiłem. Był jak sparaliżowany, z otwartymi ustami i wzniesionymi w górę rękami. Przez chwilę kusilo mnie, żeby podjechać do niego i uściskać go.

Lecz w moich uszach brzmiał już głos obowiązku; a Anglicy, mimo okazywanej mi całej serdeczności i braterstwa, tak powszechnego wśród wszystkich sportowców, z pewnością ujęliby mnie w niewolę. Wziąwszy pod uwagę misję, jaką miałem wypełnić, teraz nie było już nadziei, abym mógł ją dokończyć; uczyniłem już wszystko, co tylko mogłem.

W niezbyt dużej odległości mogłem dojrzeć linie obozu Masseny; trasa polowania szczęśliwie zawiodła mnie w tym kierunku.

Odwróciłem się od zabitego lisa, zasalutowałem szablą i pogalopowałem przed siebie.

Ale ci eleganccy myśliwi nie zamierzali mnie tak łatwo puścić i teraz to ja stałem się celem ich gonitwy na równinie.

W chwili, gdy skierowałem się do obozu Masseny, musieli się zorientować, że jestem Francuzem i teraz całe ich mrowie deptało mi po piętach.

Zanim zdążyli się powstrzymać, znaleźliśmy się w zasięgu strzału z kierunku naszych pikiet. Potem stali w grupach, nie zamierzając ani się cofnąć ani ruszyć dalej, wymachując rękoma.

Nie, nie sądzę, żeby robili to w geście wrogości, oni czynili to przepełnieni uczuciem podziwu i ich jedynym pragnieniem było uściskać obcego, który okazał tak wielką odwagę i rycerskość.

9 Ta opowieść była publikowana w *The Green Flag, and other Stories of War and Sport* i została włączona do tego tomu, aby zebrać razem wszystkie opowieści brygadiera Gerarda.

VII. Jak brygadier zasłużył na medal

Książę Tarentum, albo Macdonald, jak wolą go nazywać jego starzy kamraci, miał – jak to mogę określić – niezbyt miłe usposobienie. Jego ponura twarz Szkota, przypominała jedną z tych kołatek do drzwi, jakie widuje się w Faubourg St. Germain. Usłyszeliśmy potem, że Cesarz powiedział żartem, iż chętnie wysłałby go na Południe przeciwko Wellingtonowi, ale nie ma zaufania do dźwięku jego kobz. Major Charpentier i ja mogliśmy wyraźnie widzieć, jak się wtedy w środku gotuje ze złości.

– Brygadier Gerard z huzarów – rzekł, jak kapral do rekruta.

Zasalutowałem.

– Major Charpentier z konnych grenadierów!

Mój towarzysz zareagował na swoje nazwisko.

– Cesarz chce wam zlecić misję.

Bez dalszych wstępów otworzył drzwi i zaanonsował nas.

Dziesięć razy widywałem Napoleona wierzchem i tylko raz pieszo, i myślę, że mądrze robił pokazując się żołnierzom na koniu, ponieważ jego figura najlepiej prezentuje się w siodle. Teraz wspominamy go, jako człowieka bardzo niskiego. Ja też nie jestem zbyt wysoki, jednak wystarczająco dobrze zbudowany jak na huzara. Było też wyraźnie widać, że jego tułów był zbyt długi w stosunku do długości nóg. Z dużą, okrągłą głową, garbiąc się i z gładko wygoloną twarzą, bardziej przypominał profesora Sorbony niż pierwszego żołnierza Francji.

Według mnie, każdy mężczyzna w jego typie winien nosić bokobrody lekkiej kawalerii – tak jak ja – i on też, co z pewnością by mu nie zaszkodziło. Miał stanowcze usta i niezwykle oczy. Raz widziałem, jak patrzy na mnie z gniewem i raczej wolałbym jechać na zdychającym koniu, niż powtórnie tego doświadczyć. Nie należę też do ludzi, których można łatwo zniechęcić.

Stał po drugiej stronie pokoju, daleko od okna, patrząc na wiszącą na ścianie wielką mapę Francji. Obok niego stał Berthier, próbując wyglądać mądrze; kiedy weszliśmy, Napoleon niecierpliwie machał szablą, wskazując coś na mapie. Mówił szybko, mimo to usłyszałem:

– Dolina Mozy... – i dwa razy powtórzył: „Berlin”. Zbliżył się do nas adiutant, ale Cesarz powstrzymał go i kiwnął, żebyśmy do niego podeszli.

– Nie otrzymał pan jeszcze Krzyża Honorowego, brygadierze Gerard? – zapytał.

Odparłem, że nie otrzymałem i chciałem dodać, że nie miałem okazji, żeby na niego zasłużyć, gdy uciął krótko, na swój zdecydowany sposób:

– A pan, majorze?

– Nie, Sire.

– Zatem teraz będziecie mieli okazję.

Podprowadził nas do dużej mapy na ścianie i wskazał czubkiem szabli Berthiera Reims.

– Będę z wami szczerzy, panowie, tak jak z dwoma towarzyszami broni. Obaj

służycie ze mną od Marengo, jak sądzę? – Miał dziwnie sympatyczny uśmiech, który zwykle rozjaśniał jego bladą twarz, niczym promienie zimowego słońca. – Obecnie, to jest czternastego marca, tu w Reims są nasze kwatery główne. Doskonale. Tu jest Paryż, około dwadzieścia pięć mil drogą100, Blücher znajduje się na północy, Schwarzenberg na południu.

Mówiąc to, szturchnął mapę szablą.

– Im dalej maszerują w głąb kraju – ciągnął – tym łatwiej będę mógł ich doszczętnie zniszczyć. Obecnie posuwają się w kierunku Paryża. Wspaniale. Pozwólmy im to robić. Mój brat, król Hiszpanii, będzie tam ze stu tysiącami ludzi. I właśnie posyłam panów do niego. Wręczycie mu ten oto list, kopię którego będzie posiadał każdy z was. Piszę w nim, że w ciągu dwóch dni przyjdę mu natychmiast z pomocą, ludzie, konie i armaty... Muszę im dać dwadzieścia cztery godziny odpoczynku, a potem prosto na Paryż! Zrozumieliście, panowie?

Ach, mogę wam powiedzieć szczerze, że rozpierała mnie duma, iż ten wielki człowiek obdarzył mnie zaufaniem.

Gdy wręczył nam listy, stuknąłem obcasami, wypiąłem pierś, uśmiechając się i kiwnąłem głową, aby dać mu znać, że wiem co zrobi potem. On też się uśmiechnął i przez moment przytrzymał rękę na moim dolmanie. Chętnie oddałbym połowę żołdu, aby mogła mnie w tej chwili zobaczyć moja matka.

– Pokażę wam waszą trasę – rzekł i odwrócił się do mapy. – Razem pojedziecie do Bazoches. Potem się rozdzielicie, jeden pojedzie do Paryża przez Oulchy i Neuilly, drugi na północ przez Braine, Soissons i Senlis. Chce pan coś powiedzieć, brygadierze Gerard?

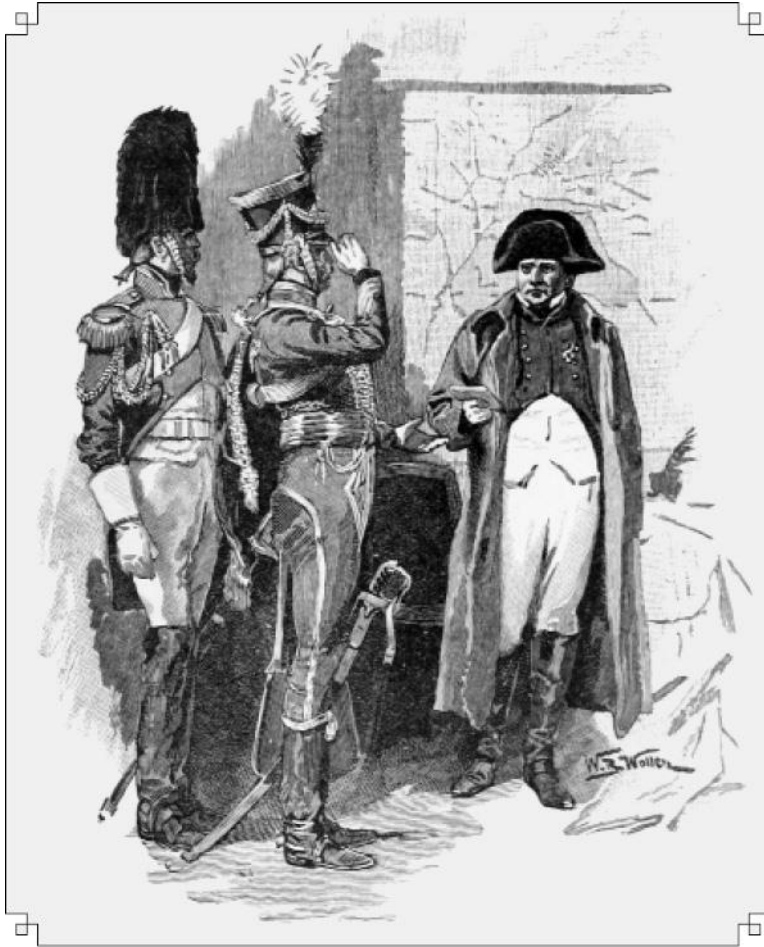
Jestem zwykłym żołnierzem, ale mam własne zdanie i pomysły. Zacząłem więc mówić o chwale i zagrożeniach Francji, ale przerwał mi.

– A pan, majorze Charpentier?

– Jeżeli uznamy, że nasza droga jest niebezpieczna, to mamy na tyle swobody, żeby wybrać inną? – zapytał.

– Żołnierze nie wybierają, oni słuchają.

Skinął głową, dając znak, że możemy odejść i zwrócił się do Berthiera. Nie wiem, co mu powiedział, ale usłyszałem, że obaj się roześmiali.



Gdy wręczył nam listy, stuknąłem obcasami, wypiąłem pierś

Możecie się domyślić, że nie poświęciliśmy dużo czasu na przygotowania do drogi. Po pół godzinie jechaliśmy już główną ulicą Reims, a gdy wybiła dwunasta minęliśmy katedrę. Jechałem na mojej siwej klaczce, Violette – tej, którą Sebastiani chciał kupić po Dreźnie. Jest najszybszym koniem w sześciu brygadach lekkiej kawalerii i na wyścigach została pokonana tylko przez konia księcia Rovigo z Anglii. Natomiast Charpentier jechał na masywnie zbudowanym koniu, jakich używali grenadierzy lub kirasjerzy, o nogach jak słupy. Sam też jest masywnie zbudowanym mężczyzną, więc oboje tworzyli wyjątkowo dobraną parę. A jednak, w swoim szalonym zarozumiałstwie spoglądał pożądliwie na machające ku mnie z okien chusteczkami dziewczęta i podkręcał paskudnego, rudego węża tak, jakby to ku niemu zwrócona była ich atencja.

Po wyjechaniu z miasta minęliśmy obóz Francuzów, a potem przejechaliśmy przez wczorajsze pole bitwy – ciągle jeszcze pokryte ciałami naszych biednych towarzyszy broni i Rosjan. Lecz drugi obóz przedstawiał jeszcze smutniejszy widok, bowiem młoda gwardia miała wielu poborowych. Jednak artyleria i ciężka kawaleria były w dużo lepszej kondycji, posiadając więcej ludzi, natomiast żołnierze piechoty, razem z ich podoficerami, przypominali uczniów szkolnych z ich nauczycielami.

Nie mieliśmy już rezerw. Kiedy ktoś uzmysłowi sobie, że na północy jest 80 000 Prusaków i 150 000 Rosjan oraz Austriaków na południu, to nawet najdzielniejszy człowiek będzie pesymistą.

Jeśli zaś o mnie chodzi, to wyznam, że uroniłem łzę na myśl, że Cesarz ciągle jest wśród nas i że tego właśnie ranka położył rękę na moim dolmanie, przyrzekając mi odznaczenie medalem honorowym. Byłem skłonny nawet śpiewać z radości i dałem ostrogi Violette, aż Charpentier zaczął mnie błagać, żebym się zlitował nad jego wielkim, ciężko dyszącym „wielbłądem”. Droga była zryta na błotnistą papkę, z koleinami od kół armat o głębokości dwóch stóp i miał rację mówiąc, że nie da się po niej galopować.

Nigdy nie przyjaźniłem się z tym Charpentierem, a teraz przez dwadzieścia mil przebytej już drogi nie mogłem wydusić z niego ani słowa. Jechał ze zmarszczonymi brwiami i głową zwieszoną na piersi, jak człowiek całkowicie pogrążony w myślach. Niejednokrotnie pytałem, co go tak dręczy, myśląc, że być może z moją inteligencją uda mi się rozwiązać jego problemy, ale zawsze odpowiadał, że stale myśli o naszej misji. Zaskoczyło mnie to, chociaż nigdy nie uważałem, że należy do ludzi o bystrym umyśle – uważałem bowiem, że nie jest to możliwe, aby ktoś tak głęboko rozważał zwykłą i zupełnie naturalną, żołnierską powinność.

W końcu dotarliśmy do Bazoches, skąd Charpentier miał jechać drogą na południe, ja zaś drogą na północ. Zanim się ze mną rozstał, odwrócił się w siodle i spojrzął na mnie, ze szczególnym wyrazem powątpiewania na twarzy.

– Co pan o tym sądzi, brygadierze? – zapytał.

– O czym?

– O naszej misji.

– Że jest dość prosta.

– Tak pan uważa? Dlaczego Cesarz zdradził nam swoje plany?

– Dlatego, że uznał nas za wystarczająco inteligentnych.

Mój towarzysz zaśmiał się w irytujący sposób.

– Mogę zapytać co pan robi, gdy natknie się na wieś lub miasto pełne Prusaków? – zapytał.

– Muszę słuchać rozkazów.

– Ale może pan zostać zabity!

– Bardzo możliwe.

Znowu się zaśmiał, tym razem tak obraźliwie, że chwyciłem rękojeść szabli. Ale zanim zdążyłem mu powiedzieć, co sędzę o jego głupocie i chamstwie, popędził konia, kierując go na wyznaczoną dla siebie drogę. Ujrzałem, jak jego wysoka, futrzana czapa znika za grzbietem wzgórza i też skierowałem się na moją drogę, zastanawiając się nad jego zachowaniem.

Od czasu do czasu dotykałem dłonią piersi, aby pomacać trzeszczący między palcami papier. Ach, ten cenny papier, który winien się zamienić w mały, srebrny medal, za którym od tak dawna tęskniłem. Całą drogę od Braine do Sermoise myślałem, co by moja matka powiedziała, gdyby to zobaczyła.

Zatrzymałem się na zboczu wzgórza przy oberży, niedaleko od Soissons, żeby nakarmić Violette – w miejscu otoczonym starymi dębami i z tyłoma krowami, że z trudem słyszało się własny głos. Oberżysta mówił, że przed dwoma dniami wycofał się tędy Marmont i że Prusacy są pod Aisne. Godzinę później, w zapadającym zmroku zobaczyłem dwie widety na wzgórzu po prawej, a potem, gdy zapadły ciemności, całe niebo na północy gorzało światłami biwaków.

Kiedy usłyszałem, że Blücher przebywa tam od dwóch dni, byłem zaskoczony, że kraj przez który Cesarz rozkazał mi jechać z cennym listem, był już zajęty przez wroga. Ciągle brzmiały mi w uszach słowa odpowiedzi na pytanie Charpentiera, że „żołnierze nie wybierają, oni słuchają”. Zatem muszę jechać wyznaczoną przez niego drogą tak długo, jak długo Violette utrzyma się na nogach. Cała droga od Sermoise do Soissons na zmianę to opadała, to się wznosiła, wijąc się wśród jodeł. Trzymałem pistolet gotowy do strzału, dłoń na rękojeści szabli i popędzałem Violette, gdy droga prowadziła prosto, a zwalniałem na zakrętach – tak jak nauczyliśmy się tego w Hiszpanii.

Kiedy dojechałem do domu chłopskiego, stojącego po prawej stronie drogi, zaraz po minięciu drewnianego mostu nad Crise, w pobliżu figury Matki Boskiej, usłyszałem, jak od pola krzyczy do mnie kobieta, że w Soissons są już Prusacy. Mówiła, że jest tam wielka grupa lansjerów i że przybyli tego właśnie dnia po południu, a całej dywizji spodziewają się przed północą. Nie zamierzałem czekać aż skończy, tylko popędziłem Violette i przez pięć minut galopowałem w kierunku miasta.

Na początku głównej ulicy natknąłem się na pięciu ułanów. Ich konie były u kresu wytrzymałości; trzymali się razem, każdy z fajką długości mojej szabli. Widziałem ich wyraźnie w świetle padającym z otwartych drzwi, ale oni mogli dostrzec tylko mignięcie zadu mojej Violette i usłyszeć trzepot czarnego płaszcza. W chwilę później przebiłem się przez grupę wypadającą z otwartej bramy. Violette potrafiła jednego, ale ominęła innych. Pang! Pang! Zagrzmiały dwa strzały z muszkietów, jednak zniknąłem już za zakrętem ulicy i tylko usłyszałem świst przelatujących kul. Ach, jacy byliśmy wspaniali! Ja i Violette. Mknęła nisko położona, jak zając, tryskając iskrami spod podków. Wymachując szablą uniosłem się w strzemionach. Nagle ktoś doskoczył do wędzidła.

Ciąłem go szablą w rękę i usłyszałem za sobą wycie. Dwóch jeźdźców zastąpiło mi drogę; jednego powaliłem ciosem szabli, drugiego impetem odrzuciłem na bok. Minutę później wyjeżdżałem z miasta i mknąłem szeroką, białą drogą, z rosnącymi po obu stronach czarnymi topolami. Przez jakiś czas słyszałem za sobą tętent końskich kopyt, lecz powoli cichł w oddali i pozostał tylko odgłos gwałtownego bicia mojego serca.

Wkrótce zatrzymałem się, nad słuchując. Wszędzie dookoła panowała niczym niezmacona cisza. Zrezygnowali z pościgu.

Teraz pierwszą rzeczą jaką zrobiłem, to zsiadłem z konia i zaprowadziłem klaczkę do małego lasku, przez który płynął strumień. Napoiłem ją, wytarłem i dałem dwa kawałki cukru nasączonego koniakiem z mojej butelki. Violette była zmęczona galopem, lecz po półgodzinnym odpoczynku szybko odzyskała siły. Kiedy znowu uda zacisnąłem na jej grzbiecie, po skokach i zwrotach mogłem ocenić, że nie jej winą będzie, jeżeli bezpiecznie nie dotrę do Paryża.

Musiałem znajdować się już głęboko na terenach zajętych przez wroga, ponieważ często słyszałem głośne, pijackie pieśni dochodzące z mijanych po drodze domów i musiałem skrócić na pola, aby je ominąć.

Nagle, w świetle księżycy (tym razem noc była bezchmurna) ujrzałem dwóch mężczyzn, którzy krzyknęli coś po niemiecku, ale nie zważając na nich popędziłem dalej, a oni bali się strzelić pierwsi, ponieważ ich huzarzy mieli takie same mundury jak ja. Najlepiej udawać, że się nie słyszy.

W świetle pełni księżycy każde drzewo rzucało czarny cień przez pole, po którym jechałem i wszystko widziałem tak wyraźnie jak w dzień. Dookoła panował spokój, jedynie gdzieś na północy widać było łunę wielkiego ognia. W nocnej ciszy, ze świadomością, że niebezpieczeństwo było przede mną i za mną, widok tego ognia budził respekt. Jednak nie zniechęcam się tak łatwo, widziałem bowiem już tyle dziwnych rzeczy, że teraz nuciłem tylko przez zęby i myślami byłem przy małej Lisette, z którą zamierzałem się spotkać w Paryżu. Wszystkimi myślami byłem nią zajęty, gdy minąwszy zakręt znalazłem się przed sześcioma niemieckimi dragonami, siedzącymi dookoła ogniska, przy drodze.

Jestem doskonałym żołnierzem. Nie mówię tego dlatego, żeby się chwalić, ale dlatego, że naprawdę taki jestem. Mogę w każdej chwili ocenić swoje szanse i zdecydować z taką samą pewnością, jakbym nad tym pracował przez tydzień. I teraz też błyskawicznie oceniłem, co mogę zrobić. Niech mnie gonia, nawet na koniu, który przebył już dwadzieścia mil. Lepiej być ściganym i jechać dalej naprzód, niż się cofać. W tej księżycowej nocy i ze świeżymi końmi na karku, musiałem podjąć ryzyko i jeżeli ich zgubię wolałbym, żeby miało to miejsce bliżej Senlis niż Soissons.

To wszystko wyczułem niemal błyskawicznie, jakby instynktownie – jeśli mnie dobrze rozumiecie.

Moje oczy błędziły po brodatych twarzach pod mosiężnymi hełmami. Potem dotknąłem ostrogami boków Violette i klaczka skoczyła z brzękiem jak *pas-de-charge*. Och, a za mną rozległy się krzyki, tupoty, zamieszanie! Trzech strzeliło, trzech wskoczyło na konie. Kula trafiła w tył siodła wydając dźwięk podobny do puknięcia w drzwi. Violette podskoczyła jak szalona i chociaż mogła zostać poważnie ranna, to było to tylko

draśnięcie. Ach, moja kochana, miła klaczka, jakże ja ją kochałem za ten długi, lekki galop, za ten stukot podków przypominający dźwięk kastanietów hiszpańskich dziewcząt! Nie mogłem się powstrzymać, odwróciłem się w siodle i krzyknąłem entuzjastycznie:

– *Vive l'Empereur!*

A potem śmiałem się głośno, słysząc za sobą przekleństwa.

Jednak nie był to jeszcze koniec. Gdyby Violette była wypoczęta, robiłaby miłą w pięć sekund, teraz jednak mogła się tylko nie poddawać i galopować ze wszystkich sił. Za nami pędził jeden z nich, młody chłopak, oficer, lepszy jeździec od innych. Za każdym krokiem był coraz bliżej. Dwieście jardów za nim jechało dwóch jeźdźców, ale za każdym razem, gdy się obejrzałem, widziałem, że dystans między nimi zmniejszał się. Pozostali trzej, którzy do mnie strzelali, pozostali daleko w tyle.

Oficer na czele jechał na gniadoszu – dobrym koniu – i chociaż nie dorównywał Violette, było to silne zwierzę i wydawało się, że jego świeżość może dać mu przewagę. Zaczekałem, aż chłopak odjedzie dalej od swoich towarzyszy i nieco zwolniłem klaczkę – bardzo mało, na tyle, żeby pomyślał, że z łatwością mnie dopadnie. Kiedy znalazł się w zasięgu strzału z pistoletu, wyjąłem pistolet i obejrzałem się, żeby zobaczyć co robi. Nie strzelał, bowiem obozując, na noc wyjął z olster pistolety. Ruszył teraz z wyciągniętą szablą, krzycząc jakieś groźby albo przekleństwa. Zdawał się nie rozumieć, że jest na mojej łasce. Zwolniłem Violette do tego stopnia, że w końcu między siwym ogonem i piskiem gniadosza utworzyła się odległość równa długości lancy.

– *Rendez--vous!* – krzyknął.

– Muszę komplementować pański francuski, monsieur – odparłem, opierając lufę pistoletu na ramieniu uzdy, które zawsze uważałem za najlepszą podpórkę, gdy miałem strzelać z siodła.

Wycelowałem w jego twarz i wtedy ujrzałem – nawet w świetle księżyca – jak zbladł, gdy zrozumiał co mu grozi. Zanim jednak nacisnąłem spust, pomyślałem o jego matce i strzeliłem jego koniowi w łopatkę. Bałem się, że upadając doznał krzywdy, z takim hałasem runął na ziemię, ale myśląc o mojej przesyłce ponagliłem klaczkę, zmuszając ją raz jeszcze do galopu.

Jednak nie tak łatwo było się ich pozbyć. Dwóch dragonów nie zwróciło uwagi na młodego oficera, jakby był rekrutem w szkółce jeździeckiej. Zostawili go kamratom i gnali dalej za mną. Wjechałem na wzgórze, spodziewając się, że stamtąd ich zobaczę, ale – na Boga! – wkrótce przekonałem się, że nie mogę się ociągać, więc klaczka tylko potrząsnęła łbem, ja moim czako, aby pokazać co myślimy o tych dwóch dragonach próbujących dogonić i złapać huzara. Lecz w tym momencie – chociaż teraz śmieję się na tę myśl – serce we mnie zamarło na widok czarnej plamy czekających na mnie kawalerzystów na końcu tej długiej, białej drogi. Młodemu żołnierzowi mogli się wydawać cieniami drzew, lecz ja widziałem gromadę huzarów – i jak mi się wydawało – czekającą na mnie śmierć.

No cóż, za sobą miałem dragonów, przed sobą huzarów. Od Moskwy chyba nigdy nie znalazłem się w podobnie groźnej sytuacji. Ale broniąc honoru brygady wolę zostać rozplątany szablą kawalerzysty z lekkiej kawalerii, niż zasieczony ciężką szablą żołnierza ciężkiej kawalerii. Nie zawahałem się, nie ściągnąłem uzdy, ale pozwoliłem Violette

decydować. Pamiętam, że jadąc próbowałam się modlić, jednak mało mam praktyki w tych sprawach i pamiętałam tylko słowa modlitwy o dobrą pogodę, modlitwy jaką zawsze odmawiałem w szkole, wieczorem przed dniami wolnymi od nauki. Ale nawet to zdawało się lepsze niż nic i już zamierzałam zacząć, gdy nagle usłyszałam przed sobą głosy mówiące po francusku.

Ach, *mon Dieu*, moje serce przeniknęła taka radość, jakby przeszła je kula muszkietu. To byli nasi! – nasze kochane, małe łobuziaki z korpusu Marmonta. Moi dwaj dragoni natychmiast zawrócili i ze światłem księżyca odbijającym się na mosiężnych hełmach, zaczęli galopować ratując życie, podczas gdy ja truchtem pospieszyłem do moich przyjaciół, nie spiesząc się zbytnio, aby dać im do zrozumienia, że chociaż huzar może uciekać, to w jego naturze nie leży zbyt szybka ucieczka. Bałem się jednak, że wygląd Violette zada temu kłam.

Kto tu powinien dowodzić, jak nie stary Bouvet, któremu ocaliłem życie pod Lipskiem! Kiedy mnie ujrzał, w jego małych, różowych oczkach zaszklily się łzy. A i ja uroniłem ich trochę na widok jego radości. Opowiedziałem mu o swojej misji, ale roześmiał się na wieść, że muszę przejść przez Senlis.

– Tam jest wróg – rzekł. – Nie możesz tego zrobić.

– Wolę iść tam gdzie jest wróg – odparłem.

– Dlaczego nie pojedziesz ze swoją przesyłką prostą drogą do Paryża? Dlaczego wybrałeś drogę, na której na pewno zostaniesz zabity?

– Żołnierz nie wybiera... on słucha – odparłem, tak jak Napoleon.

Stary Bouvet zaśmiał się na swój astmatyczny sposób, ja natomiast podkręciłem węża i obrzuciłem go karcącym wzrokiem.

– No – rzekł – skoro już szczęśliwie dotarłeś do nas, to razem skoczmy do Senlis. Mamy rozkaz dokonać rekonesansu. Na czele mamy szwadron polskich lansjerów Poniatowskiego. Jeżeli już musisz tamtędy jechać, to my będziemy ci towarzyszyć.

Tak więc, z brzękiem i dzwonieniem ruszyliśmy w nocnej ciszy, aby dołączyć do Polaków... doskonałych, doświadczonych żołnierzy, chociaż nieco przyciężkich na swoich koniach. Obserwowanie ich było prawdziwą uczcą dla oka, bowiem prezentowali się nawet lepiej, niż gdyby wchodzili w skład mojej brygady.

Jechaliśmy razem, aż wczesnym rankiem zobaczyliśmy światła Senlis. Zbliżył się do nas wóz z chłopem, od którego dowiedzieliśmy się, jak przedstawia się sytuacja w mieście.

Informacje były pewne dlatego, że jego brat był woźnicą burmistrza i rozmawiał z nim zeszłego wieczoru. W mieście stacjonował jeden szwadron Kozaków – w domu burmistrza, największym budynku w mieście, stojącym na rogu placu targowego.

Dywizja pruskiej piechoty obozowała w lasach na północy i w Senlis byli tylko Kozacy.

Ach, jaka to była wspaniała okazja dokonania zemsty na tych barbarzyńcach, którzy tak okrutnie potraktowali mieszkańców mojej ojczyzny, o czym mówiono przy każdym obozowym ognisku.

Wpadliśmy do miasta jak burza. Pokonując strażę i siekąc wokoło dopadliśmy drzwi domu burmistrza, zanim zorientowali się, że w mieście są Francuzi. Ujrzelśmy

w oknach przerażone twarze – głowy z brodami sięgającymi skroni, zmierzwiłone włosy, baranie czapy i głupio rozdziawione gęby.

– Hura! Hura! – skrzeczeli i zaczęli strzelać z muszkietów, ale nasi chłopcy wdarli się już do domu i rzucili się im do gardeł, zanim otarli ślepią ze snu. Widok był potworny, gdy Polacy rozprawiali się z nimi, niczym wygłodniałe wilki ze stadem tłustych baranów dlatego, że – jak wiecie – mieli osobiste porachunki z Kozakami. Większość zabito w górnych pokojach, dokąd uciekli szukając schronienia i krew płynęła w dół do holu jak deszcz z dachu. Ci Polacy to groźni żołnierze, chociaż wydaje mi się, że nieco za ciężcy dla swoich koni. Żołnierz w żołnierza, wszyscy tak wielcy, jak kirasjerzy Kellermana. Byli oczywiście dużo lżej wyposażeni, ponieważ nie mieli pancerzy i hełmów.

No, ale w tym momencie popełniłem pomyłkę – i muszę przyznać, że była to bardzo poważna pomyłka. Do tego miejsca ściśle stosowałem się do polecenia związanego z moją misją w sposób, jaki tylko moja wrodzona skromność nie pozwala mi opisywać, jaki był nadzwyczajny. Lecz teraz zrobiłem to, co oficjalnie należałoby potępić, ale co można wybaczyć żołnierzowi.

Moja klaczka niewątpliwie była wyczerpana, ale prawdą jest też, że ciągle mogła jeszcze galopować przez Senlis i dostać się na tereny, gdzie między mną i Paryżem nie powinno już być wrogów. Jednak jaki to huzar może przepuścić okazję do walki i odjechać, nie ściągając cugli? Jest to pytanie typowo retoryczne. Ponadto wiedziałem, że Violette musi godzinę odpocząć, a ja miałem jeszcze dużo czasu do dyspozycji. Zatem, po ujrzeniu w oknach tych głów z niedźwiedzimi czapami, zeskoczyłem z siodła i uwiązałem Violette do słupka poręczy, a potem razem z innymi wbiegłem do domu. Prawdą jest, że było już późno i że omal nie zostałem raniony lancą któregoś z dogorywających Kozaków. Ale zawsze szkoda ominąć nawet najmniejszego wydarzenia, bo nikt nigdy nie wie, jaką traci okazję do awansu. W drobnych potyczkach i starciach w galopie na koniu widziałem więcej okazji do awansu niż w którejkolwiek z wielkich bitew Cesarza.

Po oczyszczeniu domu z wrogów, zaniósłem wiadro z wodą Violette i nasz chłop--informator pokazał mi, gdzie nasz dobry burmistrz trzyma paszę, której moja kochana klaczka rzeczywiście bardzo potrzebowała. Potem oporządziłem jej nogi, zostawiłem spętaną i wróciłem do domu, żeby coś przekąsić, bowiem nie zamierzałem się już zatrzymywać w drodze do Paryża.

Teraz przystępuję do tej części opowieści, która może się wam wydać zwyczajna, to jednak mogę was zapewnić, że można ją zaliczyć do co najmniej dziesięciu niezwykłych wydarzeń, jakie przydarzyły mi się w życiu. Takie to życie człowieka jak ja, zajmującego się rozpoznawaniem i pełnieniem służby na widocie, na krwią skropionym terenie między dwoma wielkimi armiami, gdzie jest wiele możliwości doświadczenia dziwnych sytuacji. Ale zaraz wam dokładnie przedstawię, co się właściwie stało.

Kiedy szedłem, w korytarzu czekał na mnie stary Bouvet, pytając, czy możemy wysączyć butelczynę.

– Na Boga, nie możemy tu długo popasać – rzekł. – Mamy na karku w lasach dziesięć tysięcy Prusaków Theilmanna.

– Gdzie jest wino? – spytałem.

– Ach, możesz zaufać dwóm huzarom, oni je na pewno znajdą – odparł i ze świecą w ręce poprowadził kamiennymi stopniami w dół, do kuchni.

W kuchni trafiliśmy na następne drzwi, za którymi kręconymi schodami zeszliśmy do piwnicy. Kozacy byli już tam przed nami, co łatwo było poznać po rozbitych butelkach. Jednak burmistrz był wielkim hulaką i z łatwością znalazłem odpowiedni kosz, z którego wyciągnąłem Chambertin, Grave i Alicant – wina białe i czerwone, musujące i zwykłe, leżące piramidkami, wstydliwie wyzierając spod trocin. Stary Bouvet stał ze świecą, rozglądając się wokoło i mrucząc jak kot przed wiadrem mleka. W końcu zdecydował się na Burgunda i już wyciągał rękę po butelkę, gdy nad nami rozległa się głośnie strzelanina z muszkietów i wrzaski, jakich jeszcze nigdy nie słyszałem. Nad nami byli Prusacy!

Bouvet był dzielnym człowiekiem, to muszę mu przyznać. Dobył szabli i z brzękiem ostróg skoczył na kamienne schody. Pospieszyłem za nim, ale gdy tylko dotarliśmy do korytarza w kuchni, grmiący okrzyk dał nam znać, że dom został już odbity.

– To już koniec! – krzyknąłem, chwytając go za rękaw.

– Jeszcze ktoś musi umrzeć! – krzyknął i skoczył jak szaleniec na schody. Na jego miejscu uczyniłbym to samo, bowiem to on ponosił winę za śmierć swoich chłopców, nie ostrzegając ich przed nadejściem Niemców. Przez moment chciałem za nim pobiec, ale powstrzymała mnie myśl o mojej misji i uświadomiłem sobie, że nie mogę narażać na niebezpieczeństwo cennego listu Cesarza. Dlatego pozwoliłem Bouvetowi umrzeć i wróciłem do piwnicy, zamykając za sobą drzwi.

No cóż, Bouvet w czasie alarmu upuścił świecę i nie miałem przed sobą różowych perspektyw w piwnicy, gdzie szamotałem się w ciemności, trafiając tylko na potłuczone butelki. W końcu jednak znalazłem świecę, która potoczyła się pod beczkę, ale mimo wielu prób nie udało mi się jej zapalić. Powodem był knot, który zamókł w kałuży wina, więc skróciłem go i wtedy z łatwością zapłonął. Jednak nie miałem pojęcia, co dalej robić.

Na górze, ci łajdacy wrzeszczeli ochryple i sądząc po hałasie było ich kilka setek i jasne, że niektórym wkrótce wyschną gardła, a to mogło oznaczać koniec pewnego, pełnego fantazji żołnierza i jego misji... oraz medalu. Zbierało mi się na płacz na myśl, że ktoś może stracić tak wspaniałego syna, a ktoś inny najlepszego oficera lekkiej kawalerii, jakiego kiedykolwiek miał Lasalle.

Jednak szybko otarłem łzy.

– Odwagi! – zawołałem, bijąc się w pierś. – Odwagi, mój dzielny chłopcze. Czy to możliwe, żeby ktoś, kto wrócił bezpiecznie z Moskwy jedynie z odmrożeniami, miał umrzeć we francuskiej piwnicy z winem?

Na tę myśl skoczyłem na równe nogi i wymacałem list ukryty w kurtce, aby jego szelest dodał mi odwagi.

Najpierw planowałem podpalić dom, w nadziei ucieczki podczas zamieszania. Potem pomyślałem o ukryciu się w pustej beczce i zacząłem się rozglądać w poszukiwaniu takiej beczki, gdy nagle, w rogu dostrzegłem niskie drzwi pomalowane na kolor ściany – mogło je dostrzec tylko czyjeś bystre oko. Rzuciłem się na nie, usiłując otworzyć; w pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że są zamknięte na klucz. Wkrótce

jednak poddały się trochę i doszedłem do wniosku, iż coś je trzyma z drugiej strony. Zaparłem się nogą o półkę z winami i z całej siły pchnąłem. Drzwi nagle się otworzyły i wyleciałem przez nie, padając z trzaskiem na plecy. Świeca wypadła mi z ręki i znalazłem się znowu w absolutnych ciemnościach. Wstałem i ruszyłem sklepieniem przejściem w mrok.

W końcu ujrzałem słaby promień światła padającego z jakiejś szpary lub zakratowanego okna. Na zewnątrz wstawał już dzień i mogłem dojrzeć zarys krzywizn długiego rzędu potężnych beczek, co nasunęło mi myśl, że burmistrz trzymał tu zapasy dojrzewającego wina. W każdym razie to miejsce wydawało mi się bezpieczniejsze od piwnicy zewnętrznej, więc podniosłem świecę i już zamykałem za sobą drzwi, gdy nagle ujrzałem coś, co napełniło mnie zdumieniem, a nawet – co szczerze wyznam – pewnego rodzaju trwogą.

Mówiłem, że na odległym końcu piwnicy zobaczyłem niewyraźny wachlarz światła padającego z jakiegoś miejsca położonego pod stropem. Przebijając wzrokiem ciemności, nagle zobaczyłem wielką, długą postać przeskakującą przez to światło, a potem znikającą gdzieś w ciemnościach. Daję słowo, że tak podskoczyłem, iż prawie pękł pasek trzymający moje czako pod brodą! Rzuciłem tylko jedno spojrzenie, ale miałem czas, aby zobaczyć włochatą czapę Kozaka, wysokiego, długonogiego bandyty o szerokich ramionach, z szablą u boku. Na Boga, nawet Etienne Gerard był trochę wstrząśnięty, znalazłszy się w ciemności, sam na sam z tego rodzaju kreaturą.

Ale tylko przez chwilę.

– Odwagi! – pomyślałem. – Czy nie jestem huzarem, ale też brygadierem w wieku lat trzydziestu jeden, wybranym przez Cesarza na posłańca?

A ponadto, ten czający się w mroku Kozak miał więcej niż ja powodów do bania się. I wtedy nagle zrozumiałem, że on też się boi – potwornie się boi! Mogłem to wywnioskować z jego szybkich kroków, przygarbionej sylwetki, gdy przebiegał między beczkami kryjąc się jak szczur w dziurze. No i oczywiście, to na pewno on przytrzymał drzwi, żebym nie mógł ich otworzyć, a nie jakaś skrzynka lub beczka z winem, jak to sobie wyobrażałem. Tak więc ścigał i sam był ścigany. Aha, poczułem jak stroszą mi się wąsy, gdy ruszyłem w ciemności prosto na niego! Niech sobie uprzytomni, że nie ma z byle kim do czynienia, ten rabuś z północy! W tym momencie byłem naprawdę wspaniały.

Na początku bałem się zapalać świecę, żeby nie oświetlać siebie, ale gdy rąbnąłem brodą w skrzynię, zahaczyłem ostrogami o jakiś brezent, zmieniłem zdanie, zapaliłem ją i potem skoczyłem długimi susami z szablą w ręce.

– Wyłaż, zbójcu! – wrzasnąłem. – Już nic cię nie ocali. Dostaniesz to, na co zasłużyłeś!

Trzymając wysoko świecę, dostrzegłem wychylającą się zza beczki głowę. Miał na czarnej czapce złoty szewron¹¹ i z tego oraz z wyrazu jego twarzy, natychmiast wywnioskowałem, że był oficerem o doskonałych manierach.

– Monsieur! – zawołał doskonałą francuszczyzną. – Poddam się za obietnicę okazania mi litości. Ale jeżeli nie otrzymam od pana tej obietnicy, drogo sprzedam życie.

– Panie! – odpowiedziałem. – Jestem Francuzem i wiem jak się traktuje wroga,

który miał pecha. Pańskiemu życiu nic nie grozi.

Po tych słowach podał mi szablę nad beczką, a ja skłoniłem się, przykładając świeczkę do piersi.

– Kogo mam honor wziąć do niewoli? – zapytałem.

– Hrabia Boutkine, z Dońskich Kozaków Cara – przedstawił się. – Przybyłem z moim oddziałem rozpoznawczym do Senlis i gdy nie znaleźliśmy śladu pańskich ludzi, postanowiliśmy tu przenocować.

– Czy będę niedyskretny – spytałem – jeżeli zapytam, jak się pan dostał do tej piwnicy?

– Nic prostszego – odparł. – Mieliśmy zamiar wyruszyć wczesnym świtem. Czując chłód pomyślałem, że nie zaszkodzi kubek wina, więc udałem się na dół, do piwnic, aby zobaczyć co tam można znaleźć. Kiedy szperałem, dom nagle został zaatakowany i zanim zdążyłem wspiąć się na schody, było już po wszystkim. Pozostało mi tylko zatroszczyć się o siebie, więc ukryłem się w drugiej piwnicy, gdzie pan mnie znalazł.

Zastanawiałem się, jak by się zachował Bouvet w takich okolicznościach i gdy rozważałem chwałę Francji, napłynęły mi łzy do oczu. Potem pomyślałem o tym, co teraz powinienem zrobić. Było jasne, że ten rosyjski hrabia siedział tutaj, kiedy my przebywaliśmy w pierwszej piwnicy i nie słyszał hałasów, które by mu powiedziały, że dom ponownie dostał się w ręce jego sojuszników. Uważał, że to ja powinienem być jego jeńcem, a nie on moim. Co więc miałem robić? Czyżby wyczerpał mi się już koncept? Aż tu nagle wpadł mi do głowy pewien nowy pomysł – był tak błyskotliwy, że nie mogłem się nadziwić mojej pomysłowości.

– Hrabio Boutkine – oświadczyłem – znalazłem się w bardzo trudnej sytuacji.

– Dlaczego? – zapytał.

– Ponieważ przyrzekłem panu zachowanie życia.

Szczęka mu nieco opadła.

– Ale nie może pan wycofać obietnicy! – wykrzyknął.

– W najgorszym wypadku mogę umrzeć w pańskiej obronie – rzekłem – lecz sytuacja jest trudna.

– Dlaczego? – zapytał.

– Będę z panem szczery – odparłem. – Musi pan wiedzieć, że moi ludzie, a szczególnie Polacy, są tak wściekli na Kozaków, że nawet na widok munduru dostają szału. Natychmiast popędzą, żeby go złapać i rozerwać na kawałki. Hamulców nie mają nawet oficerowie.

Rosjanin zbladł, słysząc te słowa i widząc, w jaki sposób je wypowiadam.

– Ależ to jest przerażające – stwierdził.

– Tak, przerażające – zgodziłem się. – Jeżeli w tym momencie wyjdziemy razem, to nie mogę panu zagwarantować bezpieczeństwa.

– Jestem w pańskich rękach! – wykrzyknął. – Co więc pan zamierza? Może powinienem tu zostać?

– To byłoby najgorsze ze wszystkiego.

– Dlaczego?

– Ponieważ nasi chłopcy teraz przetrząsają dom i kiedy by pana znaleźli, zostałby

pan posiekany na kawałki. Nie, nie, ja muszę stąd wyjść i przekazać im wiadomość... Ale, gdy tylko ujrzą ten przeklęty mundur, to doprawdy nie wiem co się może wydarzyć.

– Mam zdjąć mundur?

– Doskonale! – krzyknąłem. – Zaczekaj... Mam! Pan zdejmie mundur i założy mój.

W ten sposób będzie pan nietykalny dla każdego Francuza.

– Ale ja nie boję się Francuzów, ja się boję Polaków!

– Mój mundur zabezpieczy pana przed jednymi i drugimi.

– Jak mam panu dziękować? – zawołał. – Ale pan... Co pan założy?

– Założę pański mundur.

– I być może padnie pan ofiarą swojej wspaniałomyślności.

– Ryzyko, to mój obowiązek – odpowiedziałem – ale nie lękam się. Wyjdę w pańskim mundurze. Sto szabli skieruje się na mnie. „Czekajcie!” zawołałem. „Jestem brygadier Gerard!” a potem zobaczą moją twarz. Oni mnie znają. Dopiero wtedy opowiem im o panu, a pan pod przebraniem będzie zupełnie bezpieczny.

Trzęsącymi się z niecierpliwości palcami zdzierał z siebie mundur. Jego buty i bryczesy były podobne do moich, więc nie musieliśmy się nimi wymieniać. Wręczyłem mu moją kurtkę huzara, mój dolman, moje czako, pas do szabli i szablę, natomiast zabrałem jego wysoką baranią czapę ze złotym szewronem, futrem podbity płaszcz i zakrzywioną szablę. Pamiętajcie jednak, że oddając moją kurtkę nie zapomniałem zatrzymać listu, przekładając go do płaszcza Kozaka.

– Za pańskim pozwoleniem – powiedziałem – teraz powinienem przywiązać pana do beczki.

Zaczął się gwałtownie sprzeciwiać, ale w moim żołnierskim życiu nauczyłem się nigdy nie zaprzepaszczać żadnej szansy i wiedziałem, że i on też nie będzie zaprzepaszczał swojej, gdy odwrócę się do niego plecami. A kiedy się zorientuje jak przedstawia się jego sytuacja, to czy nie zechce pokrzyżować mi planów? Oparł się o beczkę i sześć razy opasałem go sznurem, a potem z tyłu zawiązałem duży węzeł. Gdyby zechciał wejść na górę, musiałby wnieść po schodach na plecach co najmniej tysiąc litrów doskonałego francuskiego wina. Następnie zamknąłem za sobą drzwi piwnicy, żeby nie słyszał, co się dzieje na górze, wyrzuciłem świecę i wszedłem po schodach do kuchni.

Miały tylko około dwudziestu stopni, a jednak wchodząc po nich miałem czas przemyśleć, co powinienem teraz zrobić. Było to takie samo uczucie, jakiego doznałem pod Eylau, gdy leżałem ze złamaną nogą i widziałem konie artylerii galopujące prosto na mnie. Oczywiście zdawałem sobie teraz sprawę, że jeżeli mnie złapią i rozpoznają na terenie zajęтым przez wroga, zostaną natychmiast zastrzelony. Niemniej, byłaby to wspaniała śmierć – w służbie samego Cesarza – jednak szybko zreflektowałem się, że zostałyby skwitowane pięć--, a może siedmiowerszową wzmianką w *Moniteur*. Galaret miał osiem wierszy, a byłem przekonany, że nie był tak sławny jak ja.

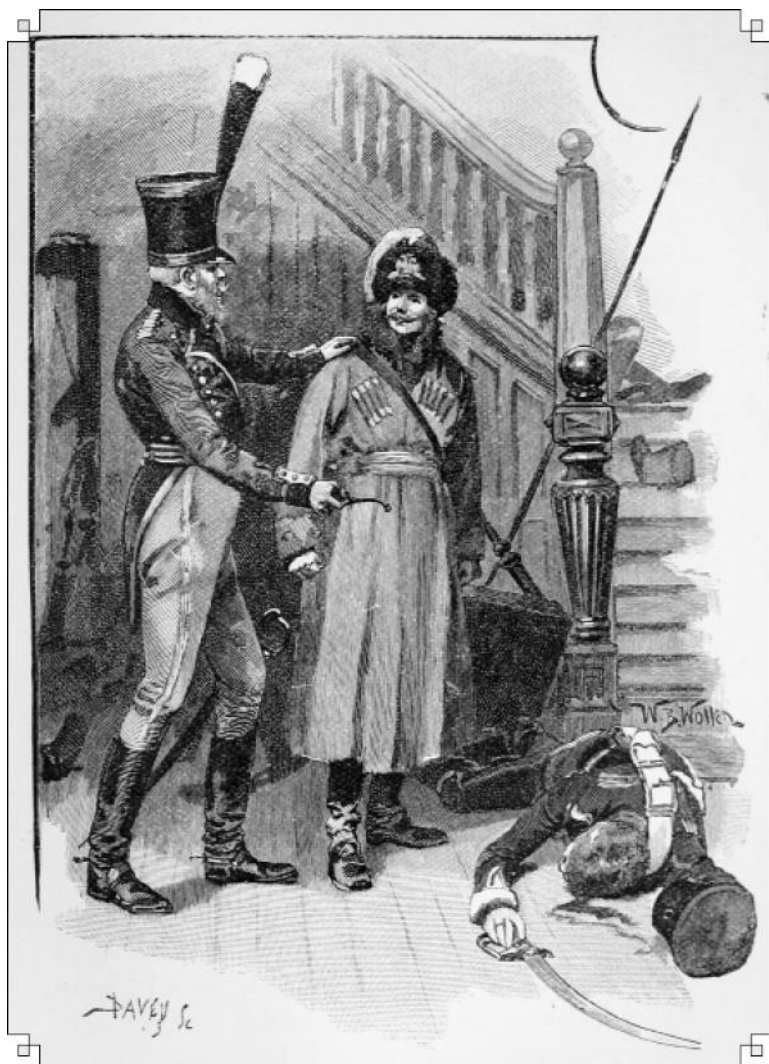
Kiedy wyszedłem do hallu, z wyrazem nonszalancji na twarzy, zachowując się tak, jak powinienem się zachowywać, pierwszym co zobaczyłem było martwe ciało Bouveta, ze złamaną szablą w ręce. Widziałem też czarną smugę od rany postrzałowej. Przechodząc obok, chciałem mu zaszalutować, był bowiem walecznym żołnierzem, ale

bałem się, że ktoś to zauważy, więc poszedłem dalej.

Front hallu był zapchany pruską piechotą, która wybijała otwory strzelnicze w ścianie, jakby spodziewano się następnego ataku. Biegał między nimi niski oficer, wydając polecenia. Wszyscy byli zbyt zajęci, żeby zwracać na mnie uwagę, ale drugi oficer, który stał przy drzwiach z długą fajką w zębach podszedł i klepnął mnie w ramię wskazując ciała naszych biednych huzarów, powiedział coś, co brzmiało jak żart i ujrzałem jak otwiera szeroko gębę, pokazując kły. Roześmiałem się i wypowiedziałem jedyne znane mi rosyjskie słowa, jakich nauczyła mnie Zosia z Wilna: „Jeżeli będzie pogodna noc, to spotkamy się pod dębem, ale gdyby padało spotkamy się w oborze”. Jednak dla tego Niemca mogło to znaczyć wszystko, bowiem udał, że rozumie i ryknął głośnym śmiechem, ponownie klepiąc mnie po plecach. Skinąłem mu głową i wymaszerowałem przez frontowe drzwi tak wyniośle, jakbym był dowódcą garnizonu.

Przed domem stało spętanych sto koni, wiele z nich należących do Polaków i huzarów. Boże, mała Violette stała tam razem z nimi! Zarżała na mój widok, lecz nie mogłem jej dosięść. Nie, byłem na to zbyt przebiegły. Przeciwnie, wybrałem najbardziej kudłatego, małego konia kozackiego, jakiego mogłem wyszukać i wskoczyłem na niego tak pewnie, jakby przede mną należał do mojego ojca. Przy jego szyi zwieszał się wielki wór z łupami, przełożyłem go na grzbiet Violette i poprowadziłem ją za sobą. Oto charakterystyczny obrazek – Kozak wracający z najazdu. Znakomicie!

Miasto było już pełne Prusaków. Tłoczyli się na chodnikach i wskazywali na mnie, mówiąc do siebie to, co jak wnioskowałem z ich gestykulacji, znaczyło: „Oto jedzie jeden z tych diabelnych Kozaków. Oni nic tylko żrą i plądrują!”



Roześmiałem się i wypowiedziałem jedyne znane mi rosyjskie słowa

Kilku oficerów coś do mnie powiedziało rozkazująco, ale potrząsnąłem głową z uśmiechem i powiedziałem: „Jeżeli będzie pogodna noc, to spotkamy się pod dębem, ale gdyby padało spotkamy się w oborze”, na co wzruszyli ramionami i przepuścili mnie. W ten sposób dojechałem do północnych przedmieść miasta.

Tu zobaczyłem na drodze widetę, złożoną z dwóch lansjerów z biało--czarnymi proporczykami. I wiedziałem, że po ich minięciu znowu będę wolny. Zmusiłem mojego kuca do truchtu, Violette cały czas ocierała pysk o moje kolano i patrzyła na mnie pytająco, czym sobie zasłużyła, że wolałem od niej to włochate popychadło. Byłem już około stu jardów od ułanów, gdy nagle – nie możecie sobie wyobrazić jakiego doznałem szoku – ujrzałem prawdziwego Kozaka galopującego drogą prosto na mnie.

Ach, moi przyjaciele, jeżeli macie w sobie choć część tych uczuć co ja, to możecie sobie wyobrazić, co czułem pokonując tyle przeszkód, niebezpieczeństw i prób, aby teraz niemal w ostatniej chwili zostać skonfrontowany z taką, która może wszystko zniweczyć. Muszę wyznać, że w tym momencie ogarnęła mnie rozpacz i chętnie rzuciłbym się na ziemię z krzykiem – co niewątpliwie natychmiast by mnie zdradziło. Ale nie, nawet teraz nie dam się pokonać. Rozpiąłem dwa guziki tuniki, tak abym łatwo mógł sięgnąć po list Cesarza i w wypadku gdyby rozwiąła się wszelka nadzieją połknąć go, a następnie umrzeć z szablą w ręce. Potem pomacałem, czy moja krótka szabla łatwo wysuwa się z pochwy i zbliżyłem się do widety. Wydawało mi się, że chcą mnie zatrzymać, więc wskazałem nadeżdżającego Kozaka, który znajdował się jeszcze w odległości kilkuset jardów ode mnie, zrozumieli, że chcę się z nim spotkać i salutując pozwolili mi przejechać.

Kiedy oddaliłem się od lansjerów, wbiłem ostrogi w boki kuca uważając, że bez trudu poradzę sobie z tym Kozakiem. Był to oficer, masywny mężczyzna z brodą i złotym szewronem na futrzanej czapie – takim samym jak mój. Kiedy się do niego zbliżałem, bezwiednie pomógł mi, zatrzymując konia. Będąc blisko niego mogłem widzieć w jego brązowych oczach zdumienie, zmieniające się w podejrzliwość, gdy patrzył na mnie i na mój ekwipunek. Nie miałem pojęcia o co chodzi, jednak on wyraźnie zobaczył coś, co nie było takie jak być powinno, krzyknął jakieś pytanie, a gdy nie odpowiedziałem, wyciągnął szablę. W gruncie rzeczy byłem z tego zadowolony, dlatego że zawsze wolałem otwartą walkę niż podstępne zasztyletowanie niczego nie podejrzewającego wroga. Teraz odparowałem jego cięcie i zadałem cios w czwarty guzik jego tuniki. Upadł, omal nie zwalając mnie z konia, zanim zdołałem wyciągnąć z jego ciała szablę. Nie sprawdzałem czy żyje, przesiadłem się z kuca na Violette, ściągnąłem uzdę i posłałem ręką pocałunek obu ułanom za mną.

Galopowali, krzycząc, ale Violette była już wypoczęta i tak świeża, jak na początku naszej drogi. Wpierw wybrałem kierunek zachodni, potem skręciłem na południe, oddalając się od terenów zajętych przez wroga. Każdy krok oddalał mnie od wrogów i przybliżał do przyjaciół. Ostatecznie, gdy dotarłem do końca długiego odcinka drogi, obejrzałem się, ale nie ujrzałem już ścigających. Wtedy zorientowałem się, że moje kłopoty minęły.

Promieniejąc ze szczęścia pomyślałem, że udało mi się wykonać rozkaz Cesarza. I co powie, kiedy mnie znowu zobaczy? A co może powiedzieć komuś, kto w tak

niewiarygodny sposób pokonał tyle niebezpieczeństw? Rozkazał mi jechać przez Sermoise, Soissons i Senlis, nie śniąc nawet, że te trzy miejscowości będą zajęte przez wroga. A jednak zrobiłem to. Przez każde z tych miast bezpiecznie przewiozłem list. Huzarzy, dragoni, lansjerzy, Kozacy i piechota... przebiłem się przez nich i nietknięty zostawiłem ich za sobą.

Po dotarciu do Dammartin natknąłem się na pierwsze nasze straże przednie. Na polu znalazłem oddział dragonów i naturalnie zaraz zorientowałem się po koniach, że są to Francuzi. Galopowałem ku nim, aby się dowiedzieć, czy między nami i Paryżem jest bezpiecznie. Jadąc, czułem taką dumę z tego, że udało mi się wrócić cało do przyjaciół, iż zacząłem z entuzjazmem wymachiwać szablą.

Z grupy dragonów odłączył się młody oficer, z również wyciągniętą szablą, co rozgrzało moje serce na myśl, że pędzi z takim zapałem i entuzjazmem, aby mnie powitać. Dałem Violette ostrogę jak harcownik i kiedy się zrównaliśmy, zacząłem wywijać szablą z większą elegancją niż zawsze, ale – czy możecie sobie wyobrazić, co poczułem – nagle zadał mi takie cięcie, że gdybym się nie schylił, nosem opadając w grzywę Violette, z pewnością pozbawiłby mnie głowy.

Boże Wszechmogący! Szabla świsnęła nad moją głową, jak poryw wschodniego wiatru. To oczywiście spowodował mój mundur Kozaka, o czym w podnieceniu zupełnie zapomniałem. A ten młody dragon wyobraził sobie, że jestem jakimś rosyjskim czempionem szabli, który w ten sposób wyzywa na pojedynek francuskiego kawalerzystę. Daję wam słowo, on był naprawdę przestraszony, kiedy się zorientował, jak niewiele brakowało, a zabiłby sławnego brygadiera Gerarda.

No cóż, droga w każdym razie była czysta i o trzeciej po południu znalazłem się w St. Denis; stamtąd do Paryża jechałem dwie godziny, bowiem drogę blokowały wozy z zaopatrzeniem, armaty rezerwy artylerii, ciągnące z północy do Marmonta i Mortiera.

Nie możecie sobie wprost wyobrazić ekscytacji, jaką wywołało moje pojawienie się w Paryżu w tym mundurze. Kiedy wjechałem w Rue de Tivoli, myślałem, że mieszkańcy pędzą za mną na długości ćwierci mili. Jednak dragoni wszystko wyjaśnili (a jechało ze mną dwóch) i wszyscy już wiedzieli o moich przygodach i jak doszło do tego, że noszę taki mundur. To był prawdziwy triumf – ludzie krzyczeli, kobiety machały chusteczkami i posyłały mi z okien całusy.

Chociaż jestem człowiekiem wybitnie pozbawionym pychy, muszę wam wyznać, że z tej okazji nie mogłem się pohamować, by nie okazać, że to przyjęcie sprawiło mi satysfakcję. Kozacki płaszcz wisiał na mnie dość luźno, lecz wtedy tak wypinałem dumnie pierś, że wydawał się napięty jak skóra na kielbasie. Moja mała klaczka rzucała grzywą i wierciła się niecierpliwie, jakby chciała powiedzieć: „Tym razem zrobiliśmy to razem. Oboje zasługujemy na uznanie za ten wyczyn”. Zsiadłem przy bramie Tuileries i ucałowałem ją między nozdrzami. Wtedy podniósł się tak wielki krzyk, jak gdyby odczytano wiadomość przekazaną przez Wielką Armię.

Nie powinienem składać wizyty królowi w takim stroju, ale ten, kto nosi żołnierską postawę, zawsze może się pokazać, nie zważając na ubiór. Tak więc poszedłem prosto do Józefa, którego często widywałem w Hiszpanii. Wydawał się tak spokojny, miły i uprzejmy jak zawsze. W pokoju był też obecny Talleyrand i pomyślałem, że właściwie

powiniennem go nazywać księciem Benewentu, chociaż wyznam, że wolałem stare nazwiska!

Przeczytał mój list, gdy Józef Bonaparte wręczył mu go, a potem spojrział na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, jakby nieco rozbawiony i zamrugał oczami.

– Czy pan był jedynym posłańcem? – zapytał.

– Był jeszcze drugi, panie – odparłem – major Charpentier z Konnych Grenadierów.

– Jeszcze nie przybył – wtrącił król Hiszpanii.

– Gdybyś, Sire, widział nogi jego konia, wtedy nie byłbyś zdziwiony – zauważyłem.

– Mogą też istnieć inne przyczyny – stwierdził Talleyrand i uśmiechnął się w charakterystyczny dla siebie sposób.

Rzucili mi kilka komplementów i chociaż mogli powiedzieć dużo więcej, jednak powiedzieli zbyt mało. Skłoniłem się i z zadowoleniem odszedłem, bowiem nienawidziłem Dworu w takim samym stopniu, jak kochałem obóz.

Udałem się do mojego przyjaciela Chauberta, mieszkającego na Rue Miromesnil, a tam otrzymałem od jego huzara wiadomość, która mi bardzo odpowiadała.

On, Lisette i ja zjedliśmy kolację w jego mieszkaniu i zapomniałem o wszystkich kłopotach. Rano zastałem Violette gotową do podróży. Miałem zamiar zaraz wracać do kwatery głównej Cesarza, jako że – jak wielu z was może słusznie sądzić – z niecierpliwością pragnąłem usłyszeć od niego pochwałę i otrzymać przyrzeczoną nagrodę.

Nie muszę nadmieniać, że obrałem bezpieczną drogę, bowiem miałem już dość ułanów i Kozaków. Minąłem Meaux i Château Thierry, aby wieczorem przybyć do Reims, gdzie ciągle biwakował Napoleon. Wszystkie ciała naszych chłopców i Rosjan pochowano; w obozie zauważyłem też zmiany. Żołnierze wyglądali nieco lepiej, byli bardziej zadbani i odżywieni; niektórzy kawalerzyści otrzymali nowy ekwipunek i wydawało się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. To wspaniałe, czego może dokonać dobry generał w ciągu dwóch dni.

Po przybyciu do kwatery głównej, natychmiast wprowadzono mnie do pokoju Cesarza. Pił kawę przy biurku, na którym leżała duża mapa. Za nim stali po obu stronach Berthier i Macdonald i mówili tak cicho, że ledwo mogłem uwierzyć, aby któryś z nich połowę z tego zrozumiał. Oczy Cesarza spoczęły na mnie, odłożył pióro i zerwał się z fotela z pobladłą twarzą, patrząc na mnie tak, że zamarłem ze zgrozy.

– Co pan, u diabła, tu robi?! – krzyknął.

Kiedy był wściekły, skrzeczał jak paw.

– Mam zaszczyt złożyć panu, Sire, raport – odparłem – że przesyłkę dostarczyłem bezpiecznie do rąk króla Hiszpanii.

– Co! – wrzasnął i przeszył mnie spojrzeniem jak bagnetem. Och, te jego straszne oczy! Zmieniające się z szarych w błękitne, jak stał w promieniach słońca. Widzę je jeszcze teraz we śnie.

– Co się stało z Charpentierem? – zapytał.

– Został złapany – odparł Macdonald.

- Przez kogo?
 - Przez Rosjan.
 - Kozacy?
 - Nie, przez jednego Kozaka.
 - Poddał się?
 - Bez oporu.
 - To inteligentny oficer. Dopilnuj, żeby został odznaczony medalem honorowym.
- Słyszając te słowa zacząłem trzeć uszy, żeby się upewnić, że nie śnię.



Co pan, u diabla, tu robi?

– Co do pana – krzyknął Cesarz, czyniąc krok do przodu, jakby chciał mnie uderzyć – o zajętym mózdzku, to myśli pan, że został wysłany w jakiejś ważnej misji? Wyobrażał pan sobie, że wysłałem przez pana naprawdę ważną wiadomość? Przez kogoś takiego jak pan i przez miejscowości, które znajdują się w rękach wroga? Jeśli według mnie, miał pan przez nie przejść, razem z pańskim towarzyszem--posłańcem, to cały mój plan kampanii ległby w gruzach. Czy nie rozumiesz kretynie, że ta wiadomość zawierała fałszywe informacje i że zamierzałem wprowadzić wroga w błąd, podczas gdy w rzeczywistości miałem zamiar realizować całkiem inny schemat działania?

Kiedy słuchałem tych okrutnych słów, widziałem wściekłą, bladą twarz i piorunujący wzrok, musiałem siłą się powstrzymać, żeby nie upaść na krzesło. Zawiódł mnie umysł i kolana nie chciały dźwigać. Jednak zebrałem się na odwagę i uzmysławiając sobie, że zawsze byłem człowiekiem honorowym i że całe moje życie spędziłem w służbie tego człowieka i mojej ukochanej ojczyzny, powiedziałem:

– Sire! – łzy napłynęły mi do oczu i spłynęły po policzkach – kiedy zleca pan zadanie komuś takiemu jak ja, winien pan postępować bardziej otwarcie. Powinienem wiedzieć, że chce pan, aby list wpadł w ręce wroga; ja jednak byłem przekonany, że muszę go strzec jak oka w głowie. Byłem gotów poświęcić za niego życie. Nie wierzę, Sire, że jakikolwiek człowiek na świecie bardziej się natrudził i zetknął z większym niebezpieczeństwem niż ja, usiłując spełnić to, co jak sądziłem jest waszym życzeniem.

Mówiąc to ze łzami w oczach, z takim ogniem i odwagą, jakbym wydawał rozkazy rozliczając się za to wszystko, co przeszedłem – za przeprawę przez Soissons, za potyczkę z dragonami, za przygodę w Senlis, przeprawę z hrabią Boutkine w piwnicy, moje przebranie, spotkanie z oficerem Kozaków, za moją ucieczkę i jak w ostatniej chwili omal nie straciłem głowy od cięcia francuskiego dragona.

Cesarz, Berthier i Macdonald słuchali ze zdumieniem. Kiedy skończyłem, Napoleon postąpił do przodu i uszczypnął mnie w ucho.

– Dobrze, już dobrze! – rzekł. – Zapomnij o tym, co ci powiedziałem. Powinienem panu bardziej zaufać. Może pan odejść!

Zawróciłem do drzwi i już chwyciłem klamkę, gdy Cesarz zawołał, żebym się zatrzymał.

– Dopilnuj – rzekł, zwracając się do księcia Tarentum – żeby brygadier Gerard otrzymał specjalny medal honorowy za to, że ma najtęższą głowę i najlepsze serce w mojej armii.

10 1 mila angielska, zwana także milą lądową, to nieużywana dziś jednostka długości równa 4,83 km.

11 Naszywka, zwykle oznaczająca stopień. Może być na czapce lub na rękawie.

VIII. Jak brygadier ocalił armię

Teraz opowiem wam, moi przyjaciele, jak przez sześć miesięcy, od października 1810 do marca 1811, blokowaliśmy Anglików na ich liniach umocnień Torres Vedras. Było to w tym czasie, gdy polowałem razem z nimi na lisa i pokazałem im, że w gronie ich myśliwych żaden nie może się równać huzarowi Conflans.

Kiedy galopowałem, wracając do linii francuskich, z ciągle jeszcze zakrwawioną klingą szabli, nasze przednie stráže widząc, czego dokonałem, podniosły szaloną wrzawę na moją cześć, podczas gdy ci angielscy myśliwi też ciągle za mną wrzeszczeli. Tak więc zyskałem aplauz obu armii.

Łzy napłynęły mi do oczu na myśl, iż stałem się obiektem podziwu tylu dzielnych ludzi. Ci Anglicy, to doprawdy wielkoduszni przeciwnicy...

Jeszcze tego samego wieczoru otrzymałem paczkę, owiniętą w białą flagę, z napisem: „Dla oficera huzarów, który zasiekł lisa.” W środku znalazłem obie części lisa, tak jak go tam zostawiłem. Dołączona też była krótka notatka w iście angielskim stylu, mówiąca, że skoro zasiekłem tego lisa, to teraz muszę go zjeść. Oni nie mieli pojęcia, że my, Francuzi, nie jadamy lisów, ale to ukazywało ich chęć, aby ten, kto zyskał sławę na polowaniu, mógł się też cieszyć zdobyczą.

Jednak Francuz nie da się prześcignąć w uprzejmości, zatem odesłałem tym dzielnym myśliwym lisa z prośbą, aby go przyjęli i upiekli sobie na następnym *dejeuner de la chasse*.

Tak oto postępują w czasie wojny rycerscy przeciwnicy.

Jako wynik mojej podróży, jeszcze tego wieczoru dostarczyłem Massenie dokładny plan angielskich umocnień.

Miałem nadzieję, że pomoże mu to natychmiast przejść do ataku, ale ci wszyscy marszałkowie rzucali się sobie do gardeł, wrzeszczeli na siebie i szekali jak sfora psów.

Ney nienawidził Masseny, Massena nienawidził Bunota, a Soult nienawidził ich wszystkich razem. Z tego też powodu nic nie zrobiono. Tymczasem zaczęło brakować żywności i naszą wspaniałą kawalerię zaczął rujnować brak paszy dla koni. Pod koniec zimy ogołociliśmy całą okolicę i nie pozostało już nic do jedzenia, chociaż daleko na wszystkie strony wysyłałiśmy ludzi, w poszukiwaniu żywności. Nawet dla najdzielniejszych z nas stało się jasne, że nastał czas odwrotu. Ja sam musiałem też to przyznać.

Tylko, że odwrót nie był łatwy. Nasze wojsko było osłabione nie tylko brakiem żywności i zmęczone nieustanną czujnością, lecz wróg zachęcony naszą becznością stał się agresywny. Nie baliśmy się zbytnio Wellingtona. Poznaliśmy go jako odważnego i ostrożnego, ale mało przedsiębiorczego dowódcę. Ponadto, w tym jałowym kraju nie mógłby nas szybko ścigać.

Na naszych flankach i na tyłach zgromadziły się duże grupy portugalskiej milicji, uzbrojonych chłopów – a także guerillas, partyzantów. Przez całą zimę trzymali się w przyzwoitej odległości, ale teraz, gdy nasze konie były osłabione zaczęli otaczać nasze posterunki jak chmary much i życie tego, kto wpadł w ich łapy nie warte było funta

klaków.



Jeszcze tego wieczoru dostarczyłem Massenie dokładny plan angielskich umocnień

Mógłbym wymienić kilku znanych mi osobiście oficerów, którzy zostali w tym czasie odcięci i mogli mówić o wielkim szczęściu, że nie zarobili zza skały kulki w głowę lub serce.

Ale ci, których ujęto żywcem, ginęli tak straszną śmiercią, że nie odważono się nawet powiadomić o tym krewnych. Te tragedie zdarzały się tak często i tak silnie działały na wyobraźnię ludzi, że trudno było ich nakłonić do opuszczenia obozu.

Wśród partyzantów był jeden szczególnie groźny bandyta, dowódca imieniem Manuelo, o przydomku „Uśmiechnięty”, który napawał naszych ludzi grozą. Był to masywny, otyły chłop o jowialnej powierzchowności. Czaił się ze swoją bandą w górach leżących na naszej lewej flance. Można by wypełnić cały tom opisami jego okrucieństw i brutalności, jednak z pewnością posiadał wielką władzę i organizował swoich opryszków w sposób uniemożliwiający nam przebicie się przez zajęte przez nich tereny. Osiągnął to, stosując żelazną dyscyplinę i grożąc surowymi karami – politykę wzbudzającą powszechny strach, ale dającą też inne, niespodziane efekty, o których jeszcze wspomnę w mojej opowieści. Nie tylko kazał wychłostać swojego porucznika, ale... ale o tym później, gdy przyjdzie czas.

W związku z odwrotem pojawiło się wiele trudności, jednak nie było innego wyjścia i Massena zaczął szybko przerzucać towary i chorych z Torres Novas – gdzie miał swoją kwaterę główną – do Coimbrы, pierwszego silnie ufortyfikowanego posterunku na jego linii komunikacyjnej. Nie mogło to ująć uwadze partyzantów, którzy zaczęli się coraz bardziej zbliżać do skrzydeł naszej armii.

Jedna z naszych dywizji, pod dowództwem Clausela, z brygadą kawalerii Montbruna, znajdowała się niedaleko na południe od Tagu i musieliśmy ich powiadomić o naszym odwrocie, gdyż inaczej pozostałoby bez żadnego wsparcia, w samym sercu wrogiego kraju. Pamiętam, jak się wtedy zastanawiałem, w jaki sposób Massena to załatwi, bowiem zwykli kurierzy nie mogli się tam przedrzeć, a mniejsze oddziały zostałyby z pewnością zniszczone. Jednak w jakiś sposób trzeba było zawiadomić ich, aby Francja nie była uboższa o czterdzieści tysięcy dusz.

W końcu, wpadło mi do głowy, że to ja, pułkownik Gerard, dostąpię zaszczytu dokonania czynu, który w życiu każdego mężczyzny ukoronowałoby jego sławę i który stanie na pierwszym miejscu moich przygód, czyniąc mnie samego sławnym.

W tym czasie służyłem w sztabie Masseny, razem z dwoma innymi adiutantami marszałka, będącymi też dzielnymi i inteligentnymi oficerami. Jeden nazywał się Cortex, drugi Duplessis. Wiekiem byli ode mnie starsi, ale pod każdym innym względem młodszy. Cortex był niskim, bardzo żywym i gorliwym, ciemnym mężczyzną. Był też dobrym żołnierzem, jednak degradowała go zbyt duża zarozumiałość. Według własnej oceny był pierwszym żołnierzem w armii.

Duplessis był Gaskończykiem, tak jak ja, i dobrym kompanem – jak wszyscy Gaskończycy.

Służbę pełniliśmy na zmianę, co drugi i trzeci dzień i w dzień, o którym teraz opowiem, służba przypadła na Cortexa. Spotkałem go przy śniadaniu, ale później nie widziałem już ani jego ani jego konia. Massena cały dzień był jak zwykle ponury i większość czasu spędził obserwując przez teleskop linie Anglików oraz ruch statków na

rzece Tag.

Nie powiedział nam ani słowa na temat misji, na którą wysłał naszego kolegę i nie naszą rzeczą było go o to pytać.

Około północy, znajdowałem się przed kwaterą marszałka, gdy Massena wyszedł i patrząc w ciemności na wschód, stał bez ruchu przez pół godziny, z rękoma założonymi na piersi.

Stojąc tak sztywno, można by sądzić, że ta postać w trójgraniastym kapeluszu była martwym posągiem, a nie żywym człowiekiem.

Nie miałem pojęcia czego wypatrywał, lecz w końcu wyrzucił z siebie potworne przekleństwo, odwrócił się na pięcie i wszedł do domu, gwałtownie trzaskając za sobą drzwiami.

Następnego dnia, drugi adiutant Masseny, Duplessis, już rano odbył z marszałkiem długą rozmowę, po której nie widziałem więcej ani jego ani jego konia. Tej nocy, gdy czuwałem w przedpokoju, marszałek przeszedł obok mnie i zauważyłem, że znowu stoi i patrzy na wschód, dokładnie tak samo jak przedtem. Stał tam całe pół godziny, niczym czarny cień w mroku. Potem wszedł do środka. Kiedy szedł, słyszałem brzęk jego ostróg i pochwy szabli. Był w najlepszym razie starym gburem, ale teraz, wpadając we wściekłość, mocno przypominał samego Cesarza. Tej nocy też słyszałem jego przekleństwa i tupanie, ale nie posłał po mnie, a ja zbyt dobrze go znałem, aby iść tam nie wzywany.

Następnego ranka służba przypadała na mnie, tym bardziej, że teraz tylko ja pozostałem jego adiutantem. Jego serce zawsze skłaniało się ku rozgarniętym żołnierzom. Kiedy wreszcie posłał po mnie, wydawało mi się, że dostrzegłem w jego czarnych oczach łzy.

– Gerard – rzekł. – Podejdź bliżej!

Przyjaznym gestem chwycił mnie za rękę i podprowadził do otwartego okna, wychodzącego na wschód. Poniżej rozciągał się obóz piechoty, a za nim kawalerii, z długimi rzędami uwiązanych koni.

Mogliśmy też widzieć francuskie straże przednie, a dalej otwarty teren poprzecinany winnicami. Równinę ograniczał łańcuch gór i dobrze widoczny szczyt. U stóp gór rozciągał się pas lasu. Wyraźnie było widać jedyną białą drogę wznoszącą się i opadającą, aby ostatecznie zniknąć w górskiej przełęczy.

– To – rzekł Massena, wskazując góry – jest Sierra de Merodal. Dostrzega pan coś tam na szczycie?

Odpowiedziałem, że niczego nie dostrzegam.

– A teraz? – zapytał wręczając mi polową lornetę.

Spojrzałem przez nią i dostrzegłem na szczycie najwyższej góry mały kopczyk, przypominający stos.

– To, co pan widzi – rzekł marszałek – jest stosem kłód umieszczonych tam jako sygnał ogniowy. Ułożyliśmy go wtedy, kiedy cały kraj był w naszych rękach. Teraz, gdy już nad nim nie panujemy, ten sygnał pozostał tam nienaruszony. Dzisiejszej nocy musi zostać podpalony. Potrzebuje tego Francja, potrzebuje Cesarz i potrzebuje tego armia. Dwóch pańskich kolegów poszło podpalić stos, ale nie dotarli do szczytu. Dziś pańska

kolej i modłę się, żebyś miał więcej szczęścia od nich.

Żołnierz nie pyta o przyczyny wydania rozkazu i kiedy chciałem wyjść, marszałek zatrzymał mnie, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Zadanie, jakie musisz wykonać, ryzykując życie, jest niezmiernie ważne, dlatego musisz pan o wszystkim wiedzieć – rzekł. – Pięćdziesiąt mil na południe od nas, po drugiej stronie Tagu znajduje się armia generała Clausela. Jego obóz został usytuowany w pobliżu gór, zwanych Sierra d’Ossa. Na szczycie d’Ossa wzniesiono też stos drewna, a przy nim ulokowano pikietę. Uzgodniliśmy, że gdy o północy zobaczy nasz sygnał, w odpowiedzi zapali swój stos i natychmiast rozpocznie odwrót w kierunku głównej armii. Jeżeli nie wyruszy natychmiast, będę musiał wycofać się bez niego. Już od dwóch dni usiłuję dać mu sygnał, a dziś jest dzień ostatni, gdy musi go otrzymać, inaczej jego armia będzie pozbawiona mojego wsparcia i zostanie zniszczona.

Ach, moi przyjaciele, możecie sobie wyobrazić, jak serce mi rosło, gdy słuchałem, jakim zaszczytnym zadaniem los mnie obdarzył! Jeżeli wrócę cały i żywy, wtedy do mojego wieńca laurowego zostanie dołączony jeszcze jeden listek. Jeżeli zaś zginę, będzie to śmierć warta mojej sławy.

Milczałem jednak, nie wątpiąc, że wszystkie skryte myśli znalazły odbicie w wyrazie mojej twarzy i dlatego Massena uścisnął mi serdecznie dłoń.

– Tam znajduje się ta góra ze stosem drewna – rzekł – a między panem i górą grasują partyzanci. Nie mogę wysłać większego oddziału, a mały, który niewątpliwie nie przedrze się niezauważony i zostałby wykryty, partyzanci z pewnością roznieśliby na strzępy. Dlatego do wykonania tego zadania wyznaczam tylko pana samego. Wykona je pan na swój własny sposób, ale o północy chcę ujrzeć sygnał, w postaci płonącego stosu drewna.

– Jeżeli nie zapłonie – odparłem – wtedy, marszałku Massena, błagam pana, niech pan sprzeda moje rzeczy i pieniądze wyśle mojej matce.

Wzniosłem rękę do czako i zrobiłem zwrot w tył, z sercem bijącym żywo na myśl o czekającej mnie wielkiej przygodzie.

Siedząc w swoim pokoju, przez pewien czas zastanawiałem się, jak najlepiej wywiązać się z powierzonego zadania. Fakt, że ani Cortex, ani Duplessis, gorliwi i aktywni oficerowie, nie dotarli do szczytu Sierra de Merodal, pokazuje, że kraj w tej okolicy jest silnie kontrolowany przez partyzantów. Określiłem na mapie odległość. Przed dotarciem do gór, miałem do przebycia dziesięć mil otwartej przestrzeni. Potem wejść w ciągnący się na najniższych wzniesieniach pas lasów, mogący mieć trzy, cztery mile szerokości. Później sam szczyt, niezbyt wysoki, ale bez możliwości ukrycia się. Tak więc moją wyprawę można było podzielić na trzy etapy.

Wydawało mi się, że jeżeli dostanę się do lasów, reszta będzie łatwa, ponieważ będę się tam mógł ukryć i wspinać wyżej pod osłoną nocy.

Od ósmej do dwunastej miałem do dyspozycji cztery godziny ciemności, w czasie których mogłem się wspinać na górę. Ale najważniejszy był pierwszy etap i musiałem go szczegółowo zaplanować.

Przez równinę wiodła zachęcająca droga i pamiętałem, że moi koledzy wyjechali z obozu konno. Jasne, że to właśnie stało się przyczyną ich zguby. Bandyci nie mieli

łatwiejszego zadania jak pilnować drogi i z zasadzki napadać na wszystkich przejeżdżających.

Mnie w tym czasie nie sprawiała trudności konna jazda przez pola i winnice – miałem do dyspozycji nie tylko Violette i Rataplana, dwa najlepsze konie w armii, ale też wspaniałego czarnego angielskiego rumaka myśliwskiego, którego ukradłem Sir Cottonowi. Jednak po długim namyśle, postanowiłem pójść na piechotę, ponieważ w ten sposób mogłem zyskać przewagę i wykorzystywać ofiarowywane mi szanse.

Tak więc narzuciłem na mój mundur huzara długi płaszcz i założyłem szarą furazerkę. Możecie zapytać, dlaczego nie przebrałem się za chłopca, ale odpowiem tylko, że człowiek honoru nie chce umrzeć jak szpieg. Nie chciałem ryzykować tak marnego końca, bowiem co innego zostać zwyczajnie zamordowanym, a co innego zostać sprawiedliwie rozstrzelanym zgodnie z prawem wojennym.

Późnym popołudniem minąłem linię naszych pikiet i ukryłem się w winnicach. Czyniłem tak duże postępy, że rosło we mnie serce na myśl, iż wystarczy tylko odpowiednio pomyśleć, aby dobrze pokierować akcją do szczęśliwego końca.

Pod płaszczem niosłem lornetkę, kieszonkowy pistolet oraz szablę. Poza tym w kieszeni miałem hubkę i krzesiwo.

Cortex i Duplessis, galopując główną drogą byli łatwo dostrzegalni, lecz inteligentny Gerard skradający się przez winnice, to zupełnie inna osoba.

Zapewniam was, że dopiero po przebyciu około pięciu mil, coś mnie powstrzymało.

Ujrzałem niewielką gospodę, przy której stało kilka wozów i kręciło się wielu ludzi – pierwszych, których spotkałem na mojej drodze.

Teraz, gdy znalazłem się poza liniami naszej armii, wiedziałem, że każdy spotkany człowiek jest moim wrogiem, więc przypadłem do ziemi i przekradłem się do miejsca, z którego mogłem się lepiej przyjrzeć, co się tam dzieje. Przekonałem się, że byli to chłopcy ładujący na dwa wozy puste beczki po winie. Nie miałem pojęcia, czy mogą mi pomóc czy zaszkodzić, dlatego ominąłem ich i udałem się w dalszą drogę. Wkrótce jednak przekonałem się, że moje zadanie nie jest takie proste, jak mi się z początku zdawało. Wraz ze wznoszeniem się terenu, znikwały winnice i wszedłem na lekko pofałdowany, otwarty obszar. Ukryłem się w napotkanym rowie i zacząłem badać leżący przede mną teren przez lornetkę. Wkrótce przekonałem się, że prawie za każdym wzniesieniem stała warta i że partyzanci wystawili cały łańcuch pikiet i wysuniętych posterunków – dokładnie tak samo jak my. Słyszałem o stosowanej przez tego bandytę, zwanego „Uśmiechniętym”, dyscyplinie i niewątpliwie było to najlepszym jej przykładem.

Między wzgórzami ciągnął się kordon wart i chociaż szerokim łukiem obchodziłem ich flanki, zawsze trafiałem na wrogów.

Teren, na którym się znajdowałem, ofiarował tak mało kryjówek, że nawet szczerowowi byłoby trudno przebić się niezauważonym. Oczywiście względnie łatwo byłoby prześlizgnąć się pod osłoną nocy, tak jak to zrobiłem w angielskim Torres Vedras, lecz ciągle jeszcze byłem daleko od gór i gdybym chciał się do nich dostać czekając na ciemności, nie zdążyłbym podpalić stosu tego dnia, o północy. Leżąc w rowie, układałem tysiące planów – każdy niebezpieczniejszy od poprzedniego.

I wtedy doznałem tego nagłego olśnienia, które zawsze nawiedza ludzi odważnych,

nie poddających się rozpaczy.

Pamiętacie, że wspomniałem o dwóch wozach, na które ładowano puste beczki z gospody. Głowy wołów były zwrócone na wschód i było jasne, że te wozy pojedą w tym samym, co ja kierunku. Gdyby mi się udało ukryć w jednej z tych beczek, to czy mógłbym znaleźć łatwiejszą i bezpieczniejszą drogę, żeby przedostać się przez linie partyzantów? Ten plan był tak prosty i tak dobry, że musiałem stłumić w sobie okrzyk radości i natychmiast zawrócić z powrotem do gospody. Tam, ukryty w krzakach, mogłem dobrze obserwować, co się dzieje na drodze.

Beczki ładowało trzech chłopów w czerwonych czapkach. Skończyli ładować jeden wóz i na drugim układali pierwszą warstwę. Wiele pustych beczek ciągle leżało przy gospodzie, czekając na swoją kolej.

Sprzyjała mi fortuna – zawsze twierdziłem, że właśnie ona – jako kobieta, nie może się oprzeć pełnemu fantazji huzarowi. W czasie, gdy ich obserwowałem, chłopci spragnieni w tak gorącym dniu, weszli do gospody.

Błyskawicznie wyskoczyłem z kryjówki, wspiąłem się na wóz i wcisnąłem do pustej beczki. Beczka miała dno, lecz brakowało pokrywy i leżała na boku, otwartą częścią skierowaną do wnętrza wozu. Położyłem się w niej, jak pies w budzie, z kolanami podkurczonymi pod brodą. Beczka nie była duża, a ja jestem dość roslym mężczyzną. Kiedy już w niej leżałem, z gospody wyszło trzech chłopów i po chwili usłyszałem nad sobą trzask oznaczający, że na moją beczkę rzucono następne. Ostatecznie załadowano ich tyle, że nie mogłem sobie wprost wyobrazić, w jaki sposób wydostanę się z beczki. Jednak nie czas myśleć o sforsowaniu Wisły, gdy stoi się na brzegu Renu i na razie nie miałem wątpliwości, że skoro zaszedłem aż tak daleko z moimi umiejętnościami, poradzę sobie i w tym wypadku.

Po zapelnieniu wozu, ruszyli w drogę, a ja w mojej beczce chichotałem za każdym krokiem wołu, ponieważ wiódł mnie do celu. Jechaliśmy wolno, a chłopci szli obok wozu. Wiedziałem o tym, słysząc blisko ich głosy. Odniosłem wrażenie, że byli to beztroscy, weseli ludzie – idąc śmiali się z czegoś serdecznie. Jednak nie rozumiałem, z czego się śmieją. Chociaż dość dobrze znałem ich język, z urywków jakie dotarły do moich uszu, nie usłyszałem nic komicznego.

Oceeniłem, że woły posuwają się z szybkością dwóch mil na godzinę. Dlatego, gdy byłem pewien, że minęły dwie i pół godziny – a każda godzina, przyjaciele, w podkurzonej pozycji, bliski uduszenia i niemal zatruty wyziewami wina, była torturą – doszedłem do wniosku, że niebezpieczeństwo czyhające na otwartym terenie minęło i że znajdujemy się na skraju lasów, u podnóża gór. Teraz zacząłem kombinować, w jaki sposób wydostać się z beczki. Przemyślałem wiele sposobów, wyodrębniając jeden z wielu, gdy ta kwestia została rozwiązana w bardzo prosty i niespodziewany sposób.

Wóz nagle zatrzymał się ze zgrzytem i usłyszałem kilka szorstkich głosów:

– Gdzie, gdzie? – krzyczał jeden.

– Na naszym wozie – odparł drugi.

– Kim jest? – pytał trzeci.

– To francuski oficer, widziałem jego czapkę i buty.

Wszyscy ryknęli śmiechem.

– Wyglądałem przez okno gospody i widziałem jak włązi do beczki niczym torreador w Sewilli, gdy byk następował mu na pięty.

– Do której beczki?

Jego kolega walnął pięścią w beczkę, w okolicy mojej głowy.

– Do tej.

No i – moi przyjaciele – w jakiej to teraz znalazłem się sytuacji?! Otóż dziś, po czterdziestu latach, rumienię się na samo wspomnienie.

Uwięziony jak ptaszek w klatce, bezradny słuchałem wulgarnego rechotu tych chamów – wiedząc równocześnie, że moja misja zakończy się w haniebny, a nawet komiczny sposób. Błogosławiłbym człowieka, który teraz strzeliłby w beczkę i uwolnił mnie od nędznego końca.

Usłyszałem łoskot zrzucanych z wozu beczek, a potem ujrzałem parę brodatych twarzy i lufy dwóch muszkietów. Chwycono mnie za rękawy płaszcza i wywleczono na światło dzienne. Stojąc ze zmrużonymi oczami i mrugając oślepiiony słońcem, ciężko dysząc, musiałem wyglądać groteskowo.

Byłem cały wygięty jak kaleka i nie mogłem rozprostować sztywnych członków, a połowa mojego płaszcza była tak czerwona od osadu czerwonego wina w beczce, jak kurtka angielskiego żołnierza.

Tymczasem te psy coraz głośniej rechotały, gdy próbowałem całą postawą i gestami wyrazić pogardę, jaką do nich czuję. Ale nawet w tych trudnych warunkach zachowywałem się jak człowiek honoru, a gdy wolno przenosiłem wzrok od jednego do drugiego, zauważyłem, że żaden z tych rechoczących chłopów nie mógł patrzeć mi prosto w oczy.

Wystarczyło tylko jedno spojrzenie dookoła, żebym się zorientował, w jakiej znalazłem się sytuacji. Chłopi zdradzili mnie i oddali w ręce partyzantów z posterunku. Było ich ośmiu – dzikie, brodate, długowłose kreatury, z bawełnianymi chustami pod sombrerami i przepasani kolorowymi szarfami, w kurtkach z licznymi guzikami.

Każdy miał muskiet i za pasem jeden lub dwa pistolety.

Dowódca, wielki, brodaty zbój, przytknął lufę muskietu do mojego ucha, drugi natychmiast sięgnął mi do kieszeni. Zabrali mi płaszcz, pistolet, lornetkę, szablę i co było najgorsze, również krzesiwo i hubkę.

Niech się dzieje co chce, załatwili mnie! Teraz nie mogłem już podpalić stosu, nawet gdybym się do niego dostał.

Moi drodzy, wyobraźcie sobie! Ośmiu bandytów, trzech chłopów i ja – zupełnie bezbronny! Ale czy Etienne Gerard ma z tego powodu rozpaczać? Czy ma się załamać?

Och, przecież dobrze mnie znacie, natomiast oni jeszcze mnie nie poznali – te psy, łotry! Nigdy jeszcze tak intensywnie i zdumiewająco sprawnie nie pracował mój umysł jak wtedy, gdy wydawało się, że wszystko stracone. Możecie jednak w nieskończoność zgadywać i nie zgadniecie, w jaki sposób udało mi się im uciec. Zatem opowiem wam, posłuchajcie.

Ściągnęli mnie z wozu i przeszukali. Ciągle jeszcze pokręcony i połamany, stałem otoczony przez nich. Jednak powoli zaczęły mijać skutki podróży w beczce i mój umysł zaczął szybko pracować nad sposobem wyrwania się z ich łap.

Posterunek tych łośtrów znajdował się w wąskim wąwozie. Wąwóz z jednej strony ograniczało strome zbocze góry, z drugiej teren opadał dość łagodnie, kończąc się po kilkuset stopach, w gęsto porośniętej krzakami dolinie. Łotry były twardymi góralami i z pewnością mogli pokonać zbocze góry w obie strony, prędzej ode mnie.

Na nogach mieli abarkasy, czyli skórzane buty, wiązane jak sandały, dające im wygodne oparcie w każdym terenie. Człowiek mniej zdecydowany ode mnie, wpadłby w czarną rozpacz – lecz ja natychmiast dostrzegłem i wykorzystałem zesłaną mi przez los niebывałą okazję. Na samym skraju stoku stała jedna z beczek po winie. Przesunąłem się wolno ku niej, a potem nogami do przodu tygrysim skokiem wskoczyłem do środka. Kopniakiem przewróciłem beczkę na bok i zaczęła się toczyć w dół wąwozu.

Nigdy nie zapomnę tej strasznej podróży, w czasie której na tym przeraźliwym zboczach przewracałem się i obijałem w beczce. Zapierałem się kolanami i łokciami, kurczyłem się, aby moje ciało stało się w miarę zwartą masą, co nadawało beczce stały rytm i balans toczenia, ale moja głowa wystawała z otworu i chyba tylko cud sprawił, że nie rozbiłem jej i nie wypłynął z niej mózg. Po długim, łagodnie opadającym stoku, nastąpił gwałtowny spadek, na którym beczka zaczęła toczyć się i podskakiwać jak górską kozica. Pędziła w dół, turkocząc i trzeszcząc, niemal łamiąc mi kości. Wiatr wył mi w uszach, a głowa obracała się i obracała, aż w końcu zrobiło mi się niedobrze i byłem bliski utraty świadomości. Potem, ze zgrzytem i głośnym trzaskiem łamanych gałęzi, beczka wpadła w leżącą daleko poniżej gęstwinę krzaków. Przebiła się przez nie i toczyła dalej zboczem, aby wpaść w następną gęstwinę, tym razem poszycia leśnego, gdzie uderzyła w pień jakiegoś młodego drzewka i rozpadła się na kawałki.

Wyczołgałem się spod rozbitych klepek i obręczy. Bolały mnie wszystkie kości i całe ciało, lecz serce głośnie śpiewało z radości, a mój duch wznosił się wysoko, wiedziałem bowiem, że dokonałem wielkiego czynu i już widziałem, jak na szczycie góry płonie stos drewna.

Z tych rozmyślań wyrwały mnie gwałtowne mdłości, doznałem uczucia, jakie po raz pierwszy miałem na morzu, a które Anglicy tak perfidnie wykorzystali. Przez chwilę siedziałem wśród ruin mojej beczki, dłońmi ściskając głowę. Jednak nie było czasu na dłuższy odpoczynek; już słyszałem dochodzące z góry krzyki pędzących prześladowców.

Skoczyłem w najgęstsza partię poszycia i biegłem, biegłem, aż do kompletnej utraty sił. Potem, ciężko dysząc padłem na ziemię i zacząłem nasłuchiwać, ale już nie dochodził do mnie żaden głos. Pozbyłem się ścigających wrogów.

Po odzyskaniu równego oddechu, ruszyłem szybko dalej. Brodziłem po kolana przez wiele strumieni, ponieważ uzmysłowiłem sobie, że mogą mnie wytropić używając psów.

Po wyjściu na otwartą przestrzeń, rozejrzałem się dookoła i stwierdziłem ku mej radości, że mimo tej przygody z beczką nie zboczyłem za bardzo z mojej drogi. Nade mną wznosił się szczyt Merodał, z nagim wierzchołkiem wystającym ponad gęstwinę okrywających jego stoki karłowatych dębów.

Gęstwina tych dębów tworzyła przedłużenie drogi, którą właśnie podążałem i wydawało mi się, że obecnie niczego nie muszę się już bać, przed osiągnięciem drugiej strony lasu. Równocześnie zdawałem sobie sprawę, że tu każdy napotkany człowiek jest

moim wrogiem – a było ich wielu – podczas gdy jestem nieuzbrojony i gdy ściga mnie cała masa opryszków. Tymczasem nikogo nie widziałem, chociaż kilka razy słyszałem ostre gwizdy, a raz oddalony wystrzał. Przedzieranie się przez gęste krzaki było ciężką pracą i odetchnąłem z ulgą, gdy znalazłem się na ścieżce wiodącej wśród większych drzew. Byłem jednak na tyle mądry, aby z niej nie skorzystać, ale trzymałem się blisko i szedłem w tym, co i ona kierunku. W ten sposób pokonałem pewien dystans i już sądziłem, że dotarłem na skraj lasu, gdy do moich uszu doszedł dziwny jęk. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakieś zwierzę, ale potem usłyszałem słowa z których rozpoznałem okrzyk w języku francuskim:

– Mon Dieu!

Skierowałem się tam z największą ostrożnością i oto co ujrzałem: na posłaniu z suchych liści leżał rozciągnięty mężczyzna, w tym samym co ja szarym mundurze. Najwyraźniej był ciężko ranny, gdyż chusta którą przyciskał do piersi była przesączona krwią. Przy posłaniu zebrała się już kałuża krwi i leżał, w unoszącej się nad nim brzęczącej i bzyczącej chmarze much, co i tak z pewnością zwróciłoby moją uwagę, gdybym nawet nie usłyszał jęku.

Jakiś czas leżałem, wietrząc pułapkę, jednak po chwili litość i lojalność zagłuszyły inne uczucia, pobiegłem i uklęknąłem przy nim. Odwrócił do mnie wymizerowaną twarz i poznałem Duplessisa, człowieka który poprzedniego dnia udał się z tą samą co ja misją. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego zapadnięte policzki i szklane oczy, aby stwierdzić, że ten człowiek umiera.

– Gerard – rzekł. – Gerard...

Mogłem tylko wyrazić mu moje współczucie, lecz on, chociaż życie z niego wolno uchodziło, jako człowiek waleczny, ciągle jeszcze miał poczucie niespełnionego obowiązku.

– Płonący stos... Gerard! Chcesz go zapalić?

– Masz krzesiwo?

– Tu jest!

– Zatem zapalę go dziś w nocy.

– Słyszac to umieram szczęśliwy. Oni mnie postrzelili, Gerard, ale powiedz marszałkowi, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy.

– A Cortex? Co z nim?

– On miał jeszcze mniej szczęścia. Wpadł w ich ręce i umarł straszną śmiercią. Jeżeli stwierdzisz, że nie możesz im uciec, Gerard, to lepiej wpakuj sobie kulkę w serce, żeby nie umrzeć jak Cortex.

Spostrzegłem, że jego oddech słabnie i ledwo mogłem zrozumieć co mówi.

– Możesz mi powiedzieć coś, co mi pomoże wykonać zadanie? – zapytałem.

– Tak, tak... de Pombal. On ci pomoże. Zaufaj de Pombalowi.

Po tych słowach jego głowa opadła – nie żył.

– „Zaufaj de Pombalowi” – ktoś powtórzył. – To dobra rada!

Ku mojemu zdumieniu obok mnie stał jakiś człowiek.

Byłem tak zaabsorbowany moim towarzyszem, jego słowami oraz udzieloną radą, że mógł się do mnie podkraść niezauważony. Teraz skoczyłem na równe nogi

i odwróciłem się do niego. Był wysoki, smagły, miał czarne włosy, oczy i brodę, z podłużną twarzą wyrażającą głęboki smutek. Trzymał w ręce butelkę z winem i przez ramię miał przewieszony garłacz, jaki zwykle nosili partyzanci. Nie uczynił żadnego wysiłku, żeby go zdjąć z ramienia i domyśliłem się, że to jest ten człowiek, którego polecił mi umierający przyjaciel.

– Ach, on już odszedł – rzekł, pochylając się nad Duplessisem. – Po postrzeleniu w pierś zdołał jeszcze uciec między drzewa i na jego szczęście udało mu się upaść w miejscu, gdzie jego ostatnie godziny życia były spokojniejsze. Zrobiłem mu to posłanie i przyniosłem wino, aby ulżyć pragnieniu.

– Panie – odrzekłem – dziękuję ci w imieniu Francji. Jestem tylko pułkownikiem lekkiej kawalerii, ale jestem też Gerardem, Etienne’em Gerardem, a to nazwisko coś znaczy we francuskiej armii. Czy wolno zapytać...

– A ja, panie, jestem Aloysius de Pombal, młodszy brat słynnego szlachcica o tym nazwisku. Obecnie pełnię funkcję pierwszego porucznika w bandzie partyzantów, których dowódcą jest Manuelo, zwany „Uśmiechniętym”.

W tym momencie, możecie mi wierzyć przyjaciele, sięgnąłem do miejsca, w którym zwykle tkwił mój pistolet, lecz widząc to, mężczyzna tylko się uśmiechnął.

– Jestem jego pierwszym porucznikiem, ale jestem też jego śmiertelnym wrogiem – oświadczył. Mówiąc to rozpiął bluzę i podciągnął wyżej koszulę. – Spójrz na to! – Odwrócił się i pokazał plecy, na których zobaczyłem czerwone i sine pręgi. – Oto co mi zrobił „Uśmiechnięty”, mnie, człowiekowi w którego żyłach płynie najszlachetniejsza z szlachetnej krew w Portugalii. A co ja zrobię „Uśmiechniętemu”, to pan jeszcze zobaczy.

Z jego oczu biła taka wściekłość, a z uśmiechu wyszczerzonych zębów tyle nienawiści, że nie wątpiłem w szczerość jego słów.

– Mam za sobą dziesięciu zaprzysięgłych zwolenników – oznajmił. – Za kilka dni spodziewam się dołączyć do waszej armii, zaraz po dokończeniu tu mojego zadania.

Tymczasem jego twarz nagle się dziwnie zmieniła, chwycił muszkiet i wrzasnął:

– Ręce do góry, przeklęty Francuzie! Do góry, albo rozwałę ci łeb!

Podskoczyliście, prawda? Zdębieliście? Dzięki, ja też wtedy zdębiałem, słysząc takie zakończenie naszej rozmowy.

Miałem przed oczami czarny wylot lufy, a za nim czarne oczy. Co mogłem zrobić? Byłem bezsilny i posłusznie uniosłem ręce. W tym momencie usłyszałem ze wszystkich stron lasu głosy, krzyki i nawoływania oraz tupot wielu nóg. Przez gąszcz krzaków przedzierało się mrowie groźnych postaci; pochwyciło mnie tuzin rąk i ja, biedny, szalony nieszczęśnik, znowu zostałem ich więźniem. Dzięki Bogu, nie miałem przy sobie pistoletu, bo inaczej z pewnością palnąłbym sobie w łeb. Gdybym wtedy był uzbrojony, teraz nie siedziałbym w tej kawiarni i nie opowiadałbym wam o dawnych czasach.

Zostałem pociągnięty silnymi, włochatymi łapami leśną ścieżką, a ten łajdak de Pombal wydawał rozkazy moim porywaczom. Czterech bandytów poniosło ciało Duplessisa.

Zapadał mrok wieczoru, gdy opuściliśmy las i zaczęliśmy się wspinać pod górę, aby ostatecznie dotrzeć do leżącej w jarze, blisko szczytu góry, kwatery głównej

partyzantów. Tam też znajdował się stos, który miałem podpalić i który miał mnie tak wiele kosztować. Stos, ułożony z drewnianych kłód, tworzył czworobok wznoszący się bezpośrednio nad naszymi głowami. Poniżej stały dwie, albo trzy chaty, niewątpliwie należące do pasterzy kóz, ale teraz służące jako schronienie dla tych łotrów.

Wepchnięto mnie do jednej z chat, związano i obok mnie położono zwłoki mojego biednego towarzysza broni.

Kiedy tam leżałem, prześladowała mnie myśl, jak podpalić stos drewna. Wtem otworzyły się drzwi i do chaty wszedł jakiś mężczyzna. Gdybym miał wolne ręce, byłbym zacisnął dłonie na jego gardle, bowiem nie był to nikt inny, jak tylko de Pombal. Zaraz za nim szło dwóch bandytów, ale rozkazał im zostać na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi.

– Ty łotrze! – krzyknąłem.

– Cicho – odparł. – Mów cicho, nie wiem czy nas nie podsłuchują; teraz stawką jest moje życie. Chcę panu coś wyjaśnić, poruczniku Gerard. Życzę panu wszystkiego najlepszego, tak jak życzyłem pańskiemu martwemu towarzyszowi. Rozmawiając z panem wtedy, przy jego zwłokach zorientowałem się, że jesteśmy otoczeni i że ujęcie pana jest nieuniknione. Gdybym wtedy się zawahał, podzieliłbym pański los. Dlatego osobiście aresztowałem pana, aby zachować zaufanie bandy. Może pan swoimi własnymi zmysłami wyczuć, że nie mogłem postąpić inaczej. Teraz nie wiem, jak i czy będę mógł pana ocalić, ale przynajmniej spróbuję.

To rzuciło nowe światło na moją sytuację. Powiedziałem mu, że nie wiem na ile mówi prawdę, ale sądzić go będę po jego czynach.

– Niczego więcej nie oczekuję – odparł. – Teraz dam panu jedną radę! Chce pana widzieć nasz dowódca. Niech pan rozmawia z nim szczerze, inaczej zostanie pan przepiłowany między dwoma deskami. Nie zaprzeczaj niczemu, co powie. Podaj informacje, których zażąda. To pańska jedyna szansa. Jeżeli zyska pan na czasie, wtedy może się wydarzyć coś, co da nam okazję uwolnienia pana. Teraz już nie mamy czasu. Idziemy, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

Pomógł mi wstać, ale po otwarciu drzwi wypchnął mnie brutalnie z chaty i potem z pomocą swoich kumpli, popychając mnie i szarpiąc, zawlókł mnie do miejsca, w którym siedział dowódca bandytów, w otoczeniu swoich zwolenników.

Manuelo, „Uśmiechnięty”, był szczególnym człowiekiem. Tłusty, rumiany, zachowujący się swobodnie. Miał dużą, gładko wygoloną twarz i był łysy – typowy wzór dobrotliwego ojca rodziny. Patrząc na jego szczery uśmiech, z trudem mogłem uwierzyć, że w istocie był niesławnym zbirzem, którego imię budziło grozę, tak samo w angielskiej, jak i w naszej armii.

Jest powszechnie wiadomo, że brytyjski oficer, Trent, później kazał go powiesić za jego okrucieństwa.

Siedział na kamieniu i wpatrywał się we mnie z taką radością, jakby spotkał starego znajomego. Jednak zauważyłem, że jeden z jego ludzi stał oparty na długiej pile i ten widok wystarczająco pozbawił mnie złudzeń.

– Dobry wieczór, pułkowniku Gerard – rzekł. – Zostaliśmy wysoce zaszczytzeni przez sztab generała Masseny; pewnego dnia zjawił się tu major Cortex; następnego dnia pułkownik Duplessis, a teraz gościmy pułkownika Gerarda. Może doczekamy się jeszcze

zaszczytu odwiedzin samego marszałka? Jak rozumiałem, widział pan Duplessisa. Cortexa może pan zobaczyć przybitego do drzewa rosnącego w dole. Teraz musimy się zastanowić, w jaki sposób najlepiej się pana pozbyć.

Nie był to podnoszący na duchu wstęp, ale przez cały czas z jego twarzy nie schodził ten serdeczny uśmiech i słowa cedził prawie sepleniąc, w jakiś manierycznie uprzejmy sposób.

W końcu pochylił się do przodu i w jego oczach pojawił się groźny wyraz.

– Pułkownik Gerard – oświadczył – nie obiecuję panu darowania życia, bo nie leży to w naszym zwyczaju postępowania z jeńcami, ale mogę przyrzec szybką i bezbolesną śmierć, albo śmierć w męczarniach. Zatem, którą pan wybiera?

– A czego pan żąda w zamian?

– Jeżeli wybierze pan śmierć szybką i bezbolesną, to na moje pytania będzie pan dawał prawdziwe odpowiedzi.

W tym momencie wpadła mi do głowy genialna myśl.

– Tak czy tak, zabijecie mnie – rzekłem – i dla was nie jest ważne, jaką umrę śmiercią. Jeżeli odpowiem na pańskie pytania, czy pozwolicie mi wybrać rodzaj śmierci?

– Tak – odparł – byle do północy dnia dzisiejszego.

– Proszę złożyć na to przysięgę! – zawołałem.

– Wystarczy słowo portugalskiego szlachcica – oświadczył.

– Dopóki pan nie przysięgnie, nie powiem ani słowa.

Zaczerwienił się z gniewu, a jego oczy spoczęły na pile. Ale z tonu mojego głosu zorientował się, że nie żartuję i nie należę do ludzi, których można zastraszyć i zmusić do uległości. Wyciągnął spod zammary, albo żakietu z baraniej skóry, krzyż.

– Przysięgam!

Och, jak bardzo mnie to ucieszyło! Jakież to wspaniałe osiągnięcie pierwszego szermierza Francji! Na samą myśl teraz śmieję się z zachwytem.

– No to pytaj pan – oznajmiłem.

– Czy w zamian przysięga pan mówić prawdę?

– Przysięgam na honor żołnierza i uczciwego człowieka.

Złożenie takiej przysięgi, jak możecie ocenić, było straszną rzeczą, lecz jakie to miało znaczenie w perspektywie osiągnięcia zamierzonego celu?

– To bardzo fair i bardzo interesujący układ – stwierdził, wyjmując z kieszeni notes. – A teraz, czy może się pan odwrócić i spojrzeć w kierunku obozu wojsk francuskich?

Posłusznie odwróciłem się we wskazanym przez niego kierunku i spojrzałem na leżący poniżej nas, na równinie obóz. Mimo dzielącej nas odległości wynoszącej piętnaście mil, w czystym powietrzu można było rozpoznać nawet najdrobniejsze szczegóły. Widziałem długie czworoboki naszych namiotów i baraków, z szeregami kawalerii i ciemnymi plamami znaczącymi dziesięć baterii artylerii. Ze smutkiem pomyślałem, że mój wspaniały pułk będzie tam daremnie czekał i że nigdy już nie ujrzy swojego pułkownika! Mając do dyspozycji tylko jeden szwadron tego pułku mógłbym zmieść z powierzchni ziemi tych wszystkich rzezimieszków!

Moje oczy zasły łzami, gdy patrzyłem w tę część obozu, gdzie biwakowało

ośmiuset mężczyzn, a każdy z nich oddałby życie za swojego pułkownika. Jednak mój smutek wyparował, gdy za namiotami ujrzałem słup dymu znaczący główną kwaterę w Torres Novas. Tam był Massena i za bożym wstawiennictwem, kosztem mojego życia, misja z jego rozkazu zostanie tej nocy wypełniona. Poczułem w sercu skurcz dumy i radości; zapragnąłem w tym momencie dysponować głosem o sile pioruna, żeby móc wykrzyknąć: „To ja, Etienne Gerard, umrę, aby uratować armię Clausela!”

Jednak smutna to myśl, że ten szlachetny czyn zostanie dokonany i nikt o nim nie rozgłosi światu.

– No – ciągnął dowódca partyzantów – więc widzi pan obóz oraz drogę wiodącą do Coimbry. Jest zatłoczona wozami i ambulansami. Czy to znaczy, że Massena rozpoczął już odwrót?

Widać było ciemną linię wozów i sporadyczny błysk stali eskorty. Nie musiałem zdradzać tajemnicy wojskowej, żeby potwierdzić jego przypuszczenie.

– Tak, wycofuje się – potwierdziłem.

– Do Coimbry?

– Tak sądzę.

– Co z armią Clausela?

Wzruszyłem ramionami.

– Każda ścieżka wiodąca na południe została zablokowana. Nie prześlizgnie się przez nią żaden kurier. Jeżeli Massena się wycofa, armia Clausela będzie zgubiona.

– Będzie musiał wykorzystać wszystkie szanse – stwierdziłem.

– Ilu ma ludzi?

– Sądzę, że około czternaście tysięcy.

– Ile kawalerii?

– Jedną brygadę dywizji Montbruna.

– Jakie pułki?

– Cztery szaserów, dziewięć huzarów i pułk kirasjerów.

– Zgadza się – rzekł, zaglądając do notesu. - Mówi pan prawdę, ale niech pana Nieba strzegą, jeśli pan skłamię.



Czy to znaczy, że Massena rozpoczął już odwrót?

Potem dywizja za dywizją przeszedł całą armię, pytając o skład każdej brygady.

Chyba nie muszę wam mówić, że prędeziej pozwoliłbym sobie wyrwać język, niż podawać mu tego rodzaju dane, gdybym nie miał w perspektywie możliwości osiągnięcia wyższego celu. Niech się wszystkiego dowie, byleby tylko udało mi się uratować armię Clauseła.

Zamknął notes i schował go do kieszeni.

– Jestem panu zobowiązany za te informacje, które jutro powinien otrzymać lord Wellington – rzekł. – Wywiązał się pan ze swojej części umowy, teraz kolej na mnie. Więc, jak chce pan umrzeć? Jako żołnierz niewątpliwie woli pan zostać rozstrzelany, ale niektórzy wybierają skok w przepaść Merodalu, co uważają za łatwiejszą śmierć. Wielu to wybrało, ale na nieszczęście nigdy jeszcze nie udało się nam uzyskać potem od nich opinii na ten temat. Jest jeszcze piła, ale ta nie jest zbyt popularna. Niewątpliwie moglibyśmy też powiesić pana, jednak łączy się to z niewygodą zejścia w dół, do lasu. Ale obietnica jest obietnicą, a pan okazał się wspaniałym człowiekiem, zatem oszczędzimy panu bólu, zgodnie z pańskim życzeniem.

– Mówił pan – odparłem – że muszę umrzeć do północy, dlatego zaczekam do ostatniej minuty przed tym terminem.

– Bardzo dobrze – zgodził się. – Tego rodzaju kurczowe trzymanie się życia jest cokolwiek dziecinne, ale spełnimy pańskie życzenie.

– Jeśli zaś chodzi o wybór metody – ciągnąłem – to wybieram taką śmierć, którą zobaczy cały świat. Ulokuj mnie na tym stosie drewna i spal na nim żywcem – tak jak niegdyś palono świętych i męczenników. Nie jest to pospolity koniec, ale taki, którego nawet sam Cesarz mógłby mi pozazdrościć.

Ten pomysł zdawał się wielce go bawić.

– Dlaczego nie? – zawołał. – Jeżeli Massena wysłał pana, żeby nas szpiegować, to zrozumie co oznacza ten ogień na górze.

– Zgadza się – potwierdziłem. – Odgadłeś pan prawdziwy powód. On to właściwie zrozumie i wszyscy będą wiedzieli, że zginąłem śmiercią żołnierza.

– Nie mam nic przeciwko temu – rzekł bandyta, ze swoim odrażającym uśmiechem. – Przyślę panu do chaty trochę koziego mięsa i wino. Słońce właśnie zachodzi i zbliża się ósma. Za cztery godziny bądź pan gotów na śmierć.

Żegnałem się z pięknym światem. Spojrzałem na ścielącą się poniżej nas złotą mgiełkę, gdzie ostatnie promienie zachodzącego słońca padały na błękitne wody wijącego się Tagu i oświetlały białe żagle angielskich statków transportowych.

Było to bardzo piękne i rozstanie się z tym napawało mnie smutkiem, lecz istnieją rzeczy jeszcze piękniejsze. To śmierć po to, aby ocalić innych, to honor, obowiązek, lojalność i miłość – są to rzeczy daleko piękniejsze od tych, które możemy widzieć naszymi oczami.

Serce przepeśniał mi podziw dla mojego własnego, niezwykle szlachetnego zachowania i zastanawiałem się, czy ktoś kiedyś dowie się, jak spłonąłem na stosie, który uratował armię Clauseła. Miałem taką nadzieję i modliłem się o to, bowiem jaka to byłaby pociecha dla mojej matki, jaki wzór dla armii, jaka duma dla moich huzarów! Kiedy de Pombal przyszedł w końcu do mojej chaty z jedzeniem i winem, w pierwszym rzędzie

poprosiłem go, żeby spisał relację o mojej śmierci i wysłał ją do francuskiego obozu.

Milczał, ale kolację jadłem z większym apetytem, z myślą, że mój wspaniały czyn nie pozostanie zupełnie nieznanym.

Leżałem przez dwie godziny, kiedy drzwi znowu się otworzyły i stanął w nich dowódca. Leżałem w ciemności, ale obok niego stał bandyta z pochodnią i widziałem jak spoglądając na mnie błyszcza mu oczy i zęby.

– Gotów? – zapytał.

– Jeszcze nie czas.

– Chce pan czekać do ostatniej minuty?

– Obietnica jest obietnicą.

– Dobrze. Niech tak będzie. Musimy jeszcze załatwić między sobą pewien akt sprawiedliwości, jako że jeden z moich ludzi źle się zachował. Mamy tu własną, surową regułę postępowania, która nie respektuje żadnej godności osobistej – o czym de Pombal z pewnością pana poinformował. Zwiąż go i połóż na stosie, de Pombal, a ja wrócę zobaczyć jak umiera.

De Pombal i zbir z pochodnią weszli do środka, podczas gdy ja słyszałem oddalające się kroki dowódcy. De Pombal zamknął drzwi.

– Pułkowniku Gerard – rzekł – zaufaj temu człowiekowi. On jest jednym z nas. Teraz albo nigdy. Jeszcze możemy pana ocalić. Jednak podejmuję wielkie ryzyko i chcę, żeby mi pan coś wyraźnie przyrzekł. Jeżeli ocalimy pana, czy gwarantuje pan, że zostaniemy przyjaźnie przyjęci we francuskim obozie i cała nasza przeszłość zostanie zapomniana?

– Gwarantuję.

– Ufam w pańską uczciwość i honor. A teraz szybko, szybko, nie ma czasu do stracenia. Gdyby ten potwór teraz wrócił, wszyscy umarlibyśmy straszną śmiercią!

Patrzyłem zdumiony na to, co robi. Wyciągnął długi sznur i owinął nim zwłoki mojego martwego towarzysza broni, a następnie zawiązał mu chustę na ustach, zasłaniając prawie całą twarz.

– Niech się pan tu kładzie! – rozkazał i wskazał miejsce martwego ciała. – Czterech moich ludzi czeka, żeby położyć ciało na stosie.

Otworzył drzwi i wydał rozkaz. Weszło kilku bandytów i wynieśli Duplessisa. Zostałem na podłodze, otumaniony nadzieją i zdumieniem.

Po pięciu minutach de Pombal wrócił ze swoimi ludźmi.

– Już pan leży na stosie – oznajmił. – Wyzywam każdego na świecie, aby powiedział, że to nie pan – jesteś pan tak związany i zakneblowany, że nikt nie może się spodziewać, abyś się poruszył lub wydał głos. A teraz pozostało już tylko zabrać zwłoki Duplessisa i rzucić je w przepaść Merodal.

Dwóch ludzi chwyciło mnie za głowę i nogi, i sztywnego, bez życia, wyniosło z chaty. Kiedy znalazłem się na wolnym powietrzu, omal nie krzyknąłem ze zdumienia. Nad stosem świecił księżyc w pełni i w jego srebrnym świetle mogłem widzieć zarys postaci leżącej na szczycie. Bandyty, albo stali wokół stosu, albo pozostali w obozie, dlatego nikt nie zatrzymywał naszej grupy i nie zadawał pytań. De Pombal poprowadził w kierunku przepaści. Nad skrajem przepaści, tam gdzie byliśmy już poza zasięgiem

wzroku, znowu mogłem użyć moich nóg. De Pombal wskazał ręką krętą ścieżkę.

– Prowadzi w dół – wyjaśnił, a potem nagle krzyknął: – *Dios mio*, co to?

Poniżej nas, nad lasami wzniósł się potworny krzyk. Ujrzałem jak de Pombal podskakuje niczym spłoszony koń.

– To ten szatan – wyszeptał. – Znęca się nad kimś, tak jak się znęcał nade mną. Ale szybciej... szybciej, niech nas Bóg ma w swojej opiece, gdybyśmy wpadli w jego łapy!

Zaczęliśmy kolejno schodzić wąskim traktem kozic. U stóp urwiska znaleźliśmy się na powrót w lesie. Nagle, nad nami ukazała się żółta luna i rosnące przed nami drzewa rzuciły czarne cienie.

Za nami podpalono stos. Z miejsca, w którym się znajdowaliśmy, mogliśmy rozpoznać wśród płomieni bezwładne ciało i czarne postaci bandytów tańczących i wyjących wokół stosu jak ludożercy. Ha! Pogroziłem pięścią tym psom i przysiągłem, że pewnego dnia ja i moi huzarzy krwawo się z nimi porachujemy.

De Pombal wiedział, jak są rozlokowane posterunki bandytów i wszystkie ścieżki prowadzące przez las. Jednak, aby uniknąć spotkania bandytów musieliśmy kryć się między wzgórzami i nadkładać wiele męczących mil. A jednak, z jaką przyjemnością pokonywałem je, mając w oczach tylko ten jeden, jedyny widok, który tak bardzo mnie ucieszył!

Okolo drugiej w nocy, gdy zatrzymaliśmy się na chwilę na leśnej polanie, na szczycie wzgórza, gdzie ścieżka tworzyła łuk, odwróciłem się i ujrzałem czerwony żar po stosie, jakby szczyt Moredał wyrzucił z siebie rozpaloną lawę.

A potem, nie spuszczać wzroku z tego fascynującego widoku, zobaczyłem coś jeszcze – coś, co wprawiło mnie w euforyczną radość; padłem na ziemię i zacząłem się tarzać z dzikiej radości.

Gdzieś daleko, daleko na południu – tam, na horyzoncie zabłysło wielkie, żółte światło, pulsujące, promieniujące płomieniami, ale nie płonął to żaden dom, nie błyszczało światło gwiazd, był to sygnał w odpowiedzi zapalony na Mount d'Ossan i mówiący, że armia Clausela wie, iż Etienne Gerard dał jej znak.

IX. Jak brygadier był kuszony przez diabła

Zbliża się wiosna, moi przyjaciele, już widać pąki na orzechach i wystawiono na słońce stoliki kawiarniane. Miło jest siedzieć przy nich, a jednak nie zamierzam snuć opowieści całemu miastu. Usłyszeliście o moich przygodach, gdy byłem porucznikiem, oficerem szwadronu, pułkownikiem i dowódcą brygady, lecz teraz opowiem wam, jak stałem się kimś od nich wszystkich wyższym, ważniejszym.

Zaczynam swoją opowieść.

Jeżeli czytaliście o ostatnich latach z życia Cesarza, które spędzał na wyspie Świętej Heleny, może pamiętacie, że wielokrotnie błagał o pozwolenie wysłania choćby jednego, jedyne go listu, który nie byłby otwierany przez tych, którzy go więzili. Wiele razy powtarzał tę prośbę, a nawet posunął się tak daleko, że obiecał płacić za siebie z własnych środków, aby nie obciążać budżetu rządu angielskiego, jeśli tylko spełnią jego życzenie.

Jednak strażnicy, wiedząc jakim był groźnym człowiekiem ten blady, tłusty jegomość w słomkowym kapeluszu, nie ośmielili się spełnić jego prośby. Wielu zastanawiało się, do kogo chciał wysłać tę tajną wiadomość. Niektórzy przypuszczali, że do żony, inni że do teścia, albo do cara Aleksandra, a jeszcze inni, że do marszałka Soult'a. Co jednak pomyślicie o mnie, moi przyjaciele, jeśli powiem wam, że to byłem ja – brygadier Gerard – że to do mnie Cesarz chciał wysłać ten list? Tak, tak, do takiego biedaka, z głodową płacą stu franków na miesiąc, niemniej to prawda, że Cesarz zawsze o mnie myślał i zawsze znajdował czas na pięciominutową rozmowę ze mną. I właśnie dziś wieczorem opowiem wam o tym.

Było to po bitwie pod Fère--Champenoise – gdzie tak dzielnie się spisali poborowi w bluzach i sabotach – a my, ci bardziej doświadczeni i wyszkoleni, zaczęliśmy pojmywać, iż nie wszystko jest w porządku. Zapasy amunicji wyczerpały się w czasie bitwy i zostaliśmy z milczącymi armatami i pustymi jaszczkami. Również kawaleria była w pożałowania godnym stanie, a moja brygada została przetrzebiona w szarży na Coranne. Potem nadeszły wieści, że wróg zajął Paryż, że mieszkańcy założyli koniom białe kokardy i na koniec, że Marmont przyłączył się razem ze swoim korpusem do Burbonów.

Spoglądaliśmy po sobie i pytaliśmy, ilu jeszcze generałów zwróci się przeciwko nam. Wśród nich byli już: Jourdan, Marmont, Murat, Bernadotte i Jomini – chociaż nikt za bardzo nie przejmował się nim, bowiem jego pióro było zawsze ostrzejsze od szabli.

Byliśmy gotowi walczyć o Europę, ale teraz wyglądało na to, że walcząc o Europę, musieliśmy też walczyć o połowę Francji.

Po długim, forsownym marszu przybyliśmy do Fontainebleau, gdzie zgromadziły się nasze smętne resztki – korpus Ney'a, korpus mojego kuzyna, Gerarda i korpus Macdonalda – wszystkiego dwadzieścia pięć tysięcy, z siedmioma tysiącami gwardzistów. Jednak nasz prestiż wart był pięćdziesięciu tysięcy, a nasz Cesarz, który był zawsze z nami, wart był drugie pięćdziesiąt tysięcy. Spokojny, uśmiechnięty, pewny siebie, zażywał tabaki i bawił się pejczem. Nigdy, nawet w czasach największych

zwycięstw, nie podziwiałem go tak bardzo, jak w kampanii o Francję.

Pewnego wieczoru piłem wino Suresnes, z kilkoma moimi oficerami. Wymieniam akurat to wino, aby pokazać wam, że czasy nie były dla nas zbyt łaskawe. Nagle, otrzymałem wezwanie do stawienia się przed Berthierem. Kiedy mówię o moich starych towarzyszach broni, to za waszym przyzwoleniem, pomijam wszystkie ich zagraniczne tytuły, jakie otrzymali w czasie wojny. Brzmiały wspaniale na Dworze, lecz nigdy nie słyszy się ich w obozach. Tak też było z naszym Neyem, Rappem, czy Soulttem – z nazwiskami, które brzmiały w naszych uszach jak dźwięki pobudki. Zatem chciał się ze mną widzieć – Berthier.

Miał swój apartament na końcu galerii Franciszka Pierwszego, blisko Cesarza. W przedpokoju czekało dwóch mężczyzn, których dobrze znałem. Pułkownik Despienne, z 57 liniowej i kapitan Tremeau, z Woltyżerów. Byli to starzy żołnierze – Tremeau dźwigał muszkiet w Egipcie – i obaj byli też dobrze znani w armii z odwagi i doskonałej znajomości władania bronią. Tremeau miał już trochę sztywny nadgarstek, lecz Despienne mógł jeszcze zrobić na mnie wrażenie. Nie był wysoki, około trzy cale niższy od mężczyzny słusznego wzrostu – dokładnie trzy cale niższy ode mnie – ale obaj używając szabli i sztyletu, kilka razy byli ode mnie lepsi w czasie występów w Sali Broni Verrona, w Palais Royal.

Wyczuliśmy, że coś wisi w powietrzu, gdy ujrzeliśmy, że wezwano razem trzech takich weteranów jak my. Nie można patrzeć na sos do sałaty nie podejrzewając, że tkwi w nim sałata.

– Na moją faję – rzekł Tremeau, w stylu koszarowym – czy teraz możemy się jeszcze spodziewać trzech czempionów od Burbonów?

Jednak wydawało się to bardzo mało prawdopodobne. Z pewnością w całej armii tylko my mogliśmy zostać wybrani.

– Księżę Neufchâtel chce mówić z brygadierem Gerardem – rzekł lokaj, zjawiając się w drzwiach.

Poszedłem, zostawiając moich towarzyszy zżeranych niecierpliwością. Wszedłem do małego, lecz wspaniale umeblowanego pokoju. Berthier siedział naprzeciwko mnie, przy małym stoliku, z otwartym notesem i piórem w ręce. Sprawiał wrażenie zmęczonego i zaniedbanego – różnił się bardzo od tego Berthiera, który był w armii wzorem elegancji i który tak często doprowadzał nas, biednych oficerów, do rozpacz przy pielęgnowaniu jego pelisy po którejś kampanii, a także szarego futra karkułowatego po następnej. Na jego gładko wygolonej, urodziwej twarzy, teraz odbijały się dręczące go zmartwienia i gdy wszedłem do pokoju, spojrział na mnie jakoś ukradkiem, jakby był z czegoś niezadowolony.

– Dowódca brygady, Gerard – rzekł.

– Do pańskich usług, Wasza Wysokość!

– Zanim przejdę dalej, muszę pana prosić, aby przysiągł pan na swój honor żołnierza, że to co pan tu usłyszy pozostanie między nami i nigdy nie zdradzi pan osobie trzeciej.

Daję słowo! Wspaniały początek! Nie miałem wyboru, złożyłem żadaną przysięgę.

– Musi pan wiedzieć, że to wszystko będzie dotyczyło Cesarza – rzekł, nie

odrywając wzroku od blatu stolika. Mówił bardzo wolno, jakby miał kłopot z dobieraniem słów. – Jourdan jest w Rouen i Marmont w Paryżu, obaj z białymi kokardami i krążą pogłoski, że Talleyrand namawia Neyą, aby zrobił to samo. Wyraźnie dalszy opór jest bezcelowy i może tylko ściągnąć nieszczęście na nasz kraj. Dlatego pytam pana, czy jest pan gotów przyłączyć się do mnie w schwytaniu Cesarza – a przez to do zakończenia wojny – i dostarczenia go naszym nowym sojusznikom?

Zapewniam was, że gdy usłyszałem tę obrzydliwą propozycję z ust człowieka, który był najwcześniejszym przyjacielem Cesarza i który doznał z jego rąk tylu łask, jak żaden inny z jego towarzyszy, to miałem siłę tylko stać i gapić się na niego ze zdumieniem. On natomiast stuknął w zęby rączką pióra i patrzył na mnie, przechyliwszy głowę.

– No? – zapytał.

– Na jedno ucho trochę niedosłyszę – odparłem lodowato. – Poza tym pewnych rzeczy nie chcę słyszeć. Proszę pozwolić mi wrócić do moich obowiązków.

– No, no, nie bądź pan taki zawzięty – wstał i położył mi rękę na ramieniu. – Jest pan świadomy, że Senat opowiedział się przeciwko Napoleonowi i że car Aleksander nie chce z nim pertraktować.

– Panie! – wykrzyknąłem z pasją. – Chcę, żeby pan wiedział, że nie obchodzą mnie fusy w szklankach z winem Senatu, ani też car Aleksander.

– No to, co pana obchodzi?

– Mój honor i służenie mojemu wspianiałemu mistrzowi, Cesarzowi Napoleonowi!

– To wszystko brzmi bardzo pięknie – odparł Berthier, z rozdrażnieniem wzruszając ramionami. – Ale fakty są faktami i będąc ludźmi światowymi, musimy się z nimi zmierzyć. Czy mamy się sprzeciwić woli narodu? Chcemy wojny domowej? Przecież jesteśmy już coraz słabsi, a każda godzina przynosi wieści o nowych dezercjach. Jest jeszcze czas, aby zawrzeć pokój i zasłużyć na najwyższy szacunek, dostarczając im Cesarza.

Tak silnie zadrżałem, że aż szabla zadzwoniła mi u boku.

– Panie – powtórzyłem. – Nigdy nie myślałem, że nadejdzie dzień, gdy marszałek Francji poniży się do tego stopnia, aby uczynić tego rodzaju propozycję. Zostawiam pana z jego własnym sumieniem, ale tak długo, jak długo służę pod rozkazami Cesarza, szabla Etienne Gerarda będzie wymierzona przeciwko jego wrogom.

Byłem tak poruszony własnymi słowami i zajęтым stanowiskiem, że głos mi się załamał i z trudem powstrzymywałem łzy. W tym momencie powinna mnie widzieć cała armia – jak stoję dumnie wyprostowany, z dłonią na sercu, deklarując oddanie Cesarzowi przeciwko jego adwersarzom. Był to jeden z najważniejszych momentów w moim życiu.

– Doskonale – rzekł Berthier i zadzwonił na lokaja. – Wskaż dowódcy brygady Gerardowi drogę do salonu.

Lokaj poprowadził mnie do wewnętrznego pokoju, gdzie wskazał mi miejsce i powiedział, żebym usiadł. Jeśli o mnie chodzi, pragnąłem tylko jak najszybciej się stąd ulotnić i nie mogłem pojąć, po co mnie jeszcze tu trzymają. Kiedy ktoś nie zmienia munduru w czasie całej kampanii zimowej, nie czuje się w murach pałacu jak u siebie w domu.

Minął pewnie kwadrans, gdy lokaj znowu otworzył drzwi i wszedł pułkownik Despienne. Wielkie Nieba, jakże on wyglądał! Biała twarz, jak kamasze gwardzisty, oczy rzucające błyski, nabrzmiałe żyły na czole i każdy włos wąsów nastroszony jak u wściekłego kota. Był zbyt wściekły, żeby mówić i potrzasał tylko rękoma wzniesionymi ku sufitowi, dobywając z gardła jakieś gulgoczące dźwięki.

– Pasożyt! Żmija! – wyłowilem tylko te dwa słowa, gdy wpadł do pokoju.

Było dla mnie zupełnie jasne, że otrzymał podobnie obrzydliwą propozycję i że została wyrażona w ten sam sposób. Jego usta zaplombowała podobna przysięga, jaką i ja złożyłem, lecz ja zadowolilem się tylko mruknięciem: „Potworne, nie do uwierzenia” – żeby się domyślił, iż zgadzam się z nim.

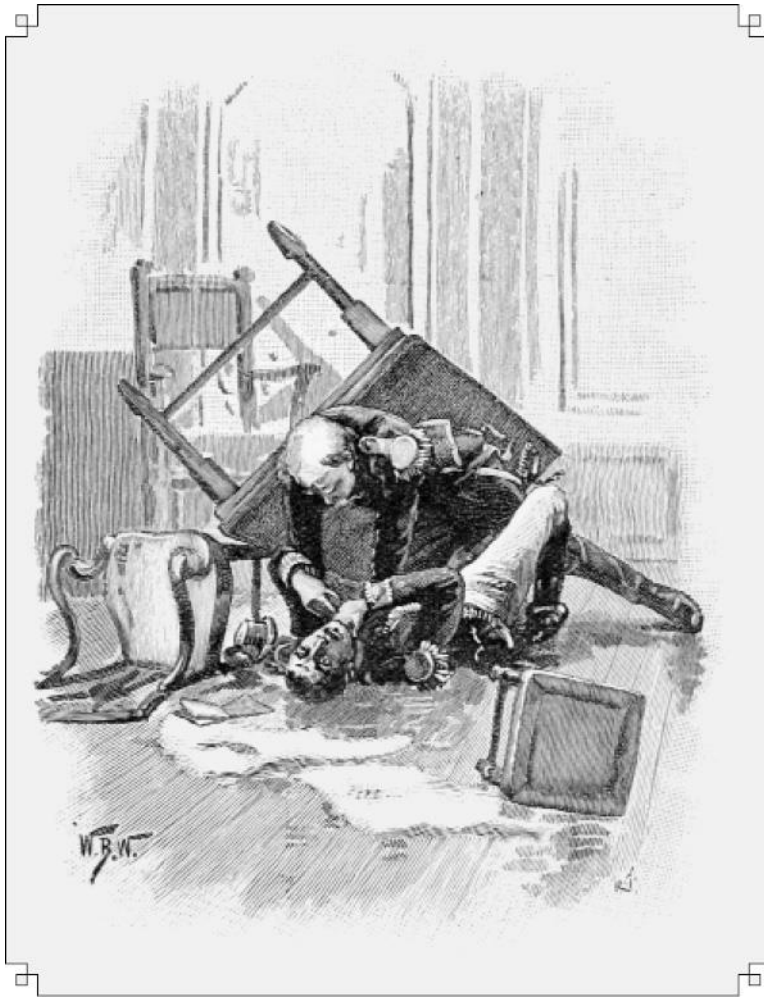
No cóż, jednak ciągle tam tkwiliśmy – on z furią krążąc po salonie, ja – siedząc w rogu. Nagle, usłyszeliśmy dochodzący z zewnątrz potworny ryk, jakby wściekły pies dopadł zdobyczy. Kiedy zaczął niepokojąco rosnać, wypadliśmy z salonu i usłyszeliśmy głos wołający pomocy i kiedy obaj ruszyliśmy w tym kierunku, daję słowo, omal nie przybyliśmy za późno.

Stary Tremeau i Berthier kotłowali się po podłodze, przyduszeni stołem. Kapitan, chudą ręką ścisnął marszałka za gardło i jego twarz zaczynała przybierać barwę ołowiu, a oczy wychodzić z orbit. Tremeau nie panował nad sobą; z pianą w kącikach ust, był tak szalony, że gdybyśmy nie rozluźnili żelaznego uścisku palców, sam nigdy by tego nie zrobił tak długo, jak długo żyłby marszałek. Paznokcie były niemal białe od siły tego uścisku.

– Byłem kuszony przez diabła! – krzyczał wstając. – Tak, kusił mnie sam diabeł!

Berthier opierał się o ścianę i przez kilka minut ciężko dyszał, kręcąc głową i rozcierając gardło. Potem, z gestem wściekłości odwrócił się do ciężkiej, błękitnej zasłony wiszącej za jego fotelem.

Zasłona odchyliła się z jednej strony i do pokoju wszedł Cesarz. Wyprężyliśmy się na baczność, my trzej, starzy żołnierze. To wszystko przypominało scenę ze snu i skierowaliśmy oczy na Berthiera. Napoleon był w swoim zielonym mundurze szasera i w rękę trzymał krótką szpicrutę ze srebrną rączką. Spojrzał na nas kolejno i uśmiechnął się – tym swoim groźnym uśmiechem, w którym nie brały udziału ani oczy, ani brwi – i każdy z nas kolejno, czego jestem pewien, dostał gęsiej skórki. Tak na większość z nas działała obecność Cesarza. Potem podszedł do Berthiera i położył rękę na jego ramieniu.



Stary Tremeau i Berthier kotłowali się po podłodze, przyduszeni stołem

– Nie przejmuj się tą scysją, mój książę i nie czuj się obrażony atakiem – rzekł.
– Oni szanują twój tytuł.

Mówił w łagodny, pieścizotliwy sposób, jaki znakomicie potrafił stosować. Mało było takich jak Cesarz, którzy tak pięknie mówili po francusku i takich, którzy potrafiliby, tak jak on wyrazić się ostro i niezwykle groźnie.

– Myślałem, że mnie zamorduje! – wykrzyknął Berthier, ciągle kręcąc głową.

– Spokojnie. Spokojnie. Gdyby ci oficerowie nie usłyszeli krzyków, przyszedłbym ci, książę, z pomocą. Ale chyba nie zostałeś, pan, poważnie uszkodzony, co? – Powiedział to ze szczerą troską, bowiem naprawdę lubił Berthiera – bardziej, niż jakiegokolwiek innego mężczyznę, chyba, że był to biedny Duroc.

Berthier zaśmiał się, chociaż niezbyt szczerze.

– To dla mnie coś nowego, być skrzywdzonym przez Francuza! – stwierdził.

– A jednak, to było dla dobra Francji – zauważył Cesarz. Następnie zwrócił się do nas i pociągnął starego Tremeau za ucho.

– Ach, ty stary zrędo – rzekł – byłeś jednym z moich egipskich grenadierów, prawda? I pod Marengo otrzymałeś honorowy muszkiet. Pamiętam cię bardzo dobrze, wierny przyjacielu. Tak, tak, dawne ogniska jeszcze nie zgasły. Ciągłe płoną, nawet wtedy, gdy myślisz, że twój Cesarz zawiódł. A ty, pułkowniku Despienne, ty nawet nie chciałeś słuchać pokus. A ty, Gerard, zawsze wierna szabla, bywałeś między mną i moimi wrogami. Miałem w moim otoczeniu też zdrajców, lecz teraz przynajmniej wiemy, kto jest nam wierny.

Możecie sobie wyobrazić, moi przyjaciele, ten dreszcz radości, jaki czuliśmy, gdy ten największy człowiek na świecie mówił do nas w taki sposób. Tremeau tak się trząsł, że myślałem, iż upadnie, a na jego gigantyczne wąsy spływały łzy. Gdybym tego nie widział na własne oczy, nigdy bym nie uwierzył, że Cesarz może wywrzeć taki wpływ na tych szorstkich, srogich, starych weteranów.

– No, moi wierni, starzy przyjaciele – rzekł Cesarz – jeżeli zechcecie pójść ze mną do mojego pokoju, to wyjaśnię wam, jakie znaczenie miała ta mała farsa, którą tu odegrano. Berthier, pozostań tu i bacz, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Takie załatwianie sprawy było dla nas czymś nowym – z marszałkiem Francji jako wartownikiem przed drzwiami. Jednak poszliśmy za Cesarzem tak, jak rozkazał i poprowadził nas do wnęki okiennej, gdzie zebrani wokół niego słuchaliśmy uważnie, co do nas mówi.

– Wybrałem was z całej armii – rzekł – nie tylko dlatego, że jesteście najgroźniejszymi, ale też dlatego, że jesteście moimi najwierniejszymi żołnierzami. Byłem przekonany, że wy trzej nigdy mnie nie zawiedziecie. Jednak musiałem tę waszą wierność poddać próbie dlatego, że w tych dniach odkryłem najobrzydliwszych zdrajców wśród moich najwierniejszych ludzi, przedtem oddanych mi ciałem i duszą. Z tego powodu musiałem być niezwykle ostrożny. Teraz jestem już wystarczająco przekonany, że mogę polegać na was i na waszym męstwie.

– Do samej śmierci, Sire! – wykrzyknął Tremeau, a my powtórzyliśmy za nim.

Napoleon przyciągnął nas bliżej siebie i zniżył głos.

– Teraz powiem wam coś, czego nikomu nie mówiłem – ani żonie, ani braciom –

powiem tylko wam. Ma to pozostać między nami, przyjaciele. Przed nami ostatnia akcja, gra się skończyła i musimy się odpowiednio zabezpieczyć.

Słuchając tego, wydawało mi się, że serce ciąży mi jak ołów. Mieliliśmy nadzieję, że stanie się coś prawie niemożliwego, ale teraz, gdy on, człowiek zawsze spokojny, zawsze powściągliwy, powiedział to spokojnym i beznamiętnym głosem, nad nami na dobre zawarły się chmury i zgasł ostatni promyk nadziei.

Tremeau warknął i chwycił rękojeść szabli. Despienne zgrzytnął zębami, a ja wypiąłem pierś i strzeliłem obcasami, aby pokazać Cesarzowi, że tkwią we mnie możliwości pokonania wszelkich przeciwności.

– Należy zabezpieczyć mój majątek i dokumenty – szepnął Cesarz. – Od tego, czy zostaną odpowiednio zabezpieczone, może zależeć cała przyszłość, dlatego stanowi to podstawę naszych następnych posunięć, jestem bowiem pewien, że ci nieszczęśni Burbonowie mogą stwierdzić, że mój podnózek jest zbyt duży, aby stać się dla nich tronem. Gdzie zatem zamierzam ukryć cenne przedmioty? Będą szukać mojego dobytku w domach moich stronników. To, co jest dla mnie cenniejsze od życia, chcę ukryć i zabezpieczyć przy pomocy ludzi, którym mogę w pełni ufać. W całej Francji to wy jesteście tymi, których do tego wybrałem.

W pierwszym rzędzie powiem wam, czego dotyczą dokumenty. Nie chcę, żebyście byli tylko ślepych wykonawcami mojej woli. Jest wśród nich oficjalny dowód rozwodu z Józefiną i akt ślubu z Marią--Luizą oraz akt urodzenia mojego syna i dziedzica, Króla Rzymu. Gdybyśmy na to, co wymieniłem nie mogli przedstawić dowodów, wtedy przyszłe pretensje mojej rodziny do tronu Francji byłyby bezpodstawne. Następnie są wśród nich papiery wartościowe, opiewające na czterdzieści milionów franków – na ogromną sumę, moi przyjaciele, lecz będącą niczym w porównaniu do wartości innych dokumentów, o których zaraz wam powiem.

Dziś rano zostały wręczone mojej zaufanej przyjaciółce, hrabinie Walewskiej, w Paryżu. O piątej po południu wyruszyła do Fontainebleau swoją niebieską berlinką. Powinna tu dotrzeć między w pół do dziesiątej a dziesiątą. Dokumenty zostały ukryte w powozie, w skrytce o której wie tylko ona. Została uprzedzona, że powóz mogą zatrzymać za miastem trzej konni oficerowie i wtedy winna wręczyć im paczkę. Najmłodszym z was jest Gerard, ale zarazem najstarszy stopniem, zatem powierzam pana opiece ten ametystowy pierścień, który pokaże pan tej damie jako znak rozpoznawczy i który zostawi pan jej jako pokwitowanie odbioru dokumentów.

Po otrzymaniu paczki pojedziecie do lasu, aż do zrujnowanego gołębnika – Colombier. Możliwe, że tam się spotkamy – lecz jeśli uznam, że może to być dla mnie niebezpieczne, wyślę tam mojego służącego Mustafę, którego należy traktować tak jak mnie samego. Colombier nie ma już dachu, a noc będzie księżycowa. U wejścia będą na was czekały trzy łopaty oparte o ścianę. Używając ich, wykopiecie w północno--wschodnim rogu dziurę głębokości trzech stóp – to narożnik na lewo od drzwi, najbliższy Fontainebleau. Po zakopaniu dokumentów, starannie wyrównacie grunt i złożycie mi raport w pałacu.

Takie były wytyczne Cesarza, precyzyjne i drobiazgowo. Nikt inny nie sformułowałby ich lepiej i ujął w ramy rozkazu. Kiedy skończył, kazał abyśmy złożyli

przysięgę, że dochowamy tajemnicy do końca życia i jak długo dokumenty będą zakopane. Wielokrotnie kazał nam powtarzać przysięgę, zanim uwolnił nas od swojej osoby.

Pułkownik Despienne kwaterował w oberży „Pod Bażantem” i tam zjedliśmy razem kolację. Wszyscy przywykliśmy podejmować rozmaite niebezpieczne wyzwania i bywało, że często ryzykowaliśmy własnym życiem – jednak byliśmy też podekscytowani i głęboko wstrząśnięci niezwykłością rozmowy, którą odbyliśmy z Cesarzem i myślą o oczekującej nas wielkiej przygodzie. Jeżeli o mnie chodzi, to mój los wiele razy zależał od tego, co wypowiedzą usta Cesarza, lecz ani incydent z Braćmi Ajaccio, ani słynny rajd, jaki odbyłem do Paryża zajętymi przez wroga terenami, nie oferowały mi takich możliwości, jak to nowe i niezwykle osobiste zadanie.

– Jeżeli wszystko, co nam zlecił Cesarz, uda się pomyślnie zrealizować – rzekł Despienne – to pewnie jeszcze za życia zostaniemy marszałkami!

Wypiliśmy toast za buławę i trójgraniasty kapelusz. Uzgodniliśmy, że się rozdzielimy i spotkamy dopiero przy pierwszym kamieniu milowym na drodze do Paryża. Tym sposobem powinniśmy uniknąć plotek na temat wspólnego wyjazdu z Fontainebleau trzech powszechnie znanych oficerów. Moja mała Violette została tego ranka świeżo podkuta i kował jeszcze przy niej pracował, gdy wróciłem.

Moi towarzysze byli już na miejscu umówionego spotkania. Miałem przy sobie nie tylko szablę, ale także parę nowych, angielskich pistoletów i drewniany młotek, do zadawania ciosów w czasie szarży. Kosztowało mnie to sto pięćdziesiąt franków u Trouvela przy Rue de Tivoli, ale mogły służyć dłużej i lepiej od innych – to jeden z nich ocalił życie staremu Bouvetowi pod Lipskiem.

Noc była bezchmurna i za nami jasno świecił księżyc tak, że ciągle rzucaliśmy trzy czarne cienie jeźdźców na białą drogę przed nami. Jednak okolica była tak gęsto porośnięta lasami, że nie mogliśmy widzieć daleko. Wielki zegar pałacowy wybił już dziewiątą wieczór, ale nie było jeszcze śladu powozu hrabiny. Baliśmy się, żeby coś jej nie przeszkodziło w wyjeździe z Paryża.

Potem nagle usłyszałem, jak nadjeżdża z daleka – wpierw słaby turkot kół, a potem wyraźniejszy tętent końskich kopyt. Odgłosy te rosły, stawały się coraz wyraźniejsze i z za zakrętu wyłoniły się dwie żółte latarnie. W ich świetle ujrzelśmy parę dużych kasztanów ciągnących wysoki, niebieski powóz. Poczytylion powstrzymał spienione i dyszące konie kilka jardów od nas. W tym momencie byliśmy już przy oknie i unosiliśmy ręce do salutu przed piękną, bladą twarzą, która wyjrzała na nasze spotkanie.

– Jesteśmy trzema oficerami przysłanymi przez Cesarza, madame – oznajmiłem cicho, schylając się ku otwartemu oknu powozu. – Została pani poinformowana, że będziemy tu na nią czekać.

Hrabina miała piękną, kremową cerę, którą powszechnie podziwiano, lecz patrząc na mnie widziałem, że z każdą chwilą stawała się coraz bledsza i bledsza. Jej twarz zmarszczyła się, stała się jakby starsza niż była w istocie.

– Najwyraźniej – odpowiedziała – jesteście trzema oszustami!

Gdyby uderzyła mnie w twarz swoją drobną, delikatną rączką, nie byłbym bardziej zaskoczony – nie tylko jej słowami, lecz także goryczą, z jaką je wykrztusiła.

– Madame – sprzeciwiłem się – traktuje nas pani niesprawiedliwie. To jest pułkownik Despienne, a to kapitan Tremeau, a ja jestem brygadier Gerard i zapewniam każdego, kto mnie słyszy, że...

– Och, ty łajdaku – przerwała. – Myślisz, że dlatego, iż jestem tylko kobietą, łatwo mnie oszukać? Ty nędzny oszuście!

Spojrzałem na Despienne'a, który zbladł z wściekłości i na Tremeau szarpiącego nerwowo wąsa.

– Madame – powiedziałem chłodno – kiedy Cesarz uczynił nam zaszczyt, powierzając w zaufaniu tę misję, dał mi ten oto ametystowy pierścień, jako znak rozpoznawczy. Nie sądziłem, żeby trzech honorowych żołnierzy musiało użyć tego znaku, lecz teraz muszę rozwiać niesłuszne podejrzenie i złożyć go w pani ręce.

Podniosła go do światła latarni powozu i na jej twarzy ukazał się wyraz skrajnego przerażenia.

– To jego pierścień! – krzyknęła i dodała: – O, mój Boże, co ja zrobiłam! Co ja zrobiłam!

Czułem, że stało się coś strasznego.

– Szybko, madame, szybko! – krzyknąłem. – Daj nam dokumenty!

– Już je im dałam.

– Dała im pani? Komu?

– Trzem oficerom.

– Kiedy?

– Pół godziny temu.

– Gdzie byli?

– Boże, pomóż mi. Nie wiem. Zatrzymali powóz i bez wahania wręczyłam im paczkę, myśląc, że przysłał ich Cesarz.

To było jak piorun z jasnego nieba – ale właśnie w takich momentach jestem najlepszy.

– Zostańcie tu – rzuciłem moim towarzyszom – i jeżeli minie was trzech jeźdźców, musicie ich zatrzymać za wszelką cenę. Pani ich wam opisze. Wkrótce się zobaczymy.

Pognałem do Fontainebleau tak szybko jak tylko mogła mnie ponieść Violette. Zeskoczyłem z konia przed pałacem, wbiegłem na schody, odepchnąłem lokai, którzy zastąpili mi drogę i pobiegłem prosto do prywatnego gabinetu Cesarza. Siedział razem z Macdonaldem, pochylony z ołówkiem i kompasem nad mapą. Spojrzał ze złością na moje bezceremonialne wtargnięcie do pokoju, lecz gdy mnie rozpoznał, natychmiast zmienił wyraz twarzy.

– Proszę nas zostawić samych, marszałku – polecił i natychmiast zamknął za nim drzwi na klucz.

– Co z dokumentami?

– Przepadły! – I opowiedziałem w kilku słowach, co się stało.

Jego twarz pozostała spokojna, ale widziałem, jak drży mu ręka, w której trzymał kompas.

– Musisz je odzyskać, Gerard! – krzyknął. – Stawką jest przyszłość mojej dynastii. Nie ma chwili do stracenia! Na koń! Na koń!

– Kim oni są, Sire?

– Tego nie wiem. Otaczają mnie zdrajcy. Ale mogą je zabrać do Paryża. Może do kogoś, kto zanieś je temu łajdakowi Talleyrandowi? Tak, tak, oni jadą do Paryża, ale może uda się jeszcze ich schwytać. Bierzemy z moich stajni trzy najlepsze wierzchowce i...

Schodząc po schodach, nie słyszałem już końca zdania.

Jestem pewien, że nie minęło pięć minut, siedziałem na siodle Violette i wyjeżdżałem z miasta, z uzdami Arabów Cesarza w obu rękach. Oni chcieli, żebym wziął trzy konie, ale ja nigdy bym już nie śmiał spojrzeć w oczy Violette, gdybym ją zdradził dla innego wierzchowca! Czułem, że gdy w świetle księżycy puścimy się w pościg za tymi zdrajcami, czeka nas wspaniały spektakl.

– Czy ktoś tędy przejeżdżał?

– Nikt.

– A więc jadą do Paryża! Za nimi!

Ci doskonali żołnierze nie czekali ani chwili. W mgnieniu oka siedzieli na koniach Cesarza, a własne zostawili przy drodze, pod opieką koniuszego.

Ruszyliśmy w długą pogoń.

Jechałem w środku, Despienne po prawej, Tremeau trochę z tyłu dlatego, że był najcięższy. Nieba, ale galopowaliśmy! Dwanaście kopyt dudniło na twardej, gładkiej drodze. Mila za milą, topole i księżyc, czarne pręgi cieni i srebrne smugi. Cienie przed nami, kurz za nami. Słyszeliśmy zgrzyt zasów i trzask zamykanych okiennic w mijanych domach, ale ludzie mogli tylko dostrzec trzy ciemne plamy na drodze. Wybiła północ, gdy dotarliśmy do Corbail. Na tle otwartych drzwi gospody kładł się cień gospodarza, z kubłem w ręce.

– Trzech jeźdźców! – krzyknąłem. – Przejeżdżali tędy?

– Właśnie napoiłem ich konie – odrzekł. – Myślałem, że oni...

– Naprzód, naprzód, przyjaciele! – i pomknęliśmy dalej, krzesząc iskry na bruku miasteczka.

Próbował nas zatrzymać żandarm, lecz jego głos zagłuszył tętent kopyt. Domy uciekły do tyłu i znowu znaleźliśmy się za miastem, na drodze, w odległości około dwudziestu mil od Paryża. Jak oni mogą uciec najlepszym koniom we Francji?

Żaden z nas nie okazywał emocji, a Violette była zawsze na czele, o długość pyska przed innymi. Wiedziałem, że gdybym jej pozwolił, konie Cesarza oglądałyby tylko jej ogon.

– Tam są! – krzyknął Despienne.

– Mamy ich! – warknął Tremeau.

– Naprzód, towarzysze, naprzód! – krzyczałem.

Przed nami, w świetle księżycy ciągnęła się długa wstęga białej drogi. Daleko mogliśmy dostrzec trzech jeźdźców leżących na szyjach koni. Z każdym krokiem, z każdym susem naszych koni, stawali się coraz więksi i wyraźniejsi.

Widziałem, że dwóch jadących po bokach trzeciego, było odzianych w opończe i jechało na kasztanach, podczas gdy trzeci między nimi, miał na sobie mundur szasera i jechał na siwym koniu.

Trzymali się razem, ale ze sposobu w jaki konie stawiały nogi, z łatwością mogłem wywnioskować, że koń środkowego jeźdźca był najbardziej wypoczęty z całej trójki. Wydawało się też, że ten jeździec dowodził nimi. Raz po raz widzieliśmy błysk światła księżyca odbijającego się od jego twarzy, gdy się odwracał, aby ustalić dzielący nas dystans. Na początku był to tylko krótki przebłysk, lecz potem widać było już dokładniej wąsy i w końcu, kiedy zaczęliśmy czuć w gardłach kurz spod kopyt ich koni, mogłem ustalić jak się ten człowiek nazywa.

– Stać, pułkowniku de Montluc! – krzyknąłem. – Stać w imieniu Cesarza!

Od wielu lat znałem go jako śmiałego oficera i zarazem łajdaka bez żadnych zasad. W rzeczywistości mieliśmy ze sobą na pieńku dlatego, że w Warszawie zastrzelił z pistoletu mojego przyjaciela, Treville’a, kiedy pociągnął za spust – jak niektórzy mówili – przed upuszczeniem chusteczki.

No, ale ledwo wymówiłem te słowa, obaj jego towarzysze zatoczyli koło i wystrzelili do nas z pistoletów. Usłyszałem przeraźliwy krzyk Despienne’a i w tym samym momencie ja i Tremeau ruszyliśmy na tego samego człowieka. Nisko się pochylił, z rękoma po obu stronach szyi konia. Jego towarzysz skoczył w kierunku Tremeau z szablą w ręce i usłyszałem trzask odparowanego silnego cięcia. Ja natomiast, nie odwracając głowy, dałem po raz pierwszy ostrogi Violette w pościgu za ich dowódcą. To, że zostawił towarzyszy i rzucił się do ucieczki, wystarczająco dowodziło, że powinienem galopować za nim.

Osiągnął przewagę kilkuset kroków, lecz moja dobra klaczka zdołała go skrócić, zanim minęliśmy dwa kamienie milowe. Daremnie bódł boki konia ostrogami i smagał pejczem jak artylerzysta na rozmięklej drodze. Z tego wysiłku zgubił hełm szasera i w świetle księżyca błysnęła jego łysa głowa. Robił, co mógł, słysząc za sobą zbliżający się tętent końskich kopyt. Byłem za nim w odległości około dwudziestu jardów i cień łba dotknął już cienia zadu, gdy z przekleństwem odwrócił się w siodle i z obu pistoletów strzelił w kierunku Violette.

Tak często bywałem ranny, że muszę przerwać moją opowieść i zastanowić się, zanim dokładnie przytoczę, ile razy dosięgła mnie kula muszkietu, kula pistoletu, odłamek pocisku, nie mówiąc już o kłuciu bagnetem, lancą, szablą i na koniec sztyłem – co było najboleśniej. Ale nigdy nie doznałem tak śmiertelnego bólu, jak teraz, gdy to biedne, milczące, cierpliwe i potulne zwierzę, które kochałem bardziej niż cokolwiek na świecie, za wyjątkiem mojej matki i Cesarza, zachwiało się i zatoczyło pode mną. Wyrwałem z olstra drugi pistolet i strzeliłem prosto w jego szerokie plecy. Chłostał pejczem konia i przez moment myślałem, że chybiłem. Ale po chwili ujrzałem na zielonej kurtce szasera rozszerzającą się ciemną plamę i zaczął się słaniać na siodle, z początku nieznacznie, lecz z każdym krokiem konia coraz bardziej, aż w końcu spadł z siodła na szosę, z nogą zaczepioną w strzemieniu, ramionami uderzając o nawierzchnię drogi, i w końcu koń, zmęczony wleczeniem takiego ciężaru zwolnił do tego stopnia, że mogłem chwycić pokrytą pianą z pyska uzdę. Gdy uwolniłem jego nogę ze strzemienia, upadła na drogę z brzękiem ostrogi.

– Dokumenty! – krzyknąłem, zeskakując z siodła. – Natychmiast!

Lecz, gdy to mówiłem, bezwładne ciało w zielonym mundurze, z fantastycznie

rozrzuconymi kończynami w świetle księżyca, wyraźnie wskazywało, że nic już z niego nie wyduszę. Moja kula przeszła jego serce i tylko dzięki żelaznej woli utrzymywał się w siodle. Miał ciężkie życie, ten Montluc i muszę też oddać mu sprawiedliwie, że jego śmierć nie była łatwa.

Jednak chodziło tu przede wszystkim o dokumenty – tylko o dokumenty – o których nieustannie myślałem. Rozpiąłem mu bluzę i obmacałem koszulę. Potem przeszukałem olstra i pochwę szabli. W końcu zdjąłem buty, rozpiąłem popręgi i zdjąłem siodło. Nigdzie ani śladu jakiegoś zakamarka, skrytki, albo szczeliny, których bym nie przeszukał. To było bezcelowe. Nie miał ich przy sobie.

Oszołomiony usiadłem na poboczu drogi i zapłakałem. Los zdawał się ze mnie szydzić – oto leży tu waleczny wróg, z którym nawet huzar nie wstydziłby się zmierzyć. Wstałem i objąłem ręką szyję mojej rannej Violette, próbując się zastanowić, co teraz robić. Zdawałem sobie sprawę, że Cesarz nie ma najlepszej opinii o mojej inteligencji i z całych sił chciałem mu udowodnić, że się myli. Montluc nie miał dokumentów. A jednak Montluc uciekając, poświęcił swoich towarzyszy. Tylko o czym to świadczyło? Z drugiej strony było jasne, że skoro on nie miał przy sobie dokumentów, musiał je mieć któryś z nich. Jeden był już na pewno martwy, drugiego zostawiłem walczącego z Tremeau i jeżeli ucieknie staremu szermierzowi, będzie musiał przejechać obok mnie. Najwyraźniej miałem jeszcze przed sobą dużo roboty.

Nabiłem pistolety, schowałem je do olster i zbadałem moją małą klaczkę. Rzuciła głową i strzygła uszami – jakby chciała mi powiedzieć, że taki stary żołnierz jak ja, nie będzie robił zamieszania z powodu jednego lub dwóch draśnień. Pierwszy strzał tylko drasnął ją pod łopatką, zostawiając ślad na skórze tak, jakby otarła się o ścianę. Drugi strzał wyrządził poważniejsze szkody – kula przebiła mięsień szyi, ale rana przestała już krwawić. Doszedłem do wniosku, że jeśli osłabnie, dosiędę konia Montluca, a na razie prowadziłem go za nami. Koń Montluca był świetnym wierzchowcem, wartym przynajmniej tysiąc pięćset franków i byłem przekonany, że tylko ja mam do niego prawo.

No cóż, ale teraz chciałem jak najszybciej wrócić do moich towarzyszy i właśnie zawracałem Violette, gdy nagle ujrzałem na poboczu drogi coś błyszczącego. Był to mosiężny hełm szasera, który spadł z głowy Montluca. Na jego widok podskoczyłem w siodle. Jak mógł spaść z głowy taki ciężki hełm? A może został po prostu tam rzucony? A teraz leżał piętnaście kroków od drogi! Z pewnością odrzucił go, gdy nabrał pewności, że go złapie. A jeżeli go odrzucił... Już nie miałem wątpliwości, zeskoczyłem z mojej klaczki z sercem bijącym *pas-de-charge*. Tak, tym razem wszystko było jasne. Tam, w tym nakryciu głowy kryły się dokumenty – rolka w pergaminie obwiązany żółtą wstążką. Jedną ręką trzymając hełm, drugą wyłuskałem rolkę i zatańczyłem z radości w świetle księżyca.

Teraz Cesarz zorientuje się, że nie popełnił omyłki, powierzając to zadanie Etienne Gerardowi.

Wewnątrz mojej tuniki miałem bezpieczną kieszeń ulokowaną właśnie na sercu, gdzie trzymałem drogie mi rzeczy i tam też wsunąłem drogocenną rolkę. Następnie wskoczyłem na Violette i udałem się w drogę, aby się przekonać, co stało się z Tremeau, gdy nagle zobaczyłem w dużej odległości człowieka, jadącego polem na koniu. W tym

samym momencie usłyszałem dźwięk zbliżających się podków i w świetle księżyca rozpoznałem jadącego na białym rumaku Cesarza w szarym płaszczu i w trójgraniastym kapeluszu, tak jak często widywałem go na polu bitwy.

– Hej! – zawołał, na swój ostry sposób starszego sierżanta. – Gdzie są moje dokumenty?

Podskoczyłem i bez słowa wręczyłem mu rolkę. Zerwał tasiemkę i szybko przebiegł je oczami. Potem, gdy łeb w łeb jechaliśmy konno, objął mnie lewą ręką za ramiona. Tak, moi przyjaciele, moglibyście mnie wtedy widzieć – obejmował mnie mój wielki mistrz.



Jedną ręką trzymając hełm, drugą wyluskałem rolkę

– Gerard! – wykrzyknął. – Jesteś wspaniały!

Nie zamierzałem mu przeczyć i zaczerwieniłem się z radości, wiedząc, że w końcu właściwie mnie ocenił.

– Gdzie ten złodziej, Gerard? – zapytał.

– Nie żyje, Sire.

– Zabiłeś go?

– Zranił mojego konia, Sire i byłby uciekł, gdybym go nie zastrzelił.

– Rozpoznałeś go?

– To był de Montluc, Sire... pułkownik szaserów.

– No, no... – rzekł Cesarz – złapaliśmy biednego pionka, ale ręka kierująca tą grą ciągle jest poza naszym zasięgiem. – Przez chwilę jechał w milczeniu, z brodą zwieszoną na piersi. – Ach, Talleyrand, Talleyrand – usłyszałem, jak zamruczał. – Gdybyś był na moim miejscu, a ja na twoim, to rozdeptałbyś zmiję, gdyby znalazła się pod twoim obcasem. Przez pięć lat wiedziałem, kim jest, a jednak pozwoliłem, żeby mnie kasał. Nieważne, mój dzielny przyjacielu – kontynuował. – Nadejdzie dzień porachunków, a kiedy nadejdzie, przyrzekam ci, że przyjaciół będę tak samo pamiętał jak wrogów.

– Sire – Miałem, tak jak on czas do namysłu – jeżeli pańskie plany związane z tymi dokumentami miałyby dotrzeć do uszu pańskich wrogów, to ufam, że nie pomyślisz, iż było to wynikiem mojej, albo moich towarzyszy, niedyskrecji.

– Byłoby to z mojej strony bardzo nierozsądne – odparł – wiedząc, iż intryga została uknuta w Paryżu, a wy otrzymaliście rozkazy zaledwie kilka godzin temu.

– A zatem jak...?

– Dość! – zawołał surowo. – Za daleko się pan posuwa.

Tak to zawsze było z Cesarzem. Mógł z tobą gawędzić jak przyjaciel, jak brat, ale gdy już zapomniałeś dzielącą was przepaść, nagle słowem lub spojrzeniem przypominał, że pozostaje tak nieprzystępny jak zawsze. Kiedy tak długo pieściłem mojego starego psa, aż odważył się łapami wskoczyć na kolana, zawsze zrzucąłem go z powrotem na ziemię – i to mi przypominało Cesarza z jego zachowaniem.

Jechałem za nim w milczeniu, czując ciężar na sercu. Lecz gdy w końcu przemówił, jego słowa wystarczyły, abym przestał o tym myśleć.

– Nie mogłem zasnąć, musiałem się dowiedzieć, jak wam poszło – stwierdził.

– Zapłaciłem wysoką cenę za te dokumenty. Nie pozostało mi już wielu starych, wiernych towarzyszy broni, a tej nocy straciłem jeszcze dwóch.

Kiedy powiedział „dwóch”, przeniknął mnie lodowaty dreszcz.

– Pułkownik Despienne został zastrzelony, Sire – wyjąkałem.

– Kapitan Tremeau też padł. Gdybym przybył kilka minut wcześniej, mógłbym go ocalić. Wróg uciekł polami.

Przypomniałem sobie, że widziałem jeźdźca na chwilę przed spotkaniem Cesarza. Jechał polami, żeby nie spotkać się ze mną, lecz gdybym wiedział, a Violette nie była ranna, stary żołnierz nie pozostałby nie pomszczony. Ponuro pomyślałem o jego umiejętnościach władania szablą i zastanawiałem się, czy powodem jego śmierci był zbyt sztywny przegub, gdy Napoleon odezwał się znowu:

– Tak, brygadierze, teraz tylko ty wiesz, gdzie będą ukryte dokumenty.

Może to urojenie, przyjaciele, ale mogę wyznać szczerze, że natychmiast wydało mi się, iż w tonie głosu Cesarza nie brzmiał jedynie smutek. W moim umyśle zdążyła się już zrodzić ponura myśl, zanim pozwolił mi zorientować się, że oceniłem go niesprawiedliwie.

– Tak, zapłaciłem wysoką cenę za odzyskanie moich dokumentów – powtórzył i usłyszałem, jak zachrzęściły, gdy poklepał się po piersi. – Żaden człowiek nie miał wierniejszych sług... żaden, od początku świata.

Kiedy to mówił, znaleźliśmy się na miejscu stoczonyj walki przez pułkownika Despienne'a i tego, który teraz leżał zastrzelony na drodze, podczas gdy ich konie pasły się z zadowoleniem pod topolami. Kapitan Tremeau leżał przed nami na wznak, z rozrzuconymi rękoma i nogami. Jego szabla była złamana niemal przy gardzie rękojeści. Rozpięta tunika ukazywała głęboką ranę, jak rozpostarta czarna chustka na białej koszuli. Pod bujnym wąsem widziałem połyskujące białe, zaciśnięte zęby.

Cesarz zeskoczył z konia i pochylił się nad martwym mężczyzną

– Był przy mnie od Tivoli – rzekł ze smutkiem. – Był też jednym ze starych zrzędów, którzy towarzyszyli mi w Egipcie.

Głos Cesarza jakby ożywił umierającego i jego powieki zadrżały, ręka drgnęła i poruszyła rękojeścią szabli. Próbował nią zasałutować. Jego usta otworzyły się i rękojeść z brzękiem opadła na ziemię.

– Obyśmy wszyscy umierali tak dzielnie – rzekł Cesarz prostując się, a ja dodałem wprost z serca:

– Amen.

W odległości pięćdziesięciu jardów od nas znajdowało się gospodarstwo rolne. Na drogę wyszedł gospodarz, obudzony odgłosem końskich kopyt i strzelaniną z pistoletów. Teraz ujrzelśmy, jak stoi oniemiały z przerażenia i zdumienia i z szeroko otwartymi oczami wpatruje się w Cesarza. Poleciliśmy mu, żeby się zajął czterema martwymi ciałami oraz końmi. Pomyślałem, że dobrze będzie jeśli zostawię u niego Violette i pojedę dalej na siwku de Montluca. Byłem pewien, że bez sprzeciwu zwróci mi moją klaczkę, natomiast mógłby odmówić zwrotu innych koni. Poza tym, należało opatrzyć ranę mojej małej przyjaciółki, a przed nami była jeszcze długa droga.

W drodze Cesarz z początku niewiele mówił. Być może ciągle jeszcze był przygnębiony śmiercią Despienne'a i Tremeau. Zawsze był człowiekiem skrytym, a w tamtych czasach, kiedy każda godzina przynosiła wiadomości o sukcesach wrogów lub przejściach przyjaciół na stronę wrogów, nikt nie mógł się spodziewać, że będzie wesołym towarzyszem drogi. Niemniej jednak, kiedy już wiedziałem, że ma przy sobie te dokumenty, które tak wysoko cenił i które jeszcze kilka godzin temu zdawały się być stracone na zawsze, ciągle byłem przekonany, iż to ja, Etienne Gerard, tam je ulokowałem. A jeśli tak, to czułem, iż zasłużyłem na choćby minimum uznania. Pewnie to samo wpadło mu do głowy, gdy zjechaliśmy z głównej drogi wiodącej do Paryża i zagłębiliśmy się w las, bowiem z własnej woli powiedział mi to, co najbardziej pragnąłem usłyszeć:

– Jeśli chodzi o te dokumenty – rzekł – powiedziałem, że teraz nikt poza tobą i mną nie wie, gdzie zostaną ukryte. Mój mameluk dostarczył łopaty do gołębnika, ale jego nie

wtajemniczyłem. Jednak nasze plany dotyczące dostarczenia paczki z Paryża były układane już w poniedziałek. Wtajemniczone były trzy osoby, kobieta i dwóch mężczyzn. Za kobietę mogę ręczyć własnym życiem, czy zdradziło nas dwóch mężczyzn, tego nie wiem, ale sądzę, iż mogę przysiąc, że ich znajdę.

Jechaliśmy w ciemnościach drzew i mogłem słyszeć, jak chłoszcze pejcem swoje wysokie buty i raz za razem zażywa tabaki. Zawsze tak robił, gdy był podniecony.

– Niewątpliwie zastanawiasz się – dodał po chwili – dlaczego ci łajdacy nie zatrzymali powozu w Paryżu, tylko przy wjeździe do Fontainebleau.

Po prawdzie nie pomyślałem o tym, lecz nie chciałem tego okazywać, żeby nie wyjść na mało inteligentnego, zatem odpowiedziałem, że tak, w istocie, to było zaskakujące.

– Może chcieli uniknąć publicznego skandalu i ewentualnej porażki. Szybko zajmując berlinkę, nawet rozbierając ją na kawałki, mogli nie znaleźć skrytki. On dobrze to zorganizował – zawsze dobrze planował – i dobrze też wybrał współników. Jednak moi byli lepsi.

Nie do mnie należy powtarzać wam, moi przyjaciele, wszystkiego, co mi powiedział, gdy popędzaliśmy konie wśród czarnych cieni i przez światłem księżycy zalane polany wielkiego lasu. Każde słowo odcisnęło się w mojej pamięci i zanim przeminą, zapewne przeleję je na papier tak, aby inni mogli je kiedyś przeczytać. Mówił swobodnie o swojej przeszłości, ale też co nieco o przyszłości, o oddaniu Macdonalda, o zdradzie Marmonta, o małym Królu Rzymu, którego wspominał z taką czułością, jak żaden inny burżuazyjny ojciec nie wspomina swojego jedyne dziecko i na koniec, o swoim teściu, cesarzu Austrii, który jak sądził, stał między nim i jego wrogami. Ja sam, nie ośmieliłem się wtrącić ani jednego słowa, aby nie ściągnąć na siebie jego przygany i jechałem u jego boku, ledwo mogąc uwierzyć, że to był naprawdę sam Cesarz, człowiek, którego wzrok przyprawiał mnie o dreszcze, a teraz przelewał na mnie myśli w krótkich, wyrażających entuzjazm zdaniach – słowami brzmiącymi jak stukot i tętent końskich kopyt galopującego szwadronu. Trudno pojąć, jak to było możliwe, aby po tych wszystkich gładkich, dyplomatycznych słowach rzuconych na Dworze, mógł teraz z ulgą mówić prosto, zwyczajnie, jak żołnierz – taki sam jak ja.

Tą drogą, Cesarz i ja – nawet po latach, gdy mówię te słowa, moje policzki rumienia się z dumy – jadąc konno przez Las Fontainebleau dotarliśmy do Colombier.

Trzy łopaty stały oparte o ścianę, po prawej stronie od zniszczonych drzwi. Na ich widok łzy napłynęły mi do oczu, gdy pomyślałem o rękach, dla których były przeznaczone. Cesarz chwycił jedną, ja drugą.

– Szybko! – rzekł. – Do pałacu musimy wrócić przed świtem.

Wykopaliśmy dół i umieściliśmy dokumenty w jednym z moich olster do pistoletów, aby je zabezpieczyć przed wilgocią. Położyliśmy je na dnie i zasypaliśmy. Potem starannie zamaskowaliśmy wszystkie ślady i na wierzchu położyliśmy duży kamień. Tu muszę zaznaczyć, że Cesarz od czasu, gdy był artylerzystą w Toulonie, nie pracował tak ciężko rękami. Na długo przed ukończeniem roboty, ocierał jedwabną chusteczką pot z czoła.

Kiedy razem opuszczaliśmy stary gołębnik, przez drzewa zaczynały się przebijać

pierwsze, zimne promienie świtu. Cesarz położył rękę na moim ramieniu, gdy stałem gotów pomoc mu dosiąść konia.

– Zostawiliśmy tam dokumenty – rzekł uroczyście – i pragnę, abyś zostawił też przy nich wszystkie o nich myśli. Całkowicie wymaż z pamięci każde o nich wspomnienie, ale mają wrócić tylko wtedy, gdy otrzymasz bezpośrednio ode mnie rozkaz, pisany moją własną ręką i opatrzony pieczęcią. Od tej chwili zapominasz wszystko, co tu się wydarzyło.

– Zapomniałem, Sire – oświadczyłem.

Razem dojechaliśmy na skraj miasta, gdzie zażądał, żebyśmy się rozstali. Zasalutowałem i już zawracałem konia, gdy zawołał abym wrócił.

– Łatwo jest popełnić pomyłkę, używając kompasu w lesie – rzekł. – Zatem, czy nie mówił pan, że zakopaliśmy to w północno--wschodnim rogu?

– Co zakopaliśmy, Sire?

– Dokumenty, oczywiście! – wykrzyknął niecierpliwie.

– Jakie dokumenty, Sire?

– No, te, które odzyskałeś dla mnie.

– Ja naprawdę nie wiem, o czym Wasza Wysokość mówi.

Na moment poczerwieniał z gniewu, ale zaraz wybuchnął gromkim śmiechem.

– Doskonale, brygadierze! – wykrzyknął. – Zaczynam już wierzyć, że jesteś tak dobrym dyplomata jak dobrym żołnierzem. Nie mam już więcej nic do powiedzenia.

* * *

Taka to była ta moja dziwna przygoda, w której zyskałem przyjaciela i współnika w osobie Cesarza.

Kiedy wrócił z Elby, powstrzymał się od wykopania dokumentów do czasu, gdy jego pozycja będzie pewniejsza. Po jego wygnaniu na Świętą Helenę, ciągle tam leżały, w rogu starego gołębnika. Chciał, żeby je przekazać w ręce jego stronników i w tym celu wysłał do mnie – jak się później dowiedziałem – trzy listy, wszystkie przechwycone przez strażników. W końcu, oferował należącą do niego gigantyczną sumę, aby finansować swój pobyt i cały establishment – żeby przepuścili tylko jeden nie otwarty list. Jednak odrzucono tę propozycję i aż do jego śmierci w 1821 roku, dokumenty pozostawały w miejscu, gdzie je zakopaliśmy. Potem zostały wykopane przez hrabiego Bertranda i mnie, a kto je ostatecznie otrzymał, to już inna historia, którą kiedyś wam opowiem.

Pewnego dnia może jeszcze o nich usłyszycie i zobaczycie – kiedy już długo będę spoczywał w grobie – jak ten wielki człowiek może jeszcze wstrząsnąć Europą. Kiedy nadejdzie ten dzień, możecie pomyśleć o Etienne Gerardzie i powiedzieć swoim dzieciom, że usłyszeliście z jego ust opowieść o człowieku, który jako jedyny przeżył tę dziwną przygodę – człowieku kuszonym przez marszałka Berthiera – i który dowodził tym dzikim pościgiem na paryskiej drodze; człowieku uhonorowanym łaskami Cesarza, który jechał z nim razem w świetle księżycy Lasem Fontainebleau.

Pączki już pękają, ptaki śpiewają, moi przyjaciele. Możecie zająć się czymś

lepszym niż wysłuchiwanym w jasny, słoneczny dzień opowieści starego, połamanego żołnierza. A jednak, zachowajcie w pamięci to, co powiedziałem, a pączki jeszcze wiele razy rozwiną się, a ptaki zaśpiewają, zanim Francja ujrzy takiego władcę jak on, któremu z dumą służyliśmy.

Część druga

X. Jak brygadier Gerard stracił ucho

Stary brygadier snuł w kawiarni opowieść.

Widziałem tak wiele miast, przyjaciele, że nawet nie ośmielę się wam ich wyliczyć. Do wielu wjechałem jako zdobywca, na czele ośmiuset, pobrzękujących szablami moich dzielnie walczących diabłów. Na czele Wielkiej Armii zawsze jechała kawaleria, a na czele kawalerii byli huzarzy Conflans, ja zaś zawsze byłem na czele huzarów. Ale ze wszystkich miast, które odwiedziliśmy, Wenecja należała do najzabawniej i najgłupiej zbudowanych. Nie mogę sobie wprost wyobrazić, jakim cudem budowniczo wie wznoszący to miasto mogli myśleć, że będzie w nim mogła manewrować kawaleria. Nawet dla Murata lub Lasalle'a byłoby zagadką, w jaki sposób zmieścić szwadron na tutejszych placach.

Z tego też powodu zostawiliśmy brygadę ciężkiej jazdy Kellermanna oraz moją własną huzarów, w Padwie, na stałym lądzie. Ale Suchet wszedł do miasta ze swoją piechotą, na okres zimy, wybierając mnie jako swojego adiutanta, ponieważ był pod wrażeniem mojej walki w Mediolanie z włoskim mistrzem szermierki. Tu muszę zaznaczyć, że ten gość był rzeczywiście dobrym rębaczem i na całe szczęście dla francuskiej armii, to właśnie ja stanąłem z nim w zawody. Poza tym, zasługiwał na nauczkę – bo jeżeli nie lubił głosu primadonny, to niech siedzi cicho, bowiem czynienie jej publicznego afrontu jest rzeczą niewybaczalną. Sympatia wszystkich była po mojej stronie i kiedy cała ta afera minęła, wdowa po nieboszczyku otrzymała należną jej pensję, Suchet wybrał mnie na swojego przybocznego i podążyłem za nim do Wenecji, gdzie przeżyłem dziwną przygodę, o której właśnie chcę wam opowiedzieć.

Nie byliście w Wenecji? To dlatego, że Francuzi rzadko podróżują. Lecz w tamtych czasach byliśmy gorliwymi podróżnikami. Od Moskwy po Kair – podróżowaliśmy wszędzie, tylko, że w większych grupach, niżby to mogło odpowiadać ludziom, których odwiedzaliśmy, razem z tym, co ze sobą przynosiliśmy wraz z armatami. Nastąpią złe czasy, kiedy Francuzi znowu zaczną podróżować, bowiem choć z natury leniwi i niechętnie opuszczają domy, to jeśli już to robią, nikt nie może przewidzieć dokąd zajdą, zwłaszcza wtedy, gdy będą mieli takiego przewodnika wskazującego drogę, jak nasz Mały Kapral. Lecz dni chwały już minęły, wielcy ludzie leżą martwi, a ja tu siedzę, ostatni z nich, piję podłe wino Suresnes i snuję w kawiarni opowieści o dawnych czasach.

No cóż, ale miałem wam mówić o Wenecji.

Ludzie tam żyją, jak szczury wodne na błotnistych brzegach. Ale domy mają piękne, kościoły też, a specjalnie ten pod wezwaniem Świętego Marka – wspaniała, rzadko takie widywałem. Ale najbardziej dumni są ze swoich posągów, obrazów i malowideł, z których w całej Europie najbardziej słynie Wenecja.

Wielu żołnierzy twierdzi, że ten, kto walczy powinien myśleć o walce i znać się tylko na walce i płądrowaniu.

Był na przykład taki Bouvet, którego zabili Prusacy tego samego dnia, w którym otrzymałem cesarski medal. I kiedy wyprowadzałeś go z obozu, albo z kantyn, i chciałeś z nim porozmawiać o książkach, czy o sztuce, on tylko siedział i gapił się na ciebie bezmyślnie. Ale w moich oczach najwyżej szacowany jest taki żołnierz, który tak jak ja, zna się na sprawach umysłu i ducha. Prawdą jest, że wstępując do armii byłem bardzo młody i że kwatermistrz był moim jedynym nauczycielem, ale jeśli idziesz przez świat z otwartymi oczami, nie możesz pozostać obojętny i dużo się nauczysz.

Dlatego mogłem podziwiać w Wenecji obrazy i freski i znałem nazwiska wielkich mistrzów – Michała Anioła, Tycjana, Angela i innych, którzy je namalowali.

Każdy może powiedzieć, że Napoleon też je podziwiał, dlatego że pierwszą rzeczą, jaką zrobił po zajęciu miasta było wysłanie najlepszych z nich do Paryża. My wszyscy też braliśmy co tylko się dało, ale ja wziąłem jedynie dwa obrazy. Jeden z nich nosił nazwę „Zaskoczenie Nimfy” i ten zatrzymałem dla siebie, natomiast drugi, „Święta Barbara” wysłałem w prezencie mojej matce.

Muszę jednak szczerze wyznać, że niektórzy z naszych ludzi zachowali się bardzo brzydko wobec posągów i obrazów.

Wenecjanie byli bardzo do nich przywiązani, tak jak do tych czterech koni z brązu nad frontonem bazyliki, które kochali tak szczerze, jakby były ich dziećmi.

Zawsze byłem znawcą koni i dobrze się przyjrzałem tym czterem, ale doprawdy niewiele dobrego mógłbym o nich powiedzieć – były zbyt kościste do lekkiej kawalerii i nie posiadały odpowiedniej wagi ciała do zaprzęgu przed armaty. Jednak były to jedyne cztery konie – żywe lub martwe – w całym mieście, więc nie można się było spodziewać, że znajdą lepsze. Wenecjanie gorzko płakali, gdy wysyłano je, a potem, jeszcze tej samej nocy, w kanale pływały zwłoki dziesięciu francuskich żołnierzy. Za karę, za to morderstwo wysłano jeszcze więcej obrazów, a żołnierze zaczęli niszczyć posągi i strzelać z muszkietów do witrażowych okien.

To doprowadziło mieszkańców do furii i atmosfera w mieście stała się bardzo nieprzyjemna. Zimą zniknęło wielu oficerów i zwykłych żołnierzy i nigdy nie znaleziono ich ciał.

Ja osobiście miałem dużo roboty i nie znajdowałem czasu, aby się tym wszystkim za bardzo przejmować. W każdym bowiem kraju, moim zwyczajem było próbować się nauczyć lokalnego języka. Z tego powodu zawsze rozglądałem się za jakąś damą, która byłaby chętna mnie uczyć, a potem w praktyce cieszyć ze mną z tej nauki. Jest to najbardziej interesujący sposób uczenia się i zanim ukończyłem trzydziestkę, znałem prawie wszystkie języki europejskie – muszę jednak szczerze wyznać, że to, czego się w ten sposób nauczyłem, nie miało zbyt dużej wartości praktycznej w zwykłym, codziennym życiu. Na przykład w moim przypadku człowieka, który ma prawie wyłącznie do czynienia z żołnierzami, albo z prostymi chłopami, na co się mogą przydać wyuczone przeze mnie wyznania, że tylko „ciebie kocham” i, że „wrócę do ciebie, jak tylko skończy się wojna”?

Nigdy nie miałem tak słodkiej nauczycielki, jak w Wenecji. Miała na imię Lucia, a jej nazwisko... Och, prawdziwy dżentelmen zapomina nazwiska. Mogę wam jednak wyznać, będąc jednocześnie wystarczająco dyskretny, że należała do jednej z najbardziej

szanowanych, patrycjuszowskich rodzin weneckich i że jej dziadek był dożą Wenecji.

A poza tym, była niezwykle piękna – i gdy ja, Etienne Gerard, mówię „niezwykle”, moi przyjaciele, to coś znaczy i tak być musiało!

Ja potrafię osądzać i mam doskonałą pamięć, a poza tym posiadam zdolności porównawcze, których wszyscy mogą mi pozazdrościć. Ze wszystkich kobiet, które były we mnie zakochane, nie było nawet dwudziestu, którym mógłbym przypisać tę zaletę. Powtórzę to jeszcze raz, Lucia była niezwykle piękna. Miała ciemną cerę i nie znałem równie pięknej, póki nie spotkałem Dolores z Toledo.

Walcząc w Portugalii pod dowództwem Masseny, w Santarem spotkałem i zakochałem się w małej brunetce... No, cóż, nazwisko jak zwykle umknęło mi z pamięci. Tak, była doskonale piękna, ale nie miała figury ani gracji Lucii.

Była też Agnes. Nie wiem doprawdy, której dać palmę pierwszeństwa, jestem jednak pewien, że nikt nie zarzuci mi niesprawiedliwego osądu, jeśli powiem, że ze wszystkich kobiet Lucia była najlepsza.

Lucię spotkałem po raz pierwszy w czasie sprawy z freskami, bowiem jej ojciec posiadał pokryty nimi pałac po drugiej stronie mostu Rialto, na Canale Grande. Suchet wysłał saperów, żeby wycięli niektóre z nich i wysłali do Paryża.

Dowodziłem nimi i gdy ujrzałem Lucię tonącą we łzach, zorientowałem się, że tynk może pęknąć po oderwaniu go od ściany. Doniosłem o tym i saperzy zostali odwołani. Na skutek tego zostałem przyjacielem rodziny i wysuszyłem z jej ojcem wiele butelek Chianti, a jego córka udzieliła mi wiele słodkich lekcji włoskiego. Tej zimy niektórzy nasi oficerowie poślubili Wenecjanki i ja zrobiłbym to samo, bowiem kochałem ją z całego serca, lecz Etienne Gerard miał wtedy tylko szablę, konia, swój pułk, matkę i Cesarza, a w plecaku buławę marszałkowską. Chociaż elegancki huzar ma dość miejsca w życiu na miłość, to jednak brakuje mu go dla żony.

Tak myślałem wtedy, moi przyjaciele, nie wiedząc, że nadejdą dla mnie dni samotności, gdy tęsknić będę za życzliwą, odrzuconą tak pochopnie dłonią i odwrócę wzrok, gdy ujrzę starych kompanów, otoczonych gromadką dzieci. Ta moja miłość, którą traktowałem wtedy jak żart i zabawę – teraz zrozumiałem – była treścią samego życia, najbardziej uroczystą i uświęconą ze wszystkich rzeczy... Dziękuję, przyjaciele, dziękuję! To dobre wino i druga butelczyna nie zawadzi...

A teraz opowiem wam, na ile moja miłość do Lucii stała się przyczyną najstraszniejszej z moich cudownych przygód, jakich w życiu doświadczyłem i jak to się stało, że straciłem część mojego prawego ucha. Często pytaliście, dlaczego go brak. Dzisiejszego wieczoru opowiem wam o tym po raz pierwszy.

Suchet miał wtedy główną kwaterę w starym pałacu doży Dandolo, przy placu Świętego Marka. Zima miała się ku końcowi, kiedy pewnego wieczoru wróciłem z teatru Goldoni i znalazłem liścik od Lucii oraz czekającą na mnie gondolę. Błagała mnie, abym natychmiast przybył, ponieważ ma poważne kłopoty. Francuz i żołnierz mógł tylko w jeden sposób zareagować na taką prośbę – natychmiast wskoczyłem do gondoli i gondolier pchnął łódź w jakiś mroczny kanał.

Pamiętam, że po zajęciu miejsca w gondoli zdziwiła mnie masywna postać gondoliera. Nie był zbyt wysokim, ale najbardziej barczystym człowiekiem, jakiego

kiedykolwiek widziałem. Jednak weneccy gondolierzy należą do ludzi silnych i nie brak wśród nich prawdziwych siłaczy. Zajął miejsce za moimi plecami i zaczął wiosłować.

Dobry żołnierz, w nieprzyjacielskim kraju powinien zawsze i wszędzie zachować czujność. Taką była i moja powinność i tylko wypełnianiu tej powinności zawdzięczam, że doczekałem się siwych włosów. A jednak tej nocy byłem tak nieostrożny, niczym głupi, młody rekrut, który boi się, żeby nie ująć za tchórza. Spiesząc się, nie zabrałem pistoletów. Co prawda miałem przy boku szablę, ale nie zawsze jest to dogodna broń.

Ułożyłem się wygodnie w gondoli, kołysany łagodnym szmerem wody i monotonnym skrzypieniem wiosła.

Droga wiodła przez sieć wąskich kanałów, obrzeżonych wysokimi domami, z widocznym nad nimi tylko skrawkiem iskrzącego się gwiazdami nieba. Tu i tam, na spinających brzegi mostach, błyskała oliwna lampa, niekiedy widać było w niszy świeczkę płonąca przed świętym obrazem. Poza tym, wszędzie panowały ciemności i mogłem widzieć tylko spienioną wodę wzdłuż długiego, ciemnego dziobu naszej łodzi.

Było to miejsce i czas na snucie marzeń. Myślałem o tym, co już przeżyłem, o wszystkich wielkich czynach, w których brałem udział, o koniach na których jeździłem i o kobietach, które kochałem. Potem wspomniałem moją kochaną matkę i wyobraziłem sobie jej radość, kiedy usłyszy opowieści ludzi ze wsi o jej bohaterskim synu i jego sławie. Pomyślałem też o Cesarzu i o Francji, mojej kochanej ojczyźnie, słonecznej Francji, matce pięknych cór i wspaniałych synów.

Moje serce zabiło żywiej, gdy pomyślałem, ile dóbr i sławy przysporzyliśmy jej, będąc poza granicami. Ja też dedykowałem moje życie jej wielkości. Przyłożyłem dłoń do serca, przysięgając to jej, gdy nagle gondolier napadł na mnie od tyłu.

Kiedy mówię, iż napadł na mnie, nie znaczy to tylko, że mnie zaatakował, ale tak naprawdę to zwałił się na mnie całym swoim ciężarem. Taki osiłek stoi za tobą wiosłując, a ty nie możesz go widzieć, ani też w żaden sposób obronić się przed jego napaścią.

Jeszcze chwilę przedtem, siedziałem z umysłem wypełnionym wyrafinowanymi postanowieniami, a w następnej leżałem rozplaszczony na dnie łodzi, z tym potworem dławiącym mi gardło. Czulem na karku jego gorący oddech. Błyskawicznie wyrwał mi szablę, wcisnął mi na głowę worek i zawiązał go silnie sznurem.

Leżałem bezradnie na dnie gondoli, jak złapany w sieć ptaszek. Nie mogłem krzyczeć. Nie mogłem się ruszyć; byłem bezwładnym workiem.

Po chwili znowu usłyszałem plusk wody i skrzypienie wiosła. Ten typ wykonał zadanie i teraz tak spokojnie i beznamiętnie kontynuował drogę, jakby każdego dnia tygodnia wciskał worek na głowę pułkownika huzarów!

Nie jestem w stanie wyrazić wam słowami doznanego upokorzenia, gdy tak leżałem jak bezradny baran, którego wiozą na rzeź. Ja, Etienne Gerard, słynny rębacz szóstej brygady lekkiej kawalerii i pierwsza szabla Wielkiej Armii, obezwładniony w tak haniebny sposób przez zwykłego, nieuzbrojonego mężczyznę! A jednak teraz leżałem spokojnie – bowiem jest czas oporu i jest czas oszczędzania sił.

Czulem, jak żelaznym uściskiem chwycił mnie za ramiona i wiedziałem, że w jego rękach jestem tylko słabym, bezradnym dzieckiem. Z rosnącą wściekłością czekałem na okazję, która musiała przecież kiedyś nadejść.

Nie potrafię określić, jak długo tak leżałem na dnie łodzi, ale wydawało mi się, że trwało to bardzo długo i słyszałem tylko plusk wody oraz miarowe trzeszczenie wiosła. Kilka razy skręciliśmy, bowiem słyszałem długi, żałośnie brzmiący okrzyk, jaki gondolierzy zwykle wydają dla ostrzeżenia kolegów, że nadpływają za zakrętem. W końcu, po długiej podróży poczułem, jak gondola ociera się o brzeg. Mój napastnik stuknął trzy razy wiosłem w coś drewnianego i w odpowiedzi usłyszałem zgrzytanie zasuw i chrobot obracanego klucza. Zaskrzypiały zawiasy otwieranej bramy.

– Masz go? – zapytał głos po włosku.

Oprych ryknął śmiechem i kopnął worek, w którym tkwiłem.

– Tak, tu leży – odparł.

– Oni już na was czekają – oznajmił głos i dodał coś, czego nie dosłyszałem.

– Zabieraj go – rzucił mój porywacz.

Chwycił mnie, wspiął się po kilku stopniach i rzucił na twardą posadzkę. W chwilę później znowu zasuwę zgrzytnęły i przekręcono klucz. Byłem więźniem tego domu.

Z głosów i kroków wywnioskowałem, że teraz otacza mnie kilku ludzi. Lepiej rozumiałem po włosku niż potrafiłem w tym języku mówić i mogę dość wiernie przekazać, co mówili.

– Chyba go nie zabiłeś, Matteo?

– A co, gdybym go zabił?

– Na Boga, musiałbyś za to stanąć przed Trybunałem.

– Ale przecież oni i tak chcą go zabić, tak czy nie?

– Tak, jednak nie do nas należy wyreżczenie ich w tym.

– Dobra, dobra! Nie zabiłem go. Martwy nie kasa, a jego przekłete zęby zacisnęły się na moim kciuku, gdy wciskałem mu worek na głowę.

– Ale leży bardzo spokojnie...

– Potrząśnij nim, a przekonasz się, czy żyje.

Zdjęli mi worek z głowy. Leżałem na podłodze bez ruchu, z zamkniętymi oczami.

– Na wszystkich świętych, Matteo, mówię ci, że skręciłeś mu kark!

– Nie. On tylko zemdlał. Może będzie dla niego lepiej, jeżeli już nie odzyska przytomności.

Poczułem rękę błądzącą po moim mundurze.

– Matteo jest w porządku – rzekł głos. – Jego serce bije jak dzwon. Niech sobie poleży. Wkrótce odzyska przytomność.

Zaczekałem minutkę, a potem ośmieliłem się zerknąć spod przymrużonych powiek. W pierwszej chwili nic nie widziałem, ponieważ zbyt długo leżałem w ciemności, a tu panował półmrok. Jednak po chwili zobaczyłem nad sobą wysoko sklepiony sufit, pokryty wizerunkami bogów i bogiń.

Zatem nie zawleczono mnie do jakiejś meliny rzezimieszków, ale do sali weneckiego pałacu.

Potem, nie ruszając się, bardzo wolno i ukradkiem, zerknąłem na otaczających mnie mężczyzn. Był wśród nich gondolier, ogorzały zbój, z twarzą o ostrych rysach, a za nim trzech innych, z których jeden niski, pokrzywiony, otoczony wyraźną aurą autorytetu, trzymał w ręku pęk kluczy. Pozostali dwaj, to wysocy, młodzi służący w eleganckich

liberiach. Słuchając ich stwierdziłem, że ten mały z kluczami, to chyba stróż, a reszta podlegała jego rozkazom.

Było ich więc czterech – jednak tego pokreconego klucznika można było nie liczyć. Gdybym dysponował jakąś bronią, śmiałybym się z takich przeciwników, lecz w walce wręcz nie miałem szans, nawet z jednym z nich, a co dopiero z trzema. A więc przebiegłość, nie siła mięśni, musiała mi pomóc. Usiłując poszukać jakiejś drogi ucieczki, poruszyłem niemal niezauważalnie głową. Jednak zauważono nawet ten nieznaczny ruch i klucznik wykrzyknął:

– No, dalej, obudź się! Obudź!

– Wstawaj, mały Francuziku – warknął gondolier. – Mówię ci, wstawaj – i kopnął mnie.

Jeszcze nikt nigdy tak szybko nie posłuchał wydanego rozkazu, jak ja go wtedy posłuchałem. Zerwałem się na równe nogi i ruszyłem na tył sali tak szybko, jak tylko mogłem. Moi wrogowie gnali tuż za mną, zupełnie jak angielskie psy polujące na lisa, trafiłem w długi korytarz, którym skręciłem w lewo, potem znowu w lewo i znalazłem się na powrót w sali, z której uciekłem. Ścigający byli tak blisko mnie, że nie miałem czasu zastanawiać się, co dalej robić. Skręciłem na klatkę schodową, ale schodami właśnie schodziło dwóch mężczyzn, więc zawróciłem i dopadłem drzwi, przez które mnie wniesiono. Były jednak zaryglowane wielkimi zasuwami, których nie udało mi się ruszyć. Miałem tuż za sobą gondoliera ze sztyletem, ale kopnąłem go tak silnie, że rozłożył się na plecach, na podłodze. Sztylet wypadł mu z ręki i potoczył się po marmurowej posadzce. Nie miałem czasu go chwycić, bowiem zważyło się na mnie z pół tuzina ścigających. Jakoś udało mi się przez nich przebić, ale ten mały stróż podstawił mi nogę i runąłem z trzaskiem na posadzkę. Jednak natychmiast poderwałem się i znowu pobiegłem, przebijając się przez nich i wyrywając z uścisku brudnych łap. Rzuciłem się do drzwi na drugim końcu sali. Dopadłem je, w porę uprzedzając ścigających i wydałem okrzyk triumfu czując, że poddają się po naciśnięciu klamki. Drzwi prowadziły na zewnątrz – znakomita droga ucieczki! Zapomniałem jednak, w jakim to dziwnym mieście się znajdowałem – tu prawie każdy dom otoczony jest wodą. Kiedy otworzyłem drzwi i już zamierzałem wypaść na ulicę, światło z sali padło na głęboką, spokojną, czarną wodę sięgającą najwyższego stopnia.

Cofnąłem się i ścigający dopadli mnie.

Ale nie dałem się tak łatwo złapać. Znowu torując sobie drogę kopniakami, wywalczyłem sobie przejście, chociaż w ręku jednego z tych bandytów zostawiłem pęk włosów, gdy próbował mnie zatrzymać. Ten mały dozorca zadawał mi ciosy pięścią kluczy, bito mnie i kopano, jednak i tak udało mi się utorować drogę.

Wbiegłem na jakąś ogromną klatkę schodową i kiedy znalazłem się na górze, otworzyłem zagradzające mi dalszą drogę wysokie, wieloskrzydłowe drzwi, aby stwierdzić, że te wszystkie moje wysiłki były daremne.

Wpadłem do rześkiej oświetlonej komnaty. Ze złożonymi gzymsami, masywnymi kolumnami, malowanymi ścianami i sufitem; była to najwyraźniej wielka sala w jakimś słynnym pałacu weneckim. W mieście takich pałaców były setki, a każdy z nich posiadał sale, mogące konkurować z Luvrem albo Wersalem.

Na środku sali wznosiło się podium, na którym półkołem siedziało dwunastu mężczyzn odzianych w czarne togi, niczym franciszkańscy mnisi; każdy w masce zakrywającej górną część twarzy.

Przy drzwiach stała grupa uzbrojonych mężczyzn – o wyglądzie pospolitych bandytów – a wśród nich, zwrócony twarzą do podium młodzieniec, w mundurze lekkiej piechoty. Gdy odwrócił głowę, poznałem go. Był to kapitan Auret z siódmego pułku, młody Baskijczyk, z którym w zimie osuszyłem niejedną szklaneczkę.

Nieszczęśnik był śmiertelnie blady, chociaż trzymał się dzielnie wśród tych otaczających go morderców. Nigdy nie zapomnę tego błysku nadziei w jego ciemnych oczach, gdy ujrzał wpadającego do sali towarzysza broni, ani też następującego po nim wyrazu rozpacz, gdy zrozumiał, że nie przybyłem go ratować, ale by podzielić jego los.

Możecie sobie wyobrazić, jak byli ci ludzie zdumieni, gdy nagle zjawiłem się tam nieproszony. Ścigający mnie, stłoczyli się za mną, zatrzymując przed drzwiami, co moją dalszą ucieczkę uczyniło bezprzedmiotową. W takich chwilach zawsze triumfowała moja wrodzona stanowczość. Ruszyłem z godnością w stronę Trybunału. Co prawda mój mundur był podarty, włosy potargane, krwawiłem na twarzy, ale wyraz moich oczu i sposób, w jaki się poruszałem uświadomił sędziom, że nie mają przed sobą byle kogo. Nie podniosła się na mnie ani jedna ręka, nikt mnie nie aresztował i ostatecznie zatrzymałem się przed budzącym grozę starcem, którego długa, siwa broda i pańskie maniery dały mi do zrozumienia, iż według wieku i postawy, był wśród nich najważniejszy.

– Panie – rzekłem – może raczysz mi powiedzieć, dlaczego zostałem siłą uwięziony i przywleczony do tego miejsca? Jestem żołnierzem posiadającym swój honor, podobnie jak ten obecny tu dżentelmen i domagam się, aby natychmiast nas obu uwolniono.

Po moim przemówieniu zapadła przerażająca cisza.



Ruszylem z godnością w stronę Trybunału

Nie jest to bowiem przyjemne wpatrywać się w dwanaście zamaskowanych twarzy, z wbitymi w siebie, widocznymi tylko mściwymi oczami Włochów. Ja jednak stałem przed nimi, jak przystało na prawdziwego, francuskiego żołnierza, myśląc tylko o jednym: zachowując się godnie, muszę przynieść chlubę i nie splamić honoru huzarów Conflans. Nie sądzę, aby ktoś inny mógł się lepiej zachować w tych trudnych warunkach. Bez strachu wpatrywałem się kolejno w tych bandytów i czekałem na ich reakcję.

W końcu stary przerwał milczenie:

– Kim jest ten człowiek? – zapytał.

– Nazywa się Gerard – odparł od drzwi mały klucznik.

– Pułkownik Gerard – poprawił. – Nie zamierzam was wprowadzać w błąd. Jestem Etienne Gerard. PUŁKOWNIK Gerard, pięciokrotnie wymieniony w meldunkach i rekomendowany do odznaczenia Szablą Honorową. Jestem adiutantem generała Sucheta i domagam się natychmiastowego uwolnienia, razem z obecnym tu moim towarzyszem broni.

Nastąpiła taka sama przerażająca cisza jak przedtem i te same dwanaście par oczu spoczęło na mojej twarzy. Znowu ciszę przerwał ten sam siwobrody starzec:

– Jeszcze nie jego kolej. Mamy przed nim dwa nazwiska.

– Wyrwał się nam z rąk i wpadł do tej sali.

– Niech zaczeka na swoją kolej. Zabierzcie go na dół, do drewnianej celi.

– A co, jeżeli będzie się opierał, ekscelencjo?

– Wpakujcie mu w serce sztylety. Trybunał was uniewinni. Zabierzcie go, musimy zająć się innymi.

Ruszyli na mnie. Przez moment zastanawiałem się nad oporem. Byłaby to bohaterska śmierć... tylko kto byłby tego świadkiem, albo kronikarzem? Mógłbym tylko odwlec mój los, a jednak bywałem już w tylu fatalnych sytuacjach i wyszedłem z nich cało, że nauczyłem się nie tracić nadziei i zawsze wierzyć w moją szczęśliwą gwiazdę.

Pozwoliłem więc schwytać się moim oprawcom i wyprowadzić z sali. Obok mnie szedł gondolier, z długim sztyletem w ręce. Widziałem jego pałające wściekłością oczy i czułem, że z ogromnym zadowoleniem skorzystałby z każdego pretekstu, aby zatopić mi ten sztylet w sercu.

W Wenecji są cudowne miejsca, wznoszą się tu wspaniałe budowle, pałace i fortece – a także więzienia, często w jednym i tym samym gmachu.

Poprowadzono mnie długim korytarzem, a potem w dół surowymi, kamiennymi schodami kończącymi się krótkim korytarzem, w którym znajdowało się troje drzwi. Otwarto jedno z nich, wepchnięto mnie do środka i zatrzaśnięto za mną. Mdłe światelko docierało tu teraz z korytarza przez małe, zakratowane okienko w drzwiach.

Starając się coś dojrzeć i wymacać, zacząłem ostrożnie badać pomieszczenie, w którym zostałem uwięziony. Z tego co usłyszałem, wywnioskowałem, że z pewnością zabiorą mnie stąd przed Trybunał, jednak należę do ludzi, którzy nigdy nie rezygnują ze skorzystania z każdej możliwej szansy.

Kamienna posadzka celi była tak wilgotna, a ściany do wysokości kilku stóp tak oślizgłe, że najwyraźniej znajdowałem się poniżej poziomu powierzchni wody. Kilka ukośnych otworów umieszczonych pod sufitem były jedynymi szczelinami, przez które

dochodziło z zewnątrz światło i powietrze. Przez jeden z nich mogłem zobaczyć mrugającą do mnie, błyszczącą gwiazdę, co napełniło mnie otuchą i nadzieją.

Nigdy nie byłem człowiekiem nadmiernie religijnym, chociaż zawsze szanowałem ludzi religijnych i pamiętam, że tamtej nocy ta błyszcząca gwiazda wydała mi się patrzącym na mnie wszystkowiedzącym okiem. Czułem się, jak młody, wystraszony rekrut biorący udział w walce, gdy zobaczy zwrócony na siebie spokojny i pewny wzrok swojego pułkownika.

Trzy ściany mojego więzienia zbudowano z kamienia, ale czwarta była drewniana i zauważyłem, że została wzniesiona stosunkowo niedawno. Najwyraźniej było to tylko przepierzenie, dzielące dużą celę na dwie mniejsze. Z kamiennymi ścianami nie miałem szans, otwory też były za małe, a drzwi zbyt masywne – natomiast ta drewniana ściana budziła pewne nadzieje, dlatego musiałem ją bliżej zbadać.

Jednak rozum podpowiedział mi, że jeśli nawet uda mi się przedostać na drugą stronę – co nie wydawało się zbyt trudne – to i tak znajdę się w drugiej, tak samo pozbawionej możliwości ucieczki celi, jak moja. Jednak zawsze mawiałem, że lepiej coś robić niż tkwić bezczynnie, zatem całą moją uwagę i siły skupiłem na przepierzeniu.

Dwie deski były źle połączone i do tego stopnia rozluźnione, iż byłem przekonany, że uda mi się je łatwo oderwać. Zacząłem szukać jakiegoś narzędzia i stwierdziłem, że najlepsza będzie noga od stojącego w rogu małego łóżka. Wcisnąłem tę nogę w szczelinę między deskami i już chciałem je wyłamać, gdy nagle usłyszałem odgłos szybkich kroków, co zmusiło mnie do przerwania roboty i nadśłuchiwania.

Chciałbym zapomnieć o tym, co potem usłyszałem. W bitwie widziałem setki zabitych, sam też zasiekłem więcej niż bym potrafił zliczyć, ale to wszystko w ucziwej walce i w ramach obowiązków żołnierza na służbie. Natomiast to zupełnie inna sprawa, gdy słyszy się, jak kogoś mordują w takiej jak ta jaskini zbójów. Wlekli korytarzem kogoś broniącego się rozpaczliwie i po drodze chwytającego się drzwi mojej celi. Najwyraźniej zamierzali go wpakować do tej trzeciej, najdalej położonej w korytarzu celi.

– Pomocy! Pomocy! – wrzeszczał ten nieszczęśnik, a potem usłyszałem uderzenie i znowu okrzyk:

– Pomocy! Pomocy! – a po nim jeszcze: – Gerard! Pułkowniku Gerard!

Tak, to wołał mój biedny kapitan piechoty, którego właśnie mordowano.

– Mordercy! Mordercy! – krzyknąłem i kopnąłem w drzwi, ale usłyszałem tylko jeszcze raz jego głos i zapadła cisza. Minutę później rozległ się głośny plusk i wiedziałem, że żadne ludzkie oko nigdy już nie zobaczy Aureta żywego. Odszedł, tak jak setki innych odeszło przed nim tej zimy w Wenecji i żaden z nich nie stawił się na apelu w swoim pułku.

Odezwały się kroki wracających korytarzem i pomyślałem, że teraz idą po mnie. Ale zamiast tego, otworzyli drzwi sąsiedniej celi i wywlekli z niej kogoś. Potem usłyszałem kroki na schodach.

Natychmiast zabrałem się do pracy przy deskach. W ciągu kilku minut rozluźniłem je na tyle, żeby móc je rozsuwać i zasuwac według potrzeby. Przelazłem przez utworzoną w ten sposób szczelinę i znalazłem się w celi, która tak jak się spodziewałem, była drugą połową dużej celi. Nie byłem tu bliższy ucieczki niż przedtem, bowiem nie miała

następnej drewnianej ściany, którą mógłbym sforsować, a drzwi były zamknięte na klucz.

Nie znalazłem śladów mówiących, kto był tym nieszczęsnym towarzyszem mojej niedoli. Wróciłem do mojej celi, zasunąłem deski i czekałem, zbierając całą odwagę na to, co zapewne będzie moją ostatnią godziną życia. Czas dłużył się nieskończenie, aż w końcu usłyszałem kroki w korytarzu i zacząłem nerwowo nadśłuchiwać, czy znowu nie usłyszę jakichś przeraźliwych wrzasków nieszczęsnej ofiary. Ale nic takiego nie nastąpiło, natomiast do przyległej celi spokojnie doprowadzono nowego więźnia. Nie miałem czasu zerknąć przez otwór komunikacyjny, bowiem w następnej chwili otworzyły się drzwi mojej celi i wszedł mój ponury gondolier, a za nim inni mordercy.

– Idziemy, Francuziku – rzekł.

W wielkiej, włochatej łapie trzymał zakrwawiony sztylet i z jego dzikich oczu wyczytałem, że tylko czeka na okazję, aby wbić mi go w serce. Opór był bezcelowy, zatem bez słowa poszedłem za nim.

Poprowadzono mnie w górę kamiennymi schodami i z powrotem do tej wspaniałej sali, w której rezydował tajny Trybunał. Wepchnięto mnie do środka, ale ku mojemu zaskoczeniu, to nie ja budziłem zainteresowanie członków Trybunału, ale wysoki, ciemny, młody mężczyzna, stojący teraz przed nimi i coś im cicho tłumaczący. Jego głos drżał ze wzruszenia, składał i rozkładał ręce w rytmie wygłaszanych gorąco próśb.

– Nie możecie tego zrobić! – wołał. – Nie możecie! Błagam Trybunał o ponowne rozważenie powziętej decyzji!

– Odsuń się, bracie – rzekł starzec, przewodniczący Trybunału. – Sprawa już zdecydowana i teraz przystępujemy do rozpatrywania następnej.

– Na litość boską, okażcie litość! – krzyczał młodzieniec.

– Już okazaliśmy litość – odparł przewodniczący. – Śmierć byłaby i tak łagodną karą za takie przestępstwo. Zamilcz i pozwól działać sprawiedliwości.

Zobaczyłem, że młodzieniec padł zrozpaczony na krzesło. Jednak nie miałem czasu snuć domysłów nad przyczyną jego rozpaczki, ponieważ jedenastu jego kolegów skierowało już na mnie surowe oczy. Nadeszła chwila spełnienia się mojego losu.

– Pan jest pułkownikiem Gerardem? – zapytał przerażający starzec.

– Tak, jestem.

– Adiutant rabusia, który nazywa siebie generałem Suchetem i który z kolei reprezentuje super--rabusia Buonapartego?

Już miałem mu powiedzieć, że jest łgarzem, ale jest czas na dyskusję i jest czas na milczenie.

– Jestem żołnierzem posiadającym swój honor – odpowiedziałem. – Zawsze słucham rozkazów i wypełniam powierzone mi obowiązki.

Krew uderzyła do głowy starego i jego twarz spłonęła rumieńcem, a w otworach maski oczy błysnęły jak rozżarzone węgle.

– Jesteście złodziejami i mordercami, wszyscy! – wykrzyknął. – Co tu robicie? Jesteście Francuzami. Dlaczego więc nie zostaliście we Francji? Czy zapraszaliśmy was do Wenecji? Jakim prawem się tu znajdujecie? Gdzie są nasze obrazy? Gdzie konie Świętego Marka? Kim jesteście, wy, którzy kradniecie skarby nagromadzone od wieków przez naszych przodków? Byliśmy potężnym, bogatym miastem, kiedy Francja była

pustynią. Wasi pijani, zachowujący się jak bandyci, głupi żołnierze bezmyślnie niszczą dzieła przedstawiające naszych świętych i bohaterów. Co masz na to do powiedzenia?

To był naprawdę budzący grozę staruch. Broda zjeżyła mu się z wściekłości i wyszczeniwał z siebie te krótkie zdania, jak wściekły ogar. Ja, z mojej strony, mógłbym go zapewnić, że te jego dzieła sztuki będą bezpieczne w Paryżu, że te jego konie nie są warte całego wokół nich zamieszania i że może widzieć swoich bohaterów – o świętych nie chciałem mówić – bez odwoływania się do przodków, albo nawet nie ruszając się ze swojego krzesła. Mogłem to wszystko mu wygarnąć – tylko po co? Kto bowiem może skutecznie prowadzić dyskusję z mamelukiem na tematy związane ze sprawami religii? Wzruszyłem więc tylko ramionami i milczałem.

– Więzień nic nie mówi na swoją obronę – stwierdził jeden z zamaskowanych sędziów.

– Czy przed wydaniem wyroku ktoś chce zgłosić uwagę? – Stary spojrzał po sędziach.

– Jest jeden problem, ekscelencjo – powiedział któryś z nich. – Ale, niestety, nie można go poruszyć bez powtórnego otwierania ran jednego z naszych braci. Muszę jednak zwrócić waszą uwagę na pewien szczególny powód, dla którego należy przykładnie i surowo ukarać tego oficera.

– Nie zapomniałem o tym – odparł stary. – Bracie, jeżeli Trybunał zranił cię w jakikolwiek sposób, to równocześnie może ci dać w inny sposób daleko idące zadośćuczynienie.

Młodzieniec, który w czasie mojego zjawienia się w sali Trybunału błagał dla kogoś o litość – teraz zerwał się na równe nogi.

– Dłużej tego nie zniosę! – wykrzyknął. – Wasza ekscelencja musi mi wybaczyć. Trybunał może działać beze mnie. Jestem chory. Szalony!

Wybiegł z sali, wymachując z furią rękoma.

– Niech idzie. Niech idzie – rzekł przewodniczący. – Nie można wymagać od kogoś, kto jest człowiekiem z krwi i kości, aby dłużej pozostawał pod tym dachem. Ale on jest prawdziwym Wenecjaninem i gdy minie pierwsza udręka, zrozumie, że nie mogliśmy postąpić inaczej.

W czasie tego epizodu, zupełnie o mnie zapomniano i chociaż nie należę do ludzi, którzy lubią, żeby na nich nie zwracano uwagi, w tym wypadku wolałbym, żeby zupełnie o mnie zapomniano. Ale teraz stary przewodniczący znowu zwrócił na mnie wzrok jak tygrys, który wraca do swojej ofiary.

– Musisz za to wszystko zapłacić, sprawiedliwości musi stać się zadość – stwierdził. – Pan, awanturnik i cudzoziemiec, ośmielił się, patrząc z miłością, zwrócić oczy na wnuczkę wielkiego doży weneckiego, która została już zaręczona z dziedzicem rodu Loredanów. A ten, kto cieszył się takim zaszczytem, teraz zapłaci za to odpowiednią cenę.

– Ale cena nie może być wyższa od wartości tego zaszczytu – zauważyłem.

– Opowiesz nam o tym po odbyciu części kary – rzekł. – Może w tym czasie wyzbędziesz się pychy. Matteo, zaprowadź więźnia do drewnianej celi. Dziś mamy poniedziałek. Nie dawajcie mu jedzenia ani picia i sprowadźcie przed Trybunał w środę

wieczorem. Wtedy zdecydujemy, jaką ma umrzeć śmiercią.

Nie była to miła perspektywa, a jednak – odroczenie wyroku. Można być wdzięcznym nawet za najmniejszy przejaw litości, kiedy przy twoim boku stoi włochaty dzikus, z zakrwawionym nożem. Wywłókł mnie z sali i zostałem ściągnięty z powrotem do mojej celi. Zamknięto drzwi i zostałem sam ze swoimi myślami.

Moją pierwszą myślą było nawiązanie kontaktu z sąsiadem i zarazem współtowarzyszem niedoli. Zaczekałem, aż umilkną kroki na schodach, ostrożnie rozsunąłem deski i zajrzałem do środka. Światło było bardzo słabe, mdłe, tak słabe, że z trudem mogłem dostrzec postać skuloną w kącie. Ledwo też usłyszałem szept kogoś wypowiadającego słowa modlitwy, tak jak wypowiada je człowiek śmiertelnie przerażony. Odsuwane deski zapewne skrzypnęły, bowiem usłyszałem ostry okrzyk zaskoczenia.

– Odwagi, przyjacielu, odwagi! – zawołałem. – Nie wszystko stracone. Nie upadaj na duchu, masz przed sobą Etienne Gerarda!

– Etienne! – to imię wykrzyknęła kobieta, głosem brzmiącym w moich uszach jak najpiękniejsza muzyka. Natychmiast wskoczyłem do środka sąsiedniej celi i objąłem ją.

– Lucia! Lucia! – byłem oszołomiony.

Potem przez kilka minut słychać było tylko „Lucia!” i „Etienne!”. Mogliśmy wypowiedzieć tylko te dwa słowa, bowiem w takich chwilach zbędne są inne. Lucia otrząsnęła się pierwsza i rzekła:

– Och, Etienne, oni cię zabiją! Jak wpadłeś w ich ręce?

– Odpowiedziałem na twój list.

– Nie napisałam żadnego listu.

– Przebiegłe demony! A ty?

– Ja też przybyłam na twój list.

– Lucio, ja nie napisałam tego listu.

– Zatem złapali nas na tę samą przynętę.

– Ja się o siebie wcale nie boję, Lucio. Poza tym, obecnie nic mi nie grozi. Oni po prostu odprowadzili mnie z powrotem do celi.

– Och, Etienne, Etienne, oni cię zabiją. Tam jest Lorenzo.

– To ten stary z siwą brodą?

– Nie, nie, on jest młody, ciemnowłosy. Kocha mnie, a ja myślałam, że też go kocham, do czasu... do czasu gdy poznałam, co to prawdziwa miłość, Etienne. On ci nigdy nie wybaczy. Ma serce z kamienia.

– Niech robią, co chcą. Nie zabiorą mi mojej przeszłości, Lucio. Ale ty... co się z tobą stanie?

– Nic takiego, Etienne. Krótkie ukłucie bólu i wszystko minie. Oni uważają, że w ten sposób napiętnują mnie, zniesławiają, kochany, ale nosić to będę jak zaszczytny znak dlatego, że otrzymałam go przez ciebie.

Te słowa ze zgrozy ścięły mi krew w żyłach. Wszystkie moje dotychczasowe przygody nic nie znaczyły w porównaniu z tym ponurym cieniem, jaki teraz położył się na mojej duszy.

– Lucia! Lucia! – krzyknąłem. – Powiedz mi, na litość boską, co ci bandyci chcą

z tobą zrobić? Powiedz, Lucia! Powiedz!

– Nie powiem ci, Etienne, ponieważ mogłoby to cię zranić bardziej niż mnie. No dobrze... już dobrze! Powiem ci, abyś się nie bał, że będzie to coś gorszego. Przewodniczący Trybunału rozkazał obciąć mi ucho, co ma mnie na zawsze naznaczyć jako kobietę, która kochała Francuza.

Jej ucho! To kochane małe uszko, które tak często całowałem. Dotknąłem oba aksamitne uszka, aby się przekonać, czy to świętokradztwo zostało już popełnione.

Dostaną je, ale tylko po moim trupie! Poprzysiągłem przez zaciśnięte zęby.

– Nie przejmuj się tak, Etienne. A jednak kocham cię też i za to.

– Oni ciebie nie skrzywdzą... te potwory!

– Nie tracę nadziei, Etienne. Tam jest też Lorenzo. Milczał, gdy wydawano wyrok, ale po moim wyjściu z pewnością zaczął błagać o ulaskawienie.

– Zrobił to. Słyszałem.

– Zatem może zmiękczył ich serca.

Wiedziałem, że nie zmiękczył, ale jak mogłem jej to powiedzieć? Mogłem jednak powiedzieć, bowiem swoim kobiecym instynktem i tak odgadła odpowiedź w moim milczeniu.

– Nie chcieli go słuchać! Nie obawiaj się powiedzieć mi o tym, kochany. Musisz bowiem wiedzieć, że godna jestem miłości takiego żołnierza jak ty. Gdzie teraz jest Lorenzo?

– Wyszedł z Sali.

– W takim razie mógł też opuścić pałac.

– Mam takie wrażenie.

– Wobec tego zostawił mnie na pastwę losu. Etienne, Etienne, nadchodzą!

Usłyszałem zbliżające się z oddali te brzemiennie w skutki kroki i brzęk kluczy. Po co teraz tu idą, przecież nie było innych więźniów, których mieliby zawlec przed Trybunał? Oni mogli tu przybywać tylko po to, aby wykonać wyrok na mojej ukochanej!

Stałem między Lucią i drzwiami, czując w sobie siłę lwa. Prędzej rozwalę cały ten gmach niż pozwolę ją tknąć!

– Cofnij się! Cofnij się! – krzyknęła. – Oni cię zamordują, Etienne. Mojemu życiu nic nie grozi. W imię miłości do mnie cofnij się, Etienne. To nic takiego. Nie wydam jednego jęku. Niczego nie usłyszysz, kiedy będą mi to robić!

Ta krucha istota zaczęła mnie odciągać od drzwi i chciała mnie siłą wepchnąć w szparę między deskami. I w tym momencie wpadła mi do głowy nowa myśl.

– Możemy się jednak ocalić – wyszeptalem. – Zrób to, co ci powiem i nie sprzecжай się ze mną. Włóż do mojej celi – szybko!

Popchnąłem ją w szczelinę i pomogłem zasunąć deski. Zatrzymałem jej płaszcz, otuliłem się nim i skuliłem w najciemniejszym kącie. Leżałem tam, gdy otworzyły się drzwi i weszło kilku bandytów. Stwierdziłem, że nie mieli ze sobą latarni, bowiem przedtem też jej nie mieli.

W ich oczach byłem jedynie tkwiącym w rogu czarnym tobołkiem.

– Dawaj tu światło! – warknął jeden z nich.

– Nie, nie, po jakiego licha! – sprzeciwił się drugi ochrypłym głosem, w którym

poznałem tego zbója, Matteo. – Nie lubię takiej roboty i nie chcę na to patrzeć, bo im więcej widzę, tym mniej mi się podoba. Przykro mi, signora, ale musimy wykonać rozkaz Trybunału.

Miałem ochotę skoczyć na równe nogi, przebić się przez nich i dopaść otwartych drzwi. Jednak czy w ten sposób pomógłbym Lucii? Gdyby mi się nawet udało uciec, ona i tak byłaby w ich rękach do czasu sprowadzenia pomocy, gdyż w pojedynkę nie miałbym żadnych szans, żeby ją uwolnić.

To wszystko natychmiast przemknęło mi przez myśli i stwierdziłem, że nie pozostało mi nic innego, jak tylko nadal leżeć bez ruchu, poddać się zabiegowi i czekać na okazję.

Wstrętna, brudna łapa zaczęła grzebać w moich lokach – tych samych, które dotąd pieściły kobiece paluszki. W następnej chwili chwyciła moje ucho i nagle poczułem tak przeraźliwy ból, jakby mnie przypiekano rozżarzonym żelazem. Zagryzłem zęby, żeby nie krzyczeć i czułem jak po karku spływa mi na plecy gorąca krew.

– No, dzięki Bogu, zrobione – oświadczył zbir, klepiąc mnie protekcjonalnie po głowie. – Jesteś dzielną dziewczynką, signora, to muszę ci szczerze przyznać i życzyłbym ci, pani, byś okazała lepszy gust niż zadawanie się z Francuzem. Możesz za to winić tylko jego, a nie mnie.

Co mogłem zrobić? Musiałem leżeć spokojnie, bezsilnie zgrzytając zębami! Równocześnie, ból i wściekłość w pewnym sensie łagodziła świadomość, że cierpię dla kobiety, którą kocham. Zwyczajem mężczyzn jest mówić kobietom, że są w stanie znieść dla nich każde cierpienie, ale to ja dostąpiłem zaszczytu udowodnienia, że mówiłem jej tylko to, co szczerze myślę. Pomyślałem też, z jaką dumą przyjmie pułk huzarów Conflans wieść o czynie swojego pułkownika. Te myśli pozwoliły mi łatwiej znieść cierpienie w milczeniu, chociaż krew ciągle spływała mi po karku i kapiała na kamienną posadzkę. Jednak ten słaby odgłos niemal stał się przyczyną mojej zguby.

– Ona silnie krwawi – stwierdził jeden ze służących. – Sprowadź lekarza, albo jutro rano znajdziemy tu trupa.

– Leży tak bez ruchu i nawet nie jęknie – zauważył drugi. – Pewnie umarła ze strachu.

– Nonsens, młode kobiety tak łatwo nie umierają – wtrącił Matteo. – Zresztą odciąłem tylko tyle, żeby według rozkazu Trybunału została napiętnowana. Wstawaj, signora, wstawaj!

Potrząsnął mnie za ramię. Serce zamarło mi ze strachu, że przez płaszcz wymaca epolety.

– Jak się pani czujesz? – zapytał.

Nie odpowiedziałem.

– Do diabła, chciałbym mieć do czynienia tylko z mężczyznami, a nie z kobietami – choćby to była nawet najpiękniejsza kobieta w Wenecji – stwierdził gondolier. – Nicholas, daj mi chusteczkę i przynieś światło.

„No to koniec!”, pomyślałem. Zbliżało się najgorsze. Już nic mnie nie ocali. Ciągle kuliłem się w rogu, ale czułem napięcie w każdym mięśniu, niczym dziki kot szykujący się do skoku.

Jeżeli mam umrzeć, to postanowiłem, że mój koniec będzie wart mego życia.

Jeden z nich poszedł po latarnię i Matteo przekroczył mnie z chusteczką w ręce. Zaraz zostanie odkryta moja tajemnica. Jednak gondolier nagle zamarł bez ruchu. Równocześnie dały się słyszeć niewyraźne pomruki dochodzące przez małe okienko położone wysoko nad moją głową. Potem usłyszałem uderzenia wiosła i liczne głosy, a następnie odezwał się trzask u szczytu schodów i ktoś głośno krzyknął:

– Otwierać! Otwierać, w imię cesarza!

To słowo padło tak, jak imię świętego, przed którym czmychają wszystkie demony.

I rzeczywiście, czmychnęły z okrzykami trwogi – Matteo, służący, klucznik, cała ta mordercza banda.

Znowu odezwał się okrzyk wzywający do otwarcia drzwi, a po nim uderzenia toporów i trzask wyłamywanych desek. Z sali doszedł brzęk broni i krzyki francuskich żołnierzy. W następnym momencie usłyszałem, jak ktoś zbiega po schodach i do celi wpadł rozgorączkowany mężczyzna.

– Lucia! – krzyknął. – Lucia! – Stał w mdłym świetle celi i dyszał ciężko, niezdolny wykrztusić następnych słów.

W końcu opanował się i kontynuował:

– Lucio, czy nie udowodniłem ci, jak bardzo cię kocham? Co miałbym jeszcze uczynić, żeby dać ci tego dowód? Dla ciebie zdradziłem moją ojczyznę. Dla ciebie zламаłem przysięgę. Zawiodłem przyjaciół i poświęciłem swoje życie, żeby cię uratować.

Był to młody Lorenzo Loredani, kochanek, o którym już wspomniałem i którego miejsce zająłem u boku Lucii. W tym momencie poczułem, jak moje serce krwawi, jednak pomijając już wszystko, każdy zakochany mężczyzna, którego kobieta odrzuci dla innego, pragnie mieć przynajmniej tę satysfakcję, że tym mężczyzną jest ktoś godny szacunku i poważania.

Już chciałem przedstawić mu ten pogląd, ale gdy tylko wypowiedziałem pierwsze słowo, krzyknął ze zdumieniem i odskoczył ku drzwiom – chwycił wiszącą w korytarzu lampę i rzucił światło na moją twarz.

– To ty! Łotrze! – krzyknął. – Ty francuski psie! Zapłacisz za całe wyrządzone mi zło.

Jednak zaraz spostrzegł błądność na mojej twarzy i ciągle spływającą krew.

– Co to znaczy? – zapytał. – W jaki sposób stracił pan ucho?

Opanowałem nachodzącą mnie słabość, silniej przycisnąłem chusteczkę do rany i wstałem z posadzki, znowu sprawny, elegancki pułkownik huzarów.

– Moja rana, panie, to nic. Za pańskim pozwoleniem, nie będziemy roztrząsać tej tak błahej, a zarazem osobistej sprawy.

W tym momencie do celi wbiegła Lucia i uwieszona u ramienia Lorenzo, opowiedziała o wszystkim.

– Ten szlachetny dżentelmen – zajął moje miejsce, Lorenzo! On zniósł to dla mnie. Cierpiał, żeby mnie uratować.

Mogłem tylko współczuć, widząc z wyrazu twarzy Włocha, jaka się w nim toczyła walka. W końcu wyciągnął do mnie rękę.

– Pułkownik Gerard – rzekł – zasługuje pan na wielką miłość. Wybaczam panu, chociaż sprawiłeś mi przykrość, to jednak tym szlachetnym czynem dałeś też zadośćuczynienie. Jednak ze zdumieniem widzę pana przy życiu. Opuściłem Trybunał zanim pana osądzono, ale wiedziałem, że nie okażą litości żadnemu Francuzowi od czasu niszczenia przez nich zdołających Wenecję dzieł sztuki.

– On ich nie niszczył! – wykrzyknęła Lucia. – On pomagał je chronić w naszym pałacu.

– No, w każdym razie jedno z nich – odparłem i kłaniając się ucałowałem jej dłoń.

W taki oto sposób, przyjaciele, straciłem ucho. Po dwóch dniach od mojej nocnej przygody, znaleziono Lorenzo zasztyletowanego na placu Świętego Marka. Matteo i jego zbóje – razem z trzema członkami Trybunału – zostali rozstrzelani, a pozostałych wygnano z miasta.

Lucia, moja ukochana Lucia, po odejściu Francuzów z miasta, została oddana do klasztoru na Murano, gdzie może jeszcze się znajduje, jako skromna i łagodnego serca przeorysza, która być może dawno już zapomniała o dniach, w których nasze serca były jednym rytmem i kiedy ten cały ogromny świat zdawał się tak mały, że z trudem mógł pomieścić miłość płonącą w naszych żyłach. Ale może tak nie jest, może wcale o mnie nie zapomniała... Może zdarzają się chwile, w których spokój klasztoru zakłócają wspomnienia o starym żołnierzu, który kochał ją w tych dawnych czasach.

Młodość minęła, przeszła namiętność, ale nigdy nie zmieni się dusza dżentelmena i Etienne Gerard, skłoniłby przed nią swoją siwą głowę i z ogromną ochotą straciłby dla niej drugie ucho, gdyby tylko mógł się jej tym przysłużyć!

XI. Jak brygadier zdobył Saragossę

Czy opowiadałem wam, moi przyjaciele, o okolicznościach związanych z moim wstąpieniem do huzarów Conflans, w czasie oblężenia Saragossy i o tym niezwykłym wyczynie, jakiego dokonałem w związku ze zdobyciem tego miasta? Nie? Zatem ciągle jeszcze możecie się ode mnie czegoś nauczyć. Opowiem wam o tym dokładnie, jak się to wydarzyło. Nie wymieniając dwóch lub trzech mężczyzn i nie licząc dziesięciu lub dwudziestu kobiet, będziecie pierwsi, którzy tę opowieść usłyszą w całości.

Musicie jednak wiedzieć, że w Drugim Pułku Huzarów – zwanym Huzarami Chambaranta – służyłem wtedy jako porucznik i rotmistrz. W czasie, o którym mówię, miałem tylko dwadzieścia pięć lat i byłem lekkomyślnym, ale też i zuchwałym oraz żądnym czynu człowiekiem, jak każdy w Wielkiej Armii.

W Niemczech wojna przycichła, natomiast w Hiszpanii ciągle panowało wzburzenie i Cesarz, pragnąc wzmocnić armię, korzystając z okazji przeniósł mnie w randze starszego rotmistrza do huzarów Conflans, którzy wtedy wchodzili w skład walczącego w Hiszpanii korpusu Piątej Armii, dowodzonego przez marszałka Lannesa.

Z Berlina do Pirenejów była długa droga. Mój nowy pułk tworzył pod dowództwem marszałka Lannesa część sił, oblegających hiszpańskie miasto Saragossa. Dlatego zwróciłem konia w tym kierunku i w ciągu tygodnia, albo nieco później, znalazłem się we francuskiej kwaterze głównej, skąd skierowano mnie do obozu huzarów Conflans.

Zapewne czytaliście o słynnym oblężeniu Saragossy i ja mogę tylko rzec, iż żaden generał nie miał trudniejszego zadania niż to, z którym musiał się zmierzyć marszałek Lannes.

To ogromne miasto pełne było hiszpańskich hord – żołnierze, chłopci, księża – wszyscy przepełnieni wściekłą nienawiścią do Francuzów i w większości dziką determinacją, by raczej zginąć niż się poddać. W mieście było osiemdziesiąt tysięcy ludzi, natomiast nas, oblegających, tylko trzydzieści tysięcy. Jednak dysponowaliśmy silną artylerią, a oddziały naszych saperów należały do najlepszych w świecie. Jeszcze nigdy nie było takiego oblężenia! Zwykle miasto pada, gdy zostaną zdobyte fortyfikacje, ale w tym wypadku prawdziwa bitwa zaczęła się dopiero wtedy, kiedy zajęliśmy forty. Każdy dom był fortecą, każda ulica polem bitwy, tak więc powoli, dzień po dniu, torowaliśmy sobie drogę do przodu, wysadzając w powietrze domy, razem z zajmującym je wojskiem, aż ponad połowa miasta legła w gruzach. Jednak ta druga, nie zdobyta połowa była broniona z taką samą determinacją jak pierwsza, mając lepszą pozycję do obrony, bowiem w jej skład wchodziły zespoły ogromnych klasztorów i monastyrów o ścianach grubości Bastylji, które nie sposób było łatwo skruszyć. Tak zatem przedstawiała się sprawa, kiedy dołączyłem do oblegających.

Muszę wam wyznać, że kawaleria nie jest zbyt użyteczna w oblężeniu, chociaż był czas, w którym nie pozwoliłbym nikomu, aby uczynił podobną uwagę.

Huzarzy Conflans obozowali na południe od miasta i ich obowiązkiem było wysyłanie patroli, aby się upewnić, że z tego kierunku żadne hiszpańskie siły nie idą miastu na odsiecz. Pułkownik dowodzący pułkiem nie był dobrym żołnierzem, a pułk

w tym czasie daleki był od najwyższej sprawności, którą później osiągnął.

Jednak pewnego wieczoru zobaczyłem coś, co mnie zaszokowało dlatego, że zawsze wyznawałem wysokie standardy i moje serce krwawiło na widok źle zorganizowanego obozu, zaniedbanych koni, albo niechlujnych żołnierzy. Tego wieczoru jadłem kolację z dwudziestoma sześcioma nowymi towarzyszami broni – oficerami i bałem się, że w swojej zapalczywości zbyt wyraźnie wskażę im, że znalazłem tu rzeczy wyraźnie różniące się od tego, do czego przywykłem w armii stacjonującej w Niemczech.

Po moich uwagach, w kantine zapadła cisza i z rzucanych w moim kierunku spojrzeń wyczułem, że popełniłem niedyskrecję. Szczególnie wściekły był pułkownik, a siedzący naprzeciwko mnie wielki major nazwiskiem Olivier – najgorszy warchoł w pułku – podkręcał bujne, czarne wąsiska i gapił się, jakby chciał mnie żywcem pożreć.

Nie miałem o to pretensji, ponieważ czułem, że naprawdę byłem niedyskretny i wiedziałem, iż wywarłbym złe wrażenie, gdybym już pierwszego wieczoru wszczął kłótnię ze starszym rangą oficerem.

Muszę przyznać, że popełniłem wtedy błąd i postąpiłem niesłusznie, ale posłuchajcie, przyjaciele, co było dalej.

Kolacja minęła, pułkownik i kilku oficerów opuścili kantinę mieszczącą się w chłopskim domu. Pozostało nas około dwunastu i dzięki workowi z kozłej skóry, pełnemu hiszpańskiego wina, nabraliśmy lepszego humoru.

Wkrótce major Olivier zaczął zadawać mi jakieś pytania dotyczące armii w Niemczech, oraz na temat mojej roli w kampanii napoleońskiej. Podochocony winem, snułem jedną opowieść za drugą – co, moi przyjaciele, jest przecież zupełnie zrozumiałe.

Pewnie podzielicie moje zdanie, bowiem dla wielu oficerów w moim wieku, byłem wówczas w armii żołnierzem modelowym. Byłem też najlepszym szermierzem, pełnym fantazji jeźdźcem, bohaterem stu przygód. A tu, co stwierdziłem z przykrością, nie tylko nie byłem nikomu znany, ale wręcz nie lubiany. Czy zatem było to nienaturalne, że chciałem opowiedzieć tym dzielnym towarzyszom broni, jakiego to rodzaju człowiek znalazł się wśród nich? Czy więc nie było to zupełnie naturalne, gdybym wówczas zawołał:

– Radujcie się, przyjaciele, radujcie! Dziś wieczorem nie dołączył do was zwyczajny człowiek, ale ja, GERARD, bohater spod Ratyzbony, zwycięzca spod Jeny, człowiek który przełamał czworobok pod Austerlitz!

Ale nie zawołałem. Mogłem jednak opowiedzieć im o pewnych wypadkach, które dałyby im wyobrażenie całości. I tak też zrobiłem. Słuchali jak sparaliżowani, a ja się coraz bardziej rozkręcałem. W końcu, po opowieści, jak przeprowadziłem Armię przez Dunaj, wszyscy wybuchli gromkim śmiechem. Podskoczyłem czerwony ze wstydu i gniewu. Doprowadzili mnie do tego! Oni po prostu zakpili ze mnie! Byli przekonani, że się przechwalam i łżę!

Czy tak miało wyglądać przyjęcie mnie do huzarów Conflans?

Poczułem, jak w oczach zbierają mi się łzy wściekłości, a gdy zauważyli, że je wycieram – zaczęli się jeszcze głośniejszym śmiać.

– Rotmistrz Pelletan, wiecie, czy marszałek Lannes jest jeszcze w armii? – zapytał major.

– Myślę, że tak, panie majorze – odparł Pelletan.

– Doprawdy? Myślałem, że teraz jego obecność, gdy dołączył do nas rotmistrz Gerard, jest już zbędna.

I znowu wszyscy ryknęli śmiechem. Do dziś mam przed oczami krąg twarzy, kpiący wzrok, otwarte usta – Oliviera z jego czarną szczecina, chudego, szydzącego Pelletana, a nawet młodych podporuczników zwijających się w ataku śmiechu. Wielkie Nieba, jakie upokarzające zachowanie! Jednak wściekłość osuszyła moje łzy. Znowu byłem sobą, zimnym, spokojnym, samowystarczalnym i lodowatym na zewnątrz, lecz płonącym wewnątrz Gerardem!

– Czy mogę pana zapytać, majorze – zwróciłem się do majora – o której godzinie pułk rozpoczyna paradę?

– Ufam rotmistrzowi Gerard, że nie będziesz chciał zmieniać naszych godzin – rzekł i znowu nastąpiła eksplozja śmiechu, gasnąca, gdy kolejno przenosiłem wzrok po zebranych.

– O której godzinie pobudka? – rzuciłem szybkie pytanie rotmistrzowi Pelletanowi.

Już chciał skwitować to pytanie jakąś złośliwą uwagą, ale widząc mój wzrok rzekł tylko:

– O szóstej.

– Dziękuję – odparłem.

Policzyłem zebranych i stwierdziłem, że miałem do czynienia z czternastoma oficerami, z których dwóch, jak się okazało, było świeżo po szkole wojskowej St. Cyr. Postanowiłem ich pominąć i skupić się na majorze, czterech rotmistrzach i siedmiu porucznikach.

– Panowie – kontynuowałem patrząc kolejno na nich – byłbym się czuł niegodny tak słynnego pułku, gdybym nie zażądał od was satysfakcji za tak niegrzeczne przyjęcie, ale również uważałbym was za niegodnych tego pułku, gdybyście pod byle pretekstem odmówili mojemu żądaniu.

– W tym względzie nie będzie pan miał żadnych trudności – odparł major. – Jestem gotów odstąpić od praw wynikających z wyższości mojej rangi i dać panu każdą satysfakcję w imieniu huzarów Conflans.

– Dziękuję panu – odparłem. – Czuję jednak, że mogę też zmierzyć się z innymi panami, którzy bawili się moim kosztem.

– Zatem, z którymi chcesz pan walczyć? – zapytał rotmistrz Pelletan.

– Ze wszystkimi – odpowiedziałem.

Spojrzeli po sobie zdumieni, potem zebrali się w kącie pokoju i słyszałem, jak o czymś ze sobą szepczą i śmieją się. Najwyraźniej ciągle byli przekonani, że mają do czynienia z jakimś durnym chwalipiętą. Potem wrócili na swoje miejsca.

– Chociaż pańskie wyzwanie jest niezwykle – rzekł major Olivier – jednak zostało przyjęte. Pan ustala, na jakich zasadach ma się odbyć ten pojedynek.

– Szable – zdecydowałem. – Chcę z panami walczyć począwszy od najstarszego rangą – a więc od pana, majorze Olivier, o piątej rano. W ten sposób będę mógł każdemu z panów poświęcić pięć minut i zakończyć pojedynki przed pobudką. Proszę jednak, aby panowie byli tak łaskawi i wskazali mi miejsce spotkania, ponieważ jestem tu nowy i nie

znam dobrze okolicy.

Mój spokój i rzeczowość wywarły na nich wrażenie. Z ust znikł gdzieś ten ich ironiczny uśmieszek i kpiący wyraz twarzy Oliviera, który teraz stał się poważny, niemal ponury.

– Za zagrodą dla koni znajduje się niewielki plac – rzekł – na którym załatwiliśmy już kilka spraw honorowych. Będziemy tam na pana czekać o wyznaczonej godzinie, rotmistrzu Gerard.

W chwili, gdy kłaniałem się w podziękowaniu za ich akceptację, otworzyły się z trzaskiem drzwi wejściowe i do kantyny wpadł pułkownik, z wyrazem wzburzenia na twarzy.

– Panowie – zawołał – polecono mi zapytać, kto z was na ochotnika zechce podjąć się zadania grożącego utratą życia. Nie będę tał przed wami, że sprawa jest w najwyższym stopniu poważna i że marszałek Lannes wybrał oficera kawalerii, ponieważ w razie jego śmierci łatwiej będzie go zastąpić niż oficera piechoty lub wojsk inżynieryjnych. Żonaci nie wchodzą w grę. Kto więc zgłasza się na ochotnika?

Chyba nie muszę mówić, że zgłosili się wszyscy nieżonaci oficerowie. Pułkownik patrzył na nich zakłopotany.

Mogłem sobie wyobrazić, jaki ma dylemat. Powinien iść najlepszy, ale właśnie tego najlepszego chciał oszczędzić.

– Panie pułkowniku – wtrąciłem – czy pozwoli pan coś zasugerować?

Spojrzał na mnie surowo. Nie zapomniał moich uwag wypowiedzianych w czasie kolacji.

– Mów! – rzucił.

– Chciałbym zwrócić uwagę, panie pułkowniku – że ta misja powinna przypaść mnie, według regulaminu i rozsądku.

– Jak to, rotmistrzu Gerard?

– Według regulaminu, ponieważ jestem starszym rotmistrzem, a ze względu na rozsądek dlatego, że mnie najmniej zabraknie w pułku, bowiem ludzie nie zdołali mnie jeszcze poznać.

Wyraz twarzy pułkownika złagodniał.

– Tak, ma pan rację, rotmistrzu Gerard – przyznał. – Myślę, że faktycznie pan się najbardziej nadaje do tej misji. Jeżeli zechce pan pójść ze mną, udzielę panu odpowiednich instrukcji.

Opuszczając kantynę, życzyłem moim towarzyszom broni dobrej nocy i przypomniałem, że o piątej rano będę do ich dyspozycji. Skłonili się w milczeniu i domyślałem się z wyrazu ich twarzy, że zaczęli mnie bardziej sprawiedliwie oceniać.

Spodziewałem się, że pułkownik zaraz poinformuje mnie, do czego zostałem wyznaczony, jednak zamiast tego szedł w milczeniu, a ja za nim.

Minęliśmy obóz, szańce i stosy kamieni, będące pozostałościami starych murów miasta. Potem szliśmy labiryntem przejść między wysadzonymi przez naszych saperów domami. Całe połacie zdobytego terenu usłane były resztkami ścian i stosami cegieł tego, co dawniej było przedmieściem.

Biegące przez nie szlaki oświetlały latarnie, a napisy wskazywały kierunki.

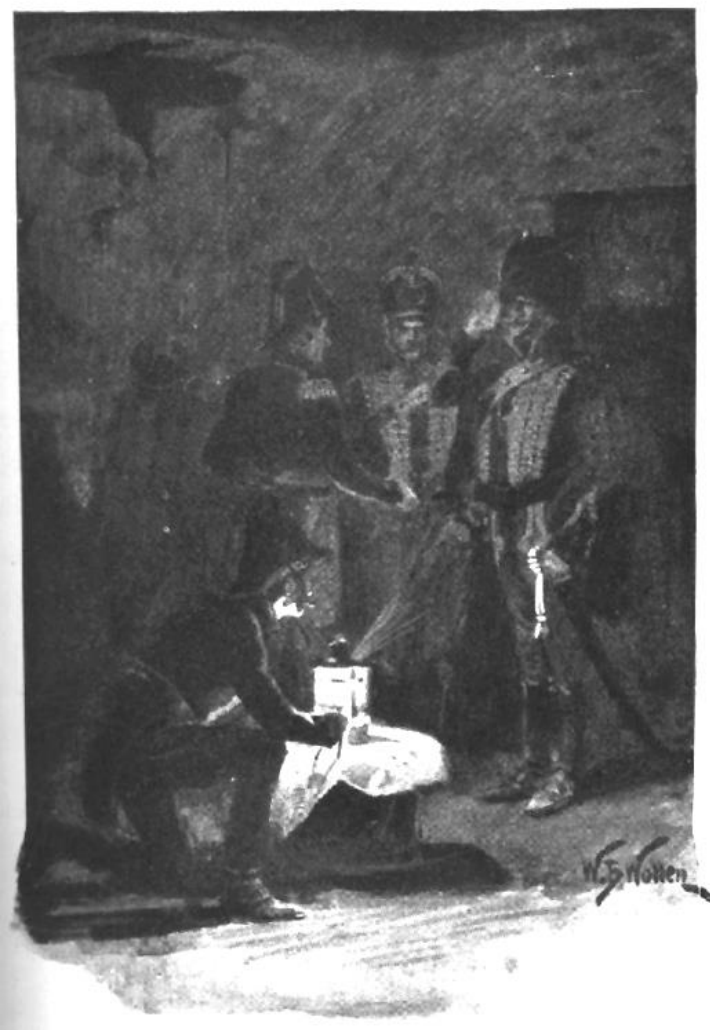
Pułkownik szedł dalej, aż w końcu, po dość długim marszu trafiliśmy na drogę prowadzącą do wysokiego, szarego muru, który zagroził nam dalszą drogę. Tu, za barykadą, założono naszą straż przednią. Pułkownik wprowadził mnie do domu pozbawionego dachu i znalazłem w nim dwóch oficerów sztabowych z rozpostartym przed nimi na bębnie planem miasta. Klęczeli przed nim i oświetlając latarkami badali go starannie. Jednym z nich, gładko ogolonym i z długą szyją, był marszałek Lannes, drugim zaś generał Razout, dowódca wojsk inżynieryjnych.

– Rotmistrz Gerard zgłosił się na ochotnika – zakomunikował pułkownik.

Marszałek Lannes wstał i uściskał mi dłoń.

– Jesteś pan dzielny człowiekiem – rzekł. – Mam dla pana prezent – dodał, wręczając mi bardzo małą, szklaną rurkę. – Znajduje się w niej specjalny preparat doktora Fardeta. W razie konieczności proszę przyłożyć otwarty koniec tej rurki do ust, wypić zawartość i nastąpi natychmiastowa, bezbolesna śmierć.

Nie był to zachęcający wstęp. Muszę wam wyznać, przyjaciele, że poczułem wzdłuż kręgosłupa lodowaty dreszcz i na głowie uniosły mi się włosy.



Poczułem wzdłuż kręgosłupa lodowaty dreszcz i na głowie uniosły mi się włosy

– Proszę mi wybaczyć, panie marszałku – rzekłem salutując – ale uprzedzono mnie, że zgłaszając się na ochotnika, podjąłem się wykonania bardzo niebezpiecznego zadania, jednak, jak dotąd, nie otrzymałem bliższych o nim szczegółów.

– Pułkownik Perrin – rzekł surowo Lannes – to nie w porządku, że przyjąłeś pan zgłoszenie tego dzielnego człowieka przed poinformowaniem go, na jakie niebezpieczeństwo zostanie wystawiony.

Tymczasem zdążyłem już odzyskać moją zwykłą odwagę.

– Panie marszałku – oświadczyłem – proszę pozwolić, że uczynię pewną uwagę – chwała jest tym większa, im większe niebezpieczeństwo. I tylko żałowałbym, gdyby moje zgłoszenie na ochotnika nie łączyło się z żadnym poważnym ryzykiem.

Było to imponujące oświadczenie i moja postawa dodała tym słowom mocy. Przez moment tkwiłem tam, sprawiając wrażenie prawdziwego bohatera.

Ujrzałem wlepiony we mnie, pełen podziwu wzrok marszałka Lannesa i zadrżałem na myśl, jak wspaniały to byłby debiut w armii, na terenie Hiszpanii.

Gdybym tej nocy zginął, moje nazwisko przeszłoby do historii. Moi nowi i starzy towarzysze broni – mimo dzielących nas różnic – otrzymaliby łączący ich w czasie spotkania wspólny temat, w którym wyrażaliby miłość i podziw dla Etienne Gerarda.

– Generale Razout, proszę wyjaśnić sytuację – polecił krótko Lannes.

Oficer wojsk inżynieryjnych wstał, trzymając jeszcze cyrkiel w ręce, podprowadził mnie do drzwi i wskazał wysoki, szary mur wznoszący się nad zrujnowanymi domami.

– To obecna linia obrony wroga – rzekł. – Ta ściana należy też do wielkiego klasztoru Madonny. Jeżeli go zajmiemy, padnie też całe miasto, ale oni wszędzie pozakładali miny, a ściany są tak grube, że przebicie ich przy pomocy artylerii byłoby niezmiernie trudne. Jednak przypadkowo dowiedzieliśmy się, że nieprzyjaciel ulokował skład prochu w jednej z najniżej położonych cel. Gdyby ten proch eksplodował, utorowałyby nam drogę.

– Jak się tam dostać? – spytałem.

– Zaraz wyjaśnię. Mamy w mieście agenta imieniem Hubert. Ten dzielny człowiek jest w ciągłym kontakcie z nami i przyrzekł wysadzić ten skład prochu. Miał to zrobić wcześniej rano i od dwóch dni czeka w pogotowiu oddział szturmowy złożony z tysiąca grenadierów. Jednak eksplozja nie nastąpiła i od dwóch dni nie mamy żadnych wiadomości od Huberta. Pańskie zadanie polega na tym, żeby się dowiedzieć, co się z nim stało?

– I pan chce, żebym tam poszedł i dowiedział się tego?

– Dokładnie. Jest chory, ranny, a może martwy? Mamy na niego czekać, czy powinniśmy spróbować ataku gdzie indziej? Sami nie możemy o tym decydować, póki się nie dowiemy, co się z nim stało. Tu mamy plan miasta, rotmistrzu Gerard. Widzi pan na nim pierścień utworzony przez klasztory i monastypy, a w jego centrum plac, od którego rozchodzi się wiele ulic. Po dotarciu na ten plac, w jego rogu zobaczy pan katedrę. W tym samym rogu odchodzi od placu ulica Toledo. Hubert mieszka w małym domu stojącym między szewcem i winiarnią, po prawej stronie od katedry. Nadąża pan za mną?

– Całkowicie.

– Ma pan dotrzeć do tego domu, zobaczyć się z Hubertem i dowiedzieć się, czy

jego plan jest jeszcze możliwy do zrealizowania, czy też musimy go porzucić.

Wyciągnął coś, co okazało się brudną, flanelową szatą.

– To strój franciszkańskiego mnicha – objaśnił. – Przekona się pan, że to najlepsze przebranie.

Wzdrygnąłem się.

– To mnie zmieni w szpiega! – wykrzyknąłem. – Czy nie mogę tam iść w moim mundurze?

– To niemożliwe! Miałbyś pan w nim paradować otwarcie ulicami miasta? Pamiętaj, że Hiszpanie nie biorą jeńców, a jest niemal pewne, że wtedy wpadłbyś w ręce Hiszpanów i pański los byłby przesądzony.

To była prawda, byłem już dość długo w Hiszpanii, żeby wiedzieć, że ten los byłby pewnie czymś znacznie gorszym od zwykłej śmierci. Wzdłuż całej drogi od granicy słyszałem ponure opowieści o torturach i okaleczeniach. Szybko przebrałem się w habit Franciszkanina.

– Jestem gotów – oznajmiłem.

– Jest pan uzbrojony?

– Mam szablę.

– Usłyszają jej brzęk. Weź sztylet, szablę zostaw tutaj. Powiedz Hubertowi, że o czwartej, przed świtem oddział szturmowy będzie znowu gotów do akcji. Na zewnątrz czeka sierżant, który pokaże panu, jak się dostać do miasta. Dobrej nocy i powodzenia!

Zanim zdążyłem wyjść z pokoju, obaj generałowie pochyłili głowy w swoich kogucich kapeluszach, nad planem miasta. Przed drzwiami czekał na mnie podoficer saperów.

Zacisnąłem silniej sznur opasujący szatę, zdjąłem czako i naciągnąłem na głowę kaptur. Zdjąłem też ostrogi. Potem poszedłem za moim przewodnikiem.

Musieliśmy poruszać się bardzo ostrożnie, ponieważ wysoko na murach tkwiły szeregi hiszpańskich strażników, którzy nieustannie ostrzeliwali nasze wysunięte posterunki.

Prześlizgnęliśmy się chyłkiem obok niezwykle mrocznego, ogromnego klasztoru i torując sobie ostrożnie drogę wśród zwałów gruzów, dotarliśmy do dużego orzecha, gdzie sierżant zatrzymał się.

– Na to drzewo można się łatwo wspiąć. – rzekł. – Jest tak wygodne niczym drabina. Właż na szczyt i przekonasz się, że z najwyższej gałęzi możesz się łatwo przedostać na dach tego domu. Dalej niech cię prowadzi twój Anioł Stróż, bo ja już więcej pomóc nie mogę.

Podciągnąłem wyżej ciężki, brązowy habit i zacząłem się wspinać na drzewo. Błyszczało odbijające się światło księżycy w pierwszej kwadrze, wyżej czernił się dach domu na tle fioletowego, rozgwieżdżonego nieba. Drzewo rosło w cieniu tego domu.

Powoli wspinałem się z gałęzi na gałąź, aż w końcu znalazłem się niemal na wierzchołku. Pozostało tylko przesunąć się po grubym konarze i zeskoczyć na mur. Jednak nagle usłyszałem kroki. Przyłgnąłem do pnia, próbując zmieszać się z jego cieniem. Po dachu szedł prosto na mnie jakiś człowiek. Zobaczyłem, że z uniesioną głową i sterczącą lufą muszkietu, pochylony zaczyna się skradać. Całe jego zachowanie

świadczyło o ostrożności i podejrzeniu. Kilka razy zatrzymał się, a potem skradał się dalej, aż na skraj gzymsu znajdującego się kilka metrów ode mnie. Potem uklęknął, zniżył lufę muszkietu i wystrzelił.

Byłem tak zaskoczony tym nagłym hukiem tuż przy moim łokciu, że omal nie spadłem z drzewa. W pierwszej chwili nie byłem pewien, czy kula nie trafiła we mnie. Lecz, gdy usłyszałem pod sobą głośny jęk, a Hiszpan przechylił się przez gzyms i głośno roześmiał, zrozumiałem, co się stało. To był mój biedny, wierny sierżant, który czekał na dole, żeby się upewnić, że bezpiecznie przejdę na dach. Hiszpan dostrzegł go stojącego pod drzewem i strzelił.

Możecie pomyśleć, że nie mógł to być celny strzał w panującej ciemności, lecz ci ludzie używali garłaczy – z reguły stosowanych przez piratów – nabitych wszelkiego rodzaju kamykami i skrawkami żelaza i dlatego mogli trafić każdego, tak jak ja trafiałem w ciemności bażanta na gałęzi. Hiszpan usiłując przebić wzrokiem ciemności, patrzył w dół, słysząc od czasu do czasu jęk świadczący, że sierżant jeszcze żyje. Rozejrzał się dookoła, ale wszędzie panował spokój.

Być może chciał skończyć z tym przeklętym Francuzem, jednak cokolwiek zamierzał zrobić, odłożył broń, postąpił kilka kroków do przodu i... przelazł na drzewo. W tym momencie wbiłem w niego sztylet i z głośnym trzaskiem runął przez gałęzie, lądując z łoskotem na ziemi. Usłyszałem odgłosy krótkiej walki, której towarzyszyło kilka przekleństw po francusku.

Ranny sierżant cierpliwie czekał na okazję do zemsty.

Przez kilka minut nie ośmieliłem się nawet drgnąć, byłem bowiem niemal pewien, że ktoś mógł usłyszeć hałas.

Jednak ciszę przerwało tylko bicie miejskich zegarów oznajmiających północ. Przesunąłem się po gałęzi i wspiałem się na dach. Leżał tam garłacz Hiszpana, ale nie była to broń, która mogłaby mi się przydać, bowiem przy pasku nie wisiał rożek z prochem. Równocześnie, gdyby znaleziono ją przy mnie, mogłaby zdradzić wrogowi, że coś się wydarzyło – więc pomyślałem, że najlepiej przerzucić garłacz przez mur na naszą stronę.

Następnie rozejrzałem się, w jaki sposób mógłbym zejść z dachu.

Najwyraźniej najprostszym sposobem było zejście tą samą drogą, jaką Hiszpan wszedł na dach, ale co to była za droga o tym zaraz opowiem. Stojąc na dachu usłyszałem głos wołający:

– Manuelo! Manuelo!

Ukryłem się w cieniu i zobaczyłem w świetle księżyca wylaniającą się z klapy wejściowej na dach brodatą postać.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, mężczyzna wylazł na dach, a za nim jeszcze trzech drabów – wszyscy uzbrojeni po zęby.

Zaraz się, przyjaciele, przekonacie, jak ważne jest zachowanie nawet najmniejszej ostrożności, dla której też między innymi pozbyłem się pozostawionego przez strażnika garłacza, bowiem gdybym go zachował, banda natychmiast by mnie zdemaskowała! Jednak w tej sytuacji, wartownicy nie znalazłszy śladu po koledze, pomyśleli, że niewątpliwie poszedł dalej wzdłuż dachu, przedostając się na inne domy. Będąc o tym

przekonani poszli za nim, a ja natychmiast, gdy tylko odwrócili się do mnie plecami, pobiegłem do otwartej klapy i zbiegłem na dół po schodach. Ten dom był najwyraźniej niezamieszkały, dlatego bez przeszkód wybiegłem na ulicę.

Była to wąska i pusta uliczka łącząca się z szeroką drogą, na której płonęły ogniska, a wokół nich spali żołnierze i chłopci.

W mieście panował okropny smród; dziwiłem się, jak ludzie mogli tu żyć przez wiele miesięcy oblężenia, nie sprząając ulic i nie grzebiąc zmarłych.

Wielu ludzi chodziło od ogniska do ogniska i między innymi widziałem też mnichów. Widziałem, że chodzili nie pytani o nic, więc nabrałem odwagi i szybko skierowałem kroki w stronę wielkiego placu. Od jednego z ognisk wstał jakiś człowiek i chwycił mnie za rękaw. Wskazał leżącą bez ruchu kobietę i stwierdziłem, że sądząc, iż jest umierająca, chce abym udzielił jej ostatniej posługi. Uciekłem się do resztek zapomnianej łaciny i wypowiedziałem nad nią spod kaptura: Ora pro nobis. Te Deum laudamus. Ora pro nobis.

Mówiąc to uniosłem rękę i wskazałem przed siebie. Mężczyzna puścił mój rękaw i odsunął się w milczeniu, a ja czyniąc jakiś uroczysty znak ręką udałem się w dalszą drogę.

Tak jak przypuszczałem, ta szeroka droga prowadziła do centralnego placu zapelnionego wojskiem i ogniskami. Szybko poszedłem dalej, nie zwracając uwagi na kilku ludzi, którzy rzucali w moim kierunku jakieś uwagi. Minąłem katedrę i wszedłem w ulicę, którą mi opisano. Znajdując się w miejscu, które nie było przez nas atakowane, nie znalazłem tu obozujących żołnierzy i cała ulica była pogrążona w ciemnościach, rozjaśnianych tylko sporadycznie światłami padającymi z okien domów. Między szewcem i winiarnią, z łatwością znalazłem wskazany dom. Nie paliło się w nim żadne światło, a drzwi były zamknięte. Ostrożnie nacisnąłem klamkę i poczułem, że się poddaje – nie wiedziałem, kogo zastanę w środku, ale musiałem zaryzykować. Pchnąłem drzwi i wszedłem.

W środku było zupełnie ciemno, a tę ciemność pogłębiło jeszcze zamknięcie drzwi. Macając dookoła, natrafiłem na skraj stołu. Zatrzymałem się, zastanawiając się, co dalej robić i w jaki sposób mam zdobyć wiadomości od Huberta, w którego domu się znajdowałem. Każdy błąd groził klęską. Być może nie mieszkał sam. Może był tylko sublokator przy hiszpańskiej rodzinie i moja wizyta mogła się stać dla niego i dla mnie przyczyną nieszczęścia. Rzadko w moim życiu znajdowałem się w tak kłopotliwej sytuacji. A potem nagle poczułem, jak krew ścina mi się w żyłach. Był to głos, a raczej ochryply szept:

– Mon Dieu... Mon Dieu... – a po nim z ciemności doszedł do mnie dźwięk podobny do szlochu – i nastąpiła cisza.

Trząsnę się cały z przerażenia. Ten okropny odgłos przeraził mnie, ale i natchnął czymś w rodzaju nadziei, ponieważ słowa te wypowiedział Francuz.

– Kto tam? – zapytałem.

W odpowiedzi usłyszałem tylko jęk.

– Czy to pan, monsieur Hubert?

– Tak, tak – odpowiedział głos tak cicho, że ledwo dosłyszałem. – Wody, wody, na

litość boską, wody!

Ruszyłem w kierunku tego głosu, ale napotkałem tylko ścianę. Znowu jęk. Tym razem wyraźnie dochodził z góry, nad moją głową. Wyciągnąłem rękę, jednak chwyciłem tylko powietrze.

– Gdzie pan jest?! – krzyknąłem.

– Tutaj! Tutaj! – odezwał się dziwny, drżący głos.

Znowu wyciągnąłem rękę, macając wzdłuż ściany i chwyciłem bosą stopę. Znajdowała się na wysokości mojej twarzy, a jednak z tego co namacałem, na niczym się nie opierała. Cofnąłem się zdumiony i przerażony. Wyciągnąłem z kieszeni krzesiwo i zapaliłem światło. W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że ten człowiek przede mną wisi w powietrzu i w pierwszym odruchu zdumienia upuściłem puszkę z krzesiwem. Podniosłem ją drżącymi rękoma i rzuciłem iskrę na hubkę. Tym razem, po zapaleniu hubki, przeniósłem płomień na długą, woskową świecę. Uniosłem ją wysoko i to, co ujrzałem co prawda zmniejszyło moje zdumienie, ale równocześnie spotęgowało grozę na widok tego, co się ukazało w jej świetle.

Człowiek był przybity do ściany tak, jak się łasicę przybija do drzwi stodoły. Jego ręce i nogi przebito grubymi skoblami. Ten nieszczęśnik znajdował się w ostatnim stadium agonii, głowa zwisała bezwładnie na ramieniu, z ust zwisał poczerniały język. Umierał zarówno od ran jak i z pragnienia, a te nieludzkie potwory pozostawiły na stole przed nim kubek z winem, aby zwiększyć jego cierpienie.

Uniosłem go do jego ust. Miał jeszcze tyle sił, żeby przełknąć wino i jego gasnące oczy nieco się ożywiły.

– Jesteś Francuzem? – wyszeptał.

– Tak. Wysłano mnie, żebym sprawdził co się panu przytrafiło.

– Wykryli mnie. Chcieli mnie zabić. Jednak zanim umrę, powiem panu wszystko co wiem. Jeszcze trochę wina... proszę! Szybko! Szybko! Już zbliża się koniec. Siły mnie opuszczają. Posłuchaj! Proch został zmagazynowany w celi Matki Przełożonej. Ściana została przewiercona i koniec lontu znajduje się w celi siostry Angeli, obok kaplicy. Wszystko było gotowe już dwa dni temu. Ale oni przechwycili list i torturowali mnie.

– Wielkie Nieba! Więc wisi pan tu już od dwóch dni?

– Które wydają mi się dwoma latami. Towarzyszu, dobrze służyłem Francji, prawda? Zatem wyświadcz mi jeszcze tę drobną przysługę. Przebij mi serce, przyjacielu! Błagam cię, zrób to, skróć moje cierpienia.

Ten człowiek rzeczywiście znajdował się w beznadziejnym położeniu i dla niego taki czyn byłby prawdziwym uwolnieniem od cierpień.

A jednak nie mogłem tak z zimną krwią zatopić sztylet w jego piersi, chociaż byłem przekonany, że będąc w jego położeniu, też błagałbym o to samo. Nagle wpadła mi do głowy nowa myśl. Miałem w kieszeni środek powodujący natychmiastową, bezbolesną śmierć. Było to moje zabezpieczenie przed torturami, a jednak ten nieszczęśnik potrzebował go natychmiast, a on przecież tak wspaniale służył Francji! Wyjąłem fiolkę i wlałem jej zawartość do wina. Już chciałem podać mu do ust kubek, gdy nagle usłyszałem szcęk broni przed drzwiami. Natychmiast zgasłem światło i ukryłem się za zasłoną, przy oknie.

W następnej chwili otworzyły się drzwi i do domu wpadło dwóch Hiszpanów. Byli wysocy, dzicy, smagli, po cywilnemu, ale z muszkietami na ramionach. Zerknąłem przez szparę w zasłonach i stwierdziłem, że najwyraźniej przyszli nasycić wzrok cierpieniem umierającego.

Jeden z nich niósł latarnię, którą oświetlił Huberta, po czym obaj wybuchnęli kpiącym śmiechem. Potem, oczy tego z latarnią spoczęły na stojącym na stole kubku z winem. Chwycił i z szatańskim uśmiechem przytknął go do ust Huberta, a gdy ten wychylił głowę, aby się napić, cofnął go i sam pociągnął długi łyk. Natychmiast głośno krzyknął, chwycił się za szyję i padł martwy na podłogę. Jego towarzysz patrzył na niego z przerażeniem i zdumieniem. Następnie, ogarnięty zabobonnym strachem, wydał okrzyk zgrozy i jak szalony wybiegł z pokoju. Usłyszałem dziki tupot jego butów na bruku, aż w końcu ucichł gdzieś w oddali.

Zapalona latarnia ciągle stała na stole i przy jej świetle widziałem przez szparę w zasłonach, że głowa nieszczęsnego Huberta zwisa bezwładnie na jego piersi i że on też był martwy. Ten ruch w kierunku kubka z winem był jego ostatnim. W domu słychać było głośne tykanie zegara, ale poza tym panowała niczym nie zmacona cisza.

Na ścianie wisiało wykręcone ciało Francuza, a na podłodze nieruchome ciało Hiszpana – wszystko w mdłym świetle latarni. Po raz pierwszy w życiu poczułem gwałtowny skurcz grozy. Widziałem tysiące ludzi leżących na ziemi, w każdym wyobraźnym stopniu okaleczenia, lecz ich widok nigdy nie działał na mnie tak, jak widok tych dwóch milczących postaci towarzyszących mi w tym ponurym pokoju. Wyszedłem na ulicę, chcąc jak najszybciej uciec z tego domu i zostawić go daleko za sobą, kierując się w cieniu katedry. Dopiero tam, w końcu opanowałem się i doszedłem do siebie.

Kryjąc się w cieniu, zacząłem się zastanawiać, co dalej robić. Kiedy tak stałem, nad moją głową, wielkie mosiężne dzwony wybiły godzinę drugą. Kolumna szturmowa miała uderzyć o czwartej. Miałem więc dwie godziny na akcję.

Katedra była wewnątrz jasno oświetlona. Wchodziło do niej i wychodziło wielu ludzi, zatem i ja wszedłem przekonany, że jest mało prawdopodobne, aby ktoś mnie zaczepił i będę tam mógł spokojnie przemyśleć plan dalszego działania. Wnętrze przedstawiało szczególny widok – miejsce to zmieniono na szpital, schronienie i magazyn. W jednej z naw zgromadzono zapasy żywności, a w innej leżeli stłoczeni ranni i chorzy, natomiast w centrum tłoczyli się bezradni ludzie, jakby tu mieli znaleźć swój dom i nawet na mozaikowej posadzce rozpalali ogniska.

Wielu się modliło, więc i ja uklęknałem w cieniu filara i zacząłem się żarliwie modlić o to, abym uszedł z tego cało i żeby moje imię stało się tak sławne w Hiszpanii, jakim było już w Niemczech.

Zaczekałem, aż zegar wybije trzecią, po czym opuściłem katedrę i udałem się do klasztoru Madonny, gdzie miał się skierować nasz atak.

Panowie, którzy mnie dobrze znają, mogą sobie wyobrazić, że nie należę do ludzi mogących spokojnie wrócić do francuskiego obozu z raportem, że nasz agent nie żyje i że należy znaleźć inny sposób wejścia do miasta. Postanowiłem, że albo dokończę rozpoczętą akcję, albo stanowisko rotmistrza pierwszej klasy w huzarach Conflans będzie

wolne.

Minąłem bez przeszkód szeroki bulwar, który już wam opisałem i dotarłem do wielkiego, kamiennego klasztoru tworzącego zewnętrzną linię obronną.

Klasztor tworzył czworobok, z ogrodem w środku. W ogrodzie zgromadziło się kilkuset mężczyzn – wszyscy czujni i uzbrojeni, ponieważ każdy w mieście wiedział, że Francuzi rozpoczną szturm właśnie w tym miejscu. Do tej pory, w całej Europie toczyliśmy bitwy, armia przeciwko armii. Tylko tu, w Hiszpanii, doświadczyliśmy grozy walki przeciwko wszystkim mieszkańcom.

Z jednej strony, co to za chwała pokonać motłoch podstarzałych sklepikarzy, tępych chłopów, fanatycznych księży, podekscytowanych kobiet i wszystkich innych nędznych kreatur tworzących ten garnizon?

Z drugiej strony, istniało tam wielkie niebezpieczeństwo, bowiem ci ludzie nie dawali nam chwili spokoju, nie przestrzegali żadnych reguł wojny i czynili rozpaczliwe wysiłki, aby nie przebijając w środkach zaszkodzić nam.

Miałem tego pełną świadomość, jak wstrętne było nasze zadanie, gdy spoglądałem na te bezładne grupy zbierające się wokół ognisk strażniczych w ogrodzie klasztoru Madonny. Nie dla nas żołnierzy polityka, ale na tej wojnie w Hiszpanii od samego początku ciążyło jakieś przekleństwo.

Jednak w tym momencie nie miałem czasu zastanawiać się nad podobnymi sprawami. Do ogrodu – jak już wspomniałem – nie było trudno wejść, ale trudno było nie pytanym wejść do klasztoru.

Wpierw zacząłem spacerować po ogrodzie i wkrótce spostrzegłem duże witrażowe okno, z pewnością należące do kaplicy. Wiedziałem od Huberta, że cела Matki Przełożonej, w której zgromadzono proch, znajdowała się obok i że lont został przeciągnięty przez otwór w ścianie, do celi leżącej w sąsiedztwie. Musiałem za wszelką cenę dostać się do wnętrza klasztoru.

Przy drzwiach stała warta, zatem jak mogłem wejść bez wyjaśnienia, po co to robię? Nagle doznałem natchnienia. W ogrodzie była studnia, a obok studni stało kilka pustych wiader. Napełniłem dwa wiadra i podszedłem do drzwi. Człowiek niosący w każdej ręce wiadro pełne wody nie musi się tłumaczyć. Strażnik otworzył drzwi i przepuścił mnie. Znalazłem się w długim, wyłożonym kamiennymi płytkami korytarzu oświetlonym latarniami, z celami mniszek po jednej stronie. W końcu znalazłem się na drodze prowadzącej do osiągnięcia ostatecznego celu. Szedłem bez wahania, ponieważ z obserwacji w ogrodzie wiedziałem, jak trafić do kaplicy.

W korytarzu leżało wielu hiszpańskich żołnierzy, paląc fajki, a kilku nawet zagadnęło mnie, gdy ich mijałem. Domyśliłem się, że chcieli błogosławieństwa i moje „Ora pro nobis” wydawało się całkowicie ich zadowalać. Wkrótce dotarłem do kaplicy i z łatwością przekonałem się, że położona obok cела używana była jako magazyn, bowiem posadzka przed nią była czarna od prochu. Drzwi były zamknięte i dwóch groźnych drabów trzymało przed nimi wartę. U jednego z nich zwisał u pasa klucz. Gdybyśmy byli w tym miejscu tylko we dwóch, szybko uporaliśmy się z nim i zabrał mu ten klucz, ale w obecności jego towarzysza niemożliwością było zdobycie go siłą. Następne drzwi prowadziły do celi siostry Angeli. Były uchylone. Zebrałem całą odwagę,

postawiłem na posadzce korytarza wiadra i przez nikogo nie zatrzymywany wszedłem do celi.

Byłem przygotowany na obecność z pół tuzina dzikich hiszpańskich desperados, ale to, co ujrzałem sprawiło mnie w ogromne zakłopotanie. Ta celda najwyraźniej nie miała być używana przez zakonnice, jednak niektóre z nich z jakiegoś powodu odmówiły wyjścia. Zostałem w niej trzy mniszki – starszą damę o surowym spojrzeniu, najwyraźniej Matkę Przełożoną i dwie, wybitnie piękne, młode niewiasty. Siedziały razem w odległym kącie celi, ale wszystkie szybko wstały na mój widok i z ich zachowania odniosłem ze zdumieniem wrażenie, że spodziewały się mnie i czekały na mnie. Natychmiast opanowałem się i oceniłem sytuację.

Ponieważ można się było spodziewać szturm na klasztor, siostry miały pewnie nadzieję, że zaprowadzę je w jakieś bezpieczne miejsce. Prawdopodobnie złożyły ślubowanie, że nigdy nie opuszczą murów klasztoru i teraz zgromadziły się w tej celi, oczekując nowych poleceń.

W każdym razie przystosowałem moje zachowanie do tego przypuszczenia, bowiem było zupełnie jasne, że muszę je usunąć z tej celi, a to dawało mi znakomity pretekst.

Spojrzałem na drzwi i zauważyłem, że klucz tkwi w zamku. Potem dałem mniszkom znak, żeby poszły za mną. Matka Przełożona zadała mi jakieś pytanie, ale potrząsnąłem tylko głową i ponownie skinąłem na nią.

Zawahała się, ale tupnąłem nogą, dając w ten sposób do zrozumienia, że mają mnie bezwzględnie słuchać.

Ponieważ kaplica wydawała się im względnie bezpiecznym miejscem, zatem zaprowadziłem je tam i ulokowałem jak najdalej od magazynu prochu. Kiedy cała trójka zajęła miejsce przed ołtarzem, moje serce zabiło z radości i dumy – czułem, że została usunięta przeszkoda z drogi wiodącej do celu.

Ale jakże często, przyjaciele, można nie zdawać sobie sprawy, kiedy nastąpi moment największego niebezpieczeństwa?

Rzuciłem ostatnie spojrzenie Matce Przełożonej i ku mojej konsternacji ujrzałem, że jej świdrujące, czarne oczy wpatrują się – z wyrazem zaskoczenia pogłębionego podejrzeniem – w moją prawą rękę.

Dwie rzeczy mogły przyciągnąć jej uwagę. Jedną, to fakt, że moja ręka była czerwona od krwi tego strażnika, którego zasztyletowałem na drzewie, chociaż ten fakt można było łatwo wytłumaczyć, jako, że wśród duchownych Saragossy sztylet był równie popularny jak brewiarz.

Jednak na moim palcu wskazującym nosiłem też gruby, złoty pierścień – podarunek pewnej niemieckiej baronowej, której nazwiska nie chcę wymieniać – błyszczący teraz w świetle lampy wiszącej nad ołtarzem. No cóż, taki pierścień na palcu mnicha, to rzecz absolutnie niedopuszczalna, ponieważ ślubował on bezwzględne ubóstwo.

Szybko się odwróciłem i skierowałem do drzwi kaplicy – jednak nieszczęście już wisiało w powietrzu. Obejrzawszy się dostrzegłem, że Matka Przełożona idzie tuż za mną. Szybko minąłem drzwi kaplicy i pobiegłem wzdłuż korytarza, jednak przeorysza krzyknęła coś w kierunku wartowników stojących przy drzwiach do prochowni. Na

szczęście byłem na tyle przytomny, że też krzyknąłem, wskazując przed siebie i stwarzając wrażenie, że oboje ścigamy ten sam obiekt. Szybko ich minąłem, wskoczyłem do celi, zatrzasnąłem za sobą ciężkie drzwi i zamknąłem je na klucz.

Z dwoma zasuwami – górną i dolną – oraz z potężnym zamkiem pośrodku drzwi stanowiły zaporę, którą trudno byłoby sforsować.

Gdyby jednak byli na tyle bystrzy, aby ustawić pod drzwiami baryłkę z prochem – byłbym skończony. Mieli swoją ostatnią szansę, ponieważ teraz realizowałem końcowe stadium mojej przygody. Tu, ostatecznie, po wielu niebezpieczeństwach, o których tylko kilku mężczyzn mogłoby opowiadać przez całe życie, znalazłem się na końcu lontu, którego drugi koniec tkwił w magazynie prochu. Tymczasem Hiszpanie wyli jak wilki i kolbami muszkietów walili w drzwi.

Nie zwracając uwagi na hałas i wrzaski, rozejrzałem się, szukając lontu, o którym mówił Hubert. Z pewnością leżał gdzieś przy ścianie przylegającej do prochowni. Na rękach i kolanach podczołgałem się, szukając szczeliny w ścianie, ale niczego nie znalazłem. Dwie kule przebiły drzwi i rozpląszczyły się na ścianie. Łomotanie i krzyki stawały się coraz głośniejsze. W rogu celi ujrzałem szarą kupkę. Skoczyłem ku niej z okrzykiem radości, ale odkryłem, że były to tylko zmiecione z posadzki śmieci. Podczołgałem się więc do drzwi, gdzie nie mogła mnie trafić kula – a kule latały po całej celi jak muchy – i próbowałem nie słyszeć wycia, chcąc zebrać myśli i zastanowić się, gdzie mógł się znajdować koniec lontu.

Hubert musiał go sprytnie ukryć, aby nie mogły go znaleźć mniszki. Próbowałem sobie wyobrazić, jak ja bym zrobił, będąc na jego miejscu. Wtedy mój wzrok padł na stojącą w kącie figurkę Świętego Józefa. U jego stóp leżał wieniec z liści, z błyszczącą między nimi lampką. Rzuciłem się w tym kierunku i rozchyliłem liście.

Tak, tak, była tam cienka, czarna linka znikająca w otworze w ścianie. Zapaliłem lont i położyłem się na ziemi. W następnej chwili usłyszałem potężną eksplozję; mury zadrżały i zatoczyły się wokół mnie; sufit pękł. Przez wrzaski przerażonych Hiszpanów przebił się potężny krzyk szturmujących grenadierów. Usłyszałem go jak we śnie – cudownym śnie – a potem już nic więcej nie słyszałem.

Kiedy odzyskałem przytomność, podnosili mnie dwaj francuscy żołnierze, a w mojej głowie huczało jak w młynie.

Wstałem i zataczając się, rozejrzałem dookoła. Tynk z sufitu odpadł, meble były połamane, ale cegły nienaruszone, żadnych śladów zniszczeń murów. Tak, możecie mi wierzyć, mury tego klasztoru były tak solidne, że eksplozja prochowni nie wystarczyła, aby je skruszyć. Jednak była na tyle skuteczna, żeby wywołać wśród obrońców panikę, pozwalającą na wtargnięcie żołnierzy francuskich do środka, przez okna i bez przeszkód, otworzenie bram. Po wyjściu na korytarz zastałem nasze oddziały i spotkałem samego marszałka Lannesa, który wszedł tam razem ze swoim sztabem. Zatrzymał się i z uwagą wysłuchał mojej opowieści.

– Wspaniale, rotmistrzu Gerard, wspaniale! – wykrzyknął. – Te fakty zostaną natychmiast przedstawione Cesarzowi.

– Chciałbym tylko dodać, wasza ekscelencjo – wtrąciłem – że ja tylko dokończyłem pracę, jaką zaplanował i wykonał monsieur Hubert, człowiek który swój

czyn przyplacił zyciem.

– Jego zasługi nigdy nie zostaną zapomniane – oświadczył marszałek. – Teraz jest w pół do piątej i pewnie jest pan po tylu przejściach bardzo głodny. Ja i mój sztab jemy w mieście śniadanie. Zapraszam pana i zapewniam, że będzie pan, rotmistrzu, honorowym gościem.

– Dziękuję, ale zanim podążę za waszą ekscelencją – powiedziałem – pozwoli pan, że załatwię jeszcze pewne małe spotkanie.

Marszałek spojrział na mnie ze zdumieniem.

– O tej porze?

– Tak, wasza ekscelencjo – odparłem. – Moi towarzysze broni, oficerowie, których dopiero co poznałem, ale nie widziałem od wczorajszego wieczoru, nie darowałoby mi, gdybym nie stawiał się na spotkanie z nimi o pierwszym brzasku.

– A zatem, au revoir – rzekł marszałek Lannes i poszedł dalej.

Wybiegłem przez roztrzaskaną bramę klasztoru.

Po przybyciu do domu bez dachu, w którym przebrałem się za mnicha, zrzuciłem habit, włożyłem czako i przypasałem do boku szablę, którą tu zostawiłem.

Następnie, znowu jako huzar, pospieszyłem do gaju, który był miejscem naszego rendez-vous. Ciągle jeszcze miałem mętlik w głowie od eksplozji prochu i byłem osłabiony emocjami, których doświadczyłem w ciągu tej strasznej nocy.

Cała ta moja wędrówka, obozowe ogniska z gryzącymi dymami, odgłosy budzącego się wojska – wszystko to wydało mi się jakimś dziwnym snem. Dochodzące ze wszystkich stron trąbki i bębny budzącej się i zbierającej piechoty, na odgłos eksplozji i okrzyków szturmujących – to wszystko samo w sobie dawało znać o tym, co się wydarzyło. Szedłem więc bez przerwy, aż w końcu dotarłem do zagajnika drzew korkowych, za stajniami. Ujrzałem tam grupę moich dwunastu towarzyszy broni, z szablami u boków. Kiedy się zbliżyłem, zobaczyłem, że wpatrują się we mnie z zaciekawieniem. Być może moja poczerniała od prochu twarz i poplamiona krwią ręka, wydawały się nie należeć do Gerarda, młodego rotmistrza, z którego minionego wieczoru tak kpili.

– Witam panów! – rzekłem. – Niezmiernie żałuję, że musieliście na mnie czekać, ale nie ja rozporządzałem moim czasem.

Milczeli, ciągle wpatrując się we mnie badawczo. Jeszcze teraz widzę ich, jak stoją przede mną w szeregu, wysocy i niscy, otyli i szczupli. Olivier, ze swoimi wojowniczymi wąsiskami; chuda, podniecona twarz Pelletana; młody Oudin; ożywiony perspektywą pierwszego w życiu pojedynku Mortimer, ze zmarszczonym czołem, na którym widniała blizna od cięcia szablą.

Zdjąłem czako i dobytek szabli.

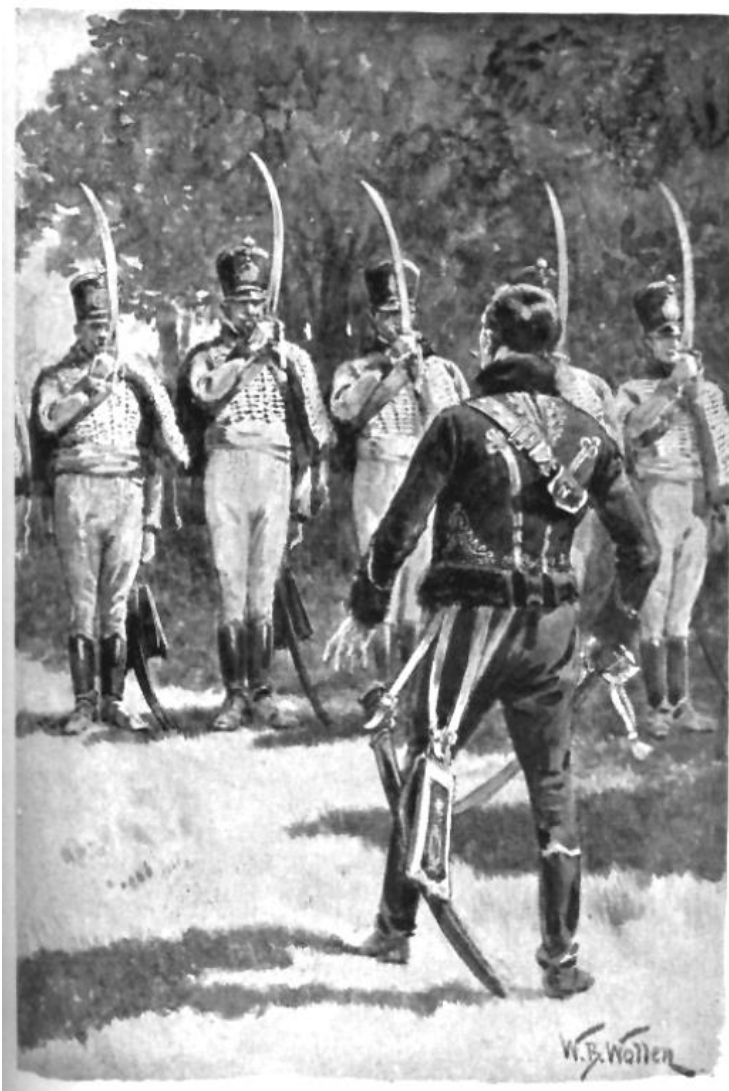
– Muszę was, panowie, prosić o pewną przysługę – powiedziałem. – Marszałek Lannes zaprosił mnie na śniadanie, zatem nie mogę pozwolić, żeby na mnie czekał.

– Co pan proponuje? – zapytał major Olivier.

– Proszę zwolnić mnie z przyrzeczenia, jakie dałem wam w postaci poświęcenia każdemu z was pięciu minut i pozwólcie, abym mógł zaatakować was wszystkich jednocześnie – mówiąc to, czekałem czujnie na ich reakcję.

Ich odpowiedź była doprawdy piękna i prawdziwie francuska. W jednej chwili dwanaście szabel wyfrunęło z pochew i uniosło się przede mną w geście salutu. Cała dwunastka stała bez ruchu na baczność, obcas przy obcasie, każdy z nagą szablą wzniesioną ostrzem w górę, przed twarzą.

Cofnąłem się. Kolejno przenosiłem wzrok od jednego do drugiego. Przez chwilę nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Oddawali mi cześć – ci, którzy przedtem szydzili ze mnie! Wtedy wszystko zrozumiałem. Zaimponowałem im, a oni teraz chcieli naprawić poprzednie zniewagi. Nawet słaby człowiek, stojąc w obliczu niebezpieczeństwa może zachować stalowe nerwy, ale nigdy wobec wzruszenia.



W jednej chwili dwanaście szabel wyfrunęło z pochew i uniosło się przede mną w geście salutu

– Towarzysze! – zawołałem. – Towarzysze...!

Jednak nie mogłem już wykrztusić więcej.

Coś ścisnęło mi gardło i dławiło. W następnej chwili Olivier chwycił mnie w pól. Pelletan ścisnął prawą rękę, Mortimer lewą, inni klepali mnie po ramieniu, albo po plecach, wszędzie widziałem uśmiechnięte twarze i wiedziałem już, że mój pierwszy występ w szeregach huzarów Conflans zakończył się zwycięsko.

XII. Jak brygadier pojechał do Mińska

Dziś wieczorem chcę się napić mocniejszego wina, przyjaciele. Burgunda, nie Bordeaux. Dlatego, że moje serce, serce starego żołnierza jest ciężkie. Może to dziwne, że wiek tak na nas wpływa. Ale nikt nie wie, nikt tego nie zrozumie, że duch zawsze pozostaje ten sam i nie pamięta, jak biedne ciało kruszeje. Bywają jednak chwile, gdy niczym błysk szabli wracają do nas wspomnienia i widzimy siebie takimi, jakimi byliśmy i jakimi jesteśmy teraz. Tak, tak, to było jak dziś, wieczorem, gdy piliśmy Burgunda – białego Burgunda, Montrachet – sir, jestem pańskim dłużnikiem!

To było tego ranka na Champ de Mars. Wybaczcie przyjaciele staremu, że będzie mówił o swoich kłopotach. Widzieliście przegląd wojsk. Czy nie jest to wspaniały widok? Znajdowałem się w miejscu przeznaczonym dla odznaczonych oficerów weteranów.

Przepustką była ta wstążka na mojej piersi – sam krzyż trzymam w domu, w skórzanym pudełku. Uonorowano nas zaszczytnym miejscem, z Cesarzem i jego powozami po naszej prawej stronie.

Od lat już nie brałem udziału w przeglądzie, bowiem nie zgadzałem się z wieloma rzeczami, które tam widziałem. Nie aprobowałem czerwonych bryczesów piechoty. Piechota do walki ubierała białe bryczesy; czerwone są przeznaczone dla kawalerii. Jeszcze trochę, a zażądają naszych futrzanych czap i ostróg! Gdybym uczestniczył w przeglądach, mówiliby, że ja, Etienne Gerard, aprobuję to. Dlatego pozostawałem w domu. Ale ta Wojna Krymska była inna. Mężczyźni idą na wojnę. Nie mogę być nieobecny, gdy dzielni ludzie się gromadzą. Mój Boże, ależ oni maszerowali, ci wspaniali mali piechurzy!

Nie są zbyt wysocy, ale za to silni i wspaniale się prezentują. Kiedy mnie mijali, zdejmowałem czapkę. Za nimi szli saperzy i przed nimi też unosiłem czapkę – nie ma dzielniejszych żołnierzy od saperów! Potem kawaleria, lansjerzy, kirasjerzy, szaserzy i Spahisi. Przed wszystkimi kolejno zdejmowałem czapkę, poza Spahisami.

Cesarz nie miał Spahisów. Kiedy wszyscy inni już przeszli, to – jak myślicie – kto zamykał przegląd wojsk? Brygada huzarów w szyku bojowym!

Och, przyjaciele, cała duma, chwała i piękno; błysk i połysk, ogłuszający tętent kopyt, chrzęst uprzęży, dzwonienie łańcuchów, burza końskich grzyw, szlachetne głowy zwierząt, fale tańczącej stali. Kiedy mnie mijali, moje serce waliło jak bęben. Ale gdzież to mój własny, stary pułk? Mój wzrok padł na szaro--srebrne dolmany z czapkami z lamparciego futra i wtedy natychmiast lata się cofnęły i ujrzałem moich wspaniałych żołnierzy, ich konie, jak zaledwie czterdzieści lat temu cwałują za swoim młodym porucznikiem, szcząc się młodością i siłą. W górę laskę – *Chargez! En avant! Vive l'Empereur!*

To przeszłość wzywała terażniejszość. Lecz oto, cóż to za cienki, piskliwy głos? Czy ten głos niegdyś nie rozchodził się grzmotem od flanki do flanki potężnej brygady? A czyż to ramię, które teraz wznosi w górę laskę, nie było niegdyś tym masywnym i stalowym ramieniem groźnego i potężnego Napoleona? Oni się do mnie śmiali... Zgotowali mi owację. Cesarz śmiał się i kłaniał. Lecz dla mnie terażniejszość, to mgliste,

niewyraźne, senne marzenie, natomiast realnych było ośmiuset martwych huzarów i ten Etienne, dawno, dawno temu...

Dosyć – dzielny mężczyzna może stawić czoła upływowi czasu i losowi, tak jak stawił czoła Kozakom i ułanom. Był jednak czas, gdy Montrachet było lepszym winem od Bordeaux.

Oni wyruszyli do Rosji, zatem dziś opowiem wam o Rosji. Ach, jakimże się to może wydawać szatańskim snem! Krew i lód, lód i krew. Dzikie twarze z oszronionymi wąsami. Zsiniałe od mrozu ręce wyciągają się po chleb. A na wielkiej, białej równinie długa, czarna linia wlokących się postaci. Setki mil powłóczą nogami, potem następną setkę, a dookoła ciągle ta sama biała równina. Tam, gdzieś w oddali rysuje się na tle zimnego, błękitnego nieba ciemna granica jodłowych lasów, lecz czarna linia sunie ciągle dalej i dalej... Ci znużeni, obdarci, wygłodniaли ludzie, z zamrożonym duchem, nie patrząc w prawo ani w lewo, z opuszczonymi głowami, zgarbieni, szli dalej i dalej – dla Francji, tak jak ranne zwierzęta do swoich legowisk. Milczeli, ledwo było słyszeć powłóczenie butów po śniegu. Tylko raz usłyszałem śmiech. Było to przed Wilnem, kiedy adiutant podjechał na czoło tej przerażającej kolumny i zapytał, czy to Wielka Armia? Ci, co szli w kolumnie i usłyszeli pytanie, rozejrzeli się po sobie i widząc tych wszystkich rozbitych ludzi, te przetrzebione pułki, te szkielety w futrzanych czapach, żołnierzy którzy niegdyś byli Gwardią, zaczęli się śmiać i śmiali się, a ten śmiech spadał na rozbity kolumnę jak *feu de joie*. Słyszałem w moim życiu wiele jęków, krzyków i płaczu, lecz nie było nic potworniejszego od tego śmiechu Wielkiej Armii.

Dlaczego jednak Rosjanie nie zniszczyli doszczętnie tych biednych ludzi? Dlaczego nie roznieśli ich na włóczyniach Kozaków, albo nie zostali rozszarpani przez dzikie hordy i zawleczeni jako jeńcy do serca Rosji? Obserwując tę czarną, wijącą się jak wąż linię na śniegu, zauważycie po obu jej stronach ciemne, ruchome cienie, zjawiające się i znikające z flanki, z tyłu lub z przodu, jak dryfujące chmury. To Kozacy krążący wokół nas, niczym wygłodniałe stado wilków.

Ale dlaczego nas nie atakowali? Nawet cały rosyjski lód nie zamroził gorących serc naszych żołnierzy. Oni do samego końca byli gotowi rzucić się między tych dzikusów. Jeden z nich szczególnie się wyróżnił i okazał swoją wielkość, kiedy nasiliło się niebezpieczeństwo, zyskując większą sławę w czasie tej katastrofy niż wtedy, gdy wiódł nasz wódz do zwycięstwa. To na jego cześć wychylałem tę szklanekę – na cześć lwa z rudą grzywą, Neya, rzucającego piorunujące spojrzenia przez ramię na wrogów, którzy bali się do niego za bardzo zbliżyć. Widzę go teraz, jego bladą, szeroką twarz wykrzywioną furją, jego jasnoniebieskie oczy rzucające iskry jak krzemienie, słyszę jego donośny głos przebijający się przez wystrzały z muszkietów. W tych strasznych dniach jego lśniący, trójgraniasty kapelusz był dla mnie znakiem przewodnim.

Powszechnie wiadomo, że ani ja, ani pułk huzarów Conflans nie byliśmy w Moskwie. Pozostaliśmy na liniach komunikacyjnych pod Borodino. To, że Cesarz parł naprzód bez nas, było dla mnie niezrozumiałe, ale później pojąłem, że jego ocena sytuacji nie była już taka, jak kiedyś i że nie był już tym samym człowiekiem co niegdyś. Jednak żołnierz musi słuchać rozkazów, więc zostałem w tej wsi, którą zatruwały wyziewy trzydziestu tysięcy ciał ludzi, którzy stracili życie w wielkiej bitwie. Późną jesień

spędziłem na przywracaniu sprawności koniom i zmianie mundurów moich ludzi. Tak więc, gdy armia wycofała się spod Borodino, moi huzarzy prezentowali się najlepiej w całej kawalerii i zostali ulokowani pod dowództwem Ney'a, w tylnej straży.

Co Ney by zrobił bez nas w tych strasznych dniach?

– Ach, Gerard – powiedział pewnego wieczoru... ale nie do mnie należy cytowanie jego słów. Wystarczy, że wyraził to, co czuła cała Armia. Straż tylna broni straconych pozycji armii, a huzarzy Conflans bronili straż tylną. Takie oto było prawdziwe znaczenie tego, co powiedział.

Kozacy byli zawsze i zawsze ich odpieraliśmy. Ani dnia bez wywijania szablami – ot, zwykła żołnierka.

Nadszedł jednak czas – między Wilnem i Smoleńskiem – kiedy sytuacja stała się beznadziejna. Mogliśmy walczyć z Kozakami i z zimnem, ale nie mogliśmy walczyć z głodem. Za wszelką cenę musieliśmy zdobyć żywność. Tego wieczoru Ney posłał po mnie, abym przyszedł do wozu, w którym sypiał. Ukrył głowę w dłoniach. Był wyraźnie, fizycznie i umysłowo, śmiertelnie zmęczony.

– Pułkownik Gerard – rzekł – sprawy układają się dla nas bardzo źle. Ludzie są głodni. Za wszelką cenę musimy zdobyć żywność.

– Konie... – zasugerowałem.

– Musisz zachować swoją garstkę kawalerzystów, bo inaczej nikt nam już nie zostanie.

– To nie jest garstka, ale cała banda – sprostowałem.

Mimo dręczącej go rozpaczki roześmiał się.

– Dlaczego tak ich nazywasz? – zdziwił się.

– To cenni ludzie, zdolni do walki.

– Dobrze – odparł. – Graj do ostatniej karty i ja też będę tak grał. Doskonale, Gerard! Doskonale!

Uścisnął mi dłoń.

– Mimo wszystko, mamy jeszcze jedną szansę, Gerard.

Zdjął z sufitu wozu latarnię i postawił na mapie leżącej przed nim.

– Na południe od nas – rzekł – leży miasto Mińsk. Rosyjski dezerters poinformował mnie, że w miejskim ratuszu zmagazynowano mnóstwo zboża. Weź tylu ludzi, ilu uważasz, że będzie ci potrzeba i pojedź do Mińska, przechwyć zboże, załaduj na tyle wozów ile zdobędziesz w mieście i przywieź tutaj. Jeżeli ci się nie powiedzie – zmykaj; ale jeżeli ci się powiedzie, to uratujesz Armię.

Nie wyraził się precyzyjnie dlatego, że było jasne, iż jeśli mi się nie powiedzie, to tak po prostu nie ucieknę. To jest jakość, tak samo jak ilość, na którą liczył.

A jednak, ta misja była honorowa i z jak wspaniałym łączyła się ryzykiem! Jeżeli jakiś śmiertelnik może dostarczyć Armii zboże, to musi je przywieźć z Mińska. Powiedziałem mu to i dodałem kilka płomiennych słów o dzielnych ludziach na służbie, aż w końcu marszałek tak się wzruszył, że wstał, objął mnie czule i wypchnął z wozu.

Jasne było, że aby odnieść w tym zadaniu sukces należało zabrać ze sobą niewielkie siły, polegając raczej na zaskoczeniu, niż na przewadze liczebnej. Duża jednostka miałaby trudności z kryciem się i mogła mieć kolosalne kłopoty ze zdobyciem żywności, tym

bardziej że otaczający nas Rosjanie koncentrowali się nad jej niszczeniem. Z drugiej strony, niewielki oddział kawalerii, po przedostaniu się niezauważony przez Kozaków, zapewne nie napotkałby już innych oddziałów wroga, bowiem tron rosyjskiej armii znajdował się w odległości wielu dni marszu od nas. Zboże z pewnością było przeznaczone dla nich. Na tę wyprawę wyznaczyłem szwadron huzarów i trzydziestu polskich lansjerów. Dogodnej nocy wyruszyliśmy z obozu, kierując się na południe, do Mińska.

Na szczęście na niebie świecił tylko półksiężyc i mogliśmy nieatakowani prześlizgnąć się przez linie wroga. Dwukrotnie widzieliśmy płonące na śniegu wielkie ogniska, wokół nich rzędy grubych, wysokich pali. Były to lance Kozaków, które ustawiali na sztorc, w czasie snu. Bawilibyśmy się doskonale, gdybyśmy wtargnęli między nich, bowiem mieliśmy wiele powodów do zemsty i oczy moich kamratów z utęsknieniem kierowały się to na te migoczące w ciemnościach czerwone plamy, to na mnie. Mówiąc szczerze, miałem wielką ochotę to zrobić, ponieważ chciałbym dać im porządną nauczkę, aby trzymali się z dala od francuskiej armii. Ale istotą dobrego dowodzenia jest trzymanie się priorytetów, zatem w milczeniu jechaliśmy dalej, mijając z lewa i z prawa biwakujących Kozaków i pozostawiając za sobą czarne niebo z linią ognisk, znaczących miejsca, w których starały się utrzymać nasze nadwątlone siły, próbujące w głodzie i chłodzie przetrwać każdy następny dzień.

Wolno jechaliśmy całą noc, trzymając zady naszych koni skierowane na Gwiazdę Polarną. Na śniegu widać było wiele śladów i staraliśmy się ich trzymać, aby nikt nie zauważył, że przejeżdżał tędy oddział kawalerii.

Doświadczony oficer nie musi stosować wielu środków ostrożności. Poza tym, trzymając się szlaku mogliśmy trafić na jakieś wsie, gdzie znaleźlibyśmy coś do jedzenia. Wschód słońca zastał nas w gęstym lesie jodłowym, z drzewami tak obciążonymi śniegiem, że światło ledwo do nas przez nie docierało. Kiedy w końcu znaleźliśmy drogę i wydostaliśmy się z lasu, był już jasny dzień. Nad wielką, śnieżną równiną wyzierał skraj wschodzącej tarczy słonecznej, rzucając na nią krwawy poblask. Zatrzymałem huzarów i lansjerów w cieniu skraju lasu i badałem wzrokiem leżącą przed nami równinę. Niedaleko od nas widać było chłopskie zabudowania, a za nimi w odległości kilku mil wieś. Daleko za nią, na horyzoncie wznosiły się budowle miasta, z wieżami kościołów. To z pewnością był Mińsk. Nigdzie nie było śladu oddziałów wojska. Najwyraźniej zostawiliśmy za sobą wszystkich Kozaków i teraz między nami i naszym celem nie mieliśmy już nikogo. Moi ludzie wydali okrzyk radości, gdy przedstawiłem im bieżącą sytuację i szybko ruszyliśmy do wsi.

Mówiłem wszakże, że przed nami widać było zabudowania małego gospodarstwa. Kiedy zbliżyliśmy się do niego, zauważyłem uwiązane przed wejściem do domu pięknego siwka z wojskowym siodłem. Natychmiast pogalopowałem do niego, jednak zanim dojechałem, z drzwi domu wybiegł mężczyzna, wskoczył na siodło i szybko odjechał, zostawiając za sobą chmurę zmarzniętego, suchego śniegu. Promienie słońca zaiskrzyły na złotych epoletach, a wówczas dotarło do mnie, że był to rosyjski oficer. Jeżeli go nie złapiemy, zaalarmuje całą okolicę. Popędziłem za nim moją Violette, a za mną gnali moi żołnierze, lecz ich konie były wolniejsze i wkrótce uświadomiłem sobie,

że jeżeli ja nie dogonię Rosjanina, to na nich nie mogę liczyć.

Musiałby to być znakomity jeździec i mieć wyśmienitego konia, aby uciec Violette, z Etienne'em Gerardem w siodle. Ten młody Rosjanin dobrze cwałował i jego koń był naprawdę dobry – a jednak stopniowo zbliżaliśmy się do siebie.

Ciągle oglądał się przez ramię – widziałem ciemną, przystojną twarz, z oczami jak u orła. Nagle, z półobrotu wymierzył, ujrzałem błysk i usłyszałem huk wystrzału z pistoletu. Kula gwizdnęła mi obok ucha. Zanim zdążył dobyć szabli, byłem już na nim – lecz on ciągle bódł konia ostrogami i razem galopowaliśmy przez śnieżną równinę. Ja, z nogą przy nodze Rosjanina i lewą ręką na jego prawym ramieniu. Nagle ujrzałem, że jego lewa ręka wędruje do ust. Natychmiast zbiłem ją pięścią i chwyciłem go za szyję, żeby nie mógł połknąć. Koń skoczył pod nim, ale trzymałem go mocno i Violette zmusiła go do zatrzymania się. Pierwszy dołączył do nas sierżant huzarów, Oudin. Był to stary żołnierz i jednym rzutem oka zorientował się, co się dzieje.

– Trzymaj mocno, pułkowniku! – krzyknął. – Ja zrobię resztę.

Wyjął nóż, wcisnął ostrze między zaciśnięte zęby Rosjanina i obrócił, zmuszając go do otwarcia ust. Na języku leżał kawałek mokrego papieru, który tak bardzo chciał połknąć. Oudin wyjął go i wtedy puściłem szyję. Na w pół uduszony, spojrzał na papier. Byłem pewien, że była to niezwykle ważna wiadomość. Jego ręce drgnęły, jakby chciał mi go wyrwać, jednak wzruszył tylko ramionami i zaśmiał się beztrudnie, gdy zacząłem go przeproszać za moją brutalność.

– No, a teraz do rzeczy – oświadczyłem, gdy zaczął kaszleć i chrząkać. – Jak się pan nazywa?

– Aleksis Barakow.

– Stopień i pułk.

– Kapitan dragonów z Grodna.

– Jaka jest treść notatki, którą miał pan przy sobie?

– To wiersz, który napisałem do mojej ukochanej.

– Jej imię – odparłem po odczytaniu adresata – brzmi hetman Płatonow. Dobra, dobra, sir, to ważny dokument wojskowy, który wiozłeś pan od jednego generała do drugiego. Mów natychmiast, co to jest?

– Przeczytaj, a się dowiesz.

Mówił doskonale po francusku, jak każdy dobrze wykształcony Rosjanin. Jednak dobrze wiedział, że tylko jeden na tysiąc francuski oficer zna choć jedno słowo po rosyjsku. Ta notatka zawierała tylko jedną linijkę, która brzmiała następująco:

„Pustj Franzuzy pridutt w Minsk. Min gotowy.”

Patrząc na te słowa potrząsałem głową. Pokazałem je moim huzarom, ale oni też nie rozumieli. Polacy byli prostymi chłopcami i nawet nie potrafili czytać, za wyjątkiem sierżanta pochodzącego z Menela, w Prusach Wschodnich, ale nie znał rosyjskiego. To było nieznośne – czułem, że jestem w posiadaniu ważnej tajemnicy, od której może zależeć bezpieczeństwo całej armii, a jednak nie mogłem jej poznać. Znowu zacząłem błagać więźnia, żeby go przetłumaczył, w zamian za wolność. Ale w odpowiedzi tylko się uśmiechnął. No cóż, pozostało mi tylko podziwiać go za ten uśmiech, którym i ja odpowiedziałbym, gdybym znalazł się w jego sytuacji.

- No to przynajmniej podaj nam nazwę tej wsi.
- Dobrowa.
- A tam daleko, jak sądzę, widać Mińsk?
- Tak, to jest Mińsk.
- W takim razie pojedziemy do wsi i szybko znajdziemy kogoś, kto nam to przetłumaczy.

Ruszyliśmy razem do wsi; więźnia wzięli między siebie żołnierze z muszkietami. Była to mała wieś i postawiłem warty na obu końcach jedynej ulicy, aby nikomu nie udało się uciec. Po długiej podróży musieliśmy się tu zatrzymać, żeby znaleźć coś do jedzenia dla ludzi i koni. W centrum wsi stał duży kamienny budynek. Podjechałem do niego. Należał do księdza – nadętego, odpychającego starucha, który nie był uprzejmy odpowiadać na nasze pytania. Nigdy nie spotkałem bardziej odrażającego typu, jednak jego całkowitym przeciwieństwem była córka, która prowadziła mu dom. Była brunetką – rzadkość w Rosji – o kremowej karnacji, kruczo czarnych włosach i parą przepięknych, czarnych oczu, które zapłonęły blaskiem na widok moich huzarów. Już od pierwszego spojrzenia wiedziałem, że musi być moja. Ale nie czas na miłość, kiedy żołnierza wzywają obowiązki. Mimo to, gdy byłem zajęty spożywaniem prostego posiłku, prowadziłem z tą damą swobodną pogawędkę i już po godzinie byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Miała na imię Zofia, nazwiska nie poznałem. Nauczyłem ją nazywać mnie Etienne i próbowałem ją rozweselić, bowiem jej twarz była smutna i widziałem łzy w jej pięknych, ciemnych oczach. Nalegałem, aby mi powiedziała, co ją tak smuci.



Pojedziemy do wsi i szybko znajdziemy kogoś, kto nam to przetłumaczy

– Jak mogę się nie smuć – odpowiedziała po francusku, uroczo się płoniąc – gdy jeden z moich biednych rodaków jest pańskim więźniem? Widziałam go między pańskimi huzarami, gdy wjeżdżał do wsi.

– Takie są losy wojny – odparłem. – Dziś jego kolej, jutro może być moja.

– Ale, biorąc pod uwagę, monsieur... – zaczęła.

– Etienne – poprawiłem

– Och, monsieur...

– Etienne – upierałem się.

– Niech będzie! – krzyknęła z rozpaczą, pięknie się rumieniąc. – Biorąc pod uwagę, Etienne, że ten młody oficer zostanie zabrany do twojej armii, w której żołnierze – jak słyszałam – umierają z głodu i zimna w forsownym marszu, to jaki czeka go los jako więźnia?

Wzruszyłem ramionami.

– Masz miłą twarz, Etienne – mówiła – nie możesz skazać tego biedaka na taką śmierć. Błagam cię, uwolnij go.

Jej delikatna rączka spoczęła na moim rękawie, patrzyła na mnie błagalnie ciemnymi oczami.

Nagle wpadła mi do głowy pewna myśl. Mogłem spełnić jej prośbę, ale w zamian zażądał przysługi.

Na mój rozkaz przyprowadzono do pokoju więźnia.

– Kapitanie Barakow – rzekłem – ta młoda kobieta błagała mnie, żebym pana uwolnił i jestem skłonny to zrobić. Proszę jednak, aby dał pan słowo, że pozostanie w tym domu przez dwadzieścia cztery godziny i nie zrobi kroku w celu poinformowania kogokolwiek o naszych ruchach.

– Daję słowo.

– Zaufam panu. Jeden człowiek więcej, jeden mniej, nie robi różnicy w walce między dwoma wielkimi armiami, a zabranie pana z nami jako więźnia praktycznie skazałoby cię na śmierć. Odejdź sir i okaż wdzięczność nie mnie, lecz pierwszemu francuskiemu oficerowi, który wpadnie w twoje ręce.

Kiedy wyszedł, wyjąłem z kieszeni skrawek papieru.

– Zofio – rzekłem – zrobiłem to, o co mnie prosiłaś, a ja w zamian proszę cię, żebyś mi dała lekcję rosyjskiego.

– Z miłą chęcią – odparła.

– Zacznijmy od tego – rozłożyłem przed nią papier. – Zajmijmy się kolejno tymi słowami i zobaczymy, co one znaczą.

Spojrzała na papier z pewnym zaskoczeniem.

– Tu jest napisane – powiedziała – że jeśli Francuzi przyjadą do Mińska, to wszystko jest stracone. – Nagle na jej pięknej twarzy ukazał się wyraz konsternacji. – Boże drogi! – wykrzyknęła. – Cóż ja takiego robię!/? Zdradzam moją ojczyznę! Och, Etienne, nie powinieneś czytać tej notatki, ona nie jest przeznaczona dla ciebie! Jak mogłeś być tak perfidny i sprowokować biedną, prostą, niczego nie podejrzewającą dziewczynę do zdrady swojego kraju?

Pocieszałem biedną Zofię, jak tylko mogłem i zapewniłem, że to nie wstyd zostać

przechytrzoną przez starego weterana wielu kampanii i tak przebiegłego żołnierza jak ja. Jednak nie było czasu na dłuższe pogawędki. Ta wiadomość świadczyła dobitnie, że zboże rzeczywiście było w Mińsku i że nie ma tam broniących je oddziałów. Szybko wydałem rozkaz, wychylając się przez okno i trębacz zagrał sygnał na zbiórkę. W ciągu dziesięciu minut opuściliśmy wieś i pędziliśmy prosto ku miastu, ku połączanym kopułom i minaretom górującym nad śnieżnym horyzontem. W miarę zbliżania się, wznosiły się wyżej i wyżej, aż w końcu, gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, znaleźliśmy się na szerokiej, głównej ulicy i galopowaliśmy wśród krzyków przerażonych kobiet, aby zatrzymać się przed frontem dużego ratusza. Kawaleria zajechała na plac, natomiast ja z dwoma sierżantami – Oudinem i Papilettem – ruszyliśmy do wnętrza budynku.

Nieba! Czy nigdy nie zapomnę widoku, jaki nas powitał? Po prawej od nas stał potrójny szereg rosyjskich grenadierów. Gdy weszliśmy, unieśli muszkiety i zasypał nas grad kul. Oudin i Papilette padli na posadzkę przeszyci kulami.

Mnie kule strąciły czapę i dwie przebiły dolman. Grenadierzy ruszyli na mnie z bagnietami.

– Zdrada! – wrzasnąłem. – Zostaliśmy zdradzeni! Do koni!

Wybiegłem z ratusza, ale cały plac roił się już od żołnierzy wroga.

Z wszystkich ulic galopowali na nas dragoni i Kozacy, a z domów grzmiał huraganowy ogień. Połowa moich ludzi i koni leżała na ziemi.

– Za mną! – krzyknąłem i wskoczyłem na Violette, ale jakiś olbrzymi rosyjski dragon opasał mnie ramionami i obaj stoczyliśmy się na ziemię.

Już mierzył we mnie szablą, ale zmienił zamiar, chwycił mnie za gardło i zaczął grzmocić głową o kamienie, aż straciłem przytomność. I tak oto zostałem więźniem Rosjan.

Po odzyskaniu świadomości żałowałem tylko, że ten Rosjanin nie wytlukł mi mózgu z głowy. Na wielkim placu Mińska leżała połowa moich ludzi martwych lub rannych, w otoczeniu wyjącego z radości tłumu Rosjan.

Resztki moich biednych żołnierzy spędzono u wejścia do ratusza i pilnowała ich sotnia Kozaków. Niestety, co miałem powiedzieć, co miałem zrobić? Jasne było, że poprowadziłem ich prosto w precyzyjnie zastawioną pułapkę. Rosjanie wiedzieli o naszej misji i przygotowali się na nasze przybycie. Przyczyną nieszczęścia była treść wiadomości, która spowodowała, że zlekceważyłem środki ostrożności i wjechałem otwarcie do miasta. Jak mogłem do tego doprowadzić? Po moich policzkach spłynęły łzy na widok zniszczeń w szwadronie i na myśl o sytuacji towarzyszy broni w Wielkiej Armii, którzy czekają na dostarczenie żywności. Ney zaufał mi, a ja go zawiodłem. A teraz, jakże często kieruje wzrok na śnieżne pola, wypatrując konwoju z ziarnem, który nie ucieszy jego oczu! Mój własny los nie miał tu żadnego znaczenia. W najlepszym wypadku czeka mnie zsyłka na Sybir. Jednak, wierzcie mi przyjaciele, ówczesny Etienne Gerard nie płakał nad sobą, tylko nad tymi wygłodniałymi nieszczęśnikami, marznącymi i czekającymi na niego na próżno!

– Co to ma znaczyć? – Odezwał się zachrypnięty głos przy mnie. Odwróciłem się i ujrzałem czarnobrodego dragona, który ściągnął mnie z siodła. – Patrzcie, ten Francuz płacze! Myślałem, że Korsykanina otaczają odważni ludzie, a nie dzieci.

– Jeżeli staniemy twarzą w twarz, tylko my sami, to pokażę ci, który z nas jest lepszy – oświadczyłem.

W odpowiedzi ten brutal uderzył mnie w twarz otwartą dłonią. Chwyciłem go za gardło, ale oderwali mnie jego żołnierze, a on znowu mnie uderzył, gdy wykręcono mi rękę.

– Ty parszywy psie! – krzyknąłem. – Tak traktujecie oficera i dżentelmena!

– Nigdy nie zapraszałem cię do Rosji – rzucił. – Jeśli tu wtargnąłeś nieproszony, to będziesz tak traktowany, jak na to zasłużyłeś. Jak zechcę, to mogę ci palnąć w łeb.

– Pewnego dnia odpowiesz za to! – krzyknąłem i otarłem krew z wąsów.

– Jeśli hetman Płatonow ma w tej sprawie takie samo zdanie jak ja, to nie dożyjesz jutra – odparł, krzywiąc się ohydnie.

Potem dodał jeszcze kilka słów po rosyjsku do swoich ludzi i natychmiast wszyscy wskoczyli na siodła.

Sprowadzono biedną Violette, sprawiającą tak smętne wrażenie jak jej pan i powiedziano, żebym ją dosiadł. Lewą rękę miałem rzemieniem przywiązaną do strzemięcia sierżanta dragonów. I w tych niezwykle przykrych warunkach zostałem wraz z resztką moich ludzi wyprowadzony z Mińska.

Nigdy nie spotkałem takiego brutala, jak ten Siergine, który dowodził eskortą. W rosyjskiej armii służyli najlepsi i najgorsi na świecie, a nie było już gorszych od majora Sierginea z Dragonów Kijowskich, jakich nie widziałem nawet wśród bandytów na Półwyspie Iberyjskim.

Był to mężczyzna niezwykle wielkiej postury, o dzikiej, surowej twarzy i zjeżonej, czarnej brodzie opadającej na jego pancerz kirasjera.

Znany był z siły i odwagi, dodam też, że chwyt ręki miał siłę niedźwiedzia, czego doświadczyłem, gdy ściągnął mnie z siodła. Był też człowiekiem na swój sposób inteligentnym i ciągle robił po rosyjsku uwagi na nasz temat, co wywoływało u jego dragonów i Kozaków wybuchy śmiechu. Dwukrotnie wychłostał szpicrutą moich towarzyszy broni, raz podszedł do mnie z zamiarem zrobienia tego samego, ale ujrzał w moich oczach coś, co go powstrzymało.

Tak więc, w tej tragicznej sytuacji, w zimnie i o głodzie, ciągnęliśmy wielką, śnieżną równiną. Słońce już zachodziło, lecz kontynuowaliśmy męczącą drogę w długim, północnym zmerchu. Zdrętwiały i zmarznięty, z obolałą od uderzeń głową, jadąc na Violette, nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję i dokąd jadę. Ta mała klacz szła ze spuszczoną głową, unosząc ją tylko po to, by parsknąć z pogardą na otaczające ją małe kuce Kozaków.

Nagle eskorta stanęła i zauważyłem, że zatrzymaliśmy się we wsi, na jej jedynej ulicy. Po jednej stronie stał kościół, po drugiej długi, kamienny budynek, którego kształt wydał mi się znajomy. Rozejrzałem się w zapadającym zmroku i zobaczyłem, że wróciłem do Dobrowy i że ten dom, przed którego drzwiami teraz czekaliśmy, był domem księdza, u którego zatrzymaliśmy się rano. I tu też była czarująca Zofia, która w swojej niewinności przetłumaczyła nieszczęsną notatkę, będącą przyczyną naszej klęski. Zaledwie kilka godzin temu zostawiliśmy to miejsce z wielkimi nadziejami i perspektywą powodzenia naszej misji, a teraz czekamy pokonani i poniżeni na to, co rozkażą brutalni

wrogowie. Lecz taki już los żołnierza, moi przyjaciele, jednego dnia pocałunki losu, innego dnia ciosy. Tokaj w pałacu, śmierdząca woda w rowie, futra lub szmaty, pełna sakiewka lub pusta kieszeń – nieustanne zmiany od najlepszego do najgorszego i tylko jedno jest niezmiennie: jego odwaga i honor.

Rosjanie zsiadli z koni i rozkazali też zsiść moim biednym chłopcom. Było już późno i najwyraźniej zamierzali spędzić noc w tej wsi. Chłopi zgotowali Rosjanom owację na wieść o ujęciu więźniów i wybiegli z domów z pochodniami, kobiety krzychały i przynosiły Kozakom herbatę i brandy. Krążył wśród nich ksiądz – ten sam, którego spotkaliśmy rano. Teraz tonął w uśmiechach i też przyniósł na tacy gorący poncz, którego woń zapamiętałem na zawsze. I była też Zofia! Ze zgrozą ujrzałem jak ściska dłoń majora Sierginea, gratulując mu zwycięstwa i ujęcia tylu jeńców. Jej ojciec, stary ksiądz, gapił się na mnie bezczelnie, czyniąc wulgarne uwagi pod moim adresem i wskazując mnie chudą, brudną ręką. Piękna Zofia też patrzyła na mnie, ale milczała, jednak z jej ciemnych oczu mogłem wyczytać współczucie. W końcu zwróciła się do majora Sierginea i powiedziała coś po rosyjsku, na co on zmarszczył brwi i niecierpliwie potrząsnął głową.

Stojąc w powodzi światła padającego z otwartych drzwi domu jej ojca, zdawała się coś mu tłumaczyć. Obserwowałem uważnie twarz Zofii i twarz majora – jej piękną – i jego ponurą, dziką i instynkt podpowiadał mi, że teraz rozstrzyga się mój los. Siergin długo potrząsał przecząco głową, jednak ostatecznie zmiękczony jej perswazją, zdawał się ulegać. Odwrócił się i podszedł do miejsca, w którym stałem pod strażą.

– Ci dobrzy ludzie ofiarowują panu na noc schronienie pod ich dachem – rzekł, mierząc mnie mściwym wzrokiem. – Byłoby mi trudno odmówić im, ale powiem wprost, jeśli o mnie chodzi, to wolałbym widzieć pana na śniegu. Może to ochłodziłoby twoją gorącą krew, ty nędzny Francuzie!

Patrzyłem na niego pogardliwie.

– Urodziłeś się dzikusiem i taki umrzesz – oświadczyłem.

Zaklął, głęboko dotknięty i uniósł pejcz, jakby chciał mnie uderzyć.

– Milcz, śmierdzący psie! – krzyknął. – Na takie obelgi mam sposób, żebyś do rana zamarł na śmierć! – Tłumiąc wściekłość, zwrócił się do Zofii w sposób, który uważał za szarmancki:

– Jeżeli ma pani piwnicę z mocnym zamkiem w drzwiach – rzekł – to, jeśli już tak bardzo troszczy się pani o jego wygody, można tego więźnia tam umieścić na noc. Muszę jednak dostać słowo honoru, że nie będzie próbował jakichś sztuczek, ponieważ jestem za niego odpowiedzialny do chwili przekazania go jutro hetmanowi Płatonowowi.

Z trudem znosiłem jego wyniosłe zachowanie.

Mówił z Zofią po francusku, chcąc, żebym rozumiał, w jak upokarzający sposób mnie traktuje.

– Od pana nie mogę się spodziewać żadnej łaski – odparłem. – Zrobi pan to, co zechce, ale nigdy nie dam panu słowa.

Rosjanin wrzucił szerokimi ramionami i odwrócił się, jakby dla niego sprawa była zakończona.

– Doskonale, mój dzielny chłopcze, ale tym gorzej dla ciebie i dla twoich palców

i stóp. Rano zobaczymy, w jakim będziesz stanie po spędzeniu nocy na śniegu.

– Chwileczkę, majorze! – wykrzyknęła Zofia. – Nie może być pan taki surowy dla tego więźnia. Istnieją pewne specjalne powody, dla których zasługuje na życzliwość i litość.

Rosjanin podejrzliwie przeniósł wzrok z jej twarzy na moją.

– Co to za specjalne powody? Pani wydaje się jakoś szczególnie interesować tym Francuzem – stwierdził.

– Głównym powodem jest to, że on dziś rano z własnej woli uwolnił kapitana Aleksisa Barakowa, z Dragonów z Grodna.

– To prawda – rzekł Barakow, który właśnie wyszedł z domu. – Pochwycił mnie dziś rano i zwolnił na słowo, zamiast odesłać do francuskiej armii, gdzie z pewnością umarłbym z głodu.

– Teraz, dlatego, że pułkownik Gerard postąpił tak szlachetnie, nadeszła kolej na nas i dajemy mu schronienie przed mroźną nocą – oświadczyła Zofia. – To tylko mały rewanż za jego wspaniałomyślność.

Jednak dragon ciągle był wściekły.

– Niech najpierw da słowo, że nie będzie usiłował uciec – rzekł. – Słyszałeś? Dasz mi słowo?

– Nie dam – odparłem.

– Pułkowniku Gerard! – wykrzyknęła Zofia, zwracając się do mnie z zachęcającym uśmiechem. – Mnie dasz to słowo, prawda?

– Tobie, mademoiselle, niczego nie odmówię. Tobie dam słowo z przyjemnością.

– A zatem, majorze Siergin! – zawołała z triumfem – musi to panu wystarczyć. Słyszałeś, że dał mi słowo. Jestem za niego odpowiedzialna.

Mój Rosjanin niezbyt grzecznie chrząknął na zgodę i zostałem wprowadzony do domu, w asyście nachmurzonego ojca i masywnego, czarnobrodego dragona. W piwnicy znajdowała się duża, przestrzenna izba, w której zgromadzono na zimę drewno na opał. Dano mi do zrozumienia, że tu spędzę noc. Przy jednej ze ścian tego ponurego apartamentu ułożono do sufitu kłody drewna. Pomieszczenie miało gołą, kamienną posadzkę i nagie ściany z pojedynczym, głęboko osadzonym w grubej ścianie oknem, zabezpieczonym żelaznymi sztabami. Oświetlała je wisząca pod sufitem stojenna latarnia. Major Siergin zdjął ją i omiół światłem wszystkie kąty tego ponurego pomieszczenia.

– No, jak ci się podoba nasz rosyjski hotel, monsieur? – spytał z pełnym nienawiści, szyderczym uśmiechem. – Może nie jest zbyt okazały, ale najlepszy jaki możemy ci oferować. Może następnym razem wy, Francuzi, jeżeli będziecie mieć ochotę na podróż, wybieriecie sobie jakiś inny kraj, w którym znajdziecie większe wygody.

Zaśmiał się, patrząc na mnie, jego białe zęby błyszczały w gęstwinie czarnej brody. Potem wyszedł i usłyszałem zgrzyt przekręcanej w zamku klucza.

Zgnębiony na duszy i przemarznięty na ciele, z twarzą ukrytą w dłoniach przez godzinę siedziałem na stosie drewna, pogrążony w smętnych myślach.

W tych czterech ścianach było dość zimno, ale gdy pomyślałem o cierpieniach moich żołnierzy na zewnątrz, ogarniał mnie jeszcze większy smutek

Zacząłem krążyć po piwnicy, klaszcząc w dłonie i kopiąc ściany, aby się rozgrzać.

Latarnia dawała mało ciepła i było piekielnie zimno. A poza tym byłem głodny, nic nie jadłem od rana. Wydawało się, że wszyscy o mnie zapomnieli, ale w końcu usłyszałem, jak w zamku przekręca się klucz i do pomieszczenia wszedł mój poranny więzień, Aleksis Barakow. Wyciągnął spod pachy butelkę wina i podał mi wielki talerz gorącego gulaszu.

– Cicho – powiedział. – Ani słowa! Trzymaj się pan! Nie mogę tu dłużej zostać. Siergin ciągle jeszcze jest u nas. Nie zasypiaj i bądź gotów!

Po tych słowach szybko wybiegł zostawiając przyniesione jedzenie i wino.

„Nie zasypiaj i bądź gotów”, te słowa brzmiały mi w uszach. Zjadłem gulasz i wypilem wino, lecz to nie wino i gulasz rozgrzały mi serce – co znaczyły słowa Barakowa?

Dlaczego nie miałem spać? Do czego miałem być gotów? Czy możliwe, abym miał cień szansy ucieczki? Nigdy nie szanowałem człowieka, który modli się tylko w chwilach, gdy grozi mu niebezpieczeństwo. Jednak zły to żołnierz, który nie dba o bezpieczeństwo pułkownika, kiedy on tego od niego żąda. A jednak, kiedy pomyślałem o kopalni soli na Syberii, a potem o mojej matce we Francji, nie mogłem się powstrzymać od modlitwy, nie wyrażając jej ustami lecz płynącej wprost z serca, aby słowa Barakowa mogły oznaczać to wszystko, czego tak bardzo pragnąłem. Zegar we wsi wybijał kolejne godziny i ciągle tylko słyszałem nawoływania rosyjskich wart rozstawionych wzdłuż ulicy.

Wreszcie zabiło mi żywiej serce, gdy usłyszałem ciche kroki na korytarzu. W zamku zgrzytnął klucz, drzwi otworzyły się i weszła Zofia.

– Monsieur...! – zawołała.

– Etienne – poprawiłem.

– Ciebie już nic nie zmieni – stwierdziła. – Ale może uda mi się coś zrobić, abyś przestał mnie nienawidzić? Wybaczysz mi to małe oszustwo?

– Jakie oszustwo? – zdziwiłem się.

– Boże Wszechmogący! To wprost niemożliwe, żebyś nawet teraz nie rozumiał? Poprosiłeś mnie o przetłumaczenie tej wiadomości. Przetłumaczyłam: „Jeżeli Francuzi przyjadą do Mińska, to wszystko jest stracone”.

– A naprawdę co tam było napisane?

– Naprawdę notatka brzmiała: „Niech Francuzi przyjadą do Mińska. Czekamy na nich”.

Odskoczyłem od niej jak oparzony.

– Zdradziłaś mnie! – krzyknąłem. – Zwabiłaś w pułapkę. To ty jesteś winna śmierci i niewoli moich ludzi. Byłem głupi ufając kobiecie!

– Jesteś niesprawiedliwy, pułkowniku Gerard. Jestem Rosjanką i moim pierwszym obowiązkiem jest służyć ojczyźnie. Nie chciałbyś, żeby Francuzka zrobiła to samo co ja? Gdybym przetłumaczyła dosłownie notatkę, nie pojechałbyś do Mińska i twój szwadron uniknąłby zniszczenia. A teraz powiedz – przebaczasz mi?

Stojąc przede mną, patrzyła błagalnie. Ale gdy pomyślałem o moich martwych towarzyszach broni, nie mogłem ująć wyciągniętej ręki.

– Dobrze – rzekła, opuszczając rękę. – Ty żałujesz swoich ludzi, ja żałuję moich, jesteśmy kwita. Lecz wypowiedziałeś w tych murach jedno mądre i uprzejme zdanie, pułkowniku Gerard. Powiedziałeś: „jeden człowiek więcej, jeden mniej nie robi różnicy

w walce między dwoma wielkimi armiami”. Twoja lekcja godności nie poszła na marne. Za tymi kłodami są niestrzeżone drzwi. A tu masz do nich klucz. Idź, pułkowniku Gerard, a ja ufam, że już nigdy się nie spotkamy.

Przez moment stałem z kluczem w ręce. Czuję w głowie zamęt. Potem zwróciłem jej klucz.

– Nie mogę tego zrobić – oświadczyłem.

– Dlaczego?

– Dałem słowo.

– Komu?

– Jak to, komu? Tobie!

– A ja cię z niego zwalniam.

Serce skoczyło mi z radości. Oczywiście powiedziała prawdę. Przecież odmówiłem dania słowa Sierginowi. Jemu nic nie byłem winien. Jeżeli ona zwalnia mnie z danego jej słowa, mój honor jest czysty. Wziąłem z jej ręki klucz.

– Znajdziesz kapitana Barakowa na końcu ulicy – rzekła. – My, z Północy, nigdy nie zapominamy krzywd, ani życzliwości. Tam czeka na ciebie twoja kłacz i twoja szabla. Nie zwlekaj ani chwili, za dwie godziny będzie świtać.

Wyszedłem w oświetloną gwiazdami rosyjską noc, ale zdążyłem jeszcze ujrzeć Zofię patrzącą za mną z otwartych drzwi. Patrzyła tęsknym wzrokiem, jakby spodziewając się czegoś więcej niż tylko chłodnych podziękowań. Ale nawet najpokorniejszy mężczyzna ma swoją dumę i nie można było odmówić jej też mnie, który zostałem zraniony podstępem, jakiego wobec mnie użyła. Nie zmusiłem się do ucałowania jej ręki, nie mówiąc już o ustach...

Drzwi wiodły do wąskiego zaułka, na końcu którego stała ciepło odziana postać, trzymająca za uzdę Violette.

– Daj mi znać, jeśli jakiś następny oficer francuski będzie w opałach – rzekł.

– Powodzenia. Bon voyage – szepnął, gdy wskakiwałem na siodło. – Nie zapomnij hasła: „Połtawa”.

Dobrze, że podał mi to hasło, bowiem musiałem je dwukrotnie wymienić, żeby minąć posterunki Kozaków.

Po wymienieniu ostatniego hasła miałem nadzieję, że znowu jestem wolny, gdy nagle usłyszałem za sobą ciężkie dudnienie na śniegu. W pewnej chwili chciałem dać Violette ostrogi, gdy ujrzałem zbliżającego się olbrzyma z czarną brodą, lecz w następnej – zatrzymałem się i czekałem.

– Pomyślałem, że to ty, francuski psie! – zawołał wywijając szablą. – Więc złamałeś dane słowo honoru, łajdaku!

– Nie dałem słowa.

– Łżesz, psie!

Rozejrzałem się, ale nikogo nie zobaczyłem. Odległe widety nie poruszyły się. Byliśmy sami – tylko księżyc nad nami i śnieg pod nami. Szczęście zawsze mi sprzyjało.

– Nie dałem ci słowa.

– Ale dałeś je Zofii.

– Zatem odpowiem za to przed nią.

– Niewątpliwie to ci bardziej pasuje. Jednak na nieszczęście teraz będziesz odpowiadał przede mną.

– Jestem gotów.

– Wyciągaj szablę! To zdrada! Ach, rozumiem! Ta kobieta pomogła ci. Czeka ją za to Sybir.

Te słowa były dla niego wyrokiem śmierci. Nie mogłem pozwolić, aby wrócił do wsi żywy. Skrzyżowaliśmy szable i w chwilę potem moja szabla przeszła czarną brodę, aby się zagłębić w jego gardle. Znalazłem się na ziemi prawie równocześnie z nim, lecz to jedno pchnięcie wystarczyło. Umarł, chwytając zębami moją rękę, jak dzikie zwierzę.

Dwa dni później dołączyłem do armii, aby znowu stać się częścią tej ponurej procesji, wlokącej się przez śniegi i zostawiającej za sobą krwawy ślad, znaczący przebyty szlak.

Ale dość już, przyjaciele, nie chcę już dłużej budzić pamięci tych dni rozpacz i śmierci. One ciągle nawiedzają mnie w snach. Kiedy w końcu zatrzymaliśmy się w Warszawie, zostawiliśmy za sobą armaty, resztki podwodów i ponad połowę towarzyszy broni. Lecz nie zostawiliśmy tam honoru Etienne Gerarda. Mówiono, że zламаłem słowo, ale niech nie mówią mi tego prosto w oczy, bo chociaż stary już jestem, to jeszcze na tyle silny, żeby nacisnąć spust, kiedy ktoś podda w wątpliwość mój honor!



Te słowa były dla niego wyrokiem śmierci

XIII. Jak brygadier radził sobie pod Waterloo

I. Opowieść o leśnej gospodzie

Z wszystkich wielkich bitew, w których miałem zaszczyt dobywać szabli za Cesarza i Francję, nie było bitwy przegranej. Chociaż w bitwie pod Waterloo byłem w pewnym sensie obecny, to jednak niezdolny do czynnej walki – no i wróg odniósł zwycięstwo. Nie mnie jednak oceniać, czy istnieje związek między tymi dwoma faktami. Zbyt dobrze mnie znacie, moi przyjaciele, aby wyobrazić sobie, żebym sam to miał ustalać. Mimo wszystko daje to coś do myślenia i pozwala wysnuć z tego pewne pochlebne wnioski.

Poza tym, była to tylko sprawa przełamania kilku angielskich czworoboków – i bylibyśmy tego dnia górą! Gdyby swoich huzarów Conflans poprowadził Etienne Gerard, nie doszłoby do tego, lecz najlepiej osądzają nas popełnione błędy.

Pomińmy to jednak, los zrządził, iż musiałem wyciągnąć pomocną rękę, chociaż cesarstwo upadło. Jednak los też sprawił, że ten dzień klęski i smutku przyniósł taką chwałę mnie osobiście, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyłem, gdy unosiłem się na skrzydłach zwycięstw, od Bulogne po Wiedeń.

Nigdy nie okazałem się tak błyskotliwy jak wtedy, gdy zaczęły mnie otaczać ciemności. Z pewnością jesteście w pełni świadomi, że w przeciwnieństwach losu byłem wierny Cesarzowi i nie sprzedałem szabli ani honoru Burbonom. Tak więc nigdy już potem nie poczułem konia między kolanami, nie usłyszałem grzmotu kotłów ani dźwięku srebrnych trąbek brzmiących za mną, kiedy dowodziłem moimi chłopcami. Lecz moje serce kołata, przyjaciele, i wyciskała łzy z oczu myśl o tym, jaką osiągnąłem świetność w tym ostatnim dniu mojego żołnierskiego życia, kiedy wspominam wszystkie niezwykle przygody, podczas których zdobywałem tyle pięknych kobiet, szacunek tylu szlachetnych mężczyzn, chociaż żadna z nich nie może się porównywać do tego wspaniałego rajdu, jaki odbyłem nocą 18 czerwca 1815 roku. Wiem, że opowieść o tym często krąży przy stołach kantyn i w koszarach, ale jest jeszcze w armii wielu takich, którzy jej nie słyszeli. Wrodzona skromność pieczętowała mi usta – aż do teraz, moi przyjaciele – jednak obecnie, znajdując się w tak zacnym gronie, mogę wam przedstawić prawdziwe fakty.

Po pierwsze, mogę was zapewnić o jednym: Napoleon w całej swojej karierze jeszcze nigdy nie zyskał w armii takiego splendoru, jak w tej kampanii. W 1813 roku Francja była wyczerpana. Na każdego weterana przypadała piątka dzieci – Marie--Luizy, jak je nazywaliśmy od cesarzowej, ponieważ zajmowała się naborem – podczas gdy Cesarz zajmował nowe terytoria. Jednak wszystko się zmieniło w roku 1815. Wracali jeńcy wojenni – ludzie ze śnieżnej Rosji, z lochów Hiszpanii i z więzień Anglii.

Byli to ludzie groźni, weterani dwudziestu bitew, tęskniący za swoim dawnym fachem, z sercami przepelnionymi nienawiścią i chęcią zemsty. Było wśród nich wielu żołnierzy mających dwa lub trzy szewrony, a każdy szewron oznaczał pięć lat służby. Ich duch był w okropnym stanie. Wściekle, wręcz fanatycznie wielbili Cesarza, niczym

mamelucy swojego Proroka, gotowi paść na własne bagnety, gdyby ich krew mogła mu służyć.

Gdybyście mogli widzieć tych dzikich, starych weteranów idących do bitwy, ich błędny wzrok, słyszeć ich okrzyki, to pewnie bylibyście zdziwieni, że ktoś mógł im stawić czoła. W tym czasie wysoko też stał duch Francji i każdy inny musiałby przed nim zadrzeć. Lecz oni, ci Anglicy, nie mieli w sobie ani ducha walki ani duszy, a tylko stałą, niewzruszoną postawę wołów, z którą my daremnie walczyliśmy. I tak to się przedstawiało, moi przyjaciele, po jednej stronie poezja, duch walki, poświęcenie, a wszystko przepiękne i heroiczne. Po drugiej stronie... wołowina. Nasze nadzieje, nasze ideały, nasze marzenia – wszystko rozbijało się o ten potworny mur z wołowiny Starej Anglii.

Czytaliście, jak Cesarz zebrał siły, a potem jak razem ze mną i ze stu trzydziestoma tysiącami weteranów pospieszyliśmy na front północny i zaatakowaliśmy Prusaków razem z Anglikami. 16 czerwca Ney powstrzymał Anglików pod Quatre Bras, podczas gdy my pobiliśmy Prusaków pod Ligny. Nie do mnie należy oceniać, na ile moja osoba przyczyniła się do zwycięstwa, lecz wszyscy wiedzą, że huzarzy Conflans okryli się chwałą. Prusacy dzielnie walczyli i padło ich wtedy osiem tysięcy. Cesarz wysłał za nimi trzydzieści dwa tysiące żołnierzy, pod dowództwem marszałka Grouchy i pokrzyżował im plany. Potem, z blisko osiemdziesięcioma tysiącami ludzi zwrócił się przeciwko tym „goddam” Anglikom. Och, jak bardzo my Francuzi mściliśmy się na nich za te ich więzienia, za więzienne okręty w Portsmouth, za inwazję Wellingtona i perfidne zwycięstwa Nelsona! W końcu nadszedł dzień zapłaty!

Wellington dysponował sześćdziesięcioma siedmioma tysiącami ludzi, byli to jednak Holendrzy i Belgowie, nie wykazujący przeciwko nam specjalnego ducha walki. Dobrych, walecznych ludzi miał nie więcej niż pięćdziesiąt tysięcy. Stojąc przed samym Cesarzem z osiemdziesięcioma tysiącami ludzi, Anglik był tak sparaliżowany strachem, że nie mógł się ruszyć – ani on sam ani jego armia. Można go było porównać do królika zahipnotyzowanego wzrokiem węża. Tak więc Anglicy stoją na grzbiecie Waterloo. Noc przed nami. Cesarz, który stracił adiutanta pod Ligny, rozkazał, żebym dołączył do sztabu. Opuściłem więc moich huzarów, zostawiając ich majorowi Victorowi. Nie miałem pojęcia, który z nas był bardziej zaniepokojony – on czy ja – gdy odwołano mnie w przeddzień bitwy. Ale rozkaz, to rozkaz, dobry żołnierz tylko wzrusza ramionami i słucha.

Rankiem, osiemnastego, przejechaliśmy konno wzdłuż frontu pozycji wroga. Cesarz patrzył przez lunetę, planując najszybszy sposób zniszczenia ich. U jego boku jechali: Soult, Ney i Foy oraz ci wszyscy, którzy walczyli z Anglikami w Portugalii i Hiszpanii.

– Należy zwrócić szczególną uwagę, Sire – rzekł

Soult – na angielską piechotę. Jest bardzo silna.

– Uważasz ich za dobrych żołnierzy, ponieważ dali ci lanie – rzekł Cesarz, a my, młodzi, odwróciliśmy głowy, aby ukryć uśmiech. Lecz Ney i Foy pozostali poważni, byli wręcz ponurzy.

Angielskie linie, upstrzone czerwienią, błękitem i bateriami armat, cały czas

posuwały się naprzód, czujnie, w milczeniu, w odległości strzału z muszkietu. Po drugiej stronie płytkiej doliny nasi ludzie kończyli zupę i szykowali się do bitwy. Dotąd padał rzęsimy deszcz, ale w tym momencie ukazało się słońce i jego promienie padły na francuską armię, zmieniając brygady naszej kawalerii w oślepiające rzeki stali, skrzącej się i pulsującej na niezliczonych bagnietach piechoty. Na widok tak wspaniałej armii, tego piękna i majestatu, z jakimi się prezentowała, nie mogłem się dłużej powstrzymać, uniosłem się w strzemionach i machając czapką zawołałem „*Vive l'Empereur!*”. Kawalerzyści zaczęli machać szablami, a piechurzy wzniesli na bagnietach czaka. Anglicy zamarli bez ruchu, na grzbiecie swojego wzgórza. Wiedzieli, że wybiła ich godzina.



Należy zwrócić szczególną uwagę na angielską piechotę. Jest bardzo silna

I tak by było, gdyby padł rozkaz ataku. Spadlibyśmy na nich i zmiotli z powierzchni ziemi. Odsuwając na bok kwestię odwagi, mieliśmy przewagę liczebną, doświadczonych żołnierzy i lepsze dowództwo. Lecz Cesarz chciał robić wszystko we właściwym porządku; czekał, aż ziemia wyschnie i stwardnieje, aby mogła manewrować artyleria. Tak więc zmarnowano trzy godziny i dopiero o jedenastej ujrzelśmy zbliżające się z lewej strony kolumny Jérôme'a

Bonapartego i usłyszeliśmy wystrzały armat, które dały nam znać, że bitwa się zaczęła. Strata tych trzech godzin przyczyniła się do naszej klęski. Atak z lewej strony kierował się na gospodarstwo chłopskie, zajęte przez angielską Gwardię. Usłyszeliśmy trzy głośne wystrzały obrońców, jednak bez trudu zostali stamtąd wyparci.

Korpusy d'Evlona ruszyły w prawo, aby zająć inną pozycję Anglików, gdy nasza uwaga została oderwana od toczącej się przed nami bitwy i zwrócona na akcję w dolnej części pola.

Cesarz spojrział przez lunetę na linie angielskie z lewej strony i nagle zwrócił się do księcia Dalmacji, czyli do Soult – jak my, żołnierze, zwykliśmy go nazywać.

– Co to jest, marszałku? – zapytał.

Podążyliśmy za jego wzrokiem, niektórzy przykładając do oka lunety, inni osłaniając dłonią oczy przed słońcem. Widać tam było gęsty las, potem długie, nagie zbocze i za nim następny las. Na nagim zboczu, między lasami widniało coś ciemnego, jak cień przesuwającej się chmury.

– Myślę, że to stado bydła, Sire – stwierdził Soult.

Na te słowa natychmiast z mrocznych cieni doszedł do nas krótki błysk.

– To Grouchy – stwierdził Cesarz i opuścił lunetę. – No, ci Anglicy są podwójnie przegrani. Mam ich w ręku. Już mi się nie wymkną.

Rozejrzał się i jego wzrok padł na mnie.

– Ach! Mamy tu księcia posłańców – rzekł. – Masz dobrego konia, pułkownika Gerard?

– Dosiadam małą Violette, dumę brygady.

– Zatem pędź szybko do marszałka Grouchy, którego oddziały tam widzisz. Powiedz mu, żeby uderzył na lewą flankę i tyły Anglików, podczas gdy ja zaatakuję ich od frontu. Razem zniszczymy ich i nikt nam nie ucieknie.

Zasalutowałem i odjechałem bez słowa. Moje serce tańczyło z radości, że taką misję powierzono właśnie mnie. Patrzyłem na tę długą, masywną linię czerwieni i błękitu, wyłaniającą się przez dym armat i pogroziłem im pięścią.

– Zniszczymy was i nikt nam nie ucieknie.

Te słowa wypowiedział Cesarz i tak też mówię ja, Etienne Gerard, który wprowadzi je w czyn. Płonałem chęcią jak najszybszego dotarcia do marszałka i natychmiast pomyślałem, żeby przebić się przez lewe skrzydło Anglików, które było najlepszym skrótem. Byłby to jednak śmiały czyn i musiałbym wyjść z niego cało, ale równocześnie uświadomiłem sobie, że gdyby coś poszło źle i gdybym zginął lub dostał się do niewoli, moja misja skończyłaby się klęską i plany Cesarza ległyby w gruzach. Dlatego przejechałem przed frontem kawalerii, minąłem szaserów, lansjerów gwardii, strzelców, grenadierów konnych i na koniec moich małych łobuzów, którzy odprowadzali mnie

tęsknymi spojrzeniami. Za kawalerią stała Stara Gwardia, dwanaście pułków, wszyscy weterani wielu bitew, posępni, surowi, w długich, błękitnych płaszczach i wysokich niedźwiedzich czapach, z których usunięto pióropusze. Każdy miał przewieszony przez ramię chlebak z koziego futra, każdy miał na sobie błękitno--biały mundur paradny, w którym mieli następnego dnia wejść do Brukseli. Mijając ich pomyślałem, że takich żołnierzy nikt dotąd nie pokonał i gdy patrzyłem na ich wiatrami i deszczami wysmagane twarze oraz ich stanowczą, milczącą postawę, rzekłem do siebie: „nikt ich nie pokona”. Wielkie Nieba, jak bardzo się myliłem, nie przeczuwając, co przyniosą następne godziny!

Z prawej strony Starej Gwardii stała Młoda Gwardia i 6. Korpus Lobau, a potem minąłem lansjerów Jacquinota i huzarów Marbota, którzy zabezpieczali skrajną flankę linii. Te wszystkie oddziały nie miały pojęcia o zbliżaniu się z lasu korpusu i uwagę zwrócili na bitwę, która szalała po ich lewej stronie. Z każdej strony konfliktu grzmiało ponad sto armat i hałas był tak wielki, że z wszystkich bitew, w jakich brałem udział, może tylko z pół tuzina było tak głośnych. Obejrzałem się przez ramię i ujrzałem dwie brygady kirasjerów – angielską i francuską – ścierające się na zboczu wzgórza z uniesionymi szablami, na których skrzyły się odbite promienie słońca. Jakże tęskniłem, żeby odwrócić Violette i stanąć na czele moich huzarów, w wirze walki. Ależ to był widok! Etienne Gerard, odwrócony tyłem do bitwy, mając za sobą wściekłą akcję kawalerii!

Ale obowiązek to obowiązek, zatem minąłem wedety Marbota i w drodze do lasu minąłem też z lewej strony wieś Frishermont.

Przede mną ukazał się duży las, zwany Lasem Paryskim, w większości złożony z dębów, z kilkoma przecinającymi go wąskimi ścieżkami. Po dotarciu do lasu zatrzymałem się i nadśluchiwałem, czy z jego ponurych głębin nie dochodziły dźwięki trąbki, albo turkot kół powozów, czy tętent koni, oznaczające nadciąganie wielkiej kolumny wojska, którą widziałem na własne oczy. Za mną huczała bitwa, ale przede mną panowała grobowa cisza, jak ta, jaka zapanuje w grobach tylu dzielnych ludzi, którzy wkrótce zasną na wieki. Przez gęstwinę gałęzi, nad moją głową nie docierały promienie słońca; z mokrej ziemi unosił się ciężki, wilgotny zapach. Przez kilka mil galopowałem w takim tempie, jaki umożliwiały zwisające gałęzie i korzenie. Potem, po raz pierwszy usłyszałem przednie strażę Grouchy’ego. Z obu stron mijali mnie rozproszeni huzarzy, byli daleko ode mnie, gdzieś między drzewami. Z oddali dobiegł mnie pomagający armii maszerować odgłos bębnow – niski, przytłumiony pomruk. W każdej chwili mogłem się natknąć na sztab i dostarczyć moje przesłanie osobiście Grouchy’emu. Wiedziałem, że w takim marszu marszałek Francji jedzie furgonem wojskowym.

Nagle las przerzedził się i z radością uświadomiłem sobie, że za chwilę go opuszczę. Czy teraz będę mógł ujrzeć wojsko i spotkać marszałka?

W miejscu, gdzie trakt wychodził z lasu stała gospoda, w której drwale i zaprzęgowi pili wino. Uwiązałem konia przy drzwiach i przez chwilę obserwowałem leżący przede mną teren. W odległości kilku mil widziałem drugi duży las, St. Lambert, z którego Cesarz widział wychodzące oddziały. Łatwo było się przekonać, dlaczego tak długo trwał proces opuszczania jednego lasu i przejście do drugiego. Między oboma lasami, otwarty teren przecinał w poprzek głęboki wąwóz, zwany Lanes. Jedna długa

kolumna wojska – konie, piechurzy i armaty – spływała w dół zbocza, aby wspinać się na drugie zbocze, podczas gdy przednie stráže były już po moich obu stronach, w Lesie Paryskim. Drogą nadciągała bateria artylerii konnej i już zamierzałem pogalopować i zapytać oficera dowodzącego, czy może mi powiedzieć, gdzie mogę znaleźć marszałka, gdy nagle zauważyłem, że artylerzyści są w niebieskich mundurach i nie mają dolmanów zdobionych czerwonymi Brandenburgami. Jak u naszych konnych artylerzystów. Zdumiony tym widokiem obserwowałem tych żołnierzy, gdy ktoś trącił mnie w bok. Obok mnie stał gospodarz, który wyszedł z gospody.

– Oszalał pan! – krzyknął. – Po kiego licha pan tu przyjechał? Co pan tu robi?

– Szukam marszałka Grouchy.

– Znalazł się pan w sercu pruskiej armii. Zawracaj i uciekaj!

– Niemożliwe, to korpus Grouchy’ego.

– Skąd pan wie?

– Ponieważ tak powiedział Cesarz.

– Zatem Cesarz fatalnie się pomylił. Mówię panu, to patrol Huzarów Śląskich.

Przed chwilą stąd odeszli. Nie widział ich pan w lesie?

– Widziałem huzarów.

– To wrogowie.

– Gdzie jest Grouchy?

– Jest za nimi, oni go minęli.

– No to jak mógłbym wracać? Jeżeli pojedę naprzód, mam szansę go spotkać.

Muszę wykonać rozkaz i znaleźć go, gdziekolwiek teraz się znajduje.

Mężczyzna natychmiast zareagował:

– Szybko! Szybko! – zawołał chwytając uzdę mojego konia. – Rób pan co powiem, a możesz jeszcze im umknąć. Jeszcze pana nie zauważyli. Chodź ze mną, ukryję pana do czasu, aż przejdą.

Za domem stała niska stajnia, do której wprowadził Violette. Potem na pół ciągnąc, na pół pchając, zawłókł mnie do kuchni gospody. Był to nagi pokój o ceglanej posadzce. Tęgą kobietą o czerwonej twarzy smażyła na ogniu kotlety.

– O co tu znowu chodzi? – zapytała ze złością, patrząc to na mnie, to na gospodarza.

– Kogo tu przyniosło?

– To francuski oficer, Marie. Nie możemy pozwolić, aby znaleźli go Prusacy.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Na litość boską, czyż nie byłem żołnierzem Napoleona? Czy nie zostałem odznaczony honorowym muszkietem w elicie Gwardii? Mam być świadkiem wzięcia do niewoli towarzysza broni? Marie, musimy go ocalić.

Ale kobieta patrzyła na mnie wrogo.

– Pierre Charras – rzekła – ty nie spoczniesz, aż ci spalą dom. Czy ty nie masz rozumu, tępaku, że ty walczyłeś po stronie Napoleona, tylko dlatego, że wtedy Napoleon władał Belgią? Ale teraz już nie włada. Naszymi sprzymierzeńcami są Prusacy, a ten tu Francuz jest naszym wrogiem. Wydadz go!

Gospodarz podrapał się w głowę i patrzył na mnie zmieszany. Nie miałem żadnych wątpliwości, że nie chodzi mu ani o Francję, ani o Belgię, o którą tak dbała jego kobieta,

tylko o bezpieczeństwo domu.

– Madame – rzekłem z godnością i z pełnym przekonaniem – Cesarz pobije Anglików i francuska armia będzie tu przed wieczorem. Jeżeli potraktujecie mnie dobrze, czeka was nagroda, ale jeżeli mnie wydacie Prusakom, zostaniecie ukarani i wasz dom na pewno zostanie spalony, zgodnie z wyrokiem sądu wojkowego.

Była tym wstrząśnięta, a ja szybko całkowite zwycięstwo dopełniłem słowami:

– Czy to możliwe, aby ktoś tak piękny posiadał w piersi tak nieczułe serce? Przecież nie odmówicie mi schronienia, którego obecnie tak potrzebuję.

Spojrzała na moje wąsy i dostrzegłem, że zaczyna mięknać. Chwyciłem ją za rękę i w ciągu dwóch minut byliśmy przyjaciółmi, a jej mąż zaczął się zaklinać, że gdybym w tej sprawie dalej naciskał, to i tak byłby mi uległ.

– A poza tym, cała droga jest zapchana Prusakami! – wykrzyknął – A więc szybko! Szybko! Na strych.

– Tak, tak, na strych! – zawtórowała jego żona i oboje zaprowadzili mnie do drabiny prowadzącej do kłapy w suficie. W tym momencie odezwało się głośne walenie do drzwi, więc możecie sobie wyobrazić, jak szybko moje ostrogi zadzwoniły po szczeblach drabiny i jak prędko zniknąłem w otworze na suficie. W chwilę później usłyszałem niemieckie głosy w pokoju pode mną.

Znalazłem się na zwykłym, długim strychu rozciągającym się na całej powierzchni domu. Przez szpary w podłodze mogłem z zadowoleniem zobaczyć kuchnię, salon i bar. Nie było tam okien, ale ponieważ cały dach wymagał remontu, w wielu miejscach ubytki w pokryciu umożliwiały obserwację i dawały też światło.

Cały strych zapchany był rupieciami, a w kącie wznosił się stos pustych butelek. Ponieważ strych był pozbawiony okien i drzwi zewnętrznych, mogłem stąd uciec tylko klapą w podłodze.

Kilka minut siedziałem na kupie słomy, aby się uspokoić i obmyślić dalsze plany działania. To bardzo źle, że Prusacy zjawili się na polu bitwy przed naszymi rezerwami, chociaż był to prawdopodobnie tylko jeden korpus, a jeden korpus więcej czy mniej nie robi różnicy takiemu wodzowi jak Cesarz. Bez względu na wszystko i tak pobije Anglików.

Najlepszym sposobem służenia mu, w sytuacji gdy Grouchy był daleko, było czekanie tu, aż Prusacy przejdą, a potem podjęcie dalszej drogi, znalezienie marszałka i przekazanie mu rozkazów. Powinien ruszyć na tyły Anglików, zamiast ścigać Prusaków – los Francji zależał od mojej oceny sytuacji, no i od stanu moich nerwów. Nie pierwszy to raz, jak się mogliście przekonać, moi przyjaciele, musiałem zaufać mojej ocenie sytuacji lub nerwom, które jeszcze nigdy mnie nie zawiodły. Cesarz z pewnością wybrał właściwego człowieka do tej misji. Nazwał mnie „księciem posłańców” i muszę zasłużyć na ten tytuł.

Było jasne, że nic nie mogę zrobić, zanim Prusacy nie odejdą, zatem czas spędzałem na obserwowaniu ich.

Nie lubiłem ich, ale muszę przyznać, że byli bardzo zdyscyplinowani. Żaden nie wszedł do gospody, chociaż usta mieli wyschnięte od kurzu i padali ze zmęczenia.

Ci, którzy zastukali do drzwi, wnieśli nieprzytomnego kolegę, zostawili go

i natychmiast wrócili do szeregu. W ten sam sposób wniesiono jeszcze kilku innych i położono na podłodze w kuchni. Został z nimi młody lekarz – prawie jeszcze chłopiec.

Obserwowałem ich przez szpary w podłodze, a potem przez otwory w dachu, z których miałem wspaniały widok na wszystko, co się działo wokół gospody. Żołnierze pruskiego korpusu nieustannie mijali dom i można było dostrzec, że byli wyczerpani marszem i brakiem żywności. Twarze mężczyzn wyglądały strasznie – byli od stóp do głów pokryci błotem. Jednak mimo widocznego zmęczenia, ich duch był w doskonałym stanie – co widać było, gdy pchali i ciągnęli armaty, kiedy koła grzęzły po osie w błocie, a zmęczone konie zapadały się po kolana, nie zdolne je ciągnąć.

Oficerowie jeździli w górę i w dół kolumny, zachęcając do jeszcze większej aktywności, chwając lub ganiąc, a także zadając ciosy płazem szabli. Cały czas słychać było ryk bitwy – jakby wszystkie ziemskie rzeki zbiły się w jeden nurt, grzmiący i huczący w gigantycznym wodospadzie, nad którym unosił się welon dymu i wzbijał wysoko nad korony drzew.

Oficerowie wskazywali kierunek szablami i wydawali ochryple okrzyki spieczonymi gardłami, ponagając zabłoconych ludzi, aby dołączyli do bitwy. Obserwowałem to przez godzinę i doszedłem do wniosku, że ich awangarda musi się spotkać z oddziałami Marbota, a Cesarz już wie o ich nadejściu. „Teraz gnacie tą drogą, przyjaciele, ale potem będziecie jeszcze szybciej pędzić”, powiedziałem do siebie i pocieszałem się tą myślą.

Jednak moja przygoda zaczynała się przeradzać w długie, monotonne czekanie. Siedziałem przy mojej dziurze obserwacyjnej, gratulując sobie, że korpus już prawie przeszedł i droga wkrótce będzie dla mnie wolna, gdy nagle usłyszałem dochodzące z kuchni głośnie słowa po francusku:

– Nie możesz tam iść! – krzyczała kobieta.

– A ja ci mówię, że mogę – głos męski i odgłos szamotaniny.

Natychmiast przyłożyłem oko do szpary w podłodze.

Zobaczyłem tęgą kobietę walczącą jak cerber u stóp drabiny, podczas gdy młody, niemiecki lekarz, błądzący z wściekłości usiłował ją odepchnąć.

Kilku niemieckich żołnierzy, którzy tymczasem odzyskali siły, siedziało na podłodze kuchni i uważnie obserwowało kłótnię.

Gospodarza nie było widać.

– Nie trzymamy tam alkoholu – mówiła kobieta.

– Ja nie chcę alkoholu. Chcę słomę dla leżących tu ludzi. Dlaczego mają leżeć na ceglach, mając nad głową słomę?

– Tam nie ma słomy.

– To co tam jest?

– Puste butelki.

– Nic więcej?

– Nic więcej.

Przez chwilę wydawało się, że lekarz zrezygnował, lecz jeden z żołnierzy wskazał sufit. Z tego, co powiedział wywnioskowałem, że zobaczył żdźbła słomy wystające ze szpar między deskami. Wstało dwóch żołnierzy, którzy byli na tyle silni i mimo protestów

kobiety, odsunęli ją na bok. Lekarz wszedł na drabinę, otworzył klapę w suficie i wdrapał się na strych.

Kiedy odchylił klapę, szybko się za nią schowałem, ale gdy zamknął ją za sobą stanęliśmy przed sobą oko w oko.

Nigdy jeszcze nie widziałem tak zdumionego młodego mężczyzny.

– Francuski oficer! – wykrzyknął.

– Cicho – odparłem. – Cicho. Tylko szeptem.

I wyciągnąłem szablę.

– Ja nie walczę – rzekł. – Jestem lekarzem. Dlaczego grozi mi pan szablą? Nie jestem uzbrojony.

– Nie chcę pana skrzywdzić, ale muszę chronić siebie. Ja się tu ukrywam.

– Szpieg!

– Szpieg nie nosi munduru; szpiegów może pan znaleźć u siebie, w sztabie armii.

Przez pomyłkę znalazłem się w otoczeniu pruskiego korpusu i ukryłem się tutaj z nadzieją, że ucieknę po waszym przejściu. Nie zrobię panu krzywdy, jeżeli pan nie zrobi mnie krzywdy, ale jeżeli nie złożą pan przysięgi, że będzie milczał o mojej tu obecności, nie zejdzie pan żywy z tego strychu.

– Niech pan opuści szablę – rzekł lekarz i ujrzałem przyjazny błysk w jego oczach.

– Z urodzenia jestem Polakiem i nie żywię wrogich uczuć ani do pana, ani do pańskich ludzi, chcę tylko dobra moich pacjentów i nic więcej. Chwywanie huzarów nie należy do moich obowiązków. Za pańskim pozwoleniem, zejść na dół z kilkoma wiązkami słomy, aby wymościć nimi w kuchni posłanie dla moich biedaków.

Miałem zamiar wyegzekwować od niego przysięgę, ale doświadczenie mówiło mi, że ten, kto nie mówi prawdy i tak nie dotrzyma przysięgi, więc milczałem. Lekarz otworzył klapę i wrzucił przez otwór słomę, a potem zszedł po drabinie i zamknął za sobą klapę. Obserwowałem go z niepokojem, gdy dołączał do pacjentów razem z moją przyjaciółką gospodynią, ale nic nie powiedział i zajął się swoimi żołnierzami.

Tymczasem byłem pewien, że przeszedł już ostatni oddział korpusu i podszedłem do otworu w dachu przekonany, że ujrzę teraz czysty i bezpieczny teren, pewnie tylko z kilkoma maruderami, których mogłem zlekceważyć. I rzeczywiście, pierwszy korpus przeszedł i widziałem, jak znikają w lesie ostatnie szeregi piechoty, ale możecie sobie wyobrazić moje rozczarowanie, gdy z Lasu St. Lambert ujrzałem wynurzający się drugi korpus, tak samo liczny jak pierwszy.

Niewątpliwie nadciągała cała pruska armia, która – jak sądziliśmy – podobno została przez nas zniszczona pod Ligny, a teraz rzucono ją na prawe skrzydło, podczas gdy marszałek Grouchy na jakiś głupi rozkaz został skierowany gdzie indziej.

Bliższy niż przedtem ryk armat mówił, że pruskie baterie, które minęły mnie, były już w akcji. Możecie sobie wyobrazić w jakiej potwornej znalazłem się sytuacji! Mijała godzina za godziną i słońce chyliło się już ku zachodowi.

Ta przeklęta gospoda, w której siedziałem ukryty, była jak mała wysepka na rwącej rzece szalonych Prusaków.

Najważniejszym zadaniem było dotarcie do marszałka Grouchy, a jednak nie mogłem wytknąć nosa, żeby nie zostać więźniem. Możecie sobie wyobrazić, jak

przeklinałem i rwałem włosy z głowy. Jakże mało wiemy, co może nas spotkać!

Gdy wściekałem się na niepowodzenie, jakie mnie spotkało, to samo niepowodzenie skierowało mnie na dużo poważniejszy cel od dostarczenia wiadomości marszałkowi Grouchy'emu – na wykonanie zadania, którego nigdy bym nie otrzymał, gdybym nie został zmuszony do ukrywania się w tej małej gospodzie, na skraju Lasu Paryskiego.

Przeszły dwa pruskie korpusy i nadciągał trzeci, gdy usłyszałem wielkie zamieszanie i dotarły do mnie głosy z salonu. Zmieniając pozycję, mogłem tam zajrzeć i przekonać się, co się dzieje.

Zobaczyłem dwóch pruskich generałów. Pochylali się nad mapą rozpostartą na stole. Otaczali ich oficerowie sztabu i adiutanci. Jeden z generałów był siwym, pomarszczonym, starym mężczyzną z bujnym, nastroszonym wąsem i głosem wydającym dźwięki podobne do szczekania psa. Drugi był młodszy, o pociągłej twarzy i zachowywał się bardziej wyniośle. Z naukowym skupieniem mierzył odległości na mapie, podczas gdy jego towarzysz tupał, wściekał się i kłął, jak kapral huzarów. Ze zdziwieniem patrzyłem na starego, miotającego się ze złości i młodego, który był taki spokojny. Nie rozumiałem wszystkiego co mówili, ale mogłem być pewien ogólnego znaczenia.

– Mówię panu, że musimy ciągle przeć do przodu! – krzyczał stary, wściekle rzucając niemieckie przekleństwa. – Obiecałem Wellingtonowi, że będę tam z całą armią, nawet gdyby mnie przywiązano do mojego konia! Korpus Bülowa jest już w akcji i wesprze go każdy człowiek i armata Ziethena. Do przodu, Gneisenau, do przodu!

Młodszy potrząsnął głową.

– Wasza ekscelencjo, musi pan pamiętać, że gdyby Anglicy ponieśli klęskę, będą musieli się wycofać na wybrzeże. A jaka będzie wtedy twoja pozycja z Grouchy'm, między tobą i Renem?

– Pokonamy ich, Gneisenau, księżę i ja zetrzemy ich na proch. Mówię ci, naprzód, naprzód! Cała wojna zakończy się w jednym uderzeniu. Ściągamy Pirscha i rzucamy sześćdziesiąt tysięcy ludzi na wagę, podczas gdy Thielmann spycha Grouchy'ego za Wavre.

Gneisenau wzruszył ramionami i w tym momencie w drzwiach pojawił się ordynans.

– Adiutant od księcia Wellingtona – oznajmił.

– Ha, ha! – zawołał stary. – Posłuchajmy, co nam powie!

Do pokoju, zataczając się wszedł angielski oficer w zabłoconym, poplamionym krwią szkarłatnym mundurze. Rękę miał owiniętą zakrwawioną chustą. Chwytał brzeg stołu, żeby nie upaść.

– Mam wiadomość dla marszałka Blüchera – rzekł.

– To ja. Mów! Mów! – krzyknął niecierpliwie stary.

– Księżę upoważnił mnie, żebym panu przekazał wiadomość, że Brytyjska Armia może działać samodzielnie i nie obawia się wyniku. Francuska kawaleria została już zniszczona, ich dwie dywizje piechoty przestały istnieć i w rezerwie mają tylko Gwardię. Jeżeli da pan energiczne wsparcie, klęska Francuzów zmieni się w totalny pogrom i... –

ugięły się pod nim kolana i padł bezwładnie na podłogę.

– Dosyć! Dosyć! – krzyknął Blücher. – Gneisenau, wyślij adiutanta do Wellingtona, żeby mu powiedział, iż może na nas całkowicie polegać. Panowie, mamy mnóstwo roboty!

Wybiegł z pokoju z całym sztabem, natomiast obu ordynansów oddano pod opiekę lekarza.

Szef sztabu, Gneisenau, zwlekał z wyjściem. Położył rękę na ramieniu jednego z adiutantów. Zwrócił moją uwagę dlatego, że zawsze moją uwagę zwracali przystojni mężczyźni – był wysoki i szczupły, doskonały wzór jeźdźca. Było w nim coś, co przyciągnęło mój wzrok. Miał ciemną, jastrzębią twarz o przenikliwych, czarnych oczach pod gęstymi brwiami i wąsy, kwalifikujące go co najmniej na dowódcę szwadronu moich huzarów. Miał na sobie zieloną kurtkę z białymi wyłogami i kask z końskich włosów. Przymuszczałnie był dragonem i pełnym fantazji kawalerzystą, którego niejednen chciałby mieć na szpicy szabli.

– Na słówko, hrabio Stein – rzekł Gneisenau. – Jeżeli wróg zostanie tu rozgromiony, ale Cesarzowi uda się zbiec, będzie mógł zebrać drugą armię i wszystko zacznie się od początku. Jeśli natomiast Cesarz zostanie schwytany, wojna będzie naprawdę skończona. Warto włożyć dużo wysiłku i ponieść całe ryzyko dla takiego celu jak ten.

Młody dragon słuchał uważnie w milczeniu.

– Przypuśćmy, że Wellington się nie myli i francuska armia zostanie zmieciona z pola walki, to Cesarz z pewnością ucieknie drogą przez Genappe i Charleroi, ponieważ jest to najkrótsza droga do granicy. Można sobie wyobrazić, że będzie miał eskortę konnych i zbiegowie będą mu torować drogę. Nasza kawaleria zajdzie od tyłu pokonaną armię, ale Cesarz może być już daleko od tłumu oddziałów frontowych i zgiełku bitwy.

Młody dragon pochylił głowę.

– Tobie, hrabio Stein, powierzam Cesarza. Jeżeli go schwytasz, twoje nazwisko przejdzie do historii. Masz opinię najlepszego jeźdźca w naszej armii. Dobierz sobie najlepszych według ciebie ludzi – dziesięciu, dwudziestu powinno wystarczyć. Nie angażuj się w bitwę, nie bierz też udziału w ogólnym pościgu, ale rezerwuj siły dla szlachetnego celu. Zrozumiałeś?

Dragon ponownie opuścił głowę. Jego milczenie zrobiło na mnie wrażenie. Czuję, że to naprawdę niebezpieczny człowiek.

– Szczegóły pozostawiam tobie. Uderzaj tylko w najważniejszych. Nie wolno ci pomylić cesarskiego powozu, ale też nie wolno ci pomylić osoby Cesarza. No a teraz, muszę już udać się za marszałkiem. Adieu! Jeżeli się jeszcze kiedyś spotkamy, to ufam, że tylko po to, abym mógł ci pogratulować sukcesu w akcji, która rozejdzie się szerokim echem po całą Europę.

Dragon zaszalutował i Gneisenau wybiegł z pokoju. Młody oficer przez chwilę stał zatopiony w myślach. Potem udał się w ślad za szefem sztabu.

Przez dziurę w dachu obserwowałem co teraz robi. W pobliżu gospody stał uwiązany jego kasztanek o białych do kolan przednich nogach. Wskoczył na siodło i ruszył w kierunku kolumny kawalerii, która właśnie przejeżdżała i zaczął rozmawiać

z oficerem, który dowodził wiodącym pułkiem.

Wkrótce zobaczyłem, jak dwóch huzarów – to był pułk huzarów – porzuciło szereg i zajęło pozycje za hrabią Steinem. Potem zatrzymał następny pułk i do eskorty dołączyło dwóch lansjerów. Następny pułk dostarczył mi dwóch dragonów, a potem dwóch kirasjerów. Zebrał wszystkich wokół siebie i ostatecznie dziewięciu jeźdźców zniknęło w Paryskim Lesie.

Nie muszę wam mówić, przyjaciele, co to mogło oznaczać. On w istocie robił to samo, co ja byłbym zrobił na jego miejscu. Zabrał z każdej formacji po dwóch najlepszych jeźdźców, tworząc w ten sposób zespół, który prawdopodobnie był zdolny schwytać każdego, kogo będzie ścigał. Niech Nieba pomogą Cesarzowi, jeżeli spotka ich na drodze bez swojej eskorty!

A ja, drodzy przyjaciele, tu, w gorączce, wrzeniu, szaleństwie! Uleciały wszystkie myśli o Grouchy'm. Od wschodu nie było słyhać armat; pewnie był daleko. Ale nawet gdyby się teraz pojawił, to nie była to pora, aby zmieniać decyzje. Słońce było już nisko na niebie i do zmroku mogło być nie więcej niż dwie, trzy godziny. Moja pierwotna misja musi być anulowana, jest już bezużyteczna. Pojawiło się nowe zadanie, pilniejsze, wręcz nie cierpiące zwłoki; zadanie mające na celu zagwarantowanie bezpieczeństwa Cesarza – a może nawet walkę o jego życie.

Bez względu na grożące niebezpieczeństwo, musiałem za wszelką cenę stanąć u jego boku.

Ale jak to zrobić? Teraz, między mną a francuskimi liniami znajdowała się cała pruska armia. Blokowali każdą drogę, ale nie byli w stanie zablokować ścieżki obowiązku, jaki narzucił sobie Etienne Gerard. Nie mogłem dłużej czekać. Musiałem natychmiast ruszać w drogę.

Ze strychu prowadziła tylko jedna droga i na dół mogłem zejść tylko po drabinie. Zajrzałem do kuchni i zobaczyłem, że lekarz ciągle tam jest. Na krześle siedział ranny angielski adiutant, a na słomie leżało dwóch pruskich żołnierzy, w stanie skrajnego wyczerpania. Pozostałych, którzy odzyskali siły, odesłano. Do mojego konia mogłem się dostać tylko przechodząc obok nich. Ze strony lekarza nie musiałem się niczego obawiać, Anglik był ranny, a jego szabla razem z płaszczem leżała w kącie. Obaj Niemcy byli półprzytomni i nie mieli przy sobie muszkietów. Cóż prostszego? Otworzyć klapę, ześlizgnąć się po drabinie i nagle zjawić się przed nimi z szablą w dłoni.

Ależ oni byli zaskoczeni! Lekarz oczywiście wiedział wszystko, ale Anglikowi i obu Niemcom wydało się, że zstąpił z nieba bóg wojny we własnej osobie! Z moją postawą, wyglądem i srebrno--szarym mundurem, z błyszczącą szablą, musiałem przedstawiać widok, który warto było oglądać. Niemcy leżeli jak sparaliżowani, gapiąc się na mnie ze zdumieniem. Angielski oficer uniósł się, ale zaraz bez sił klapnął na krzesło z otwartymi ustami i ręką na oparciu krzesła.

– Cóż to za licho? – powtarzał. – Cóż to za licho?!

– Nie ruszać się! – rozkazałem. – Nikogo nie zranię, ale pożałuje ten, kto będzie próbował mnie zatrzymać. Nie musicie się bać, jeżeli pozwolicie mi odejść. Jestem pułkownik Etienne Gerard z huzarów Conflans.

– Diabeł – jęknął Anglik. – To ty zasiekłeś szablą lisa.

Skrzywił się ponuro. To zazdrość sportowca. On mnie nienawidzi, bo ubiegłem go w zabiciu tego zwierzaka. Jak bardzo różniliśmy się charakterami! Gdybym to ja był świadkiem takiego wyczynu z jego strony, uściskałbym go i krzychał z radości. Ale teraz nie czas na sprzeczki.

– Żałuję, sir – odparłem – ale muszę zabrać ci płaszcz.

Próbował wstać i sięgnąć po szablę, ale już skoczyłem między niego i kąt kuchni.

– Jeżeli ma pan coś w kieszeniach...

– Futerał... – odparł.

– Nie zamierzam pana okradać – oświadczyłem i podnosząc płaszcz wyjąłem z kieszeni srebrną piersiówkę, prostokątny futerał z drewna i połową lunetę. Wszystko to mu podałem. Ten nędznik otworzył futerał, wyjął z niego pistolet i wymierzył go w moją głowę.

– A teraz, mój mały kolego – rzekł – odłóż szablę i poddaj się.

Byłem tak zdumiony tą zmianą sytuacji, że stałem przed nim jak skamieniały. Próbowałem mówić o honorze i wdzięczności, ale widziałem tylko nad pistoletem twarde, bezwzględne oczy.

– Dość gadania! – krzyknął. – Rzuć to!

Czy mógłbym znieść takie poniżenie? Śmierć była lepsza od rozbrojenia w taki sposób. Dosłownie.

– Ognia! – krzyknąłem, ale w tym momencie Anglik zniknął mi z oczu i na jego miejscu leżała kupa słomy z ręką w czerwonym rękawie i wijącymi się i kopiającymi dwoma heskimi butami z cholewami. Och, to ta wspaniała gospodyni! Tak, niewątpliwie uratowały mnie moje wąsy!

– Uciekaj żołnierzu! Uciekaj! – krzyknęła i cisnęła następną wiązkę słomy w Anglika.

Natychmiast znalazłem się na podwórzu, wyprowadziłem Violette ze stajni i wskoczyłem na siodło.

Z okna odezwał się wystrzał z pistoletu, kula bzyknęła mi koło ucha i ujrzałem wykrzywioną wściekłością twarz.

Uśmiechałem się pogardliwie i wypadłem na drogę. Ostatni Prusak odszedł i miałem przed sobą wolną drogę. Jeżeli Francja zwycięży – to wszystko w porządku. Lecz jeżeli Francja przegra – wtedy ode mnie i od mojej małej klaczki będzie zależeć coś ważniejszego niż samo zwycięstwo lub przegrana – bezpieczeństwo i życie Cesarza.

– Naprzód, Etienne, naprzód! – krzyknąłem. – Ze wszystkich twoich imponujących przygód czeka na ciebie ta najważniejsza – jeśli nawet miałyby być ostatnia!

II. Opowieść o dziewięciu pruskich jeźdźcach

Kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem, opowiedziałem wam, moi przyjaciele, o ważnej misji, na którą wysłał mnie Cesarz do marszałka Grouchy, o misji, która

bynajmniej nie z mojej winy nie powiodła się. Opowiedziałem też, jak przez całe długie popołudnie musiałem tkwić na poddaszu wiejskiej gospody, nie mogąc się z niego ruszyć, ponieważ ze wszystkich stron otaczali mnie Prusacy. Pamiętacie też, jak podsłuchałem Szefa Pruskiego Sztabu, który wydał instrukcje hrabiemu Steinowi i jak poznałem groźny plan ujęcia Cesarza, w razie pobicia Francuzów. W pierwszej chwili nie wierzyłem w to, lecz słysząc przez cały dzień huk armat, kiedy ten huk nie zbliżał się do mnie, byłem pewien, że Anglicy odpierając wszystkie nasze ataki, co najmniej trzymają się na pozycjach.

Mówiłem też, że było to zmaganie francuskiego ducha z angielską wołowiną, ale należy też przyznać, że okazało się, iż ta wołowina była niezwykle twarda.

Było jasne, że jeśli Cesarz nie pokona Anglików, gdy byli na polu bitwy sami, to może być z nim krucho, jeżeli na jego flance pojawią się sześćdziesiąt trzy tysiące tych przeklętych Prusaków. W każdym razie, z posiadaną przeze mnie tajną informacją, moje miejsce było u jego boku.

Opuściłem gospodę, w sposób opisany podczas naszego ostatniego spotkania, zostawiając angielskiego adiutanta wygrażającego mi pięścią przez okno. Oglądając się na niego, pękałem ze śmiechu, widząc jego wściekłość na purpurowej twarzy i zdobiące ją festony słomy. Po wyjechaniu na drogę, uniosłem się w strzemionach i narzuciłem na ramiona oblamowany czerwienią, elegancki płaszcz jeździecki, zakrywający mundur, który zdradzał moją tożsamość. Jeśli zaś chodzi o moją futrzaną czapę, to wiele podobnych nosili też pruscy żołnierze i nie powinna zwracać szczególnej uwagi. Tak długo, dopóki nikt do mnie nie przemówi, mogłem się śmiało przemieszczać wśród pruskich żołnierzy. Chociaż rozumiałem po niemiecku, ponieważ w czasie wielu wspaniałych lat walk w tym kraju, miałem wiele przyjaciółek, ciągle mówiłem po niemiecku z tym uroczym, paryskim akcentem, którego nawet nie można porównać do tej ich przekłętej, niemuzykalnej, chropowatej wymowy. Wiedziałem, że właśnie ten akcent mógł mnie zdradzić, miałem jednak nadzieję, że uda mi się przebyć całą drogę bez otwierania ust.

Las Paryski był tak rozległy, że nawet nie pomyślałem, żeby go okrążyć, zatem z całym samozaparciem i odwagą galopowałem drogą, śladem pruskiej armii. Nie było to trudne, bowiem koła armat wryły w niej dwustopowe koleiny. Wkrótce na poboczach pojawili się ranni – Prusacy i Francuzi, tam gdzie Bülow zetknął się z huzarami Marbota. Stary mężczyzna z długą, siwą brodą, zapewne lekarz, krzyknął i potem biegł za mną ciągle krzyżąc, ale nie odwróciłem głowy i nie zwracając na niego uwagi bodłem boki konia ostrogami, żeby nie zwalniał. Długo jeszcze słyszałem te krzyki, aż w końcu zniknął mi z oczu między drzewami.

Wkrótce zrównałem się z pruskimi rezerwami. Piechurzy wspierali się na muszkietach, albo leżeli wyczerpani na mokrej ziemi, a zgromadzeni oficerowie wsłuchiwali się w odgłosy bitwy i omawiali raporty dochodzące z frontu. Przejechałem obok nich z najwyższą szybkością, ale jeden z nich zagroził mi drogę, ręką dając znak, żebym się zatrzymał. Zwróciło się na mnie pięć tysięcy par oczu. Co to była za chwila! Już widzę, że zbledliście przyjaciele, na samą myśl o niej! A ja... pomyślcie tylko, jak każdy włos uniósł się na mojej głowie! Lecz nawet na sekundę nie opuściła mnie odwaga

ani spryt.

– Generał Blücher! – krzyknąłem.

Czy to nie anioł stróż podszeptał mi do ucha te dwa słowa? Prusak odskoczył na bok, zsalutował i pokazał, że mam jechać dalej. Byli zdyscyplinowani, ci Prusacy i nie odważyli się zatrzymać oficera, jadącego z wiadomością dla generała.

To było jak talizman strzegący mnie przed każdym niebezpieczeństwem i na tę myśl serce zabiło mi żywiej. Byłem tak rozradowany, że już nie czekałem na pytania, tylko pędząc przez pruską armię wrzeszczałem na prawo i lewo:

– Generał Blücher! Generał Blücher! – i każdy napotkany człowiek wskazywał mi kierunek, czyszcząc przede mną drogę.

Były to czasy, kiedy najwyższą mądrością było skrajne zuchwalstwo, ale ważne też było zachowanie odpowiedniej dyskrecji, a ja – co muszę przyznać – nie byłem dyskretny. Kiedy jadąc, zacząłem się zbliżać do linii frontu, oficer pruskich ułanów chwycił mojego konia za uzdę i wskazał grupę mężczyzn, przy spalonej farmie.

– Tam jest marszałek Blücher. Dostarcz mu wiadomość – rzekł i rzeczywiście, ten mój groźny, stary weteran z siwymi wąsami, stał tam w odległości strzału z pistoletu, z oczami zwróconymi w moją stronę.

Ale mój anioł stróż nie opuścił mnie.

Błyskawicznie przypomniałem sobie nazwisko generała dowodzącego czołówką Prusaków.

– Generał Bülow! – krzyknąłem i ułan puścił uzdę. – Generał Bülow! Generał Bülow! – wrzeszczałem, gdy moja mała, kochana klaczka niosła mnie coraz bliżej i bliżej moich ludzi.

Galopowałem przez płonąca wieś Plancenoit, kierując się między dwie kolumny pruskiej piechoty. Przeskoczyłem żywopłot, przebiłem się przez Śląskich Huzarów, którzy przecięli mi drogę i w chwilę później, z rozwianym płaszczem ukazującym mój mundur, minąłem otwarte dwuszeregi dziesiątej linii i znowu znalazłem się na tyłach, w centrum korpusu Lobau. Oskrzydleni przeważającymi siłami Prusaków, wolno się wycofywali. Parłem naprzód, mając przed oczami tylko jeden cel – znaleźć się u boku Cesarza.

Jednak na widok, jaki ukazał się moim oczom, stanąłem jak wryty, niczym jakiś posąg jeźdźca. Zaparło mi dech w piersiach. Moja droga prowadziła na kopiec i gdy zatrzymałem się na jego szczycie, spojrzałem w dół na długą, płytką dolinę Waterloo. Niedawno opuściłem ją, mając przed oczami dwie wielkie armie i czyste pole między nimi. Teraz, na dwóch grzbietach, wlokły się zdziesiątkowane, okaleczone, skrajnie wyczerpane pułki, a między nimi leżała armia trupów i rannych. Na długości dwóch mil ziemia była nimi zasłana. Ale taka rzeź nie była dla mnie czymś nowym i nie to spowodowało, że zamarłem bez ruchu. Był to widok, jaki ujrzałem na drugim zboczu, gdzie znajdowały się pozycje Brytyjczyków. Tam sunął las czerni, falujący, łamiący się, lecz nie zmacony. Czyżbym nie poznawał niedźwiedzich futer czap Gwardii? I czyż nie wiedziałem też, a mój żołnierski instynkt nie przypominał mi, że była to ostatnia rezerwa Francji, że Cesarz, jako zdesperowany gracz, postawił wszystko na jedną kartę? Szli wyżej, coraz wyżej – wielcy, solidni, niezniszczalni, czarny potop zalewający brytyjskie

baterie. Przez lunetę mogłem zobaczyć, jak angielscy artylerzyści padają lub uciekają. Gwardia przetoczyła się przez nich, a potem do moich uszu doszedł trzask, gdy starli się z brytyjską piechotą. Mijały minuty... Czuję jak serce podchodzi mi do gardła.



Tam jest marszałek Blücher. Dostarcz mu wiadomość!

Chwiali się – do tyłu, do przodu, już nie parli naprzód, zostali zatrzymani. Wielkie Nieba! Czy to możliwe, żeby zostali pokonani? Wpierw jeden czarny punkt zbiegł w dół wzgórza, potem dwa, cztery, dziesięć i w końcu cała rozproszona masa, walcząca, zatrzymująca się, załamująca się, znowu się zatrzymująca, ale ostatecznie rozbita i opadająca jak szalona w dół. Zewsząd dochodziły do mnie okrzyki.

– Gwardia została pokonana! Gwardia pokonana!

Piechota zwróciła w tym kierunku twarze, artylerzyści zadrżeli.

– Stara Gwardia została pokonana! Gwardia pokonana! – obok mnie przebiegł oficer, z wyrazem wściekłości na twarzy, wołając z rozpaczą:

– Ratujcie się! Zostaliście zdradzeni!

Inny wołał:

– Ratujcie się ! Ratujcie się!

Ludzie rzucili się jak szaleni do ucieczki; popychali się, tratowali jak przerażone barany. Ze wszystkich stron dobiegały do mnie krzyki i wycia. I kiedy w tym momencie spojrzałem w kierunku pozycji brytyjskich, ujrzałem coś, czego nigdy nie zapomnę. Na tle ostatnich czerwonych promieni zachodzącego słońca, stała na grzbiecie wyraźnie rysująca się czarna postać jeźdźca. Była tak mroczna, tak niewzruszona w tym ponurym świetle, że mogłaby wyobrażać ducha bitwy stojącego w zadumie nad tą przerażającą doliną. Gdy na nią patrzyłem, uniosła wysoko kapelusz i na ten sygnał z dołu uniósł się ryk i cała brytyjska armia, jak załamująca się fala spłynęła ze swojego wzgórza w dolinę.



Gwardia została pokonana! Gwardia pokonana!

Fale długich szeregów – lśniąceją stałą, czerwienią i błękitem kawalerii; baterii konnych – spadały na nasze skruszone szeregi. I to był koniec. Od flanki do flanki wzniósł się krzyk rozpacz, rozpacz dzielnych ludzi, którzy nie mają już nadziei i cała ta wspaniała armia została zmieciona z pola dzikim, przerażającym uderzeniem. Drodzy przyjaciele, nawet teraz, jak widzicie, nie mogę mówić o tej strasznej chwili, mając suche oczy lub bez drżenia głosu.

W pierwszej chwili zostałem porwany tym rwącym nurtem, jak źdźbło słomy prądem strumienia. Nagle ujrzałem wśród mieszaniny pułków, grupę jeźdźców połyskujących srebrem w szarych mundurach, z wysoko uniesionym, postrzępionym sztandarem. Cała moc Anglii i Prus nie zniszczy huzarów Conflans! Lecz, gdy dołączyłem do nich, moje serce krwawiło na ich widok – major, siedmiu kapitanów i pięciuset ludzi, tyłu ich tylko zostało w polu. Dowodził młody kapitan Sabbatier i gdy zapytałem gdzie jest pięć nieobecnych szwadronów, wskazał za siebie i odpowiedział:

– Możesz ich znaleźć tam, są otoczeni przez jeden z tych brytyjskich czworoboków.

Ludzie i konie byli skrajnie wyczerpani, spływali potem i oblepiał ich kurz, z pysków koni zwisały czarne języki – a jednak przenikał mnie dreszcz dumy na widok tych resztek huzarów, jak jadą noga w nogę, z trębaczem i dowodzącym sierżantem, wszyscy na właściwych miejscach.

Powinienem zabrać ich jako eskortę Cesarza. W otoczeniu huzarów Conflans byłby naprawdę bezpieczny. Lecz konie zmuszono do truchtu i zostawiłem ich za sobą z rozkazami, aby jechali do farmy St. Aunay, gdzie obozowaliśmy przed dwoma dniami. Ja natomiast skierowałem konia, aby przebić się przez tłum wojska w poszukiwaniu Cesarza.

Po drodze widziałem różne rzeczy, straszne rzeczy, o których nigdy nie zapomnę. Jeszcze dziś widzę w snach te wściekle twarze, słyszę te wycia, krzyki i szlochy. To był koszmar. Zwycięzca nigdy nie pojmie grozy wojny, tylko ten, kto dozna lodowatego dreszczu klęski. Pamiętam starego grenadiera Gwardii leżącego na poboczu drogi z nogą złamaną pod kątem prostym.

– Towarzysze, towarzysze, wyprostujcie mi nogę! – wołał, lecz oni mijali go, potykając się i kulejąc, sami będąc w nie lepszym stanie. Przede mną jechał bez płaszcza oficer lansjerów. Właśnie w ambulansie odjęto mu rękę. Spadły mu bandaż... To było przerażające. Dwóch artylerzystów próbowało się przebić z armatą. Szaser uniósł muszkiet i strzelił jednemu z nich w głowę. Widziałem, jak major szaserów wyciągnął z kabury pistolety i w pierw zastrzelił swojego konia, a potem siebie. Za drogą jakiś żołnierz w błękitnym płaszczu zachowywał się jak szaleniec – miał czarną od prochu twarz, mundur porwany na strzępy... brakowało jednego epoletu, drugi zwisał na piersi. Kiedy podjechałem bliżej, rozpoznałem go – to był marszałek Ney. Wrzeszczał na uciekające oddziały, a jego głos brzmiał jak wycie dzikiego zwierzęcia. Potem uniósł kikut swojej szabli – była złamana trzy cale od rękojeści – i krzyczał:

– Chodźcie, chodźcie tu i zobaczcie, jak umiera marszałek Francji!

Chętnie przyłączyłbym się do Ney'a, ale wzywał mnie obowiązek.

Jak wiecie, nie znalazł wtedy upragnionej śmierci, ale spotkał ją później z rąk zimnokrwistych wrogów.

Istnieje stare przysłowie, że Francuz w ataku zachowuje się jak prawdziwy mężczyzna, natomiast w czasie klęski – niczym zwykła baba. Tego dnia przekonałem się, jak bardzo jest to prawdziwe.

Jednak w czasie mojej drogi, mogę też wspomnieć rzeczy, które napawały mnie dumą.

Przez pola, którymi biegła droga, szły trzy rezerwowe bataliony Gwardii Cambronne'a – sama śmietanka naszej armii.

Szły wolno, czworobokami kawalerii, pod czarnymi czapami z niedźwiedziej futer. Wokół nich krążyli wściekli angielscy kawalerzyści i czarni lansjerzy z Brunswicku – uderzając falami, ale za każdym razem odpierani i dziesiątkowani. Kiedy ostatni raz ich widziałem, angielskie armaty – równocześnie sześć armat – zarzuciły ich gradem kul, a potem ruszyła na nich angielska piechota, oddając z trzech stron salwę. Jednak Gwardia, jak nieustraszony lew w otoczeniu zawziętych psów, trzymała się swoimi dzielnymi resztkami, to powoli maszerując do przodu, to zatrzymując się, zwierając szyki i majestatycznie ruszając dalej w swojej ostatniej bitwie.

Za nimi, na grzbiecie wzgórza ulokowano dwunastofuntowe armaty Gwardii. Artylerzyści zajęli stanowiska, ale nie strzelali.

– Dlaczego nie strzelacie? – pytałem mijanego pułkownika.

– Skończył się proch.

– Dlaczego się nie wycofujecie?

– Nasz widok może ich nieco opóźnić. Musimy dać Cesarzowi czas na ucieczkę.

Tacy to byli, ci francuscy żołnierze. Poza tymi dzielnymi ludźmi, inni nabierali sił i szli dalej, w mniej już rozpaczliwym stanie. Porzucali drogę i w dziennym świetle mogłem widzieć rozsianych po całej okolicy przerażonych ludzi, którzy przed dziesięcioma godzinami tworzyli najlepszą armię, jaka kiedykolwiek stanęła do bitwy. Wkrótce, na swojej doskonałej klaczy wydostałem się z tej ciżby i minąłem Genappe. Tam też dostrzegłem Cesarza z resztkami sztabu. Ciągłe był przy nim Soult, a także Drouot, Lobau i Bertrand, z szaserami Gwardii, których konie ledwo się ruszały.

Zapał zmierzch i wymizerowana twarz Cesarza, gdy zwrócił się do mnie, blade błyszczała w mroku.

– Kto to jest? – zapytał.

– To pułkownik Gerard – odparł Soult.

– Widziałeś się z marszałkiem Grouchy?

– Nie, Sire. Rozdzielili nas Prusacy.

– Nieważne. Teraz to już bez znaczenia, Soult. Muszę się wycofać.

Próbował zawrócić konia, lecz Bertrand chwycił za uzdę.

– Ach, Sire – rzekł Soult – wróg miał już na dziś dość szczęścia.

Zmusili go, żeby się znalazł między nimi. Jechali w milczeniu. Cesarz zwiesił głowę, podbródkiem dotykając piersi. Wielki, najsmutniejszy z ludzi. Daleko za nami ciągle grzmiał groźny, bezlitosny huk armat. Czasem z ciemności dochodziły piski i krzyki, razem z niskim dudnieniem galopujących koni. Na ten dźwięk bodliśmy boki koni ostrogami i przyspieszaliśmy, mijając rozproszone oddziały. W końcu, po całonocnej jeździe w świetle księżyca, stwierdziliśmy, że zostawiliśmy za sobą pościg

i ścigających. O świcie przemknęliśmy przez most pod Cherleroi. W zimnym, czystym świetle poranka musieliśmy wyglądać jak jakiś oddział duchów – cesarz z twarzą jak z wosku, Soult poplamiony prochem, Lobau krwią. Jednak teraz jechaliśmy już spokojniej i przestałem się co chwilę oglądać przez ramię. Waterloo zostało daleko za nami, ponad trzydzieści mil. W Charleroi powóz cesarza miał być naprawiony, więc zatrzymaliśmy się po drugiej stronie rzeczki Sambre i rozsiadaliśmy konie.



Jechali w milczeniu

Możecie zapytać, dlaczego przez cały czas milczałem o tym, co mi najbardziej leżało na sercu – o potrzebie ostrzeżenia Cesarza. W istocie próbowałem o tym rozmawiać z Soultiem i Lobauem, lecz ich myśli były tak zaabsorbowane klęską i tak zajęte bieżącymi sprawami, że nie mogłem zwrócić ich uwagi na to, jak niecierpiącą zwłoki była wiadomość, którą zamierzałem im przekazać.

Poza tym, w czasie naszej ucieczki ciągle spotykaliśmy francuskich zbiegów i aczkolwiek mogli być zdemobilizowani, my musieliśmy się obawiać tylko ataku dziewięciu Prusaków. Teraz jednak, gdy wczesnym rankiem staliśmy wokół powozu Cesarza, z niepokojem zaobserwowałem, że na długiej, białej drodze za nami nie było już widać ani jednego francuskiego żołnierza. Oderwaliśmy się od armii. Rozejrzałem się i ustaliłem, jakie pozostały nam siły obronne: konie szaserów Gwardii padły i został tylko jeden szaser – siwobrody sierżant.

Byli też: Soult, Lobau i Bertrand – ale przy wszystkich ich umiejętnościach, gdyby doszło do bezpośredniego starcia, wolałbym mieć u boku sierżanta – kwatermistrza huzarów, niż tych trzech razem wziętych. No i był jeszcze sam Cesarz, woźnica i służący, który dołączył do nas w Charleroi – razem ośmiu ludzi, lecz na tamtych dziewięciu tylko dwóch, szaser i ja, żołnierzy zdolnych do walki, na których w ostateczności można było polegać. Przeniknął mnie lodowaty dreszcz, gdy pomyślałem, jak bardzo byliśmy bezradni. W tym momencie uniosłem oczy i zobaczyłem zjeżdżających ze wzgórza dziewięciu Prusaków.

Po drugiej stronie drogi rozciągała się rozległa równina, częściowo żółcąca się zbożem, częściowo zieleniąca się bujną łąką, obficie nawadnianą przez Sambre. Na południe od nas wznosił się niski grzbiet, przez który biegła droga w kierunku Francji. I właśnie tą drogą nadjeżdżała ta mała grupa kawalerzystów. Zatem hrabia Stein dobrze wypełniał rozkazy, aby udać się daleko na południe od nas, a potem odciąć drogę Cesarzowi. Teraz jechali z tego kierunku, do którego my zdążyliśmy – z najmniej spodziewanego miejsca, w którym mogliśmy oczekiwać spotkania wrogów. Ujrzałem ich w odległości około pół mili.

– Sire! – krzyknąłem. – Prusacy!

Wszyscy podskoczyli i spojrzeli w tę stronę. Cesarz przerwał milczenie:

– Kto powiedział, że to Prusacy?

– Ja, Sire... Etienne Gerard.

Nie miłe wieści zawsze wprawiały Cesarza w furję, skierowaną na tego, kto je dostarczył. Krzyknął do mnie ochrypłym głosem Korsykanina, jaki wydawał z siebie tylko wtedy, gdy tracił nad sobą panowanie.

– Zawsze byłeś bufonem! – wrzeszczał. – Co ty sobie, tępaku, myślałeś mówiąc, że to Prusacy? Jak mogą Prusacy jechać od strony Francji? Straciłeś rozum, jeśli go w ogóle kiedyś miałeś?

Te słowa cięły mnie jak biczem, a jednak wszyscy czuliśmy się w obecności Cesarza, jak stare psy przy swoim panu.

Jego kopniak szybko się zapomina i wybacza. Nie próbowałem się sprzeczać lub tłumaczyć się. Po białych skarpetkach przednich nóg prowadzącego konia, od pierwszego spojrzenia poznałem, że jedzie na nim hrabia Stein. Dziewięciu jeźdźców przez chwilę

stało i badało nas wzrokiem. Potem dali koniom ostrogi i z krzykiem triumfu ruszyli galopem drogą. Poznali, że mają w zasięgu swoją ofiarę.

Wówczas zniknęły już wszystkie wątpliwości.

– Na Boga, Sire, to są rzeczywiście Prusacy! – krzyknął Soult.

Lobau i Bertrand wyskoczyli na drogę, jak dwa waleczne koguty. Sierżant szaserów dobył szabli z salwą przekleństw. Woźnica i służący dziko wrzasnęli, załamując ręce. Napoleon, ze stężoną twarzą stał z jedną nogą na stopniu powozu. A ja... och, moi przyjaciele, to było coś wspaniałego! Jakich słów mam użyć, aby oddać moją postawę w tej najważniejszej chwili mojego życia? Znalazłem się w takim chłodnym stanie gotowości, byłem tak śmiertelnie spokojny i miałem tak trzeźwy umysł i tak pewną rękę, jak jeszcze nigdy w życiu. Cesarz nazwał mnie tępakiem i bufonem. Jakże szybko i w jak wzniosły sposób nadarzyła się sposobność, aby temu zaprzeczyć! Kiedy zawiodła go jego własna mądrość i spryt, teraz uzupełnią je mądrość i spryt Etienne'a Gerarda.

Walka byłaby czymś absurdalnym, ucieczka zbyt ryzykowna. Cesarz był otyły, śmiertelnie zmęczony. A poza tym, nigdy nie był dobrym jeźdźcem. Jak mógłby uciec tym doborowym żołnierzom, wśród których znajdował się najlepszy jeździec w całej pruskiej armii? Ale ja byłem najlepszym jeźdźcem we Francji. Ja, i tylko ja, mogłem sobie z tym poradzić. Gdyby oni ruszyli moim śladem – zamiast śladem Cesarza – wszystko mogłoby się dobrze skończyć. Takie oto myśli przebiegały mi przez głowę, natychmiast przeskakując od pomysłu do konkluzji, a potem do natychmiastowego działania. Podskoczyłem do Cesarza, który stał jak skamieniały, mając powóz między sobą i wrogami.

– Pański płaszcz, Sire! Pański kapelusz! – zawołałem i zerwałem mu z ramion płaszcz oraz kapelusz z głowy.

Jeszcze nikt nigdy go tak nie potraktował, ale miałem już na sobie płaszcz, a na głowie jego kapelusz, a on sam został wepchnięty do powozu. Następnie wskoczyłem na jego słynnego Araba i popędziłem konia wprost na grupę stojącą na drodze.

Może już odgadliście jaki miałem plan, ale możecie równocześnie zapytać, w jaki sposób zamierzałem uciekać, udając Napoleona?

Moja figura, jak to ciągle możecie jeszcze ocenić i jego figura nigdy nie grzeszyły zbytnią urodą – on był tak samo tęgawy jak i przysadzisty. Człowiek od niego wyższy nie byłby specjalnie różnił się na grzbiecie konia, a jeżeli się zgarbi i pochyli, może się wręcz upodobnić do worka z mąką. Założyłem na głowę mały, trójgraniasty kapelusz i narzuciłem luźny, szary płaszcz ze srebrną gwiazdą, którą znało każde dziecko w Europie. Miałem też pod sobą najśłynniejszego białego rumaka Cesarza.

Kiedy odjeżdżałem, Prusacy byli w odległości około dwustu jardów od nas. Uczyniłem rękoma gest imitujący przerażenie i rozpacz, a potem przeskoczyłem pobocze drogi. To wystarczyło, krzyknąłem z radości, a Prusacy eksplodowali furią nienawiści.

Przypominało to wycie wygłodniałych wilków, czujących zapach ofiary. Skierowałem konia na łąkę i obejrzałem się przez ramię. Och, co za cudowny widok! Galopowało za mną ośmiu konnych, jeden za drugim. Został tylko jeden. Usłyszałem krzyki i odgłosy walki. Przypomniałem sobie tego starego sierżanta szaserów i byłem pewien, że numer dziewięć nie będzie już sprawiał nam kłopotu. Droga była czysta,

Cesarz mógł swobodnie kontynuować podróż.

Teraz jednak musiałem pomyśleć o sobie. Gdyby Prusacy mnie schwytali, byłiby z pewnością bardzo rozczarowani. Co pewnie kosztowałoby mnie życie – a gdybym miał stracić życie, to drogo je sprzedam. Miałem jednak nadzieję, że uda mi się ich zgubić. Ze zwykłymi jeźdźcami, na zwykłych koniach nie powinienem mieć żadnych trudności, ale tu, zarówno konie jak i jeźdźcy byli najlepsi. Jechałem na wspaniałym rumaku, ale był już zmęczony długą i trudną drogą, a Cesarz nie należał do ludzi wiedzących, jak właściwie obchodzić się z koniem. Mało zwracał na niego uwagę i miał ciężką rękę do wędzidla. Za sobą miałem wprawnych i szybkich ludzi Steina. Jednak wyścig był fair.

Impuls był tak szybki i tak szybko pod jego wpływem działałem, że nie pomyślałem o własnym bezpieczeństwie. Przede wszystkim powinienem zawrócić drogą, którą tu przyjechaliśmy, gdzie miałem szansę spotkać naszych ludzi. Jednak teraz znajdowałem się poza drogą i zanim wpadło mi to do głowy, galopowałem już milę po równinie. Obejrzałem się i zobaczyłem, że Prusacy rozciągnęli się w długą linię, odcinając mnie od drogi z Charleroi. Nie mogłem już zawrócić, ale mogłem jechać na północ. Wiedziałem, że na terenie całego kraju znajdę wiele uciekających oddziałów i że prędzej czy później kogoś spotkam.

Jednak o czymś zapomniałem – o Sambre, nie pomyślałem o niej, aż w świetle słońca poranku, ujrzałem dość szeroką i głęboką rzekę. Przecinała mi drogę, podczas gdy za mną Prusacy już wylili z radości. Dotarłem do brzegu, ale koń nie chciał skoczyć do wody. Wbiłem mu ostrogę, lecz brzeg był wysoki, a rzeka głęboka.

Arab cofał się, rżąc i parskając, podczas gdy ryki triumfu stawały się coraz głośniejsze. Skręciłem i popędziłem konia wzdłuż brzegu. Dalej rzeka tworzyła pętlę i jakoś musiałem ją pokonać, bowiem odwrót miałem odcięty. Nagle poczułem dreszcz nadziei, gdy ujrzałem dom na moim brzegu i drugi na brzegu przeciwległym. Tam, gdzie po obu stronach rzeki stoją domy, musi być bród. Opadająca ścieżka wiodła do tego miejsca i popędziłem konia. Spieniona woda sięgnęła siodła, koń się potknął i już myślałem, że jesteśmy zgubieni, ale jakoś udało mu się wydostać z rwącego nurtu i chwilę później galopowałem po zboczach drugiego brzegu. Usłyszałem za sobą plusk, gdy pierwszy Prusak skoczył do wody. Teraz dzieliła nas tylko szerokość Sambre.

Jechałem, z głową schowaną między ramionami, w stylu Napoleona, i nie odważyłem się oglądać za siebie, żeby nie mogli widzieć moich wąsów. Podniosłem kołnierz szerokiego płaszcza. Gdyby teraz odkryli swoją pomyłkę, mogli się jeszcze cofnąć i dogonić powóz. Kiedy w końcu znaleźliśmy się na drodze, mogłem ocenić po tętnie kopyt, jak daleko są za mną i wydawało mi się, że ten odgłos wyraźnie staje się coraz głośniejszy, jakby powoli mnie doganiali. Teraz jechaliśmy prowadzącą od brodu kamienistą, zrytą koleinami drogą. Zerknąłem ostrożnie przez ramię i dostrzegłem, że grozi mi niebezpieczeństwo ze strony jeźdźcy, który mocno wyprzedzał swoich kamratów.

Był to huzar, nieduży facet na wielkim, czarnym koniu. Jego nieduża waga pozwoliła wyprzedzić innych i znalazł się na honorowym, lecz jakże niebezpiecznym miejscu – o czym się wkrótce przekona. Zmacałem olstra, ale stwierdziłem, że nie ma w nim pistoletów. W jednej była luneta, drugą wypychały papiery. Moja szabla została

razem z Violette.

Gdybym miał moją broń i moją klaczkę, to zabawiłbym się z tymi draniami, ale teraz byłem zupełnie bezbronny. U siodła zwisała szabla Cesarza, ale była zakrzywiona i krótka, całą rękojeść pokrywały złote ornamenty, co pewnie wspaniale skrzyło się w słońcu w czasie parady, lecz nie było przydatne żołnierzowi w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jednak dobytek jej i czekałem na odpowiedni moment. Odgłos kopyt zbliżał się. Już słyszałem ziajanie konia i jak Prusak ciska pod moim adresem groźby. Na zakręcie drogi zawróciłem Araba i zajechałem ścigającego od tyłu. Kiedy Prusak też wspiął konia i zawrócił, znaleźliśmy się twarzą w twarz. Jechał zbyt szybko, żeby się nagle zatrzymać i jego jedyną szansą było minąć mnie w pełnym galopie. Wybrał to, spotykając swoją śmierć, chociaż mógł zranić mnie lub mojego konia, w ten sposób przekreślając wszystkie nadzieje ucieczki. Lecz ten głupiec zawahał się na mój widok i chciał mnie wyminąć z prawej strony. Pochyliłem się nad szyją Araba i wbiłem tę dziecinną szabelkę w jego bok. Musiała być wykonana z najlepszej stali i ostra jak brzytwa, bowiem niemal nie poczułem jak wchodzi w jego ciało, a jednak krew zalała ją na trzy cale od rękojeści. Koń pogalopował dalej i Prusak utrzymywał się jeszcze na siodle przez jakieś sto jardów, zanim opadł twarzą na grzywę, a potem zsunął się z siodła na drogę. Ja natomiast znalazłem się tuż za jego koniem.

Usłyszałem rosnące okrzyki wściekłości i zemsty pozostałych Prusaków, gdy mijali martwego towarzysza i nie mogłem powstrzymać uśmiechu satysfakcji na to, co mogli pomyśleć o Cesarzu jako jeźdźcu i szermierzu. Obejrzałem się tak samo ostrożnie jak przedtem i przekonałem, że cała siódemka pędzi nadal za mną. Los ich kamrata nie miał żadnego znaczenia w porównaniu do konieczności wypełnienia powierzonego zadania. Byli tak niestrudzeni i bezlitośni jak psy gończe.

Lecz ja miałem dobrego konia. Dzielny i silny Arab doskonale sobie radził i pomyślałem, że jadąc na nim będę bezpieczny. A jednak zdarzył się niezwykle niebezpieczny moment. W pewnym miejscu droga się rozwidła i obrałem węższe odgałęzienie, bowiem było bardziej porośnięte trawą, co ułatwiało bieg końskim kopytom. Wyobraźcie sobie moje przerażenie, gdy minąłem jakąś bramę i nagle znalazłem się w obrębie stajni i innych budynków gospodarczych, bez możliwości wydostania się z zamkniętego obrębu zabudowań. Drodzy przyjaciele, jeśli teraz mam włosy śnieżnobiałe, to czyż nie było to główną przyczyną mojej siwizny?

Odwrót był niemożliwy, słyszałem za sobą tętent koni Prusaków. Natura pobłogosławiła mnie byстрыm okiem, pierwszym najważniejszym darem każdego żołnierza, szczególnie przydatnym dowódcy kawalerii. Między długim budynkiem stajni i domem mieszkalnym stał chlew. Front wykonano z drewnianych bali o wysokości czterech stóp, natomiast tylna, wyższa ściana była zbudowana z kamieni. Co znajdowało się za chlewem, tego nie mogłem widzieć. Między frontem i tylną ścianą było nie więcej niż kilka jardów. Podjąłem decyzję i chociaż był to czyn rozpaczliwy, musiałem się na niego zdecydować – za mną coraz bardziej zbliżały się konie prześladowców. Skierowałem Araba na chlew, ten zręcznie przeskoczył frontową ścianę i opadł przednimi nogami na śpiącą swinię. Padając na kolana pochylił się, wyrzucając mnie z siodła nad tylną ścianą, za którą padłem na rękę, twarzą w grządkę kwiatów. Koń został za mną,

Prusacy wjechali na podwórze. Natychmiast zerwałem się na równe nogi, chwyciłem uzdę i przeciągnąłem konia na swoją stronę. Mur zbudowany był z luźno ułożonych kamieni i kilka z nich runęło, tworząc szczelinę. Po pokonaniu muru, to wspaniałe stworzenie było już przy mnie i wskoczyłem na siodło. Wpadła mi do głowy śmiała myśl, że jeżeli Prusacy też wskoczą do chlewu, ich atak nie byłby groźny, ponieważ również musieliby poderwać konie. To może powinienem spróbować tu poczekać i kolejno ich pozabijać? Przednia myśl! Wtedy dowiedzieliby się, że Etienne Gerard nie należy do ludzi, których można bezkarnie ścigać. Sięgnąłem więc po szablę, ale, moi przyjaciele, możecie sobie wyobrazić, co poczułem trafiając na pustą pochwę! Szabla wypadła w czasie, gdy koń padł na kolana przed tą przeklętą świnią. Jakże często błahostki krzyżują nam plany! Po jednej stronie świnia z szablą, po drugiej bezbronny Etienne Gerard! Czy mogłem wrócić po szablę? Niemożliwe! Prusacy byli już na podwórzu. Zawróciłem Araba i podjąłem ucieczkę.

Jednak w tym momencie wydało mi się, że znalazłem się w gorszej pułapce niż przedtem. Znalazłem się w ogrodzie gospodarstwa, z sadem pośrodku i otaczającymi go grządkami kwiatów. Cały ogród okalały wysokie mury. Jednak przypuszczałem, że w którymś miejscu musi być brama, bo przecież nie można wchodzić do sadu przez chlew! Objechałem mury i tak jak się spodziewałem, znalazłem bramkę z kluczem od środka. Zsiadłem z konia, otworzyłem ją i... znalazłem się przed pruskim lansjerem siedzącym sześć stóp przede mną na koniu. Przez moment patrzyliśmy na siebie. Zatrzasnąłem bramkę i przekręciłem klucz. Za mną rozległ się dziki łomot i krzyk. Domyśliłem się, że któryś z moich prześladowców rozpaczliwie próbował przedostać się przez chlew. Ale jak ja miałem się wydostać z tego miejsca bez wyjścia? Było jasne, że część z nich okrążyła ogród, a część jechała bezpośrednio moim śladem. Gdybym miał szablę, załatwiłbym tego lansjera za bramką, jednak gdybym teraz wyjechał stąd tak jak stoję, skończyłoby się to prawdziwą jatką. Jeżeli będę dłużej zwlekał, oni z pewnością w końcu przebiją się przez chlew i co wtedy? Musiałem działać natychmiast, inaczej koniec ze mną. W takich momentach mój umysł pracował błyskawicznie i podejmowałem szybkie decyzje. Odjechałem na koniu około sto jardów od bramki, potem z trudem zwałem kilka luźnych kamieni ze szczytu muru i natychmiast wróciłem do bramki. Tak, jak się spodziewałem, lansjer pomyślał, że toruję sobie drogę ucieczki przez mur i usłyszałem tętent końskich kopyt, gdy galopował, aby mi przeciąć drogę. Dopadłem bramki, obejrzałem się i zobaczyłem zieloną kurtkę jeźdźca, w której poznałem hrabiego Steina. Przeskoczył przez chlew i z okrzykiem triumfu pędził teraz przez ogród.

– Poddaj się! Wasza Wysokość, poddaj się! – wrzeszczał. – Jesteś otoczony!

Nie patrząc na boki, przeskoczyłem przez bramkę. Stein był tuż za mną, a lansjer już zawracał konia. Unosząc się w siodle Araba, pomknąłem na leżącą przede mną łąkę. Stein zsiadł z konia, aby otworzyć bramkę, przeprowadził przez nią konia i dosiadł go.

Obawiałem się bardziej jego niż lansjera, którego koń był już mocno zmęczony. Galopowałem przez milę, zanim odważyłem się spojrzeć za siebie i zobaczyć, że Stein znajdował się w odległości strzału z muszkietu. Pojawił się też lansjer i w zasięgu wzroku miałem jeszcze tylko trójkę Prusaków. Cała dziewiątka skurczyła się do liczby, którą łatwiej pokonać – chociaż i tak byłoby to trudne dla nieuzbrojonego człowieka.

Byłem zaskoczony, że podczas całej tej długiej pogoni, ani razu nie zobaczyłem zbiegów z armii, ale po głębszym zastanowieniu się doszedłem do wniosku, iż przyczyną tego było oddalenie się na zachód od ich drogi ucieczki; postanowiłem, że muszę bardziej kierować się na wschód, żeby do nich dołączyć. Jeżeli tego nie zrobię, prawdopodobnie moi prześladowcy, nawet gdyby sami mnie nie pochwycili, nie stracą mnie z oczu, dopóki ich kamraci nie nadciągną z północy.

Patrząc na wschód, mogłem widzieć unoszącą się w oddali chmurę kurzu ciągnącego się przez wiele mil. Tam niewątpliwie znajdowała się droga, którą wycofywała się nasza nieszczęsna armia. Wkrótce otrzymałem tego dowód, gdy niektórzy z naszych maruderów znaleźli się po tej stronie traktu. Kiedy skierowałem konia na pastwisko leżące w narożniku pola, brzegiem jechał ciężko ranny, znajdujący się na skraju śmierci, francuski kirasjer. Skoczyłem ku niemu, wyciągnąłem jego długą, ciężką szablę i odjechałem. Nigdy nie zapomnę twarzy tego biedaka, gdy spojrzał na mnie gasnącym wzrokiem. Był to stary żołnierz z siwymi wąsami, jeden z tych prawdziwych fanatyków, dla których widok Cesarza był jak objawienie z Niebios.

Zdumienie, miłość, duma – to wszystko odbiło się na jego bladej twarzy. Coś powiedział – obawiam się, że były to jego ostatnie słowa – ale nie miałem czasu słuchać i pogalopowałem dalej swoją drogą.

Cały czas jechałem łąkami, które w tej części kraju były poprzecinane szerokimi rowami. Niektóre mogły mieć około czternastu, piętnastu stóp i czułem, jak mi serce podchodzi do gardła, gdy przeskakiwałem je, a każdy skok mógł się dla mnie skończyć tragicznie.

Lecz ten, kto wybrał Cesarzowi konia, z pewnością dokonał właściwego wyboru. To stworzenie ocaliło mnie nad brzegiem Sambre i nigdy, ani na moment, nie zawiodło.

Jednym skokiem gładko pokonywał przeszkody, a jednak nie mogłem się pozbyć tych przeklętych Prusaków. Gdy zostawiłem za sobą kolejny rów z wodą i oglądałem się z nową nadzieją, zobaczyłem Steina na jego białonogiej klaczy, jadącego tak samo lekko jak ja. Był moim wrogiem, ale szanowałem go za upór i wytrwałość, jakie wykazywał przez cały ten dzień.

Cały czas oceniałem dystans, dzielący go od następnego jeźdźca, aby ewentualnie zawrócić i załatwić go, jako, że byłem przecież huzarem; zanim zbliży się jego kompan, spiesząc mu z pomocą. Jednak pozostali Prusacy byli zbyt blisko. Uzmysłowiłem sobie, że Stein był prawdopodobnie tak samo dobrym szermierzem, jakim był dobrym jeźdźcem i mogłem mieć zbyt mało czasu, aby go pokonać, zanim pozostali nadjadą, a wtedy byłbym zgubiony. Najmądrzej więc było nadal uciekać.

Od wschodu na zachód, na równinie rosły rzędem topole. Ich linia ciągnęła się wprost ku długiemu pasmu kurzu, znaczącego odwrót Francuzów. Zawróciłem konia w tym kierunku. Galopując, zobaczyłem przed sobą, po prawej stronie pojedynczy dom. Nad drzwiami wisiał napis głoszący, że mieści się tu gospoda. Na zewnątrz stało kilku mężczyzn, ale nie zwracali na mnie uwagi. Ze zgrozą ujrzałem błyszczące, czerwone kurtki oznaczające, że stacjonują tu Brytyjczycy. Jednak nie mogłem już zawrócić ani się zatrzymać, więc pozostało mi tylko zaryzykować, minąć ich i pędzić dalej. Nie widziałem większych oddziałów, zatem ci ludzie zapewne byli maruderami, których nie musiałem

się obawiać. Zbliżając się zobaczyłem, że dwóch z nich siedzi na ławce przed gospodą i coś piją. Widziałem też, jak wstając zataczają się, najwyraźniej pijani. Jeden z nich, chwając się wyskoczył na środek drogi.

– To Boney!¹² Pomóżcie mi, to Boney! – wrzeszczał. Biegł z rękoma wyciągniętymi do mnie, żeby mnie pochwycić, ale na szczęście dla niego, jego pijane nogi potknęły się i padł twarzą na drogę. Ten drugi był bardziej niebezpieczny. Wpadł do wnętrza gospody i gdy przejeżdżałem obok, zobaczyłem jak wybiega z muszkietem w ręce. Uklęknął na jedno kolano, a ja pochyliłem się nisko nad szyją konia. O strzał Prusaka lub Austriaka nie bałbym się zbytnio, ale Anglicy w owych czasach byli najlepszymi strzelcami w Europie, a ten mój pijak wydawał się dość trzeźwy, gdy przyciskał kolbę muszkietu do ramienia. Usłyszałem trzask i koń skoczył tak konwulsyjnie, że zrzuciłby z siodła wielu mniej wprawnych jeźdźców. W pierwszej chwili pomyślałem, że został zabity, ale gdy odwróciłem się w siodle, zobaczyłem krew płynącą z jego zadu. Kiedy spojrzałem na Anglika, zauważyłem, że ten łajdak ładuje następny nabój, ale zanim zdążył wymierzyć, znaleźliśmy się poza zasięgiem strzału. Ci żołnierze należeli do piechoty, więc nie mogli przyłączyć się do pościgu, ale usłyszałem za sobą okrzyki, jakie wydają myśliwi ścigający lisa. Chłopi też krzyczeli, biegnąc polem i wymachując kijami. Ze wszystkich stron dochodziły do moich uszu krzyki i ze wszystkich stron pędziły do mnie postacie, machając i wygrażając kijami. Wydawało mi się, że w ten sposób wszyscy ścigają Cesarza! Nie pozostanie mi nic innego, jak tylko dobyć szabli.

Jednak poczułem, że mój bieg dobiega końca. Zrobiłem dla Cesarza wszystko, co tylko mogłem – a niektórzy powiedzieliby, że nawet więcej – ale w końcu dotarłem do punktu, z którego już dalej uciec nie mogłem. Konie moich prześladowców były wykończone, ale mój też był skrajnie wyczerpany, a ponadto ranny. Stracił dużo krwi, zostawiając za sobą krwawy ślad na białej, zakurzonej drodze. Już zwalniał kroku i niedługo pode mną padnie. Obejrzałem się – za mną zbliżało się pięciu nieustępliwych Prusaków – Stein, sto jardów przed nimi, potem lansjer i trójka jadąca razem za nimi.

Stein wyciągnął szablę i wywijał nią nad głową, kierując się wprost na mnie.

Nie zamierzałem się poddać.

Spróbuję, ilu Prusaków uda mi się zabrać ze sobą na tamten świat.

W tej niezwykłej chwili ukazały się przed moimi oczami wszystkie wspaniałe czyny, jakich dokonałem w życiu. Czułem, że moja ostatnia przygoda warta była końca tak wybitnej kariery. Moja śmierć będzie strasznym ciosem dla tych wszystkich, którzy mnie kochali, dla mojej matki, moich huzarów i dla wielu innych, bezimiennych ludzi. Lecz wszyscy zachowają w sercu pamięć o mojej sławie i o tym, jaki byłem honorowy. Czułem, że ich żal zjednoczy się z dumą, gdy usłyszą, jak galopowałem i jak walczyłem w tym ostatnim dniu mojego życia. Dlatego, gdy mój Arab słabł coraz bardziej, dobytek długiej szabli kirasjera i zacisnąłem zęby, szykując się do najważniejszej w życiu walki. Chwyciłem mocno uzdę, bojąc się, że jeśli będę zwlekał, mogę znaleźć się na nogach i będę musiał walczyć pieszo, z ludźmi na koniach.

Przede mną, nad lasem wznosiła się wieża wiejskiego kościoła. Jednak nie była to wieża podobna do wielu innych. Jej skraj był skruszony, albo rozbity uderzeniem pioruna

tak, że tworzyła jakiś fantastyczny kształt. Widziałem ją zaledwie przed dwoma dniami! – to był kościół we wsi o nazwie Gosselies. Nie miałem nadziei dotrzeć do tej wsi, a teraz ten widok nappełnił moje serce radością, wiedziałem bowiem, że znajduję się na znanym mi terenie i chłopski dom, stojący nie dalej niż pół mili ode mnie, z wyzierającym nad koronami drzew szczytem dachu, to z pewnością część gospodarstwa St. Aunay, gdzie biwakowaliśmy i gdzie wyznaczyłem kapitanowi Sabbatierowi miejsce spotkania huzarów Conflans. Oni tam byli, moje kochane łobuziaki! Muszę do nich dotrzeć. Mój koń z każdym krokiem słabł coraz bardziej, a tymczasem odgłosy pogoni wzrastały. Mogłem już rozróżnić niemieckie przekleństwa. Kule pistoletu gwizdały mi koło uszu. Rozpaczliwie popędzałem mojego nieszczęsnego Araba, smagając płazem szabli i bodąc ostrogami. Przede mną stała otworem brama wiodąca na podwórze gospodarstwa. Ujrzałem tam połyskiwanie stali. Koń Steina pędził dziesięć jardów za mną.

– Do mnie, towarzysze, do mnie! – krzyknąłem.

Usłyszałem bzyczenie, jakby tysiąca rojów pszczoł opuszczających gniazdo. Wtedy mój wspaniały biały Arab padł przede mną martwy i stoczyłem się na wybrukowane podwórze. Potem nic już nie pamiętam.

Taka oto była moja ostatnia i najsłynniejsza przygoda, moi drodzy przyjaciele, o której wieść rozniosła się po całej Europie i uczyniła Etienne Gerarda sławnym w historii.

Niestety! Wszystkie moje wysiłki dały Cesarzowi jeszcze tylko kilka tygodni wolności. Poddał się Anglikom 15 lipca. Lecz nie moja to wina, że nie udało się nam zebrać ciągle czekających na niego we Francji sił i walczyć pod innym Waterloo, z lepszym skutkiem. Gdyby istnieli tak samo lojalni jak ja, dziś świat byłby inny, a Cesarz zachowałby tron i taki żołnierz jak ja, nie spędzałby resztek życia na uprawianiu kapusty, albo na snuciu opowieści przy kawiarnianym stoliku.

Zapytacie mnie, jaki los spotkał Steina i jego towarzyszy? O tych trzech, którzy padli na drodze nic nie wiem – ale jednego z nich, o ile pamiętacie, zabiłem. Pozostało pięciu. Trzech z nich zabili moi huzarzy, którzy w pierwszej chwili myśleli, że jestem Cesarzem, w którego obronie stanęli. Lekko rannego Steina wzięto do niewoli. Podobnie jednego z ułanów. Nie powiedziano im prawdy; sądziliśmy, że najlepszy jest brak wiadomości, lub wiadomość fałszywa, aby nie zdradzać miejsca pobytu Cesarza, zatem hrabia Stein ciągle był przekonany, że dzieliło go tylko kilka jardów od wspaniałej zdobyczy.

– Możecie bardzo kochać i szanować swojego Cesarza – powiedział – lecz jeszcze nigdy nie widziałem tak wspaniałego jeźdźca i szermierza.

Nie pojmował dlaczego młody pułkownik huzarów na te słowa tak szczerze się uśmiechał – jednak wkrótce się dowiedział.

12 Postać detektywa stworzonego przez Arthura Upfielda (1890–1964), autora 29 powieści o detektywie inspektorze Napoleona Bonaparte. Powieści te od początku stały się bestsellerami ze względu na walory historyczne, powszechnie były znane i są do dnia

dzisiejszego wydawane na całym świecie.

XIV. Ostatnia przygoda brygadiera

Nie opowiem wam już więcej przygód, moi przyjaciele. Powiadają, że człowiek jest jak zając, który biegnie w koło i wraca do miejsca, z którego wyruszył.

Teraz, na stare lata, wzywa mnie już do powrotu moja Gaskonia. Widzę błękitną Garonnę, wijącą się wśród winnic i jeszcze bardziej błękitny ocean, do którego zmierza. Widzę też stare miasto i las masztów wzdłuż kamiennego nabrzeża. Moje serce spragnione jest ojczystego powietrza i gorących promieni mojego słońca. Tu, w Paryżu, są moi przyjaciele, tu mam zajęcia i przyjemności. Tam, wszyscy ci, którzy mnie znali leżą już w grobach. A jednak, południowo--zachodni wiatr dzwoniący o szyby w oknach jest dla mnie jak głos matki, która woła dziecko, aby powróciło na jej łono, a ja z całej duszy pragnąłbym na nim spocząć. Ja – w swoim czasie – odegrałem już swoją rolę. Czas minął, a teraz i ja przemijam.

Drodzy przyjaciele, nie smućcie się, bo cóż może być piękniejszego od honorowego życia, od przyjaźni i miłości? Jednak, czyż nie pięknym dopełnieniem jest to, gdy mężczyzna docierając do końca długiej drogi nagle widzi przed sobą zakręt wiodący ku niewiadomemu? Ale Cesarz i jego marszałkowie skręcili w ten mroczny zakręt i zniknęli. Moi huzarzy również – było tam nie więcej niż pięćdziesięciu chłopów, którzy nie czekali. Musiałem iść. Lecz tej ostatniej nocy było coś więcej niż to, o czym wam opowiedziałem – to był wielki historyczny sekret. I dotąd moje usta milczały, ale teraz nie widzę już powodu, dla którego miałbym nie zaprezentować wam opowieści o tej mojej niezwykłej, ostatniej przygodzie, o której inaczej nikt nigdy by się nie dowiedział, bowiem ja i tylko ja ze wszystkich żyjących ludzi znam fakty.

Musicie wraz ze mną cofnąć się do roku tysiąc osiemset dwudziestego pierwszego.

W tym roku nasz Cesarz był od prawie sześciu lat nieobecny wśród nas i kiedy przebywał tam, w niewoli, na tej samotnej wyspie, tylko od czasu do czasu docierały do nas zza morza wieści, że jeszcze żyje. Nie możecie sobie wprost wyobrazić, jakie to dla nas miało znaczenie, dla nas, którzy go kochaliśmy. Od chwili, gdy rano budziliśmy się ze snu, do chwili, gdy zamykaliśmy oczy wieczorem, nasze myśli były zawsze przy nim i czuliśmy się zhańbieni tym, że on, nasz wódz i mistrz był zhańbiony, a my nie możemy wyciągnąć do niego pomocnej ręki. Wielu z nas poświęciłoby resztę życia, aby uczynić jego życie choć trochę łatwiejszym, a jednak wszystko, co mogliśmy zrobić, to siedzieć i zrzędzić w kawiarniach, gapić się na mapę i liczyć dzielącą nas odległość. Wydawało się, że zamiast mu pomagać, trwonimy daremnie czas. Byliśmy jednak tylko żołnierzami i nic nie wiedzieliśmy o morzu.

Oczywiście, tak samo jak pomyłki Cesarza, nasze własne, małe zmartwienia uczyniły nas ludźmi zgorzkniałymi. Wielu z nas miało wysokie stopnie, ale doczekalibyśmy się jeszcze wyższych, gdyby do nas wrócił. Nie widzieliśmy żadnych możliwości służenia pod białą flagą Burbonów, albo składania przysięgi, która mogłaby obrócić nasze szable przeciwko człowiekowi, którego kochamy. Tak więc, zostaliśmy bez zajęcia i bez pieniędzy. Co mogliśmy robić my, którzy albo mieliśmy mało pieniędzy, albo w ogóle ich nie mieliśmy, poza zbieraniem się, plotkowaniem i zrzędzieniem oraz

dzieleniem się butelką? Zatem, gdy od czasu do czasu mieliśmy szczęście wszcząć kłótnie z którymś z Garde du Corps i kiedy zostawialiśmy go posiekanego w Bois, czuliśmy się tak, jakbyśmy znowu walczyli za Napoleona. Kiedy poznano nasze obsesje, zaczęto unikać miejsc, w których bywaliśmy, jak gniazda szerszeni.

Jedno z nich – Znak Wielkiego Człowieka – przy Rue Varennes, często odwiedzało kilku wybitnych, młodszych oficerów Napoleona. Prawie wszyscy mieliśmy stopnie pułkowników, albo adiutantów, a gdy znalazł się wśród nas ktoś niższej rangi, ze wszystkich sił staraliśmy się, żeby czuł się z nami swobodnie. Był tam kapitan Lapine, który otrzymał medal pod Lipskiem; pułkownik Bonnet – adiutant Macdonalda; pułkownik Jordan, którego sława w armii stawiała go na drugim miejscu po mnie; Sabbatier z moich huzarów; Meunier z Czerwonych Lansjerów; Le Breton z Gwardzistów i wielu, wielu innych.

Spotykaliśmy się co wieczór, gadaliśmy, graliśmy w domino, wypijaliśmy szklaneczkę lub dwie i zastanawialiśmy się, kiedy wróci Cesarz, a my znowu poprowadzimy nasze pułki. Burbonowie stracili już wszelkie poparcie w kraju – jeśli je w ogóle mieli – co wyraźnie okazało się kilka lat później, kiedy Paryż powstał przeciwko nim. Czekano, aż Napoleon pojawi się na wybrzeżu i bez jednego wystrzału z muszkietu, wmaszeruje do stolicy, tak jak wtedy, gdy wrócił z Elby.

W czasach, kiedy tak się przedstawiała ogólna sytuacja, pewnego lutowego wieczoru, w naszej kawiarni zjawił się szczególny mężczyzna, niskiego wzrostu. Chociaż był niski, to jednak masywnej budowy, miał szerokie ramiona i nieproporcjonalnie dużą, niezbyt foremną głowę. Szeroką, ciemną twarz w niezwykle sposób przecinały liczne, jasne blizny i nosił wąsy na sposób, w jaki noszą je marynarze. Uszy zdobiły kolczyki, ręce i ramiona pokrywały tatuaże, co upewniło nas, że mamy przed sobą człowieka morza, zanim przedstawił się nam jako kapitan Fourneau, z cesarskiej marynarki wojennej. Miał listy polecające od dwóch naszych towarzyszy broni i nie było żadnej wątpliwości, że jest oddany naszej sprawie. Zyskał też nasz szacunek. Walczył jak my wszyscy i blizny na twarzy zarobił służąc w Oriencie, w bitwie nad Nilem, do chwili, gdy okręt pod nim eksplodował. Jednak mało mówił o sobie; usiadł w kącie kawiarni, obserwował nas parą niezwykle przenikliwych oczu i uważnie słuchał naszych rozmów.

Pewnej nocy, gdy opuszczałem kawiarnię, kapitan Fourneau podążył za mną i chwytając mnie za rękę, bez słowa poprowadził do swojego mieszkania.

– Chciałbym z panem porozmawiać – oznajmił, prowadząc mnie po schodach do pokoju. Tam zapalił lampę i wręczył mi kartkę papieru, którą wyjął z koperty leżącej na biurku. Widniała na niej data sprzed kilku miesięcy i pochodziła z Pałacu Schönbrunn we Wiedniu. Było na niej napisane:

Kapitan Fourneau działa w interesie Cesarza. Ten, kto kocha Cesarza powinien bezwzględnie go słuchać Marie--Louise

Ten podpis znałem, niewątpliwie złożyła go Cesarzowa. Nie wątpiłem też, że ta notatka była autentyczna.

– A więc – zapytał – czy zadowolają pana moje referencje?

– Całkowicie.

– Jest pan gotów przyjąć ode mnie rozkazy?

– Ten dokument nie daje mi wyboru.

– Dobrze. Po pierwsze, z tego co pan mówił w kawiarni zrozumiałem, że zna pan angielski?

– Owszem.

– Proszę przedstawić mi próbkę.

Powiedziałem po angielsku:

– Jeżeli Cesarz potrzebuje pomocy Etienne’a Gerarda, to jest on dzień i noc gotów oddać życie w jego służbie.

Kapitan Fourneau uśmiechnął się.

– Zabawny ten pański angielski – rzekł – ale i tak lepszy niż żaden angielski. Ja mówię tak po angielsku jak rodowity Anglik. Zawdzięczam to sześciu latom spędzonym w angielskim więzieniu. Teraz powiem panu, dlaczego przybyłem do Paryża. Mam tu wybrać agenta, który pomógłby mi w sprawie, która wpłynie na interesy Cesarza. Poinformowano mnie, że w kawiarni „Wielki Człowiek” zastanę grono starych oficerów i że mogę polegać na każdym z nich, bowiem oddani są bez reszty jego sprawom. Dlatego obserwowałem was wszystkich i doszedłem do wniosku, że pan się najbardziej nadaje.

Doceniłem komplement i zapytałem:

– Co pan chce, żebym zrobił?

– Po prostu, ma mi pan dotrzymać towarzystwa przez kilka miesięcy – oświadczył.

– Musi pan wiedzieć, że kiedy zostałem wypuszczony z więzienia w Anglii, osiedliłem się tam, ożeniłem z Angielką i awansowałem na dowódcę małego, angielskiego statku handlowego, na którym odbyłem kilka podróży z Southampton na wybrzeże Gwinei. Oni mnie tam uważali za Anglika. Ale, rozumie pan, że z moimi uczuciami do Cesarza, czasem czułem się bardzo samotny. Dlatego chciałbym mieć towarzysza, który dzieliłby ze mną myśli, kiedy zmęczą mnie te długie podróże; miło mi będzie, jeżeli ktoś taki jak pan, będzie dzielił ze mną kabinę.

Przez cały czas tego wywodu patrzył na mnie poważnie przenikliwymi, szarymi oczami, a ja mu odpowiedziałem spojrzeniem dającym mu do zrozumienia, że nie ma do czynienia z głupcem. Wyjął brezentową torbę pełną monet.

– W tej torbie jest sto funtów w złocie – wyjaśnił. – Za te pieniądze może się pan wyposażyć na tę podróż. Za dziesięć dni wyruszamy z Southampton. Statek nazywa się „Czarna Łabędź”. Jutro wracam do Southampton i spodziewam się, że wypłyniesz pan ze mną w następnym tygodniu.

– Chwileczkę – wtrąciłem. – Niech mi pan powie szczerze, jaki będzie cel naszej podróży?

– Och, nie mówiłem panu? – odparł. – Gwinea. Płyniemy na afrykańskie wybrzeże Gwinei.

– Ale w jaki sposób ma to służyć interesom Cesarza?

– Płyniemy w ramach jego ważnych interesów. Ale jeżeli zadaje pan tak niedyskretne pytanie, to ja nie udzielę panu niedyskretnej odpowiedzi – odpowiedział ostro.

Rozmowa dobiegła końca i tylko torba pełna złota pozostała jako dowód, że miała ona miejsce.

Wszystko przemawiało za tym, żeby tę przygodę doprowadzić do końca, zatem w ciągu tygodnia byłem już w drodze do Anglii. Popłynąłem z St. Malo do Southampton i wypytyjąc wszystkich wokoło, bez trudu trafiłem do „Czarnego Łabędzia”. Był to mały, zgrabny żaglowiec, który jak się później dowiedziałem, nazywają brygiem. Na pokładzie znalazłem kapitana Fourneau, razem z siedmioma lub ośmioma zapracowanymi marynarzami, przygotowującymi statek do podróży. Kapitan powitał mnie i zaprowadził do swojej kabiny.

– Będzie tu panu wygodnie, panie Gerard – rzekł. – Teraz jest pan cywilem znad Kanału i morze będzie panu łaskawe, jeśli tylko porzuci pan wojskowy, kawaleryjski styl chodzenia po pokładzie. Marynarzowi bardziej pasuje broda niż wąsy.

Byłem tymi słowami wstrząśnięty, ale na pełnym morzu nie ma kobiet, zatem jakie to ma znaczenie – broda czy wąsy?

Kapitan zadzwonił na stewarda.

– Gustav – rzekł – będziesz każdego popołudnia usługiwał mojemu przyjacielowi, monsieur Etienne Gerardowi, który tę podróż odbędzie razem z nami. To jest Gustav Kerouan, mój bretoński steward – wyjaśnił – i jest pan bezpieczny w jego rękach.

Steward o surowych rysach twarzy i przenikliwym spojrzeniu, na tak pokojowym stanowisku, sprawiał wrażenie bardzo wojownicze.

Milczałem, ale możecie zgadywać, że postanowiłem mieć oczy szeroko otwarte. Przygotował dla mnie koję w luksusowych apartamentach kapitana Fourneau – które swoim przepychem bardziej przypominały luksusowe kabiny na jachcie jakiegoś bogacza, niż na statku handlowym kursującym do Afryki Zachodniej.

Tak też myślał mat, Mr. Burns, który nie ukrywał rozbawienia, ilekroć na to patrzył.

Ten duży, rośli, rudowłosy Anglik miał swoją koję w sąsiedniej kabinie. Był tam też drugi mat, Turner, zajmujący kabinę na śródkręciu i tam też znajdowało się pomieszczenie dla dziewięciu członków załogi i chłopca okrętowego. Trzech z nich było – jak mnie poinformował Mr. Burns – tak jak ja Chanel Islandersami. Tego Burnsa, pierwszego mata, bardzo interesowało pytanie dlaczego z nimi płynę?

– Dla przyjemności – wyjaśniłem.

Spojrzał na mnie uważnie.

– Był pan kiedyś w Afryce Zachodniej? – zapytał.

Odparłem, że nie byłem.

– Tak myślałem – stwierdził. – Nigdy byś tam drugi raz nie popłynął... w każdym razie nie dla przyjemności.

Trzy dni po moim wejściu na pokład, odcumowaliśmy od nabrzeża i ruszyliśmy w podróż. Nigdy nie byłem dobrym żeglarzem i muszę wyznać, że byliśmy już daleko od jakiegokolwiek brzegu, gdy mogłem o własnych siłach wyjść na pokład. W końcu, piątego dnia, wypilem trochę zupy, którą przyniósł mi ten dobry Kerouan i zdołałem wyczołgać się z koi, a potem wspiąć na schody. Orzeźwiło mnie świeże powietrze i od tej pory jakoś zadomowiłem się na statku, przystosowując się do kołysania. Zaczęła mi też rosnać broda i nabrałem przekonania, że mając sposobność wykazania się w tej służbie,

będę tak samo dobrym żeglarzem, jak byłem dobrym żołnierzem. Nauczyłem się wciągać żagle na maszty, ale do moich obowiązków przeważnie należała gra w écarté z kapitanem Fourneau, grając równocześnie rolę jego towarzysza. Nic dziwnego, że potrzebował kogoś takiego jak ja, bowiem żaden z majtków nie potrafił ani czytać ani pisać, chociaż byli wspaniałymi marynarzami.

Gdyby nasz kapitan nagle umarł, nie wyobrażałem sobie, jak znaleźlibyśmy drogę na tym rozległym oceanie, ponieważ tylko on wiedział, jak ustalić naszą pozycję na mapie wiszącej na ścianie kabiny. Codziennie zaznaczał kurs statku i w ten sposób w każdej chwili mogliśmy zobaczyć, jak daleko mamy jeszcze do celu podróży. Zdumiewające, jak precyzyjnie można było to ustalić! Pewnego ranka powiedział, że tej nocy zobaczymy światło Cape Verde i faktycznie, zaraz po zapadnięciu zmroku ujrzeliśmy je po lewej stronie. Jednak już następnego dnia nie było widać lądu i Mr. Burns wyjaśnił mi, że nie zobaczymy go, aż do wpłynięcia do portu w Zatoce Biafra. Codziennie płynęliśmy na południe, z wiatrem i zawsze w południe wbijaliśmy szpilkę w mapę, coraz bardziej zbliżając się do wybrzeży Afryki. Mogę wam wyjaśnić, że naszym celem było zabranie ładunku oleju palmowego, natomiast przywoziliśmy kolorowe ubrania, stare muszkiety i inne drobiazgi, jakie Anglia sprzedawała wtedy dzikusom.



Następnego dnia nie było widać lądu i Mr. Burns wyjaśnił mi, że nie zobaczymy go, aż do wpłynięcia do portu

Na koniec, wiatr, który nam dotąd towarzyszył osłabł i przez kilka dni dryfowaliśmy po gładkim jak oliwa morzu pod gorącymi, parzącymi przez szpary w deskach pokładu, promieniami słońca. Ciągłe zmienialiśmy położenie żagli, próbując złapać najłżejszy podmuch wiatru, aż w końcu udało nam się wyjść z pasa ciszy i znowu popłynąć na południe, pchani ożywczą bryzą, w towarzystwie latających ryb. Przez kilka dni Burns okazywał niepokój i zauważyłem, że nieustannie osłania oczy dłonią, wpatrując się w horyzont, jak gdyby wypatrywał lądu. Dwa razy przyuważyłem go w kabinie, z rudą głową przy mapie. Wpatrywał się w szpilki, które ciągle zbliżały się do brzegów Afryki. W końcu, pewnego wieczoru, gdy z kapitanem Fourneau grałem w kabinie w *écarté*, do kabiny wszedł mat, z wyrazem gniewu na osmaganej wiatrami, opalonej twarzy.

– Proszę mi wybaczyć, kapitanie Fourneau – rzekł – ale czy pan wie, jaki kurs trzyma sternik?

– Dokładnie na południe – odparł kapitan, nie odrywając oczu od kart.

– A powinien trzymać kurs dokładnie na wschód.

– Skąd wiesz?

Mat warknął gniewnie:

– Nie muszę być szczególnie obeznany, żeby tego nie wiedzieć, kapitanie Fourneau. Żeglowałem już po tych wodach, gdy miałem dziesięć lat i byłem chłopcem okrętowym, i wiem, kiedy płynie się jakim kursem, wiem też kiedy się z niego zbacza i jak znaleźć drogę na spokojnych wodach. Teraz płyniemy kursem na południe, a powinniśmy sterować dokładnie na wschód, a nie na południe, jeżeli mamy dopłynąć do portu, do którego wysłali pana właściciele.

– Proszę mi wybaczyć, Mr. Gerard. Pokażę dokładnie nasz kurs – powiedział kapitan, odkładając karty. – Mr. Burns, niech pan podejdzie do mapy, dam ci lekcję praktycznej nawigacji. Tutaj wieje pasat z południowego--zachodu, tu jest nasz kurs, a tu port, do którego zamierzamy wpłynąć. A tu jest człowiek, który obiera własną drogę na pokładzie statku.

Mówiąc to chwycił nieszczęsnego mata za gardło i tak długo ścisnął, że omal nie stracił przytomności. Steward przybiegł ze sznurem, związali i zakneblowali go tak, że był całkiem obezwładniony.

– Przy sterze stoi jeden z naszych Francuzów. Najlepiej, żeby tego mata wyrzucić za burtę – poradził steward.

– Tak, tak byłoby najbezpieczniej – zgodził się Fourneau.

Tego już było dla mnie za wiele. Nikt mnie nie namówi, żebym wyraził zgodę na śmierć bezbronного człowieka.

W końcu kapitan Fourneau niechętnie zgodził się oszczędzić mata i zawlekliśmy go do głęboko położonej kabiny. Tam położyliśmy go między balotami materiałów z Manchesteru.

– Nie warto zamykać kłapy – stwierdził kapitan. – Gustav, idź do Mr. Turnera i powiedz, że chcę z nim rozmawiać.

Niczego nie spodziewający się mat, wszedł do kabiny i natychmiast został zakneblowany i związany, a potem ułożony tam, gdzie Burns. I wtedy zamknięto kłapę.

– Zostaliśmy do tego zmuszeni – usprawiedliwiał się kapitan – wcześniej niż zamierzałem. Jednak nie musimy się z tego powodu wielce martwić, to mi nie zakłóca planów. Kerouan, wytoż beczułkę rumu dla załogi i powiedz im, że kapitan życzy im zdrowia z okazji zmiany kursu. Nie muszą się lepiej orientować. Wydaj im też coś ze swojej spiżarni, niech się napiją i najedzą, żeby byli odpowiednio gotowi. A teraz, pułkowniku Gerard, za pańskim przyzwoleniem, dokończmy partyjkę écarté.



Chwycił nieszczęsnego mata za gardło i tak długo ścisnął, że omal nie stracił przytomności

Była to jedna z tych sytuacji, których się nie zapomina.

Kapitan, człowiek twardy jak skała, tasował, przekładał, rozdawał i grał tak, jakby siedział w swojej kawiarni. Spod pokładu dobiegały nas na w pół tłumione kneblami, nieartykułowane pomruki obu więźniów. Na zewnątrz drewno trzeszczało, żagle łopotąły na bryzie pchającej nas do celu. Przez plusk fal i gwizd wiatru przebijały dzikie wrzaski angielskich marynarzy, sączących rum z beczułki. Rozegraliśmy z pół tuzina partii i kapitan wstał.

– Myślę, że są już gotowi – stwierdził.

Wyjął z szafki parę pistoletów. Jeden wręczył mnie.

Nie musieliśmy się bać oporu, nikt bowiem nie był już do tego zdolny. Anglik w tych czasach – czy to żołnierz czy marynarz – był niepoprawnym pijakiem. Trzeźwy, był dzielny i dobrym człowiekiem, lecz jeżeli zaczął pić, zaczynał szaleć – i nic go nie mogło nakłonić do umiaru w picciu.

W mdłym świetle nory, którą zajmowali, leżało pięciu, półprzytomnych mężczyzn – dwóch wrzeszczących, przeklinających i wyśpiewujących szaleńców reprezentowało załogę „Czarnego Łabędzia”. Steward przyniósł zwoje sznurów i z pomocą dwóch francuskich marynarzy (trzeci dyżurował przy sterze) związialiśmy i zakneblowaliśmy pijaków, aby nie mogli się ruszyć i krzyczeć. Wrzucono ich przez luk dziobowy tam, gdzie znajdowali się już ich oficerowie. Kerouanowi polecono, aby dwa razy dziennie podawał im jedzenie i picie.

Teraz mogliśmy ostatecznie uznać, że „Czarny Łabędź” cały był w naszych rękach.

Nie miałem pojęcia, co byśmy zrobili w razie złej pogody, jednak na razie płynęliśmy spokojnie, z wiatrem, który szybko pchał statek na południe, ale nie był na tyle silny, żeby budzić niepokój.

Trzeciego dnia wieczorem, zastałem kapitana Fourneau stojącego na dziobie i wpatrującego się z uwagą w horyzont.

– Spójrz, Gerard, spójrz! – wykrzyknął i wskazał wzdłuż wystającego z dziobu masztu.

Nad granatowym morzem wznosiło się jasno--niebieskie niebo i daleko, gdzie niebo spotykało się z powierzchnią morza, widniało coś ciemnego, niczym chmura, ale o bardziej określonym kształcie.

– Co to jest? – zapytałem.

– Łąd.

– Jaki łąd?

Nadstawiłem uszu, czekając na odpowiedź, a jednak już wiedziałem, jaka ona będzie.

– To Święta Helena.

A więc tutaj leży wyspa z moich snów! To tu znajduje się klatka, w której uwięziony jest nasz wielki Orzeł Francji!

Nie wystarczy wszystkich tysięcy mil morza, aby oddzielić Gerarda od ukochanego mistrza.

On tam był, za granatowym morzem, na ciemnym, podobnym do chmury brzegu. Jakże moje oczy pragną go ujrzeć! Jak moja dusza leci przed statkiem prosto do niego! –

jak leci i leci, aby powiedzieć mu, że nigdy go nie zapomniała! Że po tylu latach, jego wierny sługa jest tutaj, że staje u jego boku. Każdy, najmniejszy cień na wodzie rośnie i rośnie, staje się coraz wyraźniejszy.

Wkrótce mogłem wyraźnie rozróżnić, że to istotnie była wyspa. Zapadła noc, ale ja ciągle klęczałem na pokładzie, z oczami wbitymi w ciemność tam, gdzie znajdowało się miejsce, w którym przebywał Wielki Cesarz. Mijały godziny, a potem nagle dokładnie przed nami ukazało się małe, złote, migoczące światełko. To światełko padające z okna – być może jego okna. Dzielila nas nie więcej niż mila, może dwie. Och, jak ja wyciągałem do niego ręce – ręce Etienne Gerarda, ale nie tylko jego, ręce całej Francji!

Na statku wygaszono wszystkie światła i wszyscy, pod kierownictwem kapitana Fourneau zajęli się zatrzymaniem statku.

Potem kapitan poprosił, żebym zszedł do kabiny.

– Teraz wszystko zrozumiesz, pułkowniku Gerard – rzekł – i wybac mi, jeśli od początku nie obdarzyłem cię pełnym zaufaniem. W tak ważnej sprawie nie mogłem się nikomu zwierzać. Długo planowałem ratowanie Cesarza i moje pozostawanie w Anglii oraz zajęcie kupca, były zupełnie temu podporządkowane. Wszystko ułożyło się dokładnie tak, jak się spodziewałem. Odbyłem kilka, uwieczonych powodzeniem podróży na Zachodnie Wybrzeże Afryki, zatem nie miałem trudności, aby odbyć i tę podróż. Kolejno przemyślałem na statek starych, francuskich żołnierzy. Zależało mi też, aby w razie oporu mieć na pokładzie wypróbowanego w walce człowieka – takiego jak pan. Chciałem też mieć kogoś, kto mógłby towarzyszyć Cesarzowi w czasie długiego powrotu do ojczyzny. Mam już dla niego przygotowaną kabinę. Ufam, że będzie tu z nami, zanim jutro wszędzie słońce, a my odpłyniemy i ta przeklęta wyspa zniknie nam z oczu.

Możecie sobie wyobrazić, co czułem, moi przyjaciele, słuchając tych słów. Objąłem tego dzielnego kapitana i błagałem go, żeby mi powiedział, jak mam mu pomóc.

– Muszę wszystko złożyć w pańskie ręce – oświadczył. – Chciałbym osobiście oddać mu hołd, ale nie byłoby to najmądrzejsze, gdybym tam poszedł. Fale już się łamią, idzie sztorm i jesteśmy blisko lądu. W pobliżu wyspy pływają trzy angielskie krążowniki i mogą tu być lada moment. Dlatego muszę pilnować statku, a do pana należy sprowadzenie tu Cesarza.

Zadrzałem na te słowa.

– Proszę mi wydać odpowiednie instrukcje! – zawołałem.

– Mogę panu przydzielić tylko jednego człowieka. Spuścimy łódź, człowiek ten popłynie z panem na brzeg i będzie tam na was czekał. Światło, które pan widział, to rzeczywiście Longwood. W domu znajdują się tylko nasi przyjaciele i wszyscy pomagają w ucieczce Cesarza. Jest tam kordon wart, ale nie znajdują się blisko domu. Należy przedstawić nasze plany Cesarzowi, sprowadzić go do łodzi i przewieźć na pokład.

Sam Cesarz nie mógłby wydać krótszej i jaśniejszej instrukcji. Nie było czasu do stracenia. Łódź z marynarzem czekała. Wsiadłem do niej i zaraz odbiliśmy od statku. Mała łódka tańczyła w ciemnościach na wodzie, ale zawsze miałem w oczach światełko z Longwood, światełko Cesarza, gwiazdę nadziei. Wtem dno łodzi zaczęło trzeć o żwir brzegu. Wylądowaliśmy w samotnej zatoczce, gdzie nie było strażników. Zostawiłem

marynarza przy łodzi i wspiąłem się na stok.

Biegła na nim wijąca się między skałami pasterska ścieżka, zatem nie miałem trudności ze znalezieniem drogi. Wsunąłem logiczny wniosek, że wszystkie ścieżki na Świętej Helenie prowadzą do Cesarza. Doszedłem do bramy. Żadnych wartowników; minąłem ją. Następna brama... ciągle żadnych wart. Zastanawiałem się, co z tym kordonem, o którym mówił Fournau. Teraz znalazłem się już na końcu mojej wspinaczki i światło świeciło dokładnie na wprost mnie. Ukryłem się i rozejrzałem dookoła, ale nadal nie było żadnych wrogów. Podszedłem bliżej i zobaczyłem dom – długi, niski, z werandą. Na ścieżce chodził tam i z powrotem jakiś człowiek. Podkradłem się bliżej i przyjrzałem mu się.

Był to zapewne ten przeklęty Hudson Lowe. Jakież to byłby sukces, gdybym nie tylko uratował Cesarza, ale i zemścił się na nim. Jednak najprawdopodobniej był to angielski wartownik. Ciągle skradałem się coraz bliżej. Mężczyzna zatrzymał się przed oświetlonym oknem i wtedy mogłem go wyraźnie zobaczyć. Nie, to nie był żołnierz, tylko ksiądz. Zastanawiałem się, co ksiądz może tu robić o drugiej w nocy. Francuz, czy Anglik? Jeżeli był jednym z mieszkańców, to mogłem mu zaufać. Jeżeli był Anglikiem, to mógł mi pokrzyżować plany.

Zbliżyłem się jeszcze bardziej i w tym momencie wszedł do domu. Z otwartych drzwi padła powódź światła. Teraz było dla mnie wszystko jasne – wszystko stracone, jeżeli nie będę działał błyskawicznie! Pochyliłem się nisko i podbiegłem do oświetlonego okna.

Uniosłem głowę i zajrzałem do środka. Ujrzałem przed sobą martwego Cesarza.

Moi przyjaciele, upadłem na żwirową ścieżkę bez zmysłów, jakby mój mózg przeszła kula. Doznałem tak wielkiego szoku, że to cud, iż go przeżyłem.

Po upływie pół godziny, drżąc na całym ciele, podniosłem się na trzęsących nogach i szcękając zębami, stałem ze wzrokiem szaleńca, wlepionym w pokój śmierci.

Leżał na marach na środku pokoju, spokojny, nieruchomy, majestatyczny, z twarzą pełną skupionej mocy, która tak rozgrzewała nam serca w dzień bitwy. Na białych wargach igrał nikły uśmieszek, a jego półotwarte oczy zdawały się patrzeć w moim kierunku. Był tęższy niż wtedy, gdy widziałem go pod Waterloo i wyraz jego twarzy był łagodniejszy od tego, jaki zawsze oglądałem. Po jednej stronie płonął rząd świec – i to był ten promień światła, który wskazywał nam drogę na morzu, który prowadził nas przez szerokie wody i który świecił jak gwiazda nadziei. Słabo dostrzegłem wielu ludzi klęczących w pokoju – cały mały Dwór – mężczyźni i kobiety, którzy dzielili z nim los. Bertrand, jego żona, ksiądz, Montholon – wszyscy tam byli. Ja też zacząłem się modlić, choć moje serce było przepełnione goryczą. A jednak musiałem odejść, choć nie mogłem go opuścić bez dania znaku. Nie zważając na to, czy ktoś mnie dostrzeże, wyprostowałem się i uniosłem rękę do oddania ostatniego salutu. Potem odwróciłem się i pobiegłem w ciemność nocy, z obrazem, jaki utkwił mi w oczach – z tym jego nikłym uśmieszkiem na ustach i bystryimi, szarymi oczami, tak zawsze tańczącymi przede mną. Wydawało mi się, że nie minęło dużo czasu od opuszczenia łódki, ale marynarz powiedział mi, że to było wiele godzin.

Kiedy to mówił, zaczął wiać wiatr od morza o sile pięciu stopni i o brzeg z rykiem

biły wysokie fale.

Dwukrotnie próbowaliśmy zepchnąć łódkę na wodę i dwukrotnie była wyrzucana na brzeg. Trzecim razem zalała ją fala i rozbiła dno. Chroniliśmy się za nią bezradnie, aż do świtu, ukazującego wzburzone morze i pędzące po niebie czarne chmury. Ani śladu „Czarnego Łabędzia”. Wspięliśmy się na wzgórze, ale na olbrzymim obszarze rozszalałego sztormem oceanu nie widniał żaden żagiel. Nasz statek zniknął. Zatonął, został odbity przez angielską załogę, albo spotkało go coś dziwnego, niewytłumaczalnego – tego nie wiedziałem. Już nigdy w życiu nie zobaczyłem kapitana Fourneau i nie mogłem mu przekazać relacji z mojej misji.

Nam nie pozostało nic innego, jak tylko poddać się Anglikom i udawać, że jesteśmy rozbitkami z zatopionego statku – chociaż nikt takiego statku nie widział na oczy. Angielscy oficerowie wielkodusznie ofiarowali nam gościnę, którą zawsze od nich otrzymywałem, jednak minęły długie miesiące, zanim mogłem wrócić do mojej ukochanej ojczyzny. Jak każdy prawdziwy Francuz, tam na obczyźnie, nie czułem się naprawdę szczęśliwy.

Tak więc opowiedziałem wam, jak zegnałem mojego mistrza i teraz zegnám też was, moi drodzy przyjaciele, którzy z taką uprzejmością i cierpliwością słuchaliście długich opowieści starego, steranego życiem żołnierza. Rosja, Italia, Niemcy, Hiszpania, Portugalia i Anglia – wędrowaliście ze mną po tych wszystkich krajach i widzieliście moimi oczami wspaniałość tamtych wielkich dni. Pozwoliłem też wam ujrzeć choćby cień ludzi, którzy wtedy deptali ziemię. Zachowajcie ich w pamięci i przekażcie ich sylwetki swoim dzieciom, bowiem pamięć o wielkiej epoce, to najcenniejszy skarb, jaki ten naród posiada. Jak drzewo karmi się opadającymi liśćmi, tak ci martwi już ludzie i minione dni, mogą zrodzić następnych bohaterów, władców i mędrców.

Jadę do Gaskonii, lecz moje słowa zostaną tu, w waszej pamięci i długo potem, gdy Etienne Gerard zostanie już zapomniany, wasze serca będzie rozgrzewało i wspierało na duszy słabe echo słów, które tu wypowiedział.

Panowie, stary żołnierz wam salutuje i zegna was.